PISMO POŚWIĘCONE

NUMER 33

FRONDA

cena 25 zł (0% VAT)

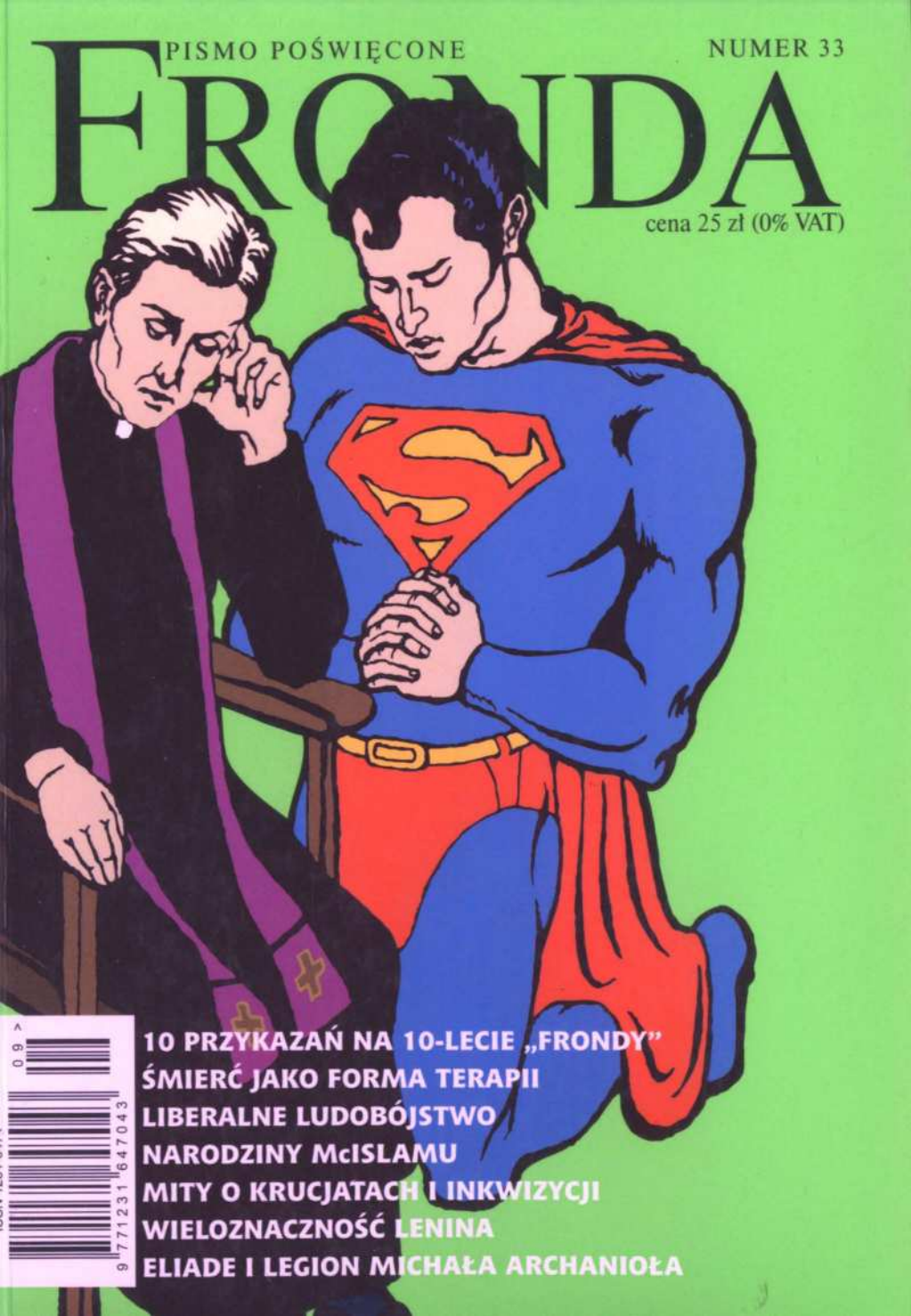

10 PRZYKAZAŃ NA 10-LECIE „FRONDY"

ŚMIERĆ JAKO FORMA TERAPII

LIBERALNE LUDOBÓJSTWO

NARODZINY McISLAMU

MITY O KRUCJATACH I INKWIZYCJI

WIELOZNACZNOŚĆ LENINA

ELIADE I LEGION MICHAŁA ARCHANIOŁA

9 771231 647043 09

PISMO POŚWIĘCONE

FRONDA

Nr 33

Rok 2004 od narodzenia Chrystusa

FRONDA

Nr 33

ZESPÓŁ

Waldemar Bieniak, Nikodem Bończa-Tomaszewski, Natalia Budzyńska, Marek Jan Chodakiewicz, Michał Dylewski, Paweł Filipiak, Piotr Frączyk-Smoczyński. Grzegorz Górny (redaktor naczelny), Marek Horodniczy, Robert Jankowski, Aleksander Kopiński, Estera Lobkowicz, Filip Memches, Sonia Szostakiewicz, Rafał Tichy, Wojciech Wencel, Jan Zieliński

PROJEKT OKŁADKI

Iwona i Jan Zielińscy; rys. Katarzyna Kalupa

OPRACOWANIE GRAFICZNE

Jan Zieliński

grafiki na stronach: 21, 64, 65, 80-85, 115, 332-335

Maciej M. Michalski

grafiki na stronach: 5, 6-20, 22-63, 169

Robert Trojanowski

REDAKCJA STYLISTYCZNA I KOREKTA

Joanna i Michał Dylewscy

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY

ul. Jana Olbrachta 94, 01-102 Warszawa
tel,: 836 54 44: fax: 877 37 35
www.fronda.pl
fronda@fronda.pl

WYDAWCA

Fronda.pl Sp. z o.o.
Zarząd: Michał Jeżewski

DRUK

Polskie Zakłady Graficzne Sp. z o.o., ul. Orzechowa 2, 26-600 Radom

Prenumerata Pisma Poświęconego Fronda

Księgarnia Ludzi Myślących
ul. Tamka 45, 00-355 Warszawa
tel.: 828 13 79 • e-mail: info@xlm.pl • www.xlm.pl,
w firmie Kolporter (wszelkie informacje - www.kolporter.com.pl)
oraz w firmie RUCH S.A. (wszelkie informacje - www.ruch.com.pl).

Aby otrzymywać kolejne numery za zaliczeniem pocztowym, prosimy wypełnić stałe zamówienie na stronie internetowej www.ksiegarnia.fronda.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów.
Materiałów niezamówionych nie odsyłamy.

ISSN 1231-6474
Indeks 380202

S P I S R Z E C Z Y

DEKADERON, CZYLI 10-LECIE „FRONDY" 6
GRZEGORZ GÓRNY

Po pierwsze: mój idol, mój bożek. 7
KRZYSZTOF KOEHLER

Po drugie: wypaleni 11
TOMASZ R. TERLIKOWSKI

Po trzecie: celebrowanie codzienności 17
RAFAŁ TICHY

Po czwarte: odkrycie ojca 22
FILIP MEMCHES

Po piąte: byłem i jestem mięczakiem 30
WOJCIECH WENCEL:

Po szóste: jestem cienkim Bolkiem 34
JAN ZIELIŃSKI

Po siódme: skubanie, kombinowanie, korzystanie z okazji 44
MAREK HORODNICZY

Po ósme: w zakłamaniu łatwiej 46
ALEKSANDER KOPIŃSKI

Po dziewiąte: wejście kosztuje rozum 49
TADEUSZ GRZESIK

Po dziesiąte: gula skacze,
czyli najbardziej „polskie" przykazanie Dekalogu 58
MICHALSKI & ZIELIŃSKI

Przygody Zamaskowanego Bohatera 64
RYSZARD FENIGSEN

W krainie eutanazji 66
ROZMOWA Z HENKIEM REITSMĄ

Śmierć jako forma terapii 78

miesięcznik
Nowe Państwo

Prenumerata z prezentem
(szczegóły: www.nowe-panstwo.pl)

CYWILIZACJA
HISTORIA
KULTURA
POLITYKA

Szukaj
w EMPIKACH
i Salonach Prasowych!

Adres redakcji:
02-017 Warszawa, Al. Jerozolimskie 125/127
tel. (0-prefiks-22) 699 71 60, 699 72 22,
faks (0-prefiks-22) 628 76 73
www. nowe-panstwo.pl
e-mail: nowepans@wa.onet.pl

Gdy rozum śpi...

Było słowo...

Dziecko we mgle

2004

Dom na piasku

Oślepiająca moc pożądania
Rozpoznawanie duchów
Rachunek sumienia
O nowoczesności i postępie
Zgubne skutki braku przykładu

3(28)2004
lipiec-wrzesień

Zeszyty Karmelitańskie

Wydawca:
FLOS CARMELI
ul. Działowa 25, 61-747 Poznań
tel. 061/856-08-34
wydawnictwo@floscarmeli.poznan.pl
www.floscarmeli.poznan.pl

Dziecko we mgle

O poznawaniu wartości

bp M. JĘDRASZEWSKI: Dekalog dziś
J. GALAROWICZ: O wartościach
P. SEMKA: Historia i wartości
Z. KUBIAK: Łagodność i siła
M. IŁOWIECKI: Dwa oblicza mediów
ks. A. SIEMIENIEWSKI: Rozumna wiara

Dom 2005

Szkoła

Praca

Zabawa

Autor, znany dziennikarz, odkrywa tajniki manipulacji, propagandy i narzucania nam pewnego odbioru świata w mediach tradycyjnych. Ciekawie komentuje m.in. tzw. aferę Rywina

oprawa miękka; format 155x240; s. 228
ISBN 83-88615-57-2

Wydawnictwo Archidiecezji Lubelskiej „Gaudium"
Adres: 20-075 Lublin, ul. Ogrodowa 12
tel. (0 81) 442 19 00
fax (0 81) 442 19 16
email: wydawnictwo@gaudium.pl

paganini poleca:

nową
książkę
marcina
jakimowicza

**tramwaj,
kefir
i bułka**

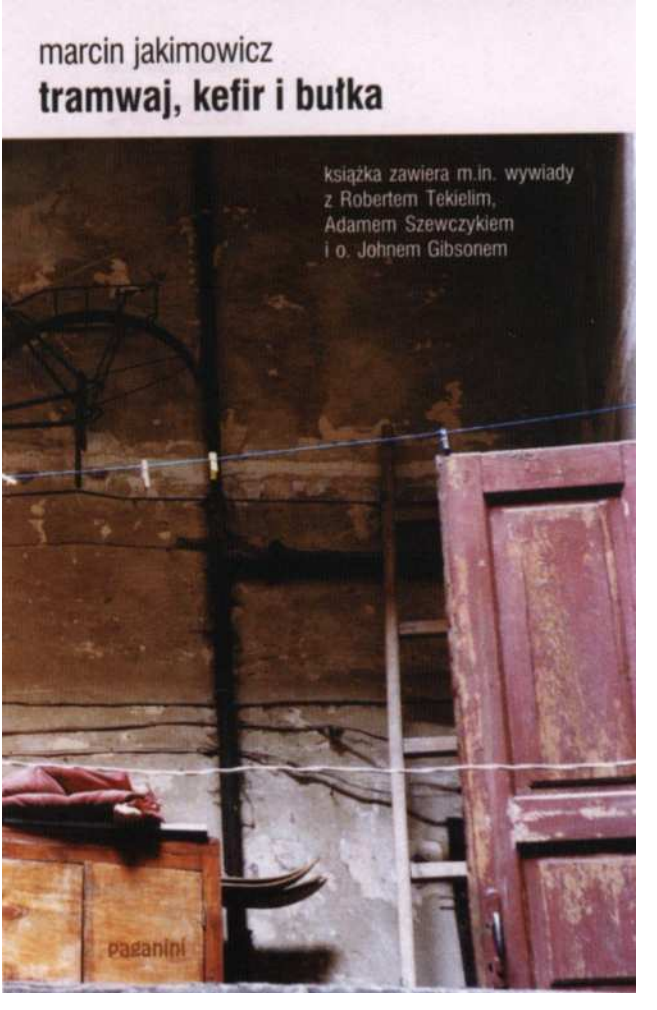

Nowa książka autora „Radykalnych" i „Drugiego dna".
Zaskakujące felietony i rozważania biblijne. Alleluja... i do tytu.
Poruszające wywiady z Robertem Tekielim, Adamem Szewczykiem
i o. Johnem Gibsonem.

Nawiedzona książka
dla pastuchów i niemowląt.

Paganini
ul. Batorego 25/11,31-135 Kraków
e-mail: firma@paganinJ.com.pl
tel/fax (012) 623 71 81, tel. (012) 623 71 82
www.ruah.pl

MONIKA EBERT
Umieranie Taty. Moje powtórne narodziny 86
LIONEL I RENATE ROOSEMONTOWIE
Wdzięczność 94
TOMASZ R TERLIKOWSKI
Liberalne ludobójstwo,
czyli zlikwidować niepotrzebny materiał ludzki 106
DŻEBEL-AL-NUR
Zielonym okiem: Gorące metro 112
ROZMOWA Z ALAINEM FINKIELKRAUTEM
Chusty to manifest 116
KRZYSZTOF KĘDZIOR
Niewierna muzułmanka a sprawa polska 126
WITOLD PASEK
McIslam z frytkami 132
BOHDAN KOROLUK
Kolebka czy skansen 144
REMIGIUSZ OKRASKA
Odkłamać wieki średnie 148
THOMAS F. MADDEN
Mity na temat krucjat 160
ROBERT ŻUREK
Inkwizycja - mity i prawda 170
PAWEŁ ZAWADZKI
Śladami patrona Europy i ludzi Księgi 186
KRZYSZTOF NOWORYTA
Andrzej Wajda, reżyser wszystkich Polaków 198
SONIA SZOSTAKIEWICZ
Kretyn i łajdak 232
MAREK ORAMUS
Tkacz gehenny 236

PRZEMYSŁAW DULĘBA
Dakowie, Zalmoksis i Legion Michała Archanioła. Rumuńskie dziedzictwo Mircei Eliadego 240
MICHAŁ DYLEWSKI
Jedna Rumunia, trzy „faszyzmy" 248
MARCIN RACZKOWSKI
Lenin jest wieloznaczny 262
MARK P. SHEA
Felietony metafizyczne: Kuszenie Chrystusa 266
MIECZYSŁAW SAMBORSKI
Konserwatyzm jako homoseksualizm 274
ESTERA LOBKOWICZ
Konserwatyzm jako ślepy zaułek 278
ZAMIAST KASZY I ŚRUBKORĘTU 282
NAJWAŻNIEJSZE WEZWANIE, NAJISTOTNIEJSZE ORĘDZIE 287
NOTY 0 AUTORACH 289

D E K A D E R O N

czyli

10-LECIE „FRONDY"

Od momentu ukazania się pierwszego numeru „Frondy" minęło 10 lat. Okrągłe rocznice zawsze stają się okazją do jubileuszowego zadęcia i okolicznościowej fanfaronady. Z wielu stron dochodzą nas głosy, że w czasie tej dekady „Fronda" była ważnym uczestnikiem cywilizacyjnego, kulturowego i religijnego sporu, jaki toczył się i dalej toczy w naszym kraju. Przede wszystkim jednak „nie toczymy walki przeciw krwi i ciału", a front duchowych zmagań, które angażują nas w stopniu największym, przebiega przez nasze wnętrza. Charakter tego typu walk został opisany nie w traktatach sztuki wojennej Sun Tsu czy Clausewitza, lecz oddany lapidarnie na dwóch kamiennych tablicach przyniesionych z Synaju. Dlatego na 10-lecie „Frondy" zdecydowaliśmy się opublikować 10 Przykazań rozumianych jako 10 osobistych wyznań, a zarazem 10 wezwań. Czego świadectwem jest ten Dekalog po dekadzie, niech osądzą Czytelnicy.

REDAKCJA

po pierwsze:

MÓJ IDOL, MÓJ BOŻEK

GRZEGORZ GÓRNY

Półmrok świątyni, blask świec, zapach kadzidła. I glos kapłana, który pyta wiernych: „Co jest twoim bożkiem?". Wymienia: władza, pieniądze, seks, kariera, praca, rodzina... Litania idoli się kończy, a ja nie rozpoznaję swojego bożka. Ksiądz mówi: „A teraz nie będziesz miał bogów cudzych przed Panem. Wyrzeknij się swojego idola". Myślę gorączkowo: „Ale czego właściwie mam się wyrzec?". I nagle poraża mnie z całą oczywistością myśl, że przecież to ja sam jestem dla siebie bożkiem. Moim idolem jest moje „ja". Wszystko inne - władza, seks czy pieniądze - to tylko bogowie mniejsi, służący temu najważniejszemu, karmiący drzemiącego we mnie potwora egoizmu, pychy i próżności nowymi afektami, doznaniami, zdobyczami.

I teraz mam się go wyrzec? Zaprzeć się swojego „ja"?

Poniedziałek.
Ja.
Wtorek.
Ja.
Środa.
Ja.
Czwartek.
Ja.

Witold Gombrowicz

Potwór przeważnie drzemał. Najczęściej nie zionął ogniem, nie siał spustoszenia. Dostawał to, co chciał, więc był spokojny. Najbardziej przeraził mnie nie w momencie swej wściekłości, lecz...

To było w Armenii. Wszedłem do pustego zupełnie kościoła - jakiś VII wiek naszej ery. I nagle zza kamiennej kolumny wykuśtykał, wlokąc za sobą sparaliżowaną nogę, wioskowy beblok, z przekrzywioną głową i błędnym wzrokiem. Padł przede mną na kolana i zaczął całować mi dłonie. Poczułem, jak w jednej chwili wypełza mi na twarz uśmiech samozadowolenia. Nie pojawia się, nie rozjaśnia oblicza, ale właśnie wypełza - czułem wyraźnie to wypełzanie zadowolonego z siebie, sytego, próżnego potwora. Po sekundzie poczułem przerażenie, ale było już o tę sekundę za późno. Zdążyłem przyjąć wasalny hołd od upośledzonego psychicznie nieszczęśnika. Są ludzie, którzy karmią się wzrokiem innych, do swych triumfów potrzebują świadków. Mojemu „ja" jako obserwator wystarczałem ja.

Całonocne czuwanie dobiegło końca, a ja czułem się niedomodlony. W ciągu tych kilku godzin widziałem tyle cudownych uzdrowień, zarówno fizycznych, jak i duchowych, że przepełniała mnie wdzięczność za wszystko, czego byłem świadkiem. Była piąta nad ranem, ludzie wychodzili z kościoła, wszedłem na piętro do kaplicy i sam zacząłem się modlić. W pewnym momencie poprosiłem Boga o Krzyż i aż sam się zdziwiłem, że to powiedziałem. Czułem wyraźnie, że prośba ta nie wyszła ode mnie, lecz że została mi włożona w usta.

Miesiąc później szykowałem się na kolejne czuwanie, ale zamiast tego trafiłem do szpitala z podejrzeniem krwiaka wewnątrzczaszkowego. Kiedy w kościele trwało czuwanie, ja modliłem się w szpitalnym łóżku. Wtedy przyszły do mnie słowa: „Prosiłeś o Krzyż. Czy przyjmujesz krwiaka mózgu?".

To była najtrudniejsza noc w moim życiu. Wiedziałem, że nie ucieknę od odpowiedzi na to pytanie. Cała kołdra była mokra, tak pociłem się ze strachu. Wyobrażałem sobie różne scenariusze swojej przyszłości - trepanacja czaszki, paraliż, wegetacja pod postacią człowieka-rośliny, śmierć w męczarniach... Rozpaczliwie czepiałem się modlitwy.

Od tamtej pory wiem, że nikt o własnych siłach nie jest w stanie zaprzeć się samego siebie, wyrzec się swojego „ja".

Następnego dnia lekarze stwierdzili, że nie ma żadnego guza i puścili mnie do domu.

Czy potwora egoizmu da się raz na zawsze przebić - jak wampira osinowym kołkiem - by już więcej nie powstał? Czy też trzeba będzie walczyć z nim do końca życia, a jemu w miejsce jednej odrąbanej głowy będą wyrastać trzy nowe?

Czy rzeczywiście wyrzekłem się swojego „ja", jeżeli to nie ja to powiedziałem, tylko Ktoś we mnie? To, że ofiarowujemy coś Bogu swoimi ustami, łatwo możemy stwierdzić; ale jak sprawdzić, czy oddaliśmy Mu to naprawdę w swoim sercu? Czy znam samego siebie na tyle, żeby za całą pewnością powiedzieć, że moje oddanie - choćby tylko w tym jednym momencie - było całkowite? Czy nawet jeżeli świadomie nie ukryłem niczego przed Bogiem i przed sobą, to rzeczywiście nie ma we mnie rzeczy ukrytych przede mną samym?

Kiedy modląc się, pytałem o to wszystko, po raz pierwszy w życiu doświadczyłem wolności Boga na modlitwie. Głowę miałem pełną gotowych odpowiedzi i pragnąłem je tak gorąco usłyszeć, że wręcz chciałem je na Nim wymusić. A jednak okazał On swoją suwerenność. Odpowiedź miała nadejść już wkrótce.

Jestem Dawidem. Trwa uczta. Siedzę przy stole i nalewam wino mężczyźnie naprzeciw. Upijam Uriasza Chetytę, jednego z moich dowódców, którego żonę Batszebę pragnę posiąść. Plotę intrygi, prowadzę gry, zastawiam sieci. Uśmiecham się miło do Uriasza, zdobywam jego zaufanie, mówię jedno, a myślę co innego. Mam plan. Jego realizacja kosztować będzie życie mego dowódcy i wielu żołnierzy na froncie ammonickim. Traktuję ich instrumentalnie, podobnie zresztą jak Batszebę, byle tylko ziścił się mój plan, byle tylko postawić na swoim.

Nagle spostrzegam, że Uriasz Chetyta ma twarz Chrystusa. Siedzę więc naprzeciw Jezusa i próbuję Go przechytrzyć. Uśmiecham się do Niego i zastanawiam się, jak Go wykorzystać. Widzę Jego ufność i otwartość. Łapię się na tym, że nie mogę patrzeć Mu w oczy.

Jako dziecko topiłem się w jeziorze i pamiętam, że w ciągu kilku, może kilkunastu sekund przed oczyma wyobraźni zaczęły mi się przesuwać jak w kalejdoskopie różne sceny z mojego życia. Teraz doświadczyłem takiej retrospektywy podczas modlitwy. Zobaczyłem nagle po kolei wiele momentów, w których okłamywałem ludzi. Potem były sceny, w których osądzałem i potępiałem innych. Później widziałem te sytuacje, w których inni byli przeze mnie wykorzystywani. Wszędzie powtarzała się zadziwiająca prawidłowość - im bliższe relacje łączyły mnie

z poszczególnymi ludźmi, tym bardziej instrumentalnie byli oni przeze mnie traktowani. Jeśli kogoś nie wykorzystywałem, to tylko dlatego, że nie miałem z nim bliższych relacji. A najbardziej ze wszystkich okłamywałem, osądzałem i wykorzystywałem Tego, który objawił mi się jako najbliższa mi osoba.

- Jak wygląda naprawdę to moje „ja"? Proszę, pokaż mi je.

Cisza.

Przypominam sobie, co Jezus powiedział siostrze Faustynie. Kiedy prosiła Go, by pokazał jej, jaka jest grzeszna, Chrystus odpowiedział, że nie pokaże, ponieważ gdyby to zrobił, umarłaby z przerażenia. Siostra Faustyna...

- Proszę Cię, pokaż mi tyle, ile zdołam znieść.

Treści zapamiętane podlegają zapomnieniu, przyjęte sercem trwają.

ks. Józef Kozłowski

Trzyma mnie za rękę. Schodzimy w dół do coraz niższych kręgów. Schodzimy na samo dno duszy. Widzimy z góry ogromną jaskinię, na samym jej dole krąg kamiennych figur otacza pewien punkt w środku. A w środku... nie ma nic. Dopiero po pewnym czasie domyśliliśmy się raczej, niż zobaczyliśmy, że znajduje się tam pyłek, punkcik, mikroelement, który donośnym głosem wołał, że jest centrum wszechświata.

- Dlaczego jestem taki niespokojny?

- Bo osądzasz innych.

- Dlaczego osądzam innych?

- Bo nie znasz samego siebie.

Dialogi Ojców Pustyni

Człowiek może czuć się pusty, wydrążony, wypalony, nikczemny, a jednak jest ratunek. Podczas spowiedzi generalnej doświadczyłem łaski przebaczenia, pojednania z Bogiem oraz szczęścia i pełni w duszy. Zrozumiałem prawdziwość słów św. Augustyna, że niespokojne jest serce moje, dopóki nie spocznie w Bogu. Przepaść między tym doświadczeniem a możliwością oddania go w słowach jest nie do przebycia.

Wiem już, że jestem grzesznikiem nie dlatego, że grzeszę; ale że grzeszę dlatego, że jestem grzesznikiem. Jeśli nie grzeszę, to nie ma w tym żadnych moich zasług, bo tak naprawdę to Pan Bóg nie dopuszcza do takich okazji. Codziennie zmagam się, upadam, wstaję, ale mam ufność w tej Nadziei, której zawierzyłem.

GRZEGORZ GÓRNY

KRZYSZTOF KOEHLER

Nie będziesz wzywał imienia Pana, Boga twego, do czczych rzeczy, gdyż Pan nie pozostawi bezkarnie tego, który wzywa Jego imienia do czczych rzeczy.

(Wj 20. 7)

I

Działo się to mniej więcej przed dziesięciu laty. Spędzałem wtedy sporą część dnia w niewielkim pokoju w ogromnej kamienicy przy Starym Kleparzu. Kiedy otwierało się okno, dolatywał z dołu hałas z placu, gdzie najlepiej było widać (i słychać) rozpęd ekonomiczny pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych: charakterystyczny jazgot dokonującego się w dole handlowania, targowania się, klaksonów, przekleństw, śmiechów, niekiedy pijackich wrzasków. Jakoś charakterystycznie owo ekstatyczne krzątanie się, zabieganie, rozpędzenie na dole współgrało z chwilą w dziejach, kiedy wszystko ruszało się po komunistycznym zlodowaceniu, kiedy handlowaniu na placu towarzyszyło handlowanie w polityce, kiedy kończono stare i rozpoczynano nowe wojny na górze, kiedy zmieniano rządy, wybierano polityków, czytano łapczywie gazety, kiedy Polska sprawiała wrażenie, jakby rzeczywiście się odrodziła i była w fazie stawania się, poszukiwania, dochodzenia do swojej formy. W pewien sposób właśnie ten moment, to ekstatyczne zabieganie wokół egzystencji w owym czasie było też moim udziałem. Napisawszy doktorat, w okolicach czasowych jego obrony, zacząłem się wreszcie domyślać i wewnętrznie ustalać, gdzie jestem, kim jestem, dokąd zamierzam się udać; czułem i doświadczałem tej jedynej może w życiu sytuacji, kiedy ma się wrażenie, że stoi się mocno na ziemi, bo się sobie swoje miejsce na niej uświadomiło. Miałem też poczucie, że wyposażony w wytrenowany

intelekt mogę się zmagać ze światem, że dorobiłem się własną pracą jakiejś wizji wspólnoty, że wiem, kogo chcę popierać, a z kim się chcę spierać, i wiem, jakie idee należy przywrócić polskiemu życiu duchowemu.

Właśnie do takiego mnie, w takim czasie i do takiego miejsca, przed mniej więcej dziesięciu laty przyszło dwóch redaktorów „Frondy" z propozycją współpracy. Byli młodsi ode mnie. Mieli w sobie moc działania i byli dla mnie jak wybawienie, bo ukazali mi w czasie krótkiej rozmowy, że to, co przeżywam, co myślę, w jaki sposób postrzegam rzeczywistość, to nie jest tylko moja prywatna sprawa. A było to powodem pewnej samotności towarzyskiej i swoistego nierozumienia się ze środowiskiem inteligenckim. Był to też moment odnajdywania, jak we mgle, podobnych do siebie; poznawania się ze środowiskiem „Arcanów"; niedługo potem ze środowiskiem „pampersów". Każdy, kto kiedykolwiek doświadczył tego niesamowicie budującego uczucia, kiedy w tłumie inaczej myślących poznaje się nieoczekiwanie tych, którzy myślą podobnie, być może zrozumie mój stan ducha podczas tamtej rozmowy nad Placem Kleparskim.

Minęło dziesięć lat i już nie ma dla mnie tamtego pokoju. Nie istnieje już pismo, dla którego pisywałem, właściwie tylko Kleparz niewiele się zmienił, poza tym, że placowe życie zostało wtłoczone w formy bardziej cywilizowane. Przede wszystkim jednak przez te dziesięć lat wiele zmieniło się we mnie. Co ciekawe, zachodzi pewne sytuacyjne podobieństwo: napisałem habilitację, znajduję się w okolicach czasowych jej obrony. Ale nie mam już takiej pewności (nie wiem, czy mam jakąkolwiek pewność), gdzie jestem i kim jestem ani dokąd zamierzam się udać. Na pewno ma na to wpływ to, co zdarzyło się na zewnątrz, w polityce; ale też to, co nazywa się może pracą ducha, który podejrzliwie spogląda na tych, co zasłaniają się poczuciem racji jak tarczą.

Wiele zapewne czynników złożyło się na ten stan rzeczy. Tylko o jednym chciałbym jednak wspomnieć w kontekście Drugiego Przykazania. Znałem wielu ludzi (a jednego z nich znam może najlepiej) prowadzonych przez ideę ewangelizacyjną. Która sama w sobie jest rzeczą piękną. Która sama w sobie jest rzeczą dla ludzi słabych niebezpieczną. Dzisiaj wielu z tych ludzi (ten, którego znam najlepiej, także) ma poczucie wewnętrznego wypalenia.

Może jednak nie wszyscy z nich mają świadomość, że i to wypalenie może warto traktować jako dar. Do nich więc te słowa kieruję.

II

„Wierzący powinien świadczyć o imieniu Pańskim, odważnie wyznając swoją wiarę. Przepowiadanie i katecheza powinny być przeniknięte adoracją i szacunkiem dla Pana naszego, Jezusa Chrystusa" (KKK, 2145).

Świadczenie o imieniu Pana. W kościołach amerykańskich jest to jeden z ważniejszych elementów mszy świętej. Kaznodzieja buduje w wiernych przekonanie, że za chwilę skończy się uroczystość, skończy się zebranie teamu religijnego i czas będzie się rozejść do swoich obowiązków (rodzina, środowisko, praca itd.) i że tam wszędzie będziemy zobowiązani (a może powołani), aby nieść światło Chrystusa, aby dawać świadectwo, aby swoim postępowaniem i działaniem przynosić chwałę naszej wierze, naszemu Bogu, aby dzięki temu naszym postępowaniem pomóc komuś znaleźć Chrystusa.

Zacna to idea ewangelizowania przez życie! Skąd więc moje wątpliwości?

Otóż zadanie ewangelizowania może stać się przesłoną albo zastępstwem tego, co stanowi życie wewnętrzne, życie duchowe. Utrudnia (a czasami zastępuje) wgląd w prawdę o niedoskonałości własnej osoby. Zamiast introspekcji i naprawy niedoskonałości, w ogóle zamiast poważnego rozważenia tego, kim się jest w oczach Bożych - „Alleluja i do przodu".

Ten błąd (który wcale nie tkwi w idei ewangelizowania, ale który jest z nią związany jak cień ze słońcem) nasze babcie nazywały prosto i trafnie, mówiąc: „Gęba pełna frazesów". Usta Pana Boga pełne. Czynienie Pana Boga pełne. Dokonywanie aktów Pana Boga pełnych. Dokopywanie przeciwnikom Pana Boga pełne. Wreszcie życie prywatne Pana Boga pełne. Misja Pana Boga pełna. Widzicie? Słyszycie?

Nie chodzi mi o dysproporcję między słowami a czynami (bo to nie wyczerpuje złożoności problemu). Chodzi mi o świadomość. Chodzi mi o ten element owej sytuacji, kiedy mając usta Pana Boga pełne (i czyny Pana Boga pełne), mam świadomość tego, że mam ową pełnię wobec innych; świadomość, że patrząc na mnie, słuchając mnie, ci, z którymi się stykam, mają możliwość (szansę) zbliżenia się do Boga (poznania Go, zakosztowania, jak Pan jest dobry).

Chodzi mi o zbadanie intencji. Czy nie ma nic zagrażającego odczuwaniu własnej osoby w sytuacji, kiedy ma się świadomość (i czerpie się z tej świadomości satysfakcję), że czyni się coś Bogu w charakterze manifestacji, ze względu na kogoś trzeciego.

Simone Weil, zafascynowana postacią świętego, chyba trafnie mówiła, że jest to ktoś taki, kto usuwa się, czyniąc z siebie (tam, gdzie był osobą) miejsce dla Boga. Święci udostępniają Boga światu przez to, że czynią z siebie miejsce, gdzie Bóg może się światu objawić. Czy opisana przeze mnie sytuacja zaświadczania zbliża się do tego ideału, który wydaje mi się ideałem niezmiernie znaczącym?

Czy święty może mieć podobną intencję działania, jak ten ktoś przedstawiony wyżej? Wydaje mi się, że jeśli konstrukcje Weil zastąpimy starym chrześcijańskim słowem „pokora", znajdziemy się w miejscu, skąd można dalej snuć rozważania i śledzić losy tych, co wołali za Papieżem o „Nowej Wiośnie Kościoła", a dzisiaj przyszły na nich przymrozki i już nie wołają nic.

III

Chwilami mam wrażenie, że historia wielu ludzi z mego środowiska (pewnie i mnie samego po trosze) przypomina dzieje *The best firiend of Jesus* - jednego z bohaterów filmu *21 gramów,* tego, którego grał Benicio del Toro. Nawrócony, popchnięty do działania, działający, ewangelizujący, w pracy, w domu i w kościele żył w złudnym poczuciu, że *Jesus* wymaga od niego działania i podpowiada prawdę tego działania „darzeniem" („dał" mu samochód, „dał" mu rodzinę, „dał" mu spokój). *Jesus* pomógł mu się wyzwolić z nałogu, wejść na drogę cnoty, dlatego pełno w jego ustach naturalnego dziękczynienia dla *Jesusa,* dlatego wszystko do Niego odnosi, dlatego na jego ustach *Jesus* gości nieustannie. Wspaniała historia nawrócenia: podobnych słyszałem wiele, sam miałbym tu coś do powiedzenia.

Wielu z nas (ja na pewno) żyło w tym stanie latami; właśnie w słodkich latach 90.

A jednak *The bestfriend of Jesus* ma okazję poznać prawdę o sobie, prawdę która znajduje się poza jego projekcją. Odsłonić tego, który jest pod spodem „mocnego ewangelizatora". Otrzymuje szansę na wgląd w prawdę, ale możliwość tę traktuje jako akt wymierzony przeciwko sobie. I trudno mu się dziwić: zabija swoim „darowanym przez *Jesusa"* pick-upem ojca z dwojgiem

dzieci. I w gruzy wali się cała filozofia *Najlepszego Przyjaciela Jesusa:* wtrącony do więzienia bohater w oczywisty sposób obarcza winą za wszystko właśnie *Jesusa:* to On dał mu auto, to Jemu poświęcił on swoje życie, dla Niego zmienił się na lepsze, Jego chwałę głosił, więc o co teraz chodzi? Czemu teraz doświadcza tego wszystkiego? Mamy w filmie ważną scenę, kiedy bohater wypala sobie wytatuowane imię *Jesus* na przedramieniu. Porzuca swoją rodzinę i wyrusza jakby na pustynię. Ładuje węgiel, jest brudny, obszarpany, mieszka w motelu, zapewne pociąga z flaszki. Nie ma tam pewnie miejsca dla odrzuconego *Jesusa.*

Ale film kończy się dobrze. Nie znamy dokładnych powodów powrotu bohatera na łono rodziny. Możemy się ich tylko domyślać. Poznajemy jedynie tragiczne okoliczności tego powrotu. Ale mnie interesuje teraz tylko jedno: znaczenie tej historii, miejsce po wypalonym na przedramieniu imieniu *Jesus.*

IV

Trochę podobnych opowieści, na pewno nie tak tragicznych i radykalnych jak historia del Toro, słyszałem od wielu z nas. Myślę, że wielu z nas, nawet jeśli łapa losu nie była dla nas tak okrutna, znajduje się dzisiaj w sytuacji owego wybrudzonego węglem bohatera mieszkającego w wynajętym pokoju w motelu. Nie mamy już na ustach ciągłego *Jesus* i *Jesus,* raczej jakąś gorycz porażki. Może też trochę (albo wiele) buntu, niechęci do *Jesusa,* poczucia wypalenia, zniechęcenia.

Ale do kogo ta niechęć jest adresowana?

Kim jest *Jesus,* postać złożona z naszej pychy, snów o potędze, poczucia mocy, postrzegania siebie w kategoriach „nowej ewangelizacji" Europy, świata, autorów nowej sztuki chrześcijańskiej?

I kto (co) w nas owego *Jesusa* wypalił (wypaliło)?

Gęby pełne frazesów mieliśmy. I z odważnych ewangelizatorów przekształciliśmy się w tych, którzy sami potrzebują ewangelizacji.

Ale może dopiero w tych naszych (i Benicia) historiach deziluzji należy upatrywać dowody na niezasłużoną Łaskę? Że oto z rycerzy

Chrystusowych staliśmy się kalekami, ale już nie Chrystusa, kalekami bezprzymiotnikowymi.

Te wszystkie zdrady, niezliczone upadki, zakłamania, załamania, depresje, gorycze, melancholie, agresje, utraty miłości...

Czy to ma być cena, jaką płacimy (i ci, co są blisko z nami, oni przede wszystkim) za stanięcie oko w oko nie z Prawdą, ale z pospolitą prawdą o nas samych, i czy w świetle takiej smutnej właśnie prawdy mamy zdawać teraz egzamin z wierności? Już tylko psiej wierności, takiej, która wiernie czeka, ale nie zasłania się już niczym, żadną projekcją?

V

I chyba najważniejsze w tych życiowych, a nie filmowych, hollywoodzkich opowieściach jest to, że wcale nie muszą się one zakończyć dobrze. Ze może już do końca życia będziemy tkwić w tych swoich jaskiniach, norach, dziurach, blokach, gdzieśmy zatargali swój los. I że tam trzeba będzie chwalić Pana: szaro, cicho, pokornie, bez haseł, wezwań, misji, porywów ducha. Dzień po dniu. Godzina po godzinie. Bez frazesów. Zwyczajnie. Przemijając. Przetrzeć życie przez świat. Przecierpieć.

Aż kiedyś przybędzie do naszej nory nasza śmierć. I to się skończy. Nie jak przerwana kantata, oda, hymn, tylko jak mruczanka albo rzężenie w bólu, w chorobie.

Tylko czy z takiego miejsca będziemy umieli podjąć pieśń dziękczynną za cudowny dar tego życia, którego udało się nam (przy Jego pomocy) nie zmarnować?

KRZYSZTOF KOEHLER

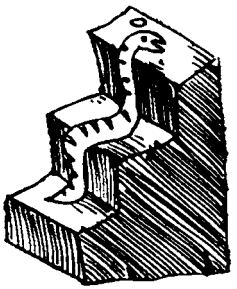

po trzecie:

CELEBROWANIE CODZIENNOŚCI

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Pamiętaj o dniu szabatu, aby go uświęcić. Sześć dni będziesz pracować i wykonywać wszystkie twe zajęcia. Dzień zaś siódmy jest szabatem ku czci Pana, Boga twego. Nie możesz przeto w dniu tym wykonywać żadnej pracy ani ty sam, ani syn twój, ani twoja córka, ani twój niewolnik, ani twoja niewolnica, ani twoje bydło, ani cudzoziemiec, który mieszka pośród twych bram. W sześciu dniach bowiem uczynił Pan niebo, ziemię, morze oraz wszystko, co jest w nich, w siódmym zaś dniu odpoczął. Dlatego pobłogosławił Pan dzień szabatu i uznał go za święty.

(Wj 20, 8-11)

I

Niedziela, pierwszy dzień nowego tygodnia - to dla mnie czas szczególny. Uczyłem się jego znaczenia, choć może w ustach chrześcijanina brzmi to dziwnie, z tekstów i myślicieli żydowskich. To rabini, pisząc o dniu ostatnim tygodnia, uświadamiali mi, czym powinien się stać w moim życiu dzień pierwszy - niedziela. „Sześć dni w tygodniu zmagamy się ze światem, czynimy sobie ziemię poddaną; w szabat troszczymy się o ziarna wieczności zasiane w naszych sercach" - stwierdza Abraham Jeshua Heschel i dodaje: „siódmy dzień tygodnia to dzień zawieszenia broni w okrutnej walce człowieka o przetrwanie". I tak być powinno: po sześciu dniach zagonienia, zdobywania kolejnych newsów, komentowania ich w kilku miejscach, pisaniu na zamówienie kolejnych tekstów - ten dzień staje się czasem zatrzymania... powiedzenia sobie „stop" - dziś jest czas na co innego: na spotkanie z Bogiem, ale też na pobycie po prostu z rodziną. Niedziela to dla mnie również dzień korzystania z pełni życia, dzień, kiedy nie powinienem myśleć o przyszłości, nie powinienem koncentrować się na planach, zamiarach, koniecznościach, ale po prostu

pić herbatę, spacerować, modlić się i rozmawiać z żoną. „Rozpoczynając kolację szabasową - opisuje znaczenie szabasu w judaizmie Lawrence Kushner - mówimy: «Boże, tak jak Ty skończyłeś swoje dzieło stworzenia, tak też i my kończymy prace całego tygodnia*. Dlaczego jest to tak ważne? Może dlatego, że każde nieukończone zadanie od obowiązków domowych po budowę domu, od przebaczenia po przypomnienie bliskiej osobie, że ją kochamy - wymaga odrobiny naszej uwagi. Takie zadanie wymaga od nas, byśmy byli obecni we wczoraj, martwiąc się, czego jeszcze nie zrobiliśmy, lub wymaga, byśmy byli już w jutrze, trapiąc się tym, co mamy jeszcze do zrobienia. A kiedy tylko jesteśmy z powrotem we wczoraj, albo już w jutrze, nie jesteśmy w pełni tutaj. Nasze ciała są oczywiście obecne, lecz nasza uwaga skierowana jest gdzie indziej. [...] Co tydzień w szabat będę się napominać, żeby smakować, jak słodko jest po prostu być tu, gdzie jestem, pozostawać w teraźniejszości, otwierać oczy na cud stworzenia". Jednym słowem niedziela, trochę tak jak sobota, powinna być tym momentem, gdy zanurzam się w teraźniejszości, odkrywając bogactwo wieczności - nieustającego „teraz" w Chrystusie.

II

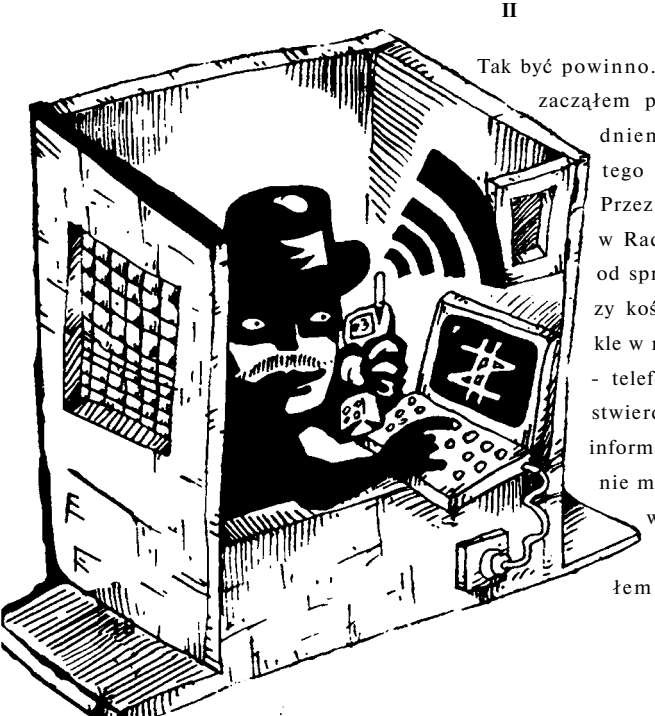

Tak być powinno. Niedziela jednak, odkąd zacząłem pracować, była dla mnie dniem pracy. Wstyd się do tego przyznać, ale tak było. Przez cztery lata pracowałem w Radiu Plus jako dziennikarz od spraw kościelnych. A imprezy kościelne odbywają się zwykle w niedziele. I nie ma zmiłuj - telefon od wydawcy i krótkie stwierdzenie: ludzie czekają na informację. Bywały miesiące, że nie miałem ani jednej niedzieli wolnej. Bywały niedziele, że na mszy świętej byłem czysto zawodowo, jako

dziennikarz piszący z niej relację. A to zdecydowanie nie jest to sarno, co uczestnictwo we mszy świętej jako wierny. Rodzice i żona mieli dosyć, ale przecież nie odmawia się szefostwu. I tak stopniowo niedziela wypadała z życia. Była dniem nie tyle odpoczynku, ile większej ilości pracy. Nie było czasu na zatrzymanie, odpoczynek, modlitwę. Bywałem na kilku mszach dziennie, ale żadnej z nich nie przeżywałem jak katolik.

Zmiana pracy nieco poprawiła sytuację, ale wtedy pojawił się doktorat. Miałem go skończyć w określonym terminie. I co? Oczywiście najlepszym dniem do jego pisania była niedziela. Siadałem wtedy - już po mszy świętej - za biurkiem i pisałem, pisałem, pisałem: po kilkadziesiąt stron. Wieczorem byłem zmęczony, zadowolony, bo przecież spełniłem swój religijny obowiązek, a do tego jeszcze dopisałem kilkadziesiąt stron do pracy. Niedziela stała się więc z dnia odpoczynku dniem pracy intelektualnej. Miłą odskocznią od dziennikarskich obowiązków.

I tak wyglądało to (nie)świętowanie niedzieli lata całe. Aż w końcu Bóg obdarował mnie i moją żonę córką Marysią. I jej obecność zmieniła sporo. Nie w warunkach świętowania. Te pozostały takie same. Nadal co trzy tygodnie muszę stawić się w pracy i spędzić tam sympatyczny dzionek. Nadal zaległe teksty z tygodnia, które muszę napisać na jakiś termin, często powstają w niedzielę (mało brakowało, a ten tekst również by tak powstał, ale uznałem to za przesadną hipokryzję i, choć już siedziałem przy komputerze gotowy do pisania, porzuciłem ten pomysł). A jednak kilkumiesięczne dziecko nauczyło mnie, czym jest i czym być powinno w moim życiu świętowanie niedzieli. Nauczyło praktyki tego, o czym wiedziałem od rabinów.

III

Marysia urodziła się w sierpniu i od razu zmieniła moje życie. Jak taran przewartościowała wszystko, co robiłem. Najpierw zacząłem wracać szybciej do domu, potem starałem się - na ile było to możliwe - spędzać niedzielę z nią i Małgosią, tak by było to rzeczywiście święto całej rodziny. Rano (zwykle około jedenastej, bo wtedy Marysia jest między karmieniami) wspólnie idziemy do kościoła. Niewiele (czasem to nawet dobrze, biorąc pod uwagę poziom polskiej homiletyki) zostaje mi w pamięci z kazań, bo córka uczy się chodzić i nie uważa za stosowne przerywać tej nauki w trakcie liturgii czy homilii. A jednak te chwile, gdy na moment się zatrzymuje, by popatrzeć na obraz, kwiaty czy koś-

cielne freski, są dla mnie momentem szczególnej modlitwy. A potem wspólna komunia i poczucie, że Chrystus jest nie tylko w sakramencie, ale i obok mnie w dziecku, którym po wielu latach oczekiwania nas obdarował.

Msza to jednak dopiero początek świętowania dnia Pańskiego. Potem jest wspólny obiad u rodziców albo przygotowany (wstyd się przyznać) przeze mnie. I spacer, zabawy, huśtawki i zjeżdżalnie. Rodzinna normalność. Niby nic szczególnego, a czuję, że to właśnie jest uświęcanie siódmego dnia, wchodzenie w wieczność taką, jaka ona będzie.

Ten dzień święty, jak go przedstawiłem, wygląda dość normalnie. Nie ma w nim nic szczególnie pobożnego czy, jak to się mówi w pewnych środowiskach, świętojebliwego. I dobrze, bo pobożność, religia, świętowanie - jak je rozumiem - to czynności życia codziennego, celebrowanie - w całym tego słowa znaczeniu - zwyczajności naszego życia rodzinnego, naszych przyzwyczajeń. Rodzina, wspólny obiad, spacer, bujanie się z dzieckiem na huśtawce są, by posłużyć się przenośnią Wasyla Rozanowa, również religią, są przejawem naszego życia z Bogiem. Byłoby heretyckim klerykalizmem uznanie, że świętowanie niedzieli wyrażać się ma wyłącznie we mszy świętej, pobożnych czytaniach, lekturze Pisma świętego i wspólnych domowych modlitwach. Religia, a co za tym idzie świętowanie niedzieli, ma wypełniać całe moje życie, a jego przejawem - tak samo dobrym, jak wspólna msza święta - jest zabawa w piaskownicy z Marysią, gotowanie obiadu czy pogaduszki z rodzicami. Liturgia codzienności, mówiąc po prostu.

Oczywiście każdy mój dzień powinien być taką liturgią. Tyle że Bóg tak ułożył świat, że jest w nim czas na pogoń za rzeczami, które pozbawione są wiecznego znaczenia, i czas, gdy trzeba się poświęcić rzeczom prawdziwie ważnym. Tym czasem jest celebrowanie codzienności i spotkanie z Bogiem nie tylko w Komunii, ale i w ludziach. I jest nim niedziela. Wciąż się jej uczę, wciąż upadam, wciąż zaganiam niedzielę i pozbawiam ją jej znaczenia. I wciąż na nowo odczytuję ją i zmuszany przez córkę zostawiam wszystko, by być z nią. I dzięki temu nie mam czasu na głupoty, na myślenie o sprawach, które będę musiał załatwić jutro. Tak to Bóg wymusza na mnie świętowanie swego dnia. Jestem Mu za to wdzięczny, bo coraz wyraźniej widzę, że reguła odpoczynku jest murem, którym oddziela On mnie, moje życie i moją rodzinę od nacisku świata, który chce je zburzyć.

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

INFORMUJE SIĘ, ŻE PIERWSZA CZĘŚĆ DEKALOGU DOBIEGŁA KOŃCA.
ZB

RAFAŁ TICHY

Dlaczego właśnie oni? Dlaczego związek z nimi miałby więcej znaczyć dla mojego życia duchowego niż przyjaźnie zawarte na polu bitwy, na studiach, w pracy?

Napiszę o moim ojcu. Choć to z mamą jestem bardziej związany czasem, miejscem i akcją mojego życia. Wiem, że to zrozumie.

Jesień 199?. Komorów. Ośrodek dla psychicznie chorych. Nie tych najwyższego kalibru. Tu leczą zaburzenia na niższych poziomach podświadomości: nerwice i depresje. Ośrodek w Komorowie to „Czarodziejska góra". Otoczony wysokim kamiennym murem, za którym rozciąga się park. Sieć spacerowych dróżek prowadzi do stawów odwiedzanych przez kaczki i łabędzie. W środku parku stoi budynek, w którym mieszkamy: ni to secesyjny pałacyk, ni to PRL-owski ośrodek wczasowy. Przed bramą ośrodka biegnie asfaltowa droga, którą wciąż przejeżdżają samochody. Gdy stoimy przy bramie, ludzie z samochodów przyglądają się nam uważnie. Dzięki szyldowi wiedzą, co to za ośrodek. My robimy do nich głupie miny, jak Jack Nickolson, który w *Locie nad kukułczym gniazdem* tak bardzo dowartościował obraz wariata. Gdy jednak wychodzimy na zewnątrz do miasta, nikt nie wie, kim jesteśmy. Dobrze się kamuflujemy. To my patrzymy na przechodzących obok ludzi z wyższością. Jesteśmy przecież z „Czarodziejskiej góry", oni zaś są z nizin. Co mogą wiedzieć o bólu, lęku, nadziei, marzeniach, o otchłaniach swojej psychiki? Po za tym nie są nawet w stanie odróżnić prozacu od hydiphenu.

Jest mi tu dobrze. Dużo czytam, leżakuję, przelewam swoje odmienne stany świadomości na papier za pomocą kredek i farb, rozluźniam swe

znerwicowane mięśnie na zajęciach z jogi, pozwalam się prowadzić rytmom muzyki na muzykoterapiach oraz niekończących się wieczorkach zapoznawczych, trochę się podkochuję i odkochuję, zawieram przyjaźnie pogłębiane codziennym wspólnym parzeniem kawy, wspólnym paleniem papierosów i wspólnymi rozmowami skupionymi wokół sakramentalnego tu pytania: „Jak się dziś czujesz?". Jednak najbardziej cenię sobie cotygodniowe rozmowy z doktorem R. Swą brodą, głębią spojrzenia, ironią i maieutyczną metodą wyciągania z rozmówcy tego, o czym wiedział, ale nie zdawał sobie sprawy, że wie, przypominał mi Sokratesa. Jako zapalony student filozofii mogłem więc prowadzić z nim żywy psycho-filozoficzny dialog. Zupełnie jednak nie przeczuwałem, do czego to wszystko zmierza. A wszystko to zmierzało do tego, żeby mnie, owszem, uspokoić, wyciszyć, rozluźnić, ale przede wszystkim zaskoczyć. I pewnego dnia zostałem zaskoczony.

Codziennie rano spotykaliśmy się w pokoju wyłożonym materacami i poduszkami na luźne psycho-wynurzenia z naszym terapeutą M. Miałem do niego dziwny stosunek. Z jednej strony chciałem mu pokazać swą niezależność, z drugiej zaś nieustannie zabiegałem o jego akceptację i uznanie. I to w sposób tak emocjonalnie i uczuciowo zaangażowany, że wręcz nienaturalny. Dobrze sobie z tego zdawał sprawę i w odpowiednim momencie to wykorzystał. Pewnego dnia na jednej z takich sesji zupełnie wyluzowany brałem udział w rozważaniach nad jakimiś duperelami, o których dziś nawet nie pamiętam. Nie wiem, w jaki sposób rozmowa zeszła na temat naszych ojców. Nie wiem też, jak to się stało, że zacząłem coś przebąkiwać o moim. Szybko jednak przestałem, gdyż wydało mi się to mało istotne. Niewiele w tym czasie o nim myślałem. Odszedł od mamy i ode mnie, gdy miałem dziesięć lat, spotykałem się z nim dość często, rozmawialiśmy o książkach, kochałem go, to wszystko, co tu dywagować. A jednak terapeuta M. drążył. Zaczęło mnie to męczyć. O co chodzi, tata jak to tata, jestem z nim w dobrych stosunkach, nic do niego nie mam, on ma swoje życie i swoje problemy, a ja mam swoje życie i swoje problemy, czasem spotkamy się i pogadamy o książkach. Czy mam do niego jakiś żal? No przecież powtarzam, że sympatycznie rozmawiamy sobie o książkach i że go kocham. Czy mam żal? Nie, odczep się, przestań mi wmawiać. Nic ci nie wmawiam, tylko pytam. No

to mówię, że rozmawiamy o książkach i że nie mam żalu... No, może za to, jak postąpił z mamą. No i jeszcze coś... Nie, nie chcę o tym opowiadać. Czy chcę teraz porozmawiać o tym z moim ojcem? W jaki sposób, skoro go tu nie ma? Gardło mi się ścisnęło, oczy zwilgotniały, żal wyszedł z bardzo starannego, mistrzowsko wręcz zaprojektowanego przeze mnie ukrycia. Byłem gotowy.

I zaczęła się stara zagrywka z psychodramą. Może dla niektórych oklepana i trochę banalna, ale w moim wypadku jak najbardziej na miejscu. Terapeuta M. dobrze bowiem zdawał sobie sprawę, że cała nienaturalność moich zachowań wobec niego wynika z chronicznych niedoborów ojcowskiej bliskości w mojej psychice, a tym samym z przerzucenia relacji ojciec-syn na nasze relacje terapeutyczne. Gdy więc usiadł przede mną i oznajmił, że mogę mu powiedzieć to, co chciałbym powiedzieć swemu ojcu, nie miałem siły, by się temu oprzeć. Zniknęła sala z materacami, zniknęli inni pacjenci, zniknął Komorów, byłem ja i on, syn i ojciec, i było dużo niczym nie krępowanych łez; syn płakał, gdy mówił, ojciec płakał, gdy słuchał litanii żalów syna: że opuścił mamę, że musiałem oglądać jej łzy, że go nie było, gdy grałem z chłopakami na boisku i chciałem się tym przed nim pochwalić, że nie miałem się komu zwierzać z mych coraz bardziej „męskich" spraw i wobec kogo po „męsku" buntować, że gdy przyszła ta choroba, to też go przy mnie nie było. Lecz potem przemówił ojciec, a ja słuchałem: o jego życiu naznaczonym samotnością i cierpieniem, o jeszcze bardziej dojmującym braku ojca, który zginął na wojnie, gdy on miał niespełna rok, o błędach, które popełnił i które stały się krzyżem jego życia, o wiecznie nieukojonym poszukiwaniu oparcia w Kimś, kto go zaakceptuje takim, jaki jest. I w pewnym momencie wydawało się, że mówimy razem, jednym głosem, zupełnie to samo.

Wtedy zrozumiałem więcej z historii mego życia niż kiedykolwiek dotąd, wtedy też jak nigdy dotąd poczułem, że jestem synem mego ojca. Gdy padliśmy sobie w ramiona, przebaczając i prosząc o przebaczenie, gdy przylgnęliśmy do siebie tak mocno, iż nic nie było nas w stanie oddzielić, choroba z niższych partii mej podświadomości została śmiertelnie ugodzona. Objawy ustały na tyle, że nadeszła chwila opuszczenia „Czarodziejskiej góry". Sama neuroza nie zginęła zupełnie i zapewne do końca życia nie zniknie z zakamarków mojej psychiki. Czasem w swych przedśmiertnych drgawkach przypomina mi o sobie, czasem nawet w jakimś nagłym przypływie sił jest w stanie mocno mną potrząsnąć. Jednak została pokonana na tyle, że nie jest już w stanie rządzić mym życiem, nie ma już siły prowadzić mnie na postronku lęku. Jest ościeniem, który nie pozwala mi spocząć w odmętach lukrowatego świętego spokoju, ościeniem przypominającym mi o ojcu, i to nie tylko tym ziemskim.

Lato trzy lata później. Wiozę mego ojca na detoks. Zadzwonił do mamy i do mnie dzień wcześniej. Przyznał, że nie radzi sobie już zupełnie z alkoholem (o czym my wiedzieliśmy od dawna), i spytał czy możemy mu pomóc. Dziesięć minut później mama załatwiła mu detoks przez znajomą z AA. Ale tam przyjmowali dopiero rano i wymagano stanu przynajmniej chwilowej trzeźwości. Przed nami długa, ciężka noc, kiedy ojciec nie będzie mógł nic wypić i nie będzie mógł być sam. Pojechałem więc do niego. Musiałem powstrzymywać łzy, widząc jego wycieńczone ciało i drżące ręce. W nocy kilkakrotnie rozważaliśmy problem, czy warto udać się do sklepu po to jedno ostatnie piwo, tylko jedno, naprawdę ostatnie, przecież może złagodzić ból, jego i mój. Przetrwaliśmy do rana i dotarliśmy tam gdzie trzeba na trzeźwo.

Jak się miało potem okazać, był to dla mego ojca moment w życiu całkowicie przełomowy. Odbił się od dna i to bardzo wysoko. Nie tylko zmierzył się zwycięsko ze swoim alkoholizmem (choć alkoholikiem w sensie biernym pozostanie do końca życia), nie tylko uwierzył w Boga, nie tylko wszedł do Kościoła, ale też z uporem trwa w wierze mimo wciąż na nowo otwierających się ran zadanych przez dawne życie. Ale to już inna historia. Albowiem nasza jazda na detoks miała też inny aspekt, dotyczący bezpośrednio mnie.

Odwoziłem ojca ze wspomnianą panią z AA. Gdy wracaliśmy już sami, stwierdziła, że dobrze by było, gdybym ja również zaczął chodzić na mityngi anonimowych alkoholików. Najpierw myślałem, że żartuje. Potem, gdy zrozu-

miałem, że mówi jak najbardziej poważnie, zacząłem się irytować i oburzać. Po co mi te mityngi, ja nie piję, no, w każdym razie nie nałogowo, nie sięgam też po inne używki, poza papierosami i kawą. Owszem, mogłem pójść raz czy drugi z ojcem, żeby dodał mi otuchy, ale mnie to jest niepotrzebne. Poza tym ja nie mam czasu, o co w ogóle chodzi. Jednak Pani z AA, nie przejmując się moim oburzeniem, chyba nawet spodziewając się go, uparcie twierdziła, że nie namawia mnie w tym momencie do towarzyszenia ojcu, ale chce, abym zrozumiał i zaakceptował fakt, że ja sam też mam w pewnym sensie problem alkoholowy. Przekonywała mnie, że synowie bardzo często w tym względzie idą w ślady ojców. Częściowo winne temu są geny, częściowo podświadoma chęć powtórzenia przez syna błędów ojca, w celu utożsamienia się z nim i rozgrzeszenia go w sobie. Nie chciałem temu wierzyć, nie chciałem tego słuchać.

Pięć lat później uświadomiłem sobie, że miała racje. Była Środa Popielcowa, wieczór. Tego dnia miałem zrezygnować z podtrzymywanego ostatnio bardzo regularnie zwyczaju picia do lektury i do snu, picia coraz bardziej obfitego, coraz bardziej oszałamiającego, coraz częściej kończącego się nocnymi wypadami na miasto, by pić jeszcze więcej. Był to moment „pustynny" w moim życiu, kiedy oddalony od jakichkolwiek możliwości realizowania się zawodowego, w poczuciu odrzucenia i zapomnienia, w neurotycznym samooskarżaniu się o nieudolność i małość, nie widząc żadnego znaku „pociechy" z Niebios, uśpiłem w sobie jakąkolwiek zdolność rozróżniania duchów. Ale okres Wielkiego Postu i szczera chęć pokuty miały ten pęd ku zatraceniu zatrzymać. Była więc Środa Popielcowa, wieczór. Miałem głowę posypaną popiołem, siedziałem zdyszany w fotelu, właśnie wróciłem ze sklepu nocnego z butelką. Nie wytrzymałem bólu. Przegrałem. Wtedy doświadczyłem tego, co mój ojciec, na mniejszą skalę, a jednak tego samego: całkowitej bezradności i dojmującego upokorzenia, ale też potrzeby wiary w Boga, tak silnej i bezwarunkowej, jak tonący powietrza. Rozmawiałem o tym z ojcem. Płakaliśmy, pocieszali się, modlili. Ojciec i syn, wierzący w tego samego Boga i zmagający się z tym samym demonem.

Gdy wiele lat wcześniej, latem 198? zdawałem na studia filozoficzne, też towarzyszył mi ojciec, choć go fizycznie przy mnie nie było. Byłem na rozmowie kwalifikacyjnej. Zadano mi standardowe pytanie: dlaczego filozofia, a nie na przykład zarządzanie? Zdumienie egzaminatora było całkowite, gdy zamiast

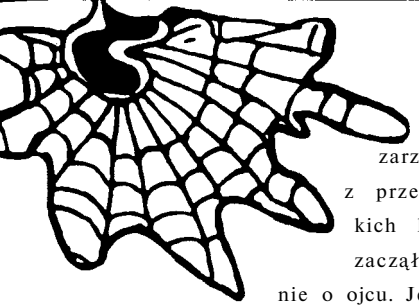

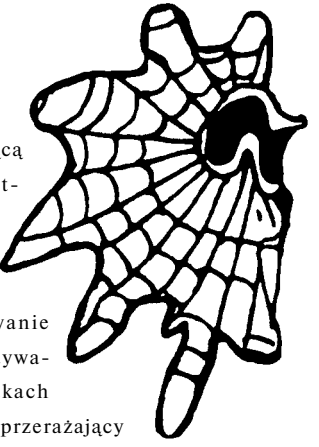

zarzucić go erudycją wynikającą z przeczytania w liceum wszystkich lektur nadobowiązkowych, zacząłem snuć opowieść właśnie o ojcu. Jedno z moich pierwszych wspomnień z dzieciństwa to wspólne z ojcem obserwowanie pająków. W ogrodzie moich dziadków w Fordonie przesiadywaliśmy godzinami zaczajeni w pokrytych pajęczynami krzakach agrestu, porzeczek i malin i obserwowaliśmy, jak piękny i przerażający stwór z mozołem mnicha wyplata nić, z anielską cierpliwością naprawia pajęczynę porwaną przez zbyt duże owady, z morderczą walecznością krzyżaka usidla muchę. Na wyprawę do lasu zaś zabieraliśmy miednicę i wodę. Gdy znajdowaliśmy mrowisko, podchodziliśmy jak najbliżej, nalewaliśmy do miednicy wodę, wchodziliśmy do niej i wtedy mogliśmy w spokoju obserwować mrówki, bez narażania się na zbyt bliskie z nimi spotkanie. Przyglądanie się mrowisku to już był całkowity kosmos. Ojciec opowiadał mi o niezwykłej, tajemniczej logice zakodowanej w instynktownym zachowaniu tej społeczności, o jej hierarchicznym układzie, o bezwzględnej walce o przetrwanie, jakie ciągle wiedzie. Gdy wracaliśmy do domu, ojciec ustawiał na balkonie teleskop. Z księżycem i gwiazdami na niebie zapoznałem się wcześniej niż z literami i liczbami.

Wraz z upływem lat wspólną fascynację mrówkami połączyliśmy ze wspólną fascynacją książkami. Pamiętam, że gdy ojciec siadał do jakiegoś posiłku, sam zawsze stawiał przed talerzem książkę, zazwyczaj *Bajki robotów* Lema bądź *Szwejka* Haska. Z oddaniem poszedłem tropem tej tradycji. Przed moim talerzem najpierw stał *Tytus, Romek i A'Tomek,* potem *Łowcy mamutów,* w końcu także Lem. Do dzisiaj obydwaj wyobrażamy sobie Raj jako wielką bibliotekę. Jednak mój egzaminator nadal nie rozumiał, po co o tym wszystkim mówię, i nawoływał mnie, abym przystąpił *ad rem.* Otóż to wszystko miało swoje naturalne przedłużenie w najbardziej pasjonujących, fizycznych, metafizycznych, filozoficznych i teologicznych dyskusjach mego życia, dyskusjach, jakie prowadziłem właśnie z ojcem. Mój ojciec był ateistą. Ale takim

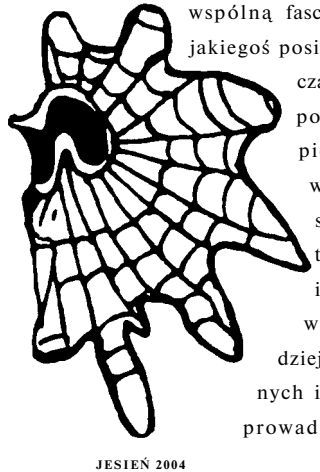

dziwnym, wciąż w swych rozważaniach dotykającym Tajemnicy; opowiadającym o strukturze atomu tak, że wydawało się, iż o stojącym za tym wszystkim Absolucie nie wspomina tylko dlatego, że umysłowi ścisłemu w tych czasach nie wypadało tego wspominać. Dlatego fakt mojego nawrócenia przyjął ze spokojem, a może nawet z pewną podświadomą satysfakcją. W każdym razie dopiero teraz mieliśmy naprawdę poważny, niezgłębiony i nieskończony temat do scholastycznych *disputatio.* Ojciec dzięki Bogu nie dawał spokoju mojej wierze, jeżeli chodzi o jej intelektualną podbudowę. Aby odpowiadać na jego pytania, zbijać jego argumenty, dowodzić swoich racji, musiałem dużo czytać, pytać bardziej wtajemniczonych, przemyśliwać i przeformułowywać to, co dotąd wydawało mi się pewnikiem. W każdym razie to te dyskusje odwołujące się do wspólnych lektur i wspólnych obserwacji mrowisk i gwiazd sprawiły, że moja wiara nie była fideizmem i że zawsze szukała głębszej metafizycznej podbudowy. *Fides querens intellectum.* Na tym skończyłem przed egzaminatorem moją opowieść o ojcu, mając nadzieję, że lepszego argumentu za wyborem filozofii trudno szukać. Jednak na studia dostałem się dopiero z odwołania, używając już innych argumentów. W pierwszej rundzie odpadłem. Widocznie nie przekonałem egzaminatora do istnienia ścisłego związku między umiłowaniem mądrości a umiłowaniem ojca.

Przez szereg lat dość abstrakcyjne i mało zrozumiałe było dla mnie stwierdzenie wypowiadane przez wielu przewodników duchowych: że obraz Boga Ojca budujemy sobie na podstawie relacji do ojca ziemskiego. Lecz stwierdzenie to przestało być dla mnie abstrakcją, gdy stało się ciałem. Moje bardzo uczuciowe przywiązanie do Niego, a zarazem ciągła nieufność i strach przed oparciem się na Nim, ciągły wewnętrzny lęk, że mnie opuści, gdy Go będę potrzebował, ciągłe niezdecydowanie w wyborze drogi powołania - to wszystko odziedziczyłem wraz ze słabością psychiczną po ziemskim ojcu. Ale odziedziczyłem też po nim całą swą konstrukcję intelektualną, pozwalającą poprzez to, co widzialne, odkrywać to, co Niewidzialne. Bez tej fascynacji ukrytym wymiarem świata, którą mi przekazał jako malcowi i podsycał we mnie przez całe me życie, nigdy nie byłoby mi dane przeżywać tej intelektualnej radości, jaką było słuchanie wykładów z filozofii i jaką jest, teraz już niejako zawodowe, wnikanie w metafizyczne i mistyczne zakamarki wiary. Oczywiście, to tylko niektóre z aspektów mojej relacji z Bogiem. A jednak zbyt często

wpływały decydująco na moje życie, abym mógł je jak kiedyś ignorować. Gdy więc teraz patrzę na mego syna, zastanawiam się, jaki obraz Ojca buduje sobie w duszy. Jak daleko pójdzie śladem moich błędów, na ile ukształtują go moje fascynacje, czy zachowa w pamięci świadectwo mej wiary. Wiem, że Bóg może wszystko uzdrowić, wszystko przemienić, ale wiem też, że jest Bogiem objawiającym się w historii, Bogiem wcielonym i że od tej naszej „cielesnej historii" nie abstrahuje, lecz właśnie poprzez nią się z nami kontaktuje; to właśnie ją przemienia, ją czyni nową.

Odkryłem, że jest Ojcem mego ojca, moim i mego syna, że jest Ojcem neurotyków i alkoholików z zacięciem rozprawiających o książkach i pająkach.

Ojcze nasz...

RAFAŁ TICHY

FILIP MEMCHES

Gniewajcie się, a nie grzeszcie: niech nad waszym gniewem nie zachodzi słońce!

(Ef 4, 26)

1. Na początku była zawiść. Kain zabił Abla z zawiści. A więc spirala zabójstw nie zaczęła się od prymitywnej rywalizacji o przetrwanie. Tak mogło być w wypadku reszty stworzeń. Człowiek to jednak istota rozumna, obdarzona uczuciami wyższymi. Wszystko więc poszło o urażoną dumę i resentyment.

2. Żyjemy w epoce humanitarnych zasad i troski o pokojową koegzystencję narodów, chociaż codzienne informacje, jakie otrzymujemy za pośrednictwem mediów, wzbudzają co do tego wątpliwości. Przykazanie „Nie będziesz zabijał" (W 20,13) wydaje się z jednej strony banalną oczywistością, a z drugiej - przywoływane jest jako zasada moralna, która bezwzględnie zakazuje uśmiercania bliźnich. Dzięki temu nieskorzy do toczenia jakichkolwiek wojen i unikający wszelkiej przemocy kulturalni mieszkańcy Zachodu mogą tkwić w błogim przekonaniu, że piątego przykazania przestrzegają doskonale.

3. Zawsze byłem mięczakiem. Na podwórzu czy w szkole unikałem bójek, a jeśli już się biłem, to z reguły okazywałem się słabszy. Ta słabość fizyczna miała oczywiście wpływ na moją psychikę. Kiedy byłem wśród rówieśników, brakowało mi odwagi i pewności siebie. Odrzucałem więc przemoc, bo tak mi

było wygodnie. Potem uczyniłem z tego swój światopogląd - naiwny światopogląd nastolatka.

4. Friedrich Wilhelm Nietzsche uważany jest za czołowego filozofa późnej nowożytności, który dostarczył amunicji intelektualnej XX-wiecznym wrogom chrześcijaństwa. W rozprawie Z *genealogii moralności* niemiecki myśliciel stawia tezę, iż dawne przedchrześcijańskie rozróżnienie „dobry - lichy" ustąpiło w ciągi wieków nowemu „dobry - zły", stanowiącemu kamuflaż dla resentymentu. W zamierzchłej przeszłości dobro utożsamiane było z siłą, przewagą, dominacją, z jawnym ich okazywaniem. To, co liche, uchodziło zaś za synonim słabości, uległości, poddańczości. Niewolnicy podnieśli jednak bunt przeciwko panom. Odwołali się do spreparowanych przez siebie argumentów religijnych oraz moralnych. Tendencje egalitarne starły się z porządkiem arystokratycznym. W konsekwencji dobro zaczęto utożsamiać ze współczuciem i litością, natomiast zło - z zachowaniami agresywnymi i ekspansywnymi oraz z brakiem jakichkolwiek skrupułów wobec ludzi słabych. Natura została ujarzmiona, a hierarchia wartości odwrócona. To wszystko - twierdzi filozof - świadczy o triumfie wrogiej wobec życia mentalności niewolniczej, która szczególnie wyraźnie doszła do głosu w chrześcijaństwie, moralności mieszczańskiej i socjalizmie.

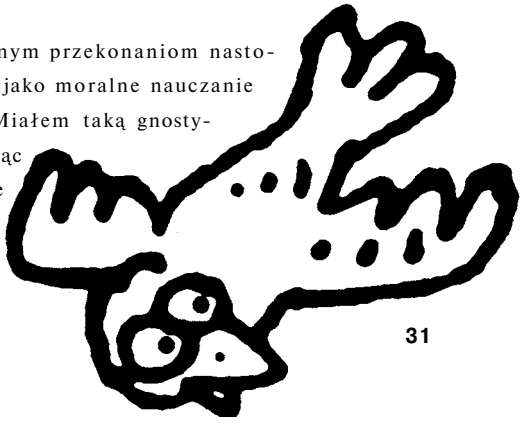

5. Kiedy hołdowałem swoim naiwnym przekonaniom nastolatka, chrześcijaństwo jawiło mi się jako moralne nauczanie zakazujące stosowania przemocy. Miałem taką gnostycką wizję człowieka, który podążając śladami Chrystusa, nikomu nie czyni krzywdy i w ogóle jest bez skazy. W Kościele widziałem zaprzeczenie tej wizji. Nie mogło być

inaczej, Kościół bowiem składa się z żywych, grzesznych ludzi. Prawdy o grzechu pierworodnym jednak nie pojmowałem. Dopiero jako syn marnotrawny na łonie Kościoła odkryłem w sobie olbrzymie, nagromadzone latami pokłady resentymentu. Przed Bogiem nie sposób udawać. Mogłem wreszcie się przyznać do tego, że pragnienie odwetu i zawiść były i są również moim udziałem. Przestałem więc się łudzić, że odrzucam przemoc.

6. Nietzsche ma częściowo słuszność. Chrześcijanie stają się zakładnikami resentymentu, kiedy nauczanie Kościoła zamiast drogi nawrócenia traktują jako kodeks moralny i popadają w herezję. Wtedy są sfrustrowani, bo chcą być „dobrymi ludźmi", ale im się to nie udaje. Ze swego cierpiętnictwa mogą robić narzędzie emocjonalnego szantażu. Czują się „lichymi" mięczakami. W swoich sercach są niewolnikami zabijającymi panów. Chrześcijaninowi łatwo jest zdegenerować się do poziomu jakobina, bolszewika, bojownika Al-Kaidy czy innego politycznego rebelianta. Można nawet udawać przed samym sobą i przed otoczeniem przykładnego, pobożnego katolika. Jako neofita nieraz używałem znaku krzyża jako totemu, którym chciałem zabijać innowierców, agnostyków i wszelkich bezbożników, aby udowodnić rzekomą własną wyższość nad nimi.

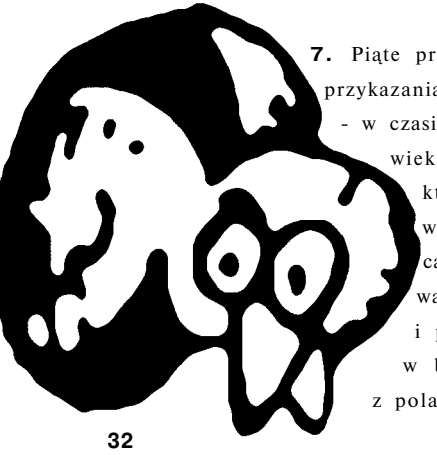

7. Piąte przykazanie to także, jak wszystkie pozostałe przykazania, Boża obietnica („Nie będziesz zabijał" - w czasie przyszłym!). Tylko Ktoś większy od człowieka może pomóc w wypełnianiu przykazania, które staje się poważnym wyzwaniem dopiero wtedy, gdy odniesiemy je do ludzkiego serca. A więc Bóg przyzwala na kłótnie, spory, walki, aby później możliwe było przebaczenie i pojednanie. Prędzej nawrócą się zaprawieni w bojach rycerz i żołnierz aniżeli uciekający z pola bitwy dezerter i pacyfista. Lepiej rozwiązy-

wać konflikt, niż udawać, że nic się nie dzieje. Snop światła rzucają słowa z Listu świętego Pawła do Efezjan: „[...] odrzuciwszy kłamstwo: niech każdy z was mówi prawdę do bliźniego, bo jesteście nawzajem dla siebie członkami. Gniewajcie się, a nie grzeszcie: niech nad waszym gniewem nie zachodzi słońce!" (Ef4, 25-26). Dla niejednej rodziny mogą to być słowa-fundamenty. Dla mojej również.

FILIP MEMCHES

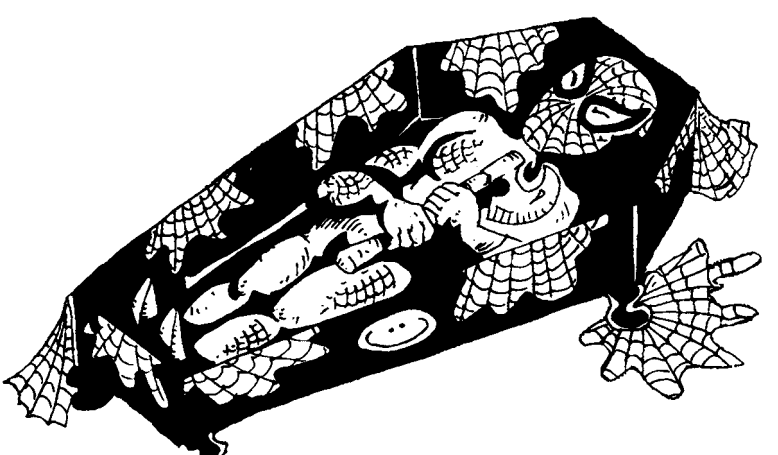

po szóste:

JESTEM CIENKIM BOLKIEM

WOJCIECH WENCEL

W swojej krótkiej karierze literackiej byłem już nazywany „prorokiem", „pogromcą szatana", „rycerzem wiary" i „poetą niezłomnym". Chwalili mnie nobliwi krytycy, tradycjonaliści katoliccy, matki moich kolegów, a nawet niektórz) biskupi. Kolejni księża proboszczowie w mojej parafii podchodzili do mnie z respektem, stawiali za wzór chrześcijanina i namawiali do okolicznościowych wystąpień w kościele. Pisali do mnie prawi ludzie starszego pokolenia, zapewniając, że jestem dla nich „nadzieją naszego narodu". Młodsi bali się mnie podkreślając różnicę między własną grzesznością a moim obrazem, całym w liliach, z koroną z gwiazd dwunastu. Kiedy wtrącałem z krzywym uśmiechem że i ja często grzeszę, brano to za topos skromności - następny dowód na mojs wyjątkowość. Niejaki Schmaletz - autor skądinąd świetnych piosenek - napisa w jednym z tekstów: „Ale są jeszcze ludzie jak Wojciech Wencel - mądrzy i pokorni, i spoza obiegu". Wszystkim dziękuję bardzo za dobre intencje.

Kiedy patrzę na moje dotychczasowe świadome życie, dostrzegam w nirr kilka odrębnych duchowych okresów. Dojrzewanie to czas intelektualnych poszukiwań, wakacyjnych podróży, zmysłowych szaleństw i odejścia od praktyk sakramentalnych (przez cztery lata chodziłem dc kościoła, nie spowiadając się). Rok 1995 przyniós: dwa kluczowe dla mnie wydarzenia: śmierć ojcs - gorliwego katolika - i ślub ze wspaniałą dziewczynć z Kaszub. Dobrze pamiętam swoją modlitwę w pustym kościele Trójcy Świętej w Kościerzynie, podczas której poczułem łzy spływające po policzkach, ciepłe w sercu, i bez chwili wahania postanowiłem powie-

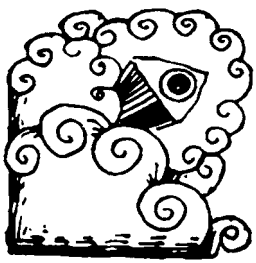

rzyć swoje życie Bogu. Miałem dwadzieścia trzy lata, Boża miłość wypełniała mnie od stóp do głów.

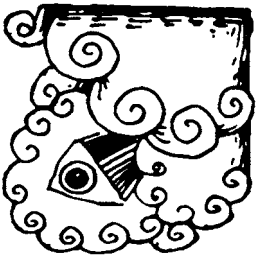

Przez pierwsze cztery lata małżeństwa zachowywałem stałą relację z osobowym Chrystusem, czerpiąc siłę i radość z niedzielnych nabożeństw, miłości żony, narodzin dzieci (mamy dwóch synów), pisania wierszy, sukcesów w pracy, domowego spokoju, spacerów i świątecznych spotkań z krewnymi. Był to piękny czas, pełen codziennych epifanii, o których później mogłem jedynie pomarzyć. W kwestiach moralnych nie uznawałem żadnych kompromisów. Surowo oceniałem siebie i innych, z tym że ja akurat za dużo nie grzeszyłem, więc przechlapane mieli głównie inni. Poczucie silnej wiary dawało mi spokój ducha, ale wykształciło też pewność co do własnej cnoty, a potem pychę, z której długo nie zdawałem sobie sprawy. „Mogę być leniem albo plotkarzem, ale żony nie zdradzę nigdy" - deklarowałem wielokrotnie. I rzeczywiście: potrafiłem przerywać rozmowy z obcymi kobietami w momencie, kiedy słowa i uśmiechy niebezpiecznie zbliżały się do granicy flirtu, a kolegom radziłem: „Upadasz, bo pozwalasz rozwinąć się pokusie. Takie relacje trzeba przerywać od razu, zanim pokusa się pojawi".

Oliwą w trybach tej pychy stała się ówczesna ideologia środowiska „pampersów" i - nie ma co ukrywać - samej „Frondy". Bycie krzyżowcem, inkwizytorem czy specjalistą od literacko-medialnej ewangelizacji sprawiało mi niekłamaną przyjemność. Z racji mojej rzekomej niezłomności moralnej, specjalizowałem się w tropieniu zdrad małżeńskich. „Widocznie Bóg uczynił mnie młotem na lowelasów. Rola trudna i niewdzięczna, ale przecież ktoś musi robić tu porządek" - myślałem. Gorąco wierzyłem w ideały „konserwatywnej rewolucji", która - jak każda rewolucja - wymagała ofiar.

Z tego okresu pochodzi mój słynny, opublikowany w „brulionie" list do Cezarego Michalskiego, w którym wszedłem z butami w jego prywatne życie. Bóg mi świadkiem, że pisałem go z zamiarem podtrzymania ideału chrześcijańskiej wspólnoty, gdzie słowa pokrywają się z czynami. Dziś widzę jednak, że te moje dobre chęci nadają się głównie na piekielny bruk. Bo oprócz nich - co dostrzegłem

po latach - było wtedy we mnie też coś innego: samozadowolenie, duma pięknoducha, że zrobił coś, na co nikt inny by się nie odważył. I może teraz jest najlepszy moment, żeby publicznie prosić adresata tamtego listu o wybaczenie, choć wiem, że krzywdy, które wyrządziłem jemu i jego bliskim, są nie do naprawienia. Czarku, jeśli możesz, wybacz mi.

Jako komisarz „konserwatywnej rewolucji" nie rozumiałem przede wszystkim delikatnych relacji między indywidualnym grzechem, sumieniem i treścią publicznych wystąpień. Wydawało mi się, że każdy, kto czyni źle, świadomie dokonuje wyboru zła. A jeśli do tego moralizuje, staje się cynicznym hipokrytą. Nie brałem pod uwagę, że takie decyzje często okupione są bólem i wynikają z zagubienia, poranienia czy nałogu, który z czasem neutralizuje sumienie i zakłamuje obraz rzeczywistości. Wkrótce sam miałem wstąpić na drogę rzekomej „cynicznej hipokryzji", kiedy moje grzechy mnie przerosły, a ja nadal pisałem moralitety. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że to pisanie może także wynikać z wielkiej tęsknoty do utraconej harmonii, a nie tylko z chęci zarobkowania i utrzymania własnego wizerunku. Pochwały czystości, które formułowałem, miały wyciągnąć mnie za włosy z duchowej stagnacji. Im więcej grzeszyłem, tym żarliwiej modliłem się w tekstach.

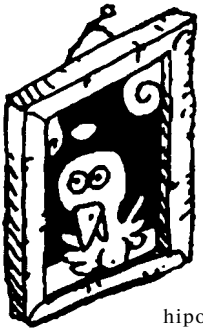

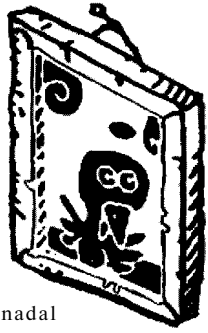

Ale to nie wystarczało. Od czasu brulionowego listu zaczęły na mnie spadać wszystkie przypadłości, które krytykowałem u innych, głównie związane z pychą i nieczystością. Ponieważ pracuję w domu, nie wychodząc niemal z czterech ścian swojego pokoju, teren moich grzesznych eksploracji był ograniczony. Poddany codziennemu stresowi przy pisaniu tekstów i monotonii tej czynności, zacząłem szukać czegoś niezwykłego. Nie miałem już czasu na spacery z rodziną. W nie wietrzonym pokoju oknem na świat stał się dla mnie Internet. Zaczęło się od czytania wiadomości, użytkowania list dyskusyjnych i sprawdzania poczty, potem było codzienne wstukiwanie własnego nazwiska w wyszukiwarkach i czytanie wszystkiego, co o mnie napisano, aż w końcu trafiłem na nieskromne strony, na które „dobry katolik" nie wchodzi. Niby grzeszyłem w tej samej dziedzinie, co ofiary moich tekstów, ale jakoś tak bardziej groteskowo. Nie zdradzałem w *realu,* ale w myślach jak najbardziej.

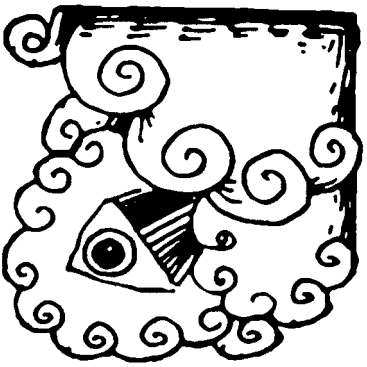

Panienek nie spotykałem w burdelach, lecz w sieci miałem ich pod dostatkiem. I tak moje uzależnienie od Internetu stało się faktem.

Początkowo próbowałem radzić sobie z tym problemem według utartych schematów: spowiedź - modlitwa - komunia - praca - rodzina. Na próżno. Stopniowo zanikała moja osobowa więź z Chrystusem, coraz mniej się modliłem, po niedzielnych mszach nie pamiętałem, o czym były czytania. Nie potrafiłem się z tym pogodzić, że grzeszę i to w tak śmieszny sposób. Nie zabijałem złoczyńców w świętym oburzeniu ani nie byłem heretykiem obeznanym z księgami. O, takie spektakularne przypadłości byłbym w stanie zaakceptować! Nie, ja z wypiekami na twarzy, niczym pryszczaty gimnazjalista, śledziłem różowe obrazki migoczące na ekranie. Ja. Wielki Poeta. Rycerz Wiary. Przyszłość Narodu.

Oczywiście, wyrzuty sumienia paliły moje wnętrze. W tekstach próbowałem dotrzeć do istoty czystości urzeczywistnionej w ludzkich biografiach. Mój pech polegał na tym, że obrazy świętych i proroków, do których tęskniłem, utożsamiano gdzieniegdzie ze mną samym. I nawet kiedy w *Odzie chorej duszy* składałem obleczone w poetykę psalmów pokutnych świadectwo swojego komicznego nałogu, uznawano to za dziennik jakiejś „nocy ciemnej" albo lament współczesnego Jeremiasza. Znów byłem wielki. Znów byłem prorokiem. Za książkę otrzymałem nawet prestiżową Nagrodę Kościelskich. Na mojej twarzy zaczęła się tworzyć skorupa, maska zakrywająca prawdę.

Nienawidziłem siebie, żyłem w nieustannym lęku, a mój obraz Boga skurczył się z oceanu miłości do postaci mściwego starca, który poluje na mnie jak jastrząb na mysz kryjącą się w zbożu. Chwytając się brzytwy, sporo czasu poświęcałem na pisanie tekstów o kulturze chrześcijańskiej, które miały na nowo natchnąć mnie duchową pasją. Aż w końcu pozostał z mojej wiary jedynie pobożny kościół bez Boga, sentyment do czerwonych cegieł w murach kaszubskich świątyń i wiecznej lampki przed tabernakulum, do *Gorzkich żalów* i babć w chustkach na głowie, a także do muzyki Bacha, malarstwa Boscha i poezji Dantego. Nie twierdzę, że wszystko to nie miało sensu. Przeciwnie: zbudowałem gmach, w którym człowiek Ewangelii może pielęgnować swoją żywą wiarę. Ja nie mogę, bo jej nie mam.

Przez pięć ostatnich lat żyłem w tej iluzji, wciąż mając nadzieję, że już jutro, po następnej spowiedzi albo w wakacje, Pan Bóg odsunie ode mnie mój grote-

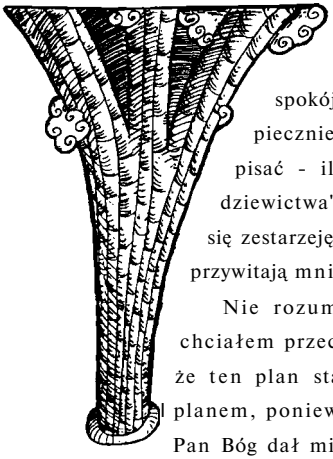

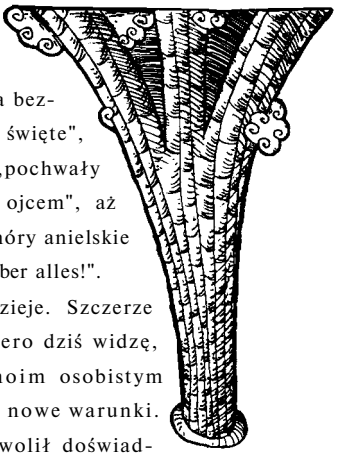

skowy nałóg, napełni mój kościół duchem, przywróci mi dawny spokój i będę mógł już do końca życia bezpiecznie „uczęszczać na niedzielne msze święte", pisać - ilustrowane własnym życiem - „pochwały dziewictwa" i być „przykładnym mężem i ojcem", aż się zestarzeję, umrę i pójdę do nieba, gdzie chóry anielskie przywitają mnie gromkim: „Wencel! Wencel! Ober alles!".

Nie rozumiałem, dlaczego tak się nie dzieje. Szczerze chciałem przecież realizować plan Boga. Dopiero dziś widzę, że ten plan stał się w pewnym momencie moim osobistym planem, ponieważ nie potrafiłem zgodzić się na nowe warunki. Pan Bóg dał mi cztery lata pięknego życia, pozwolił doświadczyć siły liturgii i eucharystii, w której sam jest obecny, nauczył mnie miłości do rodziny. Ale w pewnym momencie powiedział: „No dobrze, poznałeś, co to «przedsionek Nieba», ale teraz podnieś swój krzyż i idź dalej, na Golgotę". A ja nie usłyszałem Jego głosu, nie chciałem go usłyszeć. Dobrze mi było na tym początkowym etapie Drogi, w tym moim „małym Betlejem", i nie zamierzałem się stamtąd ruszać.

Z rozpaczy poszedłem na wódkę. Zaczęło się od sporadycznego „odreagowywania" stresu i zagłuszania wyrzutów sumienia, ale ponieważ ani stres, ani wyrzuty nie ustępowały, spędziłem w tej karczmie pięć lat, pijąc coraz częściej i gęściej. Do kolekcji moich licznych nałogów (papierosy, Internet, przeglądanie w lustrze) dołączył nowy. Przez ostatnie pół roku piłem właściwie codziennie, najczęściej w domu do lustra, nigdy nie zostawiając kropli alkoholu w butelce. To, siłą rzeczy, potęgowało moje problemy z Internetem. Miły obrazek: „pogromca szatana" po godzinach. Pojawiły się też pierwsze nieporozumienia w domu, bo jak długo można znosić alkoholika, który w stanie upojenia przeklina cały świat, siebie i dewastuje mieszkanie?

W styczniu tego roku wyjechałem z kolegą-poetą na miesięczne stypendium na Gotlandię. Wyróżniliśmy się. Znają nas tam wszyscy właściciele pubów i dyskotek, kasjerzy w Systembolaget (sklepie monopolowym) oraz policjanci. Nie tylko z wielkiego zdjęcia w lokalnej gazecie, na którym pozujemy uśmiechnięci przed białym murem katedry. „Poeci z Polski. Barbarzyńca i klasycysta gośćmi Baltic Center". Chłopcy z małymi oczkami po kolejnej nieprzespanej nocy.

Któregoś dnia, po wysłaniu miłosnego e-maiła do żony, poznałem na studenckiej prywatce miłą i ładną Łotyszkę. Podobało jej się, że piszę wiersze z rymami, że jestem katolikiem i mam „typowo polskie imię". Długie spojrzenia, taniec i... Tym razem udało mi się jeszcze oprzeć pokusie. Okazało się jednak, że nawet „proroków" niewiele dzieli od zdrady.

Po powrocie postanowiliśmy z kolegą wywołać zdjęcia. Czekając na odbitki, wspominaliśmy w restauracji naszą romantyczną eskapadę. Sprawdzony patent: po dwie pięćdziesiątki z piwem na wejście, a potem już leci z górki. Litr wódki na głowę. Bułka z masłem. „I co nam zrobią? Rządzimy!". Później letarg, ciemność. Ocknąłem się w nocnym klubie, z nagą tancerką na kolanach. „Mądry i pokorny, i spoza obiegu". No, rzeczywiście spoza obiegu, bo kiedy z kolegą wychodziliśmy z lokalu (znów szczęśliwie uniknąwszy „głębszych relacji" z dziewczyną), kolejka miejska i autobusy dawno już nie kursowały. Zdjęcia zgubiłem. Do domu wróciłem rano. Czekał na mnie smutny list od żony, która na ósmą wyszła do pracy, i chyba wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że nie jestem jednak „wspaniałym mężem i ojcem", za jakiego się uważałem, i że już niedługo mogę doszczętnie rozwalić nasze małżeństwo. Żona mi wybaczyła, bo mnie kocha, ale ja nie umiałem poradzić sobie z prawdą o własnym życiu. Popadłem w głęboką depresję, miałem żal do Boga. „Dlaczego nie chcesz mnie uczynić nieskazitelnym? Przecież walczyłbym dla Ciebie z całych sił. Dlaczego tak bardzo pragniesz mnie poniżyć?" - pytałem z wyrzutem.

W końcu zaczęła mnie drażnić wszelka dewocja. Przestałem się spowiadać. Godzinami słuchałem satanistycznych piosenek Rammstein. „Biegnij, biegnij, biegnij. Nie ma przebaczenia" - dźwięczało mi w uszach od rana do nocy. Zaniedbywałem pracę i poezję, byłem na dnie, chciałem umrzeć. Nic już nie sprawiało mi radości.

I wtedy stał się cud. Kiedy opadło moje zauroczenie pięknem katolickich świątyń i chrześcijańskich dzieł sztuki, dostrzegłem, że wewnątrz jest zupełnie pusto. Dotąd sądziłem, mimo wszystko, że Bóg ukrywa się gdzieś w środku tej kulturowej konstrukcji, tylko nie chce mi się objawić, bo zawiódł się na mnie. Nieprawda. Jego nie było tam już od kilku lat, bo nie było Go w moim sercu. Jakkolwiek dziwnie to zabrzmi, zrozumiałem, że w którymś momencie bardziej od Chrystusa pokochałem Jego królewskie stroje, pałace i wizerunki.

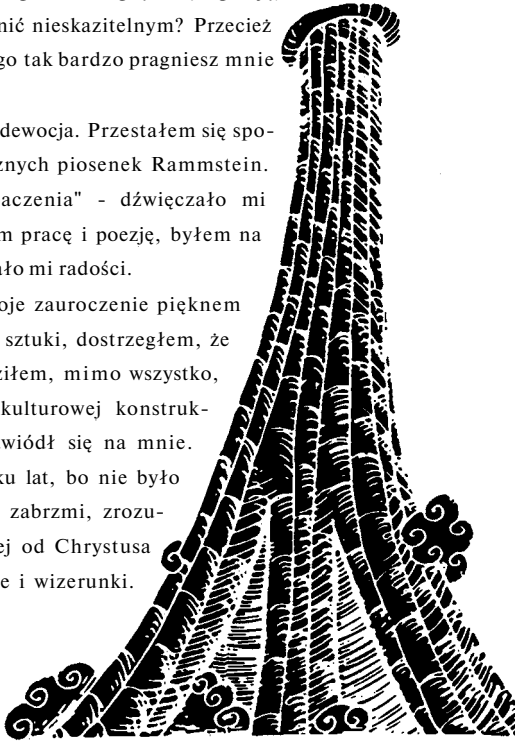

A On czekał cierpliwie, aż doświadczę własnej małości, przestanę ciskać gromy w swoich braci i wrócę do Niego jako syn marnotrawny. Bezgrzeszny? Nic z tych rzeczy. Ale stojący w prawdzie, która jest kluczem do miłości. Podczas ostatnich moich rozmów z przyjaciółmi i nawet teraz, kiedy piszę te słowa, czuję, jak odpadają z mojej twarzy zatęchłe warstwy pudru i szminki. Pęka starannie uformowana maska, a ja nareszcie wychodzę z domu niewoli. I wiem już, że Bóg kocha mnie takiego, jakim jestem, obarczonego grzechami, pożądliwego człowieka, a nie mój piękny obraz, jaki sam stworzyłem. Zapewne jestem śmieszny, ale Bóg jest ze mną w tej śmieszności. Dlatego nie boję się dziś pisać prawdy o sobie. Bo On mnie obroni. On wziął na siebie moje grzechy, żeby mnie odkupić. W chrześcijaństwie wcale nie chodzi o to, żeby jakąś kosmiczną siłą woli pozbyć się raz na zawsze swoich win, jak dotąd myślałem, ale aby każdego dnia z ufnością oddawać je Bogu. Naiwne jest bowiem myślenie, że uda nam się całkowicie uciec od swojej natury. Człowiek pyszny, kłótliwy czy pożądliwy prawdopodobnie będzie musiał walczyć ze swoimi słabościami do końca życia. Ale ten ciężar paradoksalnie może stać się także błogosławieństwem. Śmieszność moich grzechów stale sprowadza mnie na ziemię, uczy pokory i dystansu wobec siebie. Jak wielkim byłem pyszałkiem, kiedy nie chciałem pogodzić się z tą śmiesznością! To jest mój mały „oścień śmierci dla ciała", który nie pozwala duszy ulecieć zbyt daleko. Nie balast, lecz wędzidło. Nie trucizna, lecz krzyż. Oczywiście, długa Droga przede mną. Ale teraz mam już siłę, żeby w nią wyruszyć. Tą siłą jest Jezus Chrystus. Nic więcej, nic mniej.

Nieprzypadkowo piszę tu słowo „Droga" wielką literą. Którejś nocy, leżąc obok śpiącej żony i ustalając w myślach skład swojej drużyny na najbliższą kolejkę internetowych „Piłkarzyków", usłyszałem jakby głos w sercu: „Pójdziesz do neokatechumenatu". Przede wszystkim zdziwiłem się swoją reakcją - odczułem ogromny spokój i falę gorąca przepływającą przez całe ciało. W ciemności uśmiechnąłem się, dostrzegając otaczającą mnie miłość. To dziwne, bo dotąd reagowałem na tę wspólnotę z nieudolnie skrywanym poczuciem wyższości. Droga Neokatechumenalna zawsze była dla mnie jaskrawym przykładem religijnego kiczu i kiedy kilka lat temu przeczytałem egzaltowane pochwały, kierowane przez muzyka Michała Lorenca pod adresem pieśni Kiko Arguello, stuknąłem się w czoło. „Czy może istnieć coś bardziej kiczowatego od tych manierycznych zawodzeń?" - pomyślałem. Przez prawie dziesięć lat temat neokatechumenatu prześladował mnie, między innymi za sprawą moich kolegów z „Frondy". I zawsze, we własnym przekonaniu,

udawało mi się zwycięsko kończyć polemiki. Moje zarzuty były precyzyjne: nieuczęszczanie na niedzielne sumy, narażanie Ciała Bożego na pokruszenie podczas eucharystii, przecena zepsucia współczesnego świata, elitarność i poczucie wyższości nad ludźmi prostej wiary, nadmierna rola osób świeckich w kierownictwie duchowym, ignorowanie Tradycji i kultury chrześcijańskiej, przesadny luz obyczajowy, moralny ekshibicjonizm, a w dodatku swoista dezynwoltura w mówieniu o własnych grzechach. Ale w chwilach kryzysowych neokatechumenat wracał też jako niechciana perspektywa ratunku. Kiedyś przemogłem nawet swój wstręt i poszedłem z żoną na jedną ze wstępnych katechez. Masakra. Wybiegliśmy z kościoła natychmiast po ostatnim słowie. 0 nie, nigdy, przenigdy. Cóż za pogardliwe wywody o „religijności naturalnej"! Co na to babcie w chustkach? Panie Boże, ratuj!

A teraz w środku nocy Pan Bóg mówił do mojego serca: „Pójdziesz do neokatechumenatu, ale nigdzie się nie spiesz, nie rób niczego na siłę, nie bój się, nie gorączkuj, wszystko przyjdzie samo. Mam wobec ciebie pewien plan". A ja czułem spokój i radość. Na wszelki wypadek pomyślałem jednak: *„A co na to Kasia? Ona jest taka tradycjonalna".* I poczułem: „Nie martw się, na początku będzie miała obawy, ale potem pójdzie z tobą". Nagle prysły wszystkie moje dotychczasowe zastrzeżenia. Mój kościół był w ruinie i nie stanowił już przeszkody. Nie interesowało mnie to, co zwykle: wieczna lampka, ceglane mury i muzyka Bacha. Nie drażniły mnie już nawet manieryczne zawodzenia Kiko. Chciałem tylko iść za tym głosem, dokądkolwiek mnie zaprowadzi. Znów - po latach - czułem miłość Chrystusa. Żywego, nie odzianego w całun kultury. 1 zrozumiałem: to nie te babcie w chustkach, ale ja byłem adresatem odrzuconej katechezy. Wobec babć Bóg ma, być może, inne plany; może chce je doświadczać inaczej niż mnie, pozostawiając najgorliwszym skarb prawdziwej wiary do końca życia. Ale moja droga nie skończy się na „religijności naturalnej", którą tak ubóstwiłem.

Następnego dnia spytałem księdza o katechezy neokatechumenalne. Usłyszałem, że są dopiero jesienią. Zmartwiłem się,

ale zaraz potem przypomniałem sobie te słowa: „Nic na siłę, wszystko przyjdzie samo". Dlatego mogę dziś z czystym sumieniem pisać to świadectwo, które jest tylko potwierdzeniem mojego wyboru. Bo wiem, że tam pójdę i że poświęcane mi modlitwy moich przyjaciół i ich wspólnot są wysłuchiwane. Czy będę bezgrzeszny? Nie sądzę. Z kilku nałogów któryś zawsze pewnie będzie mnie nękał. Choć od dwóch miesięcy znów się spowiadam, mam spokój w sercu, nie piję, leczę się z depresji, a żona mówi mi, że bardzo zmieniłem się na plus, wracają do mnie problemy związane z szóstym przykazaniem. Ale choć nadal nienawidzę własnych grzechów, przestałem nienawidzić siebie. Jestem wolny. Wierzę, że ten czas do jesieni jest potrzebny. Po to, żebym nauczył się reguł nowego życia, uspokoił, nabrał cierpliwości, nie popadł w egzaltację, nie wiązał jakichś dziwnych nadziei z neokatechumenatem, że z dnia na dzień wszystko się zmieni i wyjdę z nałogów raz na zawsze. Szczerze mówiąc, wolę dotrwać w tym stanie do września, niż za trzy miesiące być czysty jak łza i zrezygnować z formacji w poczuciu, że znów stałem się „rycerzem wiary". Bo znam swoją dotychczasową drogę, która biegnie jak sinusoida. W młodości wspiąłem się na szczyt, potem spadłem na samo dno, a teraz nieznacznie się od niego odbiłem. Pół metra, pięć centymetrów, milimetr.

Ale to, że otworzyły mi się w końcu oczy na moją prawdziwą kondycję, zawdzięczam nie tylko zbiorowym modłom zaprzyjaźnionych wspólnot, lecz także pojedynczym przyjaciołom z „Frondy". Głównie Jankowi Zielińskiemu, który moje zachwyty nad kulturą chrześcijańską skwitował kiedyś prostym pytaniem: „Ale czy twoje ciało jest świątynią Ducha świętego?". Czysta demagogia, nie? A kiedy opowiedziałem mu o mojej nieudanej przygodzie z neokatechumenatem, odparł: „Spokojnie, widocznie twój czas jeszcze nie nadszedł". Wtedy śmiałem się z tego w myślach: „Niedoczekanie wasze, nawiedzeni popaprańcy. Ja przecież jutro się nawrócę, pójdę do kościoła i wykupię na resztę życia miejsca w pierwszej ławce dla całej rodziny". Ale teraz, zdumiony, mogę powiedzieć tylko to: „Janek, miałeś rację". Podejrzewam, że to wyznanie zaskoczy i jego, bo kiedy wieszczył mi neokatechumenalna przyszłość, chyba trochę „robił sobie jaja".

Taaa... Janek Zieliński - grafik „Frondy". Mieszkający na warszawskim Rakowcu nie-przykładny mąż swojej żony i ojciec pięciorga dzieci, który pojawił się w moim życiu kilka lat wcześniej jako antypatyczny gość w hip-hopowej bluzie (ja występowałem wówczas wyłącznie w marynarkach). Szczery do bólu, cierpiący na dysgrafię (na szczęście przy projektowaniu okładek nie trzeba wiele pisać), słuchający jakichś hałaśliwych piosenek i bezczelnie ignorujący moje autorskie roszczenia przy wydawaniu

kolejnych książek. Warszawski snob, blokers, wielbiciel Wojaczka. To on zwrócił mi uwagę, że „noszę płaszcz na obu ramionach", co miało oznaczać, że mówię zawsze to, co inni chcą usłyszeć. To on wytrwale tropił i wyśmiewał mój narcyzm, łapał mnie za słowa i traktował jak zwykłego człowieka (choć każdy przecież wie, że jestem wybitnym poetą). To jego napomnienia i formułowane z autoironią wyznania własnych słabości zapadały mi głęboko w pamięć, dręczyły mnie, denerwowały i... zostawały w sercu. I nawet nie wiem, kiedy nasza znajomość ze szczerej antypatii przerodziła się w równie szczerą przyjaźń. Przez ostatnie lata Janek był moim neokatechumenatem, namiastką wspólnoty, posłańcem Bożym (czego, wbrew pozorom, nie piszę po to, żeby wpędzić koleżkę w samouwielbienie cechujące „rycerza wiary"). Fakt, że Janek i wielu innych frondystów mogłoby z powodzeniem pisać dziś razem ze mną rachunek sumienia na marginesie szóstego przykazania (spryciarze, wybrali łatwiejsze), wzmacnia mnie i dodaje mi odwagi. Ja miałbym też wiele do wyznania na marginesie przykazań, które oni wybrali. Wszystkim wam, chłopaki, z serca dziękuję.

Ale najgoręcej dziękuję mojej żonie, która wspierała mnie w najtrudniejszych momentach i przed którą nigdy nie miałem tajemnic. Gdybym je miał, jedność naszego małżeństwa już dawno zostałaby rozbita. Moja pożądliwość nie ma granic, a moja wola jest bardzo słaba. Wolę nie myśleć, kim byłbym dzisiaj, gdyby nie rodzina. Rany zadawane przeze mnie naszemu małżeństwu przez lata opatrywane były przez miłość mojej żony. Niech więc ten wstydliwy dla mnie, ale chyba konieczny tekst zakończy najintymniejsze wyznanie: „Kasiu, jestem cienkim Bolkiem, ale kocham Cię, a nasze małżeństwo jest dla mnie cudem".

WOJCIECH WENCEL

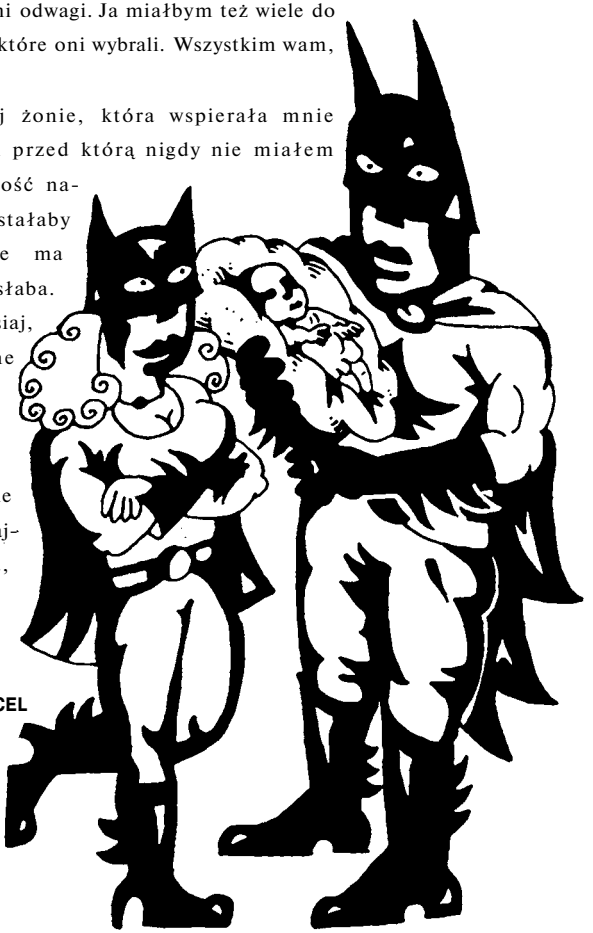

po siódme:

SKUBANIE, KOMBINOWANIE, KORZYSTANIE Z OKAZJI

JAN ZIELIŃSKI

Zadzwonił do mnie GG i opowiedział o pomyśle z tym Frondowym dekalogiem. Wtedy myślałem, że właściwie jest mi wszystko jedno, o którym przykazaniu miałbym pisać. Zaproponowałem, że napiszę o tym, którego nikt nie wybierze i które zostanie jako ostatnie...

Jestem przeszło dwa tygodnie spóźniony z tym tekstem. Wcale nie mam ochoty go pisać. Nie stać mnie, by się jakoś szczególnie otwierać i spowiadać. Nie chcę teoretyzować. Rozumiesz, Drogi Czytelniku, że jedyną motywacją, jaką mam, jest to, by się redaktor naczelny i wydawca odczepili.

Kradłem, kradnę i będę kradł. Wystarczy?

MOTTO NA POCZĄTEK:

Zycie religijne też ma swoje mody. Jedną z nich, towarzyszącą rozwojowi małych wspólnot świeckich katolików oraz - co nie mniej ważne - lansowaną i eksploatowaną przez media katolickie, stało się w ostatniej dekadzie publiczne dawanie tzw. świadectw, w żywej mowie lub na piśmie.

Aleksander Kopiński, *Przeciw temu światu.* „Fronda" nr 32

Gdy zastanowiłem się nad moimi „problemami" z siódmym przykazaniem, przypomniałem sobie rzeczy, których wolałbym nie pamiętać. Historie tak obrzydliwe, że wolę ich tu nie opisywać. Nigdy nie kradłem. To nigdy nie nazywało się kradzieżą - w latach chmurnej młodości nazywało się „skubaniem". Mogłem kogoś skubnąć, ale nie okraść. Mogłem zakombinować, ale nie okraść. Mogłem skorzystać z okazji, ale nie okraść. Dodam, że nie robiłem tego z chęci zysku. Zazwyczaj robiłem to, by obserwować swoją bezkarność,

przewagę psychiczną, by wzbudzać respekt u towarzyszy młodzieńczej niewoli. Kradłem, oprócz kasy, jakieś zupełnie niepotrzebne rzeczy, które stanowiły wartość dla okradanego, ale nie dla mnie. Gdy sobie to przypominam, czuję się jak gówno. Przypominam sobie te wszystkie zaskoczone spojrzenia, oczy pełne żalu, czasami łez, i czuję się jak gówno. Nie chcę się rozwodzić i opisywać tych faktów ze szczegółami, bo się wstydzę.

Drogę do najważniejszych rzeczy w moim życiu również umożliwiła kradzież.

W czasie pielgrzymki do Loreto zastanawiałem się, jaka jest wola Pana Boga dotycząca mojego życia. Zbyt dobrze znałem siebie, by sobie ufać. W trakcie podróży czytano mnie i innym pielgrzymom *Wyznania* Św. Augustyna (to patron mojego małżeństwa). Znajdował się tam fragment, który bezpośrednio otworzył mi drogę do życia w rodzinie. Św. Augustyn opisywał, jak to z kolegami kradł jabłka z cudzych sadów i jak te jabłka wyrzucał, a w samej kradzieży interesowało go smakowanie popełnianego zła. Pamiętam, że uwierzyłem wtedy Augustynowi, że Bóg jest wszechmocny i że jeżeli z perwersyjnego złodzieja jabłek uczynił wielkiego świętego, to może ochroni przed moją perwersją dziewczę, które chciałem poślubić. Ożeniłem się. Mam dzieci. I z całą pewnością jest to zasługą Miłosierdzia Bożego i wstawiennictwa św. Augustyna.

MOTTO NA KONIEC:

Dawno temu zrozumiałem, że nie zmienię świata...
Następne trzy lata zajęło mi zrozumienie, że nie zmienię nawet tego miasta...
A teraz zastanawiałem się, czy jestem w stanie zmienić bodaj samego siebie.

Batman

JAN ZIELIŃSKI

po ósme:

W ZAKŁAMANIU ŁATWIEJ

MAREK HORODNIC

Uczeń Chrystusa jest gotowy „żyć w prawdzie", to znaczy w prostocie życia na wzór Pana, trwając w Jego prawdzie.
Jeżeli mówimy, że mamy z Nim współuczestnictwo, a chodzimy w ciemności, kłamiemy i nie postępujemy zgodnie z prawdą.
(1 J 1.6)

Nie potrafię napisać nic o ósmym - ani o żadnym - przykazaniu Bożym w oderwaniu od własnej osoby. Wszelkie teoretyzowanie na ten temat jest mi obce. Poza tym nie czuję się do tego uprawniony, bo nie jestem ani teologiem, ani osobą duchowną. Z takich rozpraw płyną zwykle gotowe wskazówki „jak żyć", a ja jestem zbyt wielkim żółtodziobem, żeby próbować przekładać TĘ MĄDROŚĆ „z Bożego na nasze". Za dużo trupów miałbym potem na swoim sumieniu. Z kolei pisanie o sobie w kontekście norm moralnych, a może lepiej - przykazań życia - prędzej czy później musi się skończyć publicznym odkrywaniem swoich niewierności wobec Chrystusa.

Z drugiej strony jestem kompletnie nieczuły na, powiedzmy, „artystyczno-humanistyczne" mierzenie się z Dekalogiem. Wszystkie próby tego typu kończą się odzieraniem głosu Boga z jego wymiaru Boskiego. Pozostaje mniej lub bardziej atrakcyjny wywód z pogranicza moralności i estetyki. Czasem robi on na kimś wrażenie, ale dzisiaj niewiele potrzeba, żeby zrobić wrażenie. Najbardziej typowym dziełem tego typu jest *Dekalog* Kieślowskiego. Cykl filmowy, który niewątpliwie cechuje sprawność realizacyjna, w większej części jest nieudaną próbą przełożenia języka religii na myślenie w kategoriach etyki niezależnej (ze wszystkimi jej niekonsekwencjami). Efektem jest wybitne dzieło sztuki, którego rozmydlony przekaz raczej dezorientuje, niż ewangelizuje.

Dla mnie język dziesięciu przykazań Bożych jest językiem religijnym i właśnie jako kategorię ściśle religijną będę go traktować. Dekalog jest „do mnie" i to ja albo na niego odpowiem, albo nie. Kultura jest tutaj drugorzędna, a przynajmniej wtórna wobec moich wyborów. Dlatego wolę napisać o ósmym przykazaniu „coś od siebie", bo może ktoś po drugiej stronie myśli, że jest ze swoim rozdarciem sam. Wolę napisać coś jemu.

W ten sposób nie ucieknę od ujawnienia swojej zakłamanej natury...

Do rzeczy. Bardzo bliskie jest mi nauczanie Kościoła na temat „grzechu strukturalnego" bądź „struktur grzechu". Kategoria ta zakłada na początku, że grzech ma swoje konsekwencje społeczne, a potem, że gromadzenie grzechów indywidualnych w różnorakich instytucjach przez długi czas powoduje niemożność rozeznania, który podmiot moralny (człowiek) jest za nie odpowiedzialny. W ten sposób przez wieki społeczeństwa obrosły balastem, którego - po ludzku - nie sposób się pozbyć. Jednocześnie czuły się coraz bardziej komfortowo, bo dobrze jest wiedzieć, że to nie „ja" jestem wszystkiemu winien, lecz jakieś anonimowe struktury. Walka w takiej sytuacji staje się bezcelowa. Rozgrzeszenie przychodzi przecież tak łatwo. Neopogańskie, głęboko zdechrystianizowane społeczeństwo polskie A.D. 2004 również nie jest wolne od „struktur grzechu". Świadczy o tym moje własne doświadczenie (w dużej mierze niedyskutowalne) - czuję się w nich zanurzony bardzo głęboko. Umoczony po uszy. Często łapię się na tym, że ze ślepotą jest mi bardzo wygodnie. „Wszystko jest grzechem" - mawiali święci, więc jak tu normalnie żyć? Lepiej nie widzieć. Ta moja ślepota jest owym Janowym „życiem w ciemności". Polega ona na ciągłym okłamywaniu się, że mogę siedzieć „okrakiem na barykadzie" pomiędzy życiem neopoganina, które często z rozkoszą wiodę, a radykalnym katolicyzmem świętych Pańskich, który mnie fascynuje.

W konkretach wygląda to następująco.

Jak tu nie mieć zachwaszczonej wrażliwości, jeśli od lat całych słucha się demonicznej, onirycznej, „antysystemowej" - czy jak ją tam nazwać - muzyki, której korzenie tkwią nie wiadomo gdzie? (inni, o tak! dobrze wiedzą gdzie). Odpowiedź adwokata „struktur grzechu" jest taka: pokaż mi takich, którzy nie słuchają - nawet bardzo katolickich! Słuchają wszędzie: w radiu, w telewizji, na walkmanach, discmanach, pecetach, mac-ach, mp3 i koncertowych spędach. Dzisiaj bez muzyki ani rusz. Co w niej złego? Przecież tak ubogaca... A ja poświęcam jej trzydzieści procent mojego dnia. Czasem więcej... Kontrkulturowcy

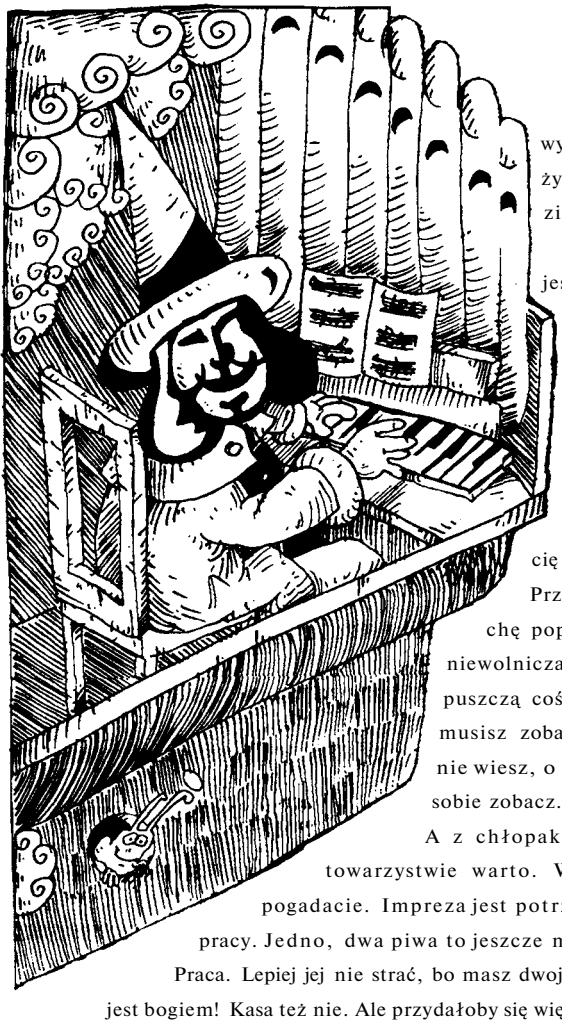

wygrali - sztuka stalą się dla mnie życiem. W małym, zamkniętym ziemskim raju na miarę.

Podstawą w życiu codziennym jest relaks. Przecież trzeba odpocząć. Telewizor jest rzeczą dobrą, O ile dobrze się go używa. Dyktat informacji i „klasycznych dziel filmowych", redakcji katolickiej 1 obchodów 25-lecia pontyfikatu Ojca Świętego. Nie obejrzysz? Jak wyrzucisz telewizor - ominą cię wszystkie ważniejsze dyskusje. Przed snem - zamiast modlitwy - trochę popykać pilotem. Kolejna „struktura niewolnicza". Telewizja - dobra rzecz! A jak puszczą coś obrazoburczego, to tym bardziej musisz zobaczyć, bo potem ci powiedzą, że nie wiesz, o czym gadasz. Ale *Pasję* i *Ojca Pio* to sobie zobacz. To Boże filmy.

A z chłopakami się nie napijesz? W dobrym towarzystwie warto. W piątek zamiast postu. O *Pasji* pogadacie. Impreza jest potrzebna dla higieny psychicznej. Po pracy. Jedno, dwa piwa to jeszcze można - byle się nie nachlać.

Praca. Lepiej jej nie strać, bo masz dwoje dzieci. Oczywiście - żaden szef nie jest bogiem! Kasa też nie. Ale przydałoby się więcej, bo trzeba żyć. Odpowiedzialnie. Za żonę i dzieci. Praca to też „struktura grzechu"? Przecież pracę masz ideową. Oszaleć można. A jeszcze żona ciosa kołki na głowie, że tak późno przychodzisz.

Nie kłap tyle językiem!!! Co, pogadać nie można? Co, kurwa, nie powiesz? Święty jesteś, czy co? Świętoszek? Język się przecież zmienił - że tak powiem - strukturalnie. A że zachwaszczony...? Nie można wciąż chorałami gregoriańskimi...!

Tak, na drodze do świętości „struktura grzechu" stoi mi okoniem. Nie ja. W zakłamaniu łatwiej.

MAREK HORODNICZY

po dziewiąte:

WEJŚCIE KOSZTUJE ROZUM

ALEKSANDER KOPIŃSKI

A na poduszce grzechu szatan Trismegista
Nasz duch oczarowany kołysze powoli
I tak trawi bogaty kruszec naszej woli
Trucizną swą ten stary, mądry alchemista.

Charles Baudelaire, Do *czytelnika*
tłum. Antoni Lange *(Kwiaty zia,* 1857)

Wyznając winy, przywdziej maskę. Miłosierny i tak o nich wie, a nie pozna cię Oskarżyciel.

XV-wieczne porzekadło hiszpańskie

Pamiętam taką gazetę popularną, rozrywkową, coś w stylu „Detektywa". Nawet one były w PRL-u szare. Ta była różowo-szara. Był tam test, który ekscytował wówczas naszą wyobraźnię uczniów ostatnich klas podstawówki. Szereg obrazków w komiksowym stylu wyobrażał różne części kobiecego ciała, jedne bardziej, inne mniej okryte. Pytanie dotyczyło męskiego ideału kobiety. Aby stwierdzić, jaki jego typ się preferuje, trzeba było wybrać odpowiedni obrazek. Mój wzrok błądził krótko. Padł na kadr, który w całości wypełniał ładnie wykreślony biust, i zatrzymał się. Objaśnienie w legendzie brzmiało mniej więcej tak: potrzebujesz ciepła i domu, w kobiecie szukasz matki. Nie pamiętam dokładnie, bo o tej diagnozie chciałem jak najszybciej zapomnieć. Nie godziłem się na przyprawienie mi gęby maminsynka (bo tyle mogłem z tego wówczas zrozumieć), nawet jeśli tylko ja sam miałbym o tym orzeczeniu gazetowych psychologów się dowiedzieć. Ale wzrok wracał uparcie do tego samego obrazka. To był na pewno ten właściwy. Nie nogi, nie biodra, nie plecy, nie pośladki, nie profil twarzy. Okrągłe piersi. Tylko ta diagnoza...

Biedny, biedny człowiek

Odpowiadający mi portret własnego przypadku znalazłem ładnych kilka lat później w *Wilku stepowym* Hermanna Hessego. W scenie, w której Harry Haller, niespokojnie kłusując nocą po mieście, trafia do gospody Pod Czarnym Orłem i tam spotyka Herminę. „Pozwól, przetrę ci okulary, przecież nic nie widzisz" - powiedziała już po chwili rozmowy. Zamówiła mu kanapkę i nalała wina. On ani nie umiał żyć, ani nie chciał ze sobą skończyć. Był głodny człowieka. Zamknięty w swej filozoficzno-literackiej wieży z kości słoniowej, nie umiał się z niej wydostać. Nawiązanie z innymi, zwłaszcza z kobietami, kontaktu, który nie byłby uczoną dysputą albo zimną kontemplacją muzyki czy sztuki, wydawało mu się nie do przezwyciężenia trudne. Hermina jednak odpowiedziała: „Zobaczysz, że jest dziecinnie łatwo. Zrobiliśmy już pierwszy krok, przetarliśmy okulary, zjadłeś i wypiłeś. Teraz pójdziemy oczyścić twoje spodnie i buty, wymagają tego. A potem zatańczysz ze mną shimmy".

Hermina zaczęła więc uczyć Harry'ego życia, właśnie takiego prostego życia, które składa się ze zwykłych codziennych czynności, jakie on dotąd lekceważył czy nawet uważał, że ma je w pogardzie, choć ta podszyta była strachem. Ze świata zmarszczonych czół i skupionych oczu wilk stepowy („Biedny, biedny człowiek. Spójrz na jego oczy! Nie umie się śmiać!" - mówił o nim niejaki Pablo) przeniesiony został w rzeczywistość, w której istniała tylko jedna bieżąca chwila - i właśnie jej należało się oddać, ją celebrować z całą maestrią. Jego nauczycielka zaś „uprawiała dziecinadę i kunszt życia chwilą" tak pięknie, tak bez reszty „ulegała zarówno każdemu wesołemu pomysłowi, jak i przelotnemu, ponuremu dreszczowi z dalekich głębin duszy l pozwalała im się wyżyć", że Harry bez zastrzeżeń został jej uczniem.

Tylko dla obłąkanych

Wszedł więc w świat spraw, jak je dotąd oceniał, błahych, różnych damskich fatałaszków, cacek, bibelotów, malowanych kwiatów i paznokci. Uczył się nowego języka, którym mógł mówić o rzeczach, jakich dotąd nie dostrzegał w dziełach „nieśmiertelnych": Goethego, Mozarta, Baudelaire'a, Schuberta, Novalisa. Wszystko teraz było dlań „plastycznym materiałem miłości, magii, podniety, było posłańcem, przemytnikiem, bronią, okrzykiem bojowym".

Nauka Herminy bywała gorzka. „Kochać idealnie i tragicznie, drogi przyjacielu, to na pewno umiesz znakomicie, nie wątpię w to, moje uznanie! - mówiła. - Ale teraz nauczysz się kochać zwyczajnie, trochę po ludzku". Tak że ze świata doskonałej, lecz niespełnionej miłości przenieść się więc musiał Harry w sferę uczuć bardziej ziemskich i ludzkich. W świat fordanserek i prostytutek. „W ogóle podejrzewam - strofowała go Hermina - że miłość traktujesz straszliwie poważnie... Troszczyć się natomiast muszę, żebyś trochę lepiej nauczył się małych, lekkich sztuczek i gierek życiowych... Bardzo by ci się przydało, wilku stepowy, przespać się znów kiedyś z ładną dziewczyną".

Jego znajomość z Herminą nie była bowiem zwykłym czy nawet niezwykłym romansem. Za kochankę wybrała mu ona piękną Marię. Potem, w teatrze magicznym Pabla - „nie dla każdego", lecz „tylko dla obłąkanych", gdzie „wejście kosztuje rozum" - bez problemu już trafił do pokoju, na którego drzwiach widniał napis: „Wszystkie dziewczęta są twoje. Wrzuć jedną markę". Wchodząc tam, Harry mógł wreszcie uwolnić tłumioną przez lata stronę swej osobowości, zrealizować dawne marzenia o Irmgardzie, Idzie, Emmie, spokojnej, nie znanej z imienia łagodnej Chince z portu w Marsylii. „Każdą dziewczynę, którą kochałem niegdyś w mojej młodości, kochałem znowu, ale każdą potrafiłem natchnąć miłością, każdej coś dać, od każdej otrzymać coś w darze. Pragnienia, sny i możliwości, które niegdyś żyły jedynie w mojej wyobraźni, były teraz przeżywaną przeze mnie rzeczywistością".

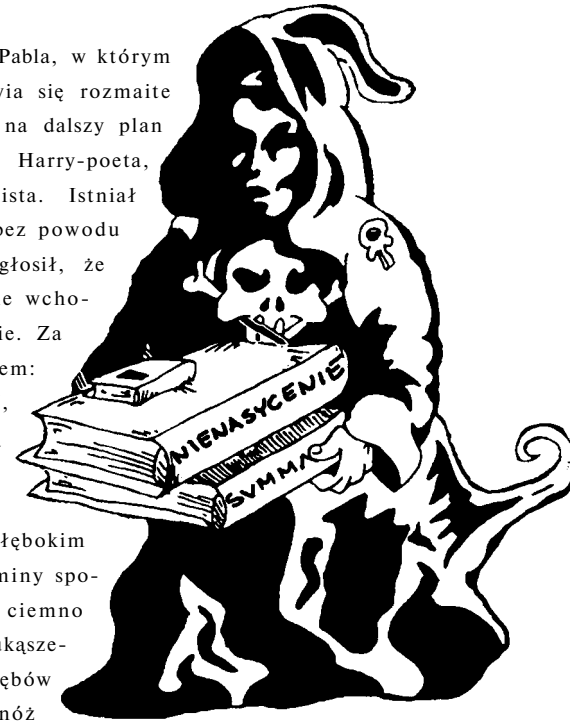

W teatrzyku osobowości Pabla, w którym jak na szachownicy przestawia się rozmaite figury tworzące nasze „ja", na dalszy plan zszedł Harry-wilk stepowy, Harry-poeta, Harry-fantasta, Harry-moralista. Istniał tylko Harry-kochanek. Nie bez powodu jednak napis na drzwiach głosił, że „wstęp nie dla każdego". Nie wchodzi się tam bowiem bezkarnie. Za ostatnimi drzwiami, z napisem: „Jak się przez miłość zabija", pojętny uczeń znalazł swą nauczycielkę i gospodarza tego niezwykłego panoptikum, nagich, pogrążonych już w głębokim śnie. „Pod lewą piersią Herminy spostrzegłem świeży, okrągły, ciemno podbarwiony ślad; miłosne ukąszenie pięknych, połyskujących zębów Pabla. W to miejsce wbiłem nóż aż po rękojeść. Krew spłynęła na białą, delikatną skórę Herminy... przyglądałem się tylko, jak krew płynęła, i widziałem, jak na chwilę otworzyły się oczy Herminy, boleśnie, głęboko zdziwione. Dlaczego jest zdziwiona? - pomyślałem".

Trochę różu na znieruchomiałej twarzy

Kim była zatem Hermina? Czy rzeczywiście była tak mądrą nauczycielką, skoro nie umiała przewidzieć prostych następstw swego działania i finał *education sentimentale* jej wychowanka tak ją zaskoczył? Czyjej imię łączy się tylko z jej hermafrodytycznym czarem, którym zwiedziony Harry pomylił ją raz nawet ze swym przyjacielem z młodości, *nomen omen* Hermanem? Czy pod jej postacią Hesse przedstawił Jungowską *animę,* żeński pierwiastek duszy wilka stepowego, z którym ten musiał się skonfrontować w procesie indywiduacji?

Czy może jej imię kojarzyć należy raczej z Hermesem Trismegistosem,

posłańcem greckich bóstw, przed którymi ojcowie Kościoła ostrzegali, widząc w nich maski demonów, wobec których ludzie ery przedchrześcijańskiej pozostawali bezbronni, nie znając ich prawdziwej, ukrytej natury? Jeśli zaś Hermina była Hermesem, to czyjego posłańca rolę grała? Ostatnia scena powieści, w której gospodarz tego obłąkanego teatru czy szachownicy osobowości, Pablo, paląc papierosa, spokojnym, demonicznym niemal gestem zgarnia ją, skurczoną do rozmiarów figurki szachowej, do kieszeni swojej kamizelki, wskazuje, że mogła być jedynie marionetką w jego czarnoksięskim przedstawieniu.

Dopiero nad stygnącym trupem Herminy Harry zdaje sobie sprawę, że cały czar, jaki nim owładnął, był ułudą: „Takie było całe moje życie, taka była odrobina mego szczęścia i miłości, jak te zastygłe usta: trochę różu na znieruchomiałej twarzy". Jego droga ku wyzwoleniu kończy się klęską. Zamiast miłości odnalazł jedynie blichtr, zamiast szczęścia - chwilowe zaspokojenie, zamiast pełnej blasku harmonii - pustkę.

Małżeństwo, czyli konieczność zdrady

Ułuda i pokusa pożądliwości stały się głównym tematem ostatniego filmu Stanleya Kubricka *Oczy szeroko zamknięte.* Państwo Harfordowie, on wzięty lekarz nowojorskich bogaczy, ona właścicielka galerii na Manhattanie, choć jeszcze młodzi, są już nieco znudzeni swą dostatnią i spokojną egzystencją. W ich życiu nagle wszystko się zmienia, gdy po jednym z wielu rautów, przypalając *jointa,* Alice opowiada mężowi, jak kiedyś, w momencie jednego spojrzenia na przystojnego oficera marynarki poczuła, że byłaby gotowa porzucić go wraz z dzieckiem, gdyby tamten tylko skinął na nią ręką. To niespodziewane dla nich obojga wyznanie zostało poniekąd sprowokowane wykrętnymi odpowiedziami Williama na pytania żony, zazdrosnej o jego pacjentki. Przypadek - ich połączona z pieszczotami rozmowa mogła przecież potoczyć się zupełnie inaczej. Mechanizm zemsty zaczyna jednak działać zgodnie z własną nieubłaganą logiką, nad którą żadne z nich nie ma władzy.

Pod pretekstem nagłej wizyty u umierającego pacjenta William wyrusza więc w nocną wędrówkę po mieście - i tak będzie odtąd każdego kolejnego wieczoru. Błąkając się bez celu, trafia to do prostytutki, gdzie cudem unika zarażenia HIV, to do wypożyczalni kostiumów, której właściciel stręczy

klientom swą nastoletnią córkę, innym razem wreszcie na tajemniczy bal maskowy, który okazuje się perwersyjną orgią ludzi z wyższych sfer. Kusząc los, szukając okazji do popełnienia zdrady i wystawiając się wciąż od nowa na próbę, Harford za każdym razem niemal w ostatniej chwili wycofuje się, rezygnuje z możliwości, jakie sam stwarza. Wszędzie gra rolę *voyeura,* impotentnego marzyciela, który swój wzrok karmi obrazami cudzej rozpusty, ale sam nie jest w stanie pójść konsekwentnie za własnymi pragnieniami.

Co sprawia, że zdradzony - wprawdzie tylko w myślach czy może aż w ten najbardziej intymny sposób - mąż nie odpłaca żonie pięknym za nadobne? Z pewnością nie decydują tu żadne względy religijne. Harfordowie to typowi przedstawiciele śmietanki Nowego Jorku, dla których więź małżeńska nie stanowi sakramentu, tylko pewien rodzaj kontraktu, z którego obie strony czerpią korzyści. Może to zatem zwykły strach? Przed czym jednak, skoro nie przed grzechem i potępieniem? Przecież, jak mówi ktoś z ich towarzystwa, urok małżeństwa polega na tym, że dla obu stron zdrada staje się czymś nieuniknionym...

Beatrycze w burdelu

Ostatnie dzieło Kubricka, którego montażu twórca *Odysei kosmicznej* nie zdążył już sam dokończyć, uznano powszechnie za nieudane, przegadane, zbyt długie i po prostu nudne. To, co krytyka i publiczność miłosiernie skłonne były uznać co najwyżej za ekstrawagancję w niemodnym już stylu, było może jego testamentem... Co więc chciał w nim przekazać, a czego nie dostrzegły gazety i ich czytelnicy?

Jedyna wartość, która ostatecznie okaże się mieć dla Harfordów znaczenie i która uratuje ich przed katastrofą, to więź miłości. Nie jest to jednak ani sentymentalne uczucie, ani łatwy moralizatorski slogan. Bohaterowie *Oczu szeroko zamkniętych* są przecież nieodrodnymi dziećmi świata, który stał się niemy, bo utracił dar mówienia o najważniejszych w życiu sprawach. Świata, który uznając, że stary język i stare słowa nie są już dłużej w stanie unieść towarzyszącej im przez wieki powagi, i odrzucając je jako sztucznie patetyczne, nie zdołał zarazem stworzyć słów nowych, na ich miejsce zaś pozwolił wtargnąć wulgaryzmom. I właśnie do jednego z tych ostatnich będzie się musiała odwołać Alice, aby odpowiednio wyrazić wagę decyzji o dalszych losach swego małżeństwa.

Harfordowie zatem, żyjąc mniej więcej podobnie jak wszyscy, szukają jednak po omacku tego, z czego inni zbyt łatwo rezygnują: sposobu na ocalenie

ich znajdującego się w kryzysie związku. Przygody Williama uczą go, że łączność z żoną jest czymś całkowicie realnym, że ich czyny, ale przede wszystkim myśli i choćby przelotne pragnienia rzeczywiście wpływają na tę drugą osobę. Zdemaskowany w trakcie balu maskowego jako nie zaproszony tam intruz, doktor ma ponieść karę, której formy może się tylko, przerażony, domyślać. Złamał tabu, wkroczył w ukryty przed profanami świat perwersyjnych rozrywek możnych, a kolega, który zdradził mu hasło otwierające drzwi do pałacu na przedmieściach, nagle w tajemniczych okolicznościach zniknął.

Wybawienie z opresji przychodzi w ostatniej chwili. Przynosi je Harfordowi kobieta, którą kiedyś uratował z zatrucia prochami. Na pozór oprowadzając doktora po pełnym okazji do zmysłowych uciech pałacu (w tym świecie Beatrycze może przybrać już tylko postać prostytutki i oprowadzać po jakimś megaburdelu), póki to jeszcze było możliwe, starała się nakłonić go do jak najszybszego opuszczenia balu (prowadziła więc Williama niejako w odwrotnym kierunku niż Hermina, kiedy edukowała w *Wilku stepowym* Harrego Hallera). Kiedy jednak na ucieczkę jest już za późno, ta nie znana Harfordowi nawet z imienia dziewczyna występuje w jego obronie, ofiarując sędziom w zamian za niego - siebie samą.

Po powrocie do domu doktor budzi swoją żonę, targaną sennym koszmarem, który okazuje się bardzo realną wizją zbiorowego gwałtu na niej.

Jak się zdejmuje maskę

Kary za przekroczenie granicy, za którą zapomina się o kochanej osobie, nie można uniknąć. Stary Reżyser jest jednak zbyt mądry, by pozostawić jedną tylko możliwość interpretacji swego obrazu. Wszak ponowoczesny widz, czyli każdy z nas, nawet jeśli zna słowa Chrystusa z Kazania na Górze: „Każdy, kto

pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa" (Mt 5, 28), to częściej śmieje się z podobnie „naiwnych" wezwań do powrotu ku dawno utraconej niewinności, niż odczuwa ich groźną powagę.

W kolejnych dniach William rozpoczyna śledztwo, chcąc sprawdzić, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy. Szuka bezskutecznie Nicka Nightingale'a, znajomego pianisty, który umożliwił mu wejście na imprezę. Znajduje w kostnicy ciało swej wybawczyni, której jak się okazuje, tym razem udało się jednak przedawkować. Z drugiej jednak strony, jeden z pacjentów-milionerów wyśmiewa jego dociekania, twierdząc, że dał się nabrać uczestnikom orgii, którzy chcieli po prostu wystraszyć profana, żeby ten przestał zajmować się kompromitującymi dla nich tajemnicami. William zauważa, że jest śledzony, lecz i to okazuje się sprawką życzliwego mu bogacza, który bojąc się o swego doktora, postanowił otoczyć go dyskretną ochroną.

Maskarada jednak trwa nadal: wracając do domu kolejnej nocy, obok śpiącej żony lekarz zastaje na poduszce własną zgubioną na balu maskę. Zdesperowany mąż postanawia wreszcie przerwać śniony na jawie koszmar. Jego tłumione nerwowe łkanie budzi żonę. Alice przygarnia go i tuli jak dziecko.

Po trwającej do świtu rozmowie Harfordowie udają się z córką na zakupy. Kupowanie dziecku prezentu pomaga obojgu wrócić do realnego świata. Do siebie nawzajem. A końcowe słowo Alice, mówiącej o tym, co teraz najważniejszego dla ich związku powinni zrobić: „Fuck", brzmi - jak słusznie zauważył jeden z bynajmniej nie życzliwych filmowi liberalnych recenzentów - jak odnowienie przysięgi małżeńskiej.

Błogosławione tchórzostwo

Od wejścia do teatru magicznego czy na bal maskowy pożądliwych myśli dzieli zawsze tylko jeden krok. Przed grą figurami własnych wcieleń na szachownicy Pabla czy założeniem maski i peleryny szukających mocnych wrażeń, starzejących się bogaczy nie ma żadnej zewnętrznej ochrony. Można tam trafić nosząc sutannę i można minąć je, nie zauważając, gdy spaceruje się ulicami Amsterdamu. Jedna chwila, kiedy wzrok i wyobraźnia stają się silniejsze od rozsądku, decyduje o rozpętaniu fascynującego widowiska...

...i przerażającego, gdy spojrzeć na nie trzeźwo, chłodnym okiem. Bo przecież żadna gra nie kończy się remisem. Zawsze ktoś zwycięża i ktoś

ponosi porażkę. Jeśli godzimy się zagrać sami ze sobą elementami swojej osobowości, jak pionkami na szachownicy, to wygrywając, poznając coś, czegoś (o sobie? o innych?) się dowiadując, musimy także czymś za tę zabawę zapłacić. Wejście do egotycznego teatru Pabla kosztuje rozum. Ceną za wejście na maskaradę perwersyjnych snobów jest miłość i cierpienie tych, którzy czekają na nas w domu. „Nie żył, kto nie przeżył szaleństwa" - to graffiti z rzymskiego muru może fascynować tylko jako zjawisko językowe. Bo dalej, za obłąkaniem czeka już tylko śmierć.

Uzdrawiając epileptyka, który rzucał się to w wodę, to w ogień (czy inaczej postępuje człowiek targany namiętnością?), a którego chorobę w dawnych czasach uznawano za rodzaj obłąkania, Jezus miał powiedzieć: „Ten zaś rodzaj złych duchów wyrzuca się tylko modlitwą i postem" (Mt 17, 21). To bez wątpienia jedna z recept na pokusy Herminy czy innej wysłanniczki najbardziej złośliwego szydercy i naszego wiecznego oskarżyciela. Kto wie, czy nie lepszą jednak usłyszałem niedawno od roztropnego zakonnika: „Z tego rodzaju pokusami nie należy walczyć. Nie wolno też z nimi się targować, dopuszczać ich do siebie. Jesteśmy na to za słabi. Jeśli się mimo wszystko pojawią, trzeba jak najszybciej uciekać".

ALEKSANDER KOPIŃSKI

po dziesiąte:

GULA SKACZE

CZYLI NAJBARDZIEJ POLSKIE PRZYKAZANIE DEKALOGU

TADEUSZ CRZESIK

Spotkanie z Naczelnym „Frondy". Mam parę tematów do omówienia, ale... właśnie śpieszę na spotkanie z X. Omówimy później... „Wiesz, na 10-lecie piszemy teksty o przykazaniach Dekalogu..." (patrzy w notatnik). „Zostałc jeszcze parę. Może byś napisał dziesiąte?". „Niezły pomysł" - zachrypiałem bez przekonania. W tej sekundzie Grzegorz odwrócił się na pięcie i tyle go widziałem. Żadnych szans na wyłganie się od tej roboty, nul.

Zabrałem się do pisania na dwa dni przed terminem oddania tekstu. Dziesiąte przykazanie. Wypowiadane codziennie... ale jakby na wydechu. Każde poprzednie konkretne, fundamentalne, olśniewająco przejrzyste, a dziesiąte... na wydechu. Dziesiąte jak pokrywka skacząca na kartoflach. Wypełnienie. Menisk wypukły Dekalogu. „Nie będziesz pożądał żadnej rzeczy przynależnej twojemu bliźniemu"...

Spotkać w rachunku sumienia własne ja, tak mocno obecne w każdym z nas, w ja społecznym, zbiorowym, przypisanym do tylu ról: ojca, pracownika, kolegi, bliźniego, podmiotu życia politycznego, mięsa wyborczego głaskanego przez wybranych przez ciebie polityków.

Przykazanie X obnaża w nas pragnienie posiadania jak dziób rozwarte do nasady ogona. Instynkt posiadania i permanentna potrzeba porównywania z poziomem zaspokojenia potrzeb u innych; nie najbliższych, ale bliźnich!!!

Jakie to negatywne skojarzenia masz z tym przykazaniem? Lecimy: zazdrość, zawiść, *Schadenfreude...*

No, zrób wreszcie rachunek sumienia: zacznij od czegokolwiek, od wczorajszego rautu:

- kiedy nakładasz kawałek ciasta, sięgasz po najokazalszy, a za tobą kolejka bliźnich do tortu...

- brylujesz nadmiernie na tym przyjęciu - odbierasz szansę prezentacji innym...

- przełykasz ślinę: jak szczerze śmiała się twoja żona z dowcipu twojego konkurenta...

- konkurent przynosi na przyjęcie butelkę niezbyt drogiego wina (cha, cha)...

- odpowiada na pytanie o nowy samochód, czerpiąc z tego nadmierną satysfakcję ...

- zwróć uwagę, jak wiele razy w ciągu tego przyjęcia użyłeś zaimka „ja"...

- tak fatalnie udało się zainwestować konkurentowi, że przyniosło to krociowe zyski (gula skacze)...

- jakie to niesprawiedliwe, że tę cenną sentencję wymyślił 50 lat temu mój bliźni: nie zazdrościmy świętym, że już są w niebie, a jednocześnie oczekujemy zbawienia i wieczności.

Ten krótki rachunek sumienia z wczorajszego przyjęcia uświadomił mi skalę ostrzeżeń wynikających z dziesiątego przykazania.

Kto z nas nie doświadczył wypieków zazdrości podczas zwykłego rodzinnego grzybobrania, kto ustrzegł się zaglądania do cudzych koszyków z grzybami. Wtedy przestajesz zbierać, przestajesz szukać po lesie, po własnych ścieżkach, wracasz do domu z pięcioma betkami... Wieczorem wódka nie wchodzi...

Stary znajomy, który wrócił w latach 90. ze Stanów, spuentował mentalność Amerykanów wydestylowaną podczas wieczornych z nimi rozmów: Amerykanie bardzo szanują ludzi, którzy na jakimkolwiek polu odniosą sukces. Wyrażają to, pilnie nastawiając ucha, kiedy nadarzy się spotkanie z kimś takim. Dlaczego? Bo od takich ludzi można się czegoś nauczyć. Słuchają bez zawiści, z nadzieją, że od takich nauk staną się lepsi. I jeszcze kiedy Amerykanin poczuje do ciebie sympatię, to każdy bez względu na to, jaka jest jego pozycja społeczna, przy szklaneczce opowie ci historię ze swojego życia, w której okazał się *the best.* Może to być historia meczu baseballowego ze szkoły, w którym zdobył zwycięskie punkty i był fetowany przez swoją drużynę.

Spotkanie po dłuższym czasie: „Co porabiasz prócz tego co zwykle?". „Kieruję z kolegą wydawnictwem X" (charakterystyczne przełknięcie śliny - gula skoczyła). „Jak idzie?". „Nieźle, ale jeszcze dopłacamy..." (gula lekko opada).

„Dużo?". „Niedużo" (gula ponownie skacze).

Dzienniki regionalne publikują właśnie deklaracje majątkowe posłów i radnych. Czy wam również dobrze się to czyta?

Konkurencyjność - wzmaga wolę działania.
Zazdrość - niech wyschnie studnia sąsiada, gdy w mojej mało wody.

Polski parlamentaryzm. Te próby okołowyborcze jednoczenia prawic i lewic. W bębnie maszyny lansującej podskakuje gula.

Polski polityk strzela, a diabeł gulę nosi. Czy Rafał Ziemkiewicz właśnie zjawisko skaczącej po polskiej krainie guli opisuje jako „polactwo"?

Niekompletna lista zbiorowych ofiar guli kulistej: UPR-y, KPN-y, ROP-y, AWS-y, SKL-e, konwenty, narodowcy, chadecy i niezapomniana Unia Wolności.

Pierwszą ofiarą zazdrości był, zdaje się, niedoszły polski Ronald Reagan, podróżujący do wyborczego zwycięstwa na słoniu. Najbardziej ekscentryczna postać,

z najbardziej eksponowaną muchą przyklejoną do najwydatniejszej grdyki na polskiej ziemi, w dodatku na największym z żyjących na ziemi zwierzu.

Tego było za wiele dla tubylczego plemienia. Skoczyła w górę grdyka elektoratowi i z kropiastej muchy oderwała się jedna kropka, która opadła wpierw na słonia, a potem na bruk, na którym zaniemówił elektorat i nie zagłosował, i przypieczętowała przegraną.

Było już o grzybach, więc może trochę o rybach? Czy to nie najbardziej znana postać III RP zdradza do dziś perwersyjne wręcz przywiązanie do tej pasji...

Taaaka ryba! Od zawsze u wtajemniczonych powoduje znane strzyknięcie śliny w przełyku, wyzwalające zawistne pragnienie nawet nie tyle przywłaszczenia samej ryby, ile raczej przegryzienia żyłki, na której ona wisi, tuż przed wyciągnięciem zdobyczy. Uwolnienia trzymającego wędkę przed pokusą wprawienia w zawistne drżenie stojącej na brzegu wędkarskiej gawiedzi.

Czy Zasłużony Wędkarz nie jest autorem teorii „zderzaków politycznych"?

Jeżeli któryś z innych politycznych współpracowników jest politycznie skuteczny, to zawsze jest skuteczny zanadto! Jest zderzakiem do wymiany...

Inaczej zapisał się nasz polski Mahatma Gandhi na froncie walki z Imperium Zła. Zamiast zostawić zasługi dla niepodległości tym, którym one przynależały, wieczerzał przy okrągłym stole z niegdysiejszymi oprawcami i to im oraz kręgowi masochistycznych fakirów, z którymi dzielił maty, po chrześcijańsku po wsze czasy przypisał zasługi. Prawdziwych zwycięzców pozostawiając swemu losowi. Gula skacze.

Na inauguracji poszerzenia Unii Europejskiej w Dublinie każdy kraj reprezentowany jest przez jednego przedstawiciela, tylko z Polski dwoma samolotami ścigają się dwaj oficjele. Trwa między nimi przepychanka, kto wciągnie na maszt biało-czerwona flagę.

Rutynowa kontrola PIT-u w urzędzie skarbowym. Nieodparte wrażenie, jakby urzędnik czytający deklarację z zafrasowaną miną szybko dodawał w myśli swoje dochody do tego, co ma na boku, i przekonanie, że jeśli wpisałeś sumę większą, nie będzie neutralnie życzliwy.

A może by tak słynny tunel nad Wisłą z jednej strony zamurować z przeznaczeniem na zbiorową kryptę dla ofiar skaczącej guli polskiej, gdzie będą wjeżdżały z dozwoloną prędkością majestatycznie martwe... i w taki oto sposób zdejmiemy z dziesiątego przykazania przymiotnik „polskie".

TADEUSZ GRZESIK

Alla Da Balla

PRZYGODY ZAMASKOWANEGO BOHATERA

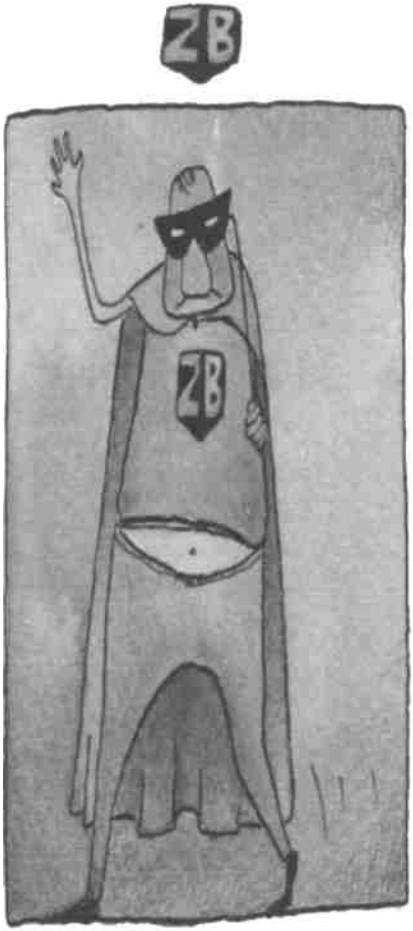

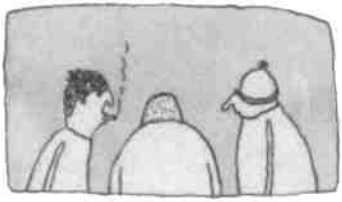

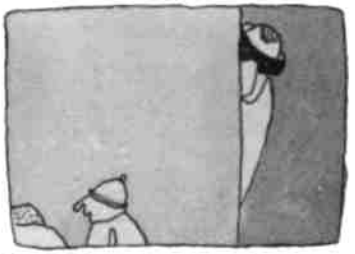

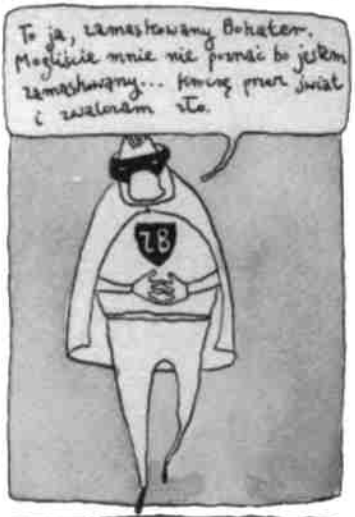
To ja, zamaskowany Bohater. Możliście mnie nie poznać bo jestem zamaskowany... kocham mój świat i zwalczam zło.
78

Nie czynicie tak już więcej. Sprzedawanie narkotyków jest złem! Dość tego! POTRZYMAĆ !!!

Przepraszamy, to wina ciężkich warunków naszego dzieciństwa, telewizji, niewłaściwego, a nawet niezadbanego kryminogennego środowiska. Nie raz i nie dwa brakowało nam perspektyw. Mamy dziedziczne wady postawy, dyslektyje, i trzęsiotr. Nie wiedzieliśmy, że to które wyrządzamy jest przyczyną realnych cierpień osób trzecich.

DOBRO TRIUMFOWAŁO
Płynie wyspa płynie...
...fikn miku towar ginie.

EPILOG
rośnie!!! wieszamy!!!
przynieście chłopaki.

Ten spór nie toczy się o to, jak niektórzy z nas będą umierali, tylko jak my wszyscy będziemy żyli.

W KRAINIE

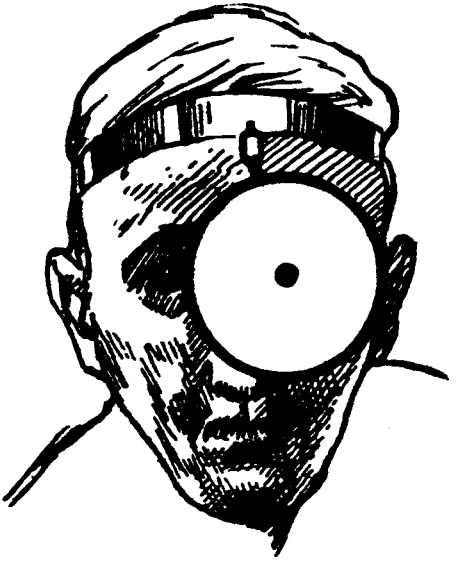

EUTANAZJI

RYSZARD FENIGSEN

„Ta książka o eutanazji jest najlepszą rzeczą, jaką na ten temat kiedykolwiek czytałem" - tak o pracy Ryszarda Fenigsena *Eutanazja. Śmierć z wyboru?* **wyraził się Leszek Kołakowski. Doktor Fenigsen, urodzony w Radomiu, od 1968 roku przebywający na emigracji, przez 20 lat był lekarzem-kardiochirurgiem w Holandii, gdzie miał możliwość obserwowania postępów mentalności i praktyki proeutanazyjnej. Oto kilka jego refleksji na ten temat.**

Nie sądzę, żeby dążenie do eutanazji było czymś, co pojawiło się dopiero w obecnym czasie. W Przysiędze Hipokratesa eutanazja jest zabroniona, to znaczy lekarz składa przysięgę, że nawet jeżeli go o to poproszą, nie poda trucizny żadnemu choremu. Zatem 2400 lat temu były już takie próby, a więc eutanazja jest starą sprawą. Niewątpliwie wynika to po prostu z tragedii człowieka, który jest jedyną żywą istotą świadomą tego, że musi umierać - w pełni świadomą, od kiedy się dowiaduje, że jest śmiertelnie chory. Ruch na rzecz eutanazji odwołuje się więc do prastarych powszechnych problemów ludzkości, odwołuje się do bardzo głęboko tkwiących lęków przed tym, co się z człowiekiem ma stać: przed cierpieniem i przed przejściem w niewiadome. Istnieją bardzo realne powody po temu, aby dostrzegać, że odpowiedź na ten problem jest fałszywa. Niczego nie rozwiązuje - zamiast umrzeć, jak wszyscy, mamy ze strachu przed śmiercią wzajemnie się pozabijać. To oczywiście nie jest żadne rozwiązanie problemu.

O kryptanazji, czyli eutanazji niedobrowolnej - bez wiedzy i zgody pacjenta

Pisałem o kryptanazji, zanim jeszcze ukazały się wyniki badań przeprowadzonych przez rząd holenderski, i to tylko w oparciu o spostrzeżenia pojedyncze. Ale kiedy rząd holenderski, dwukrotnie zresztą, bo najpierw w 1990, potem w 1995 roku, ponownie przeprowadził ogólnokrajowe badania nad praktyką eutanazją - i to w warunkach zapewniających dyskrecję i anonimowość tych lekarzy, którzy udzielali wywiadów - okazało się, że znaczna część przypadków eutanazji to przypadki eutanazji niedobrowolnej. W 1990 roku okazało się, że 2300 osób poddało się eutanazji na własną prośbę, 400 osób poprosiło o pomoc w popełnieniu samobójstwa, a 1000 osób poddano eutanazji, chociaż nie prosiły one o to ani nie wyrażały na to zgody. Nie kryje się za tym jakieś zbrodnicze nastawienie lekarzy. Oni uważają się za bardzo prawych, wierzą, że robią to, co można zrobić najlepszego dla nieszczęśnika, który cierpi i sam nie jest na tyle mądry albo przytomny, żeby poprosić o eutanazję. A wtedy wyciąga się pomocną dłoń i kończy się jego życie, nie pytając go o zdanie. Do tej liczby 1000 przypadków, która zresztą w 1995 roku zmniejszyła się do 900, należy dodać kolejne ofiary kryptanazji, które w raporcie rządowym figurują pod hasłem „zwalczanie bólu". Okazuje się, że w 1990 roku aż 4940 osób, które zmarły wskutek przedawkowania środków przeciwbólowych: (morfiny i po-

dobnych środków), nie wyrażało na to zgody ani o to nie prosiło. Ogromna grupa ludzi została więc poddana niedobrowolnej eutanazji pod pretekstem zwiększania dawki środków przeciwbólowych. Mówię tu tylko o tych przypadkach, w których celowym zamiarem lekarzy było zakończenie życia chorych poprzez przedawkowanie morfiny i w których pacjenci nie wyrażali na to zgody. Nie ulega wątpliwości, że nie jest to dobrowolna eutanazja. Ale, jak powiadam, lekarze ci nie uważają się bynajmniej za przestępców, oni uważają się za dobroczyńców swoich pacjentów i ludzkości.

Od 1985 roku działa liczące kilkadziesiąt tysięcy członków Stowarzyszenie Pacjentów Holenderskich, które występuje przeciw eutanazji. W jego publikacjach wielokrotnie pojawiały się ostrzeżenia przed kryptanazją, to znaczy przed tym, że chory może być potajemnie pozbawiony życia w szpitalu. Stowarzyszenie w porozumieniu z Fundacją „Azyl" wydało również tak zwane przepustki do życia. W dokumentach tych było napisane: „Nie życzę sobie eutanazji, nie życzę sobie, żeby cokolwiek robiono, aby skrócić moje życie". Oczywiście, gdyby ludzie mieli zaufanie do rządów prawa, przepustki do życia byłyby niepotrzebne. I gdyby eutanazja odbywała się tylko dobrowolnie, przepustki też byłyby niepotrzebne, bo wystarczyłoby o eutanazję nie poprosić. Ale rzeczywiście niektórzy ludzie noszą ze sobą takie przepustki do życia, bo boją się, że potajemnie zostaną życia pozbawieni. Wiedzą dobrze, że lekarz, który ich uśmierci, nie będzie ukarany, bo nikt za to nie był w Holandii karany.

Dane opublikowane w sprawozdaniu Komisji (chodzi o powołaną przez rząd Holandii 17 stycznia 1990 roku Komisję do Zbadania Praktyk Lekarskich w Zakresie Eutanazji) wskazują, że rocznie zdarza się w Holandii 14 691 przypadków niedobrowolnej eutanazji. Liczba ta stanowi 11,3 proc. wszystkich zgonów w kraju.

Ryszard Fenigsen, *Eutanazja. Śmierć z wyboru?*

Nie ma czegoś takiego jak „nadużycie eutanazji"

Może wydam się zbytnim zwolennikiem ścisłości w tych sprawach, ale protestuję przeciwko używaniu terminu „nadużycie eutanazji". Ponieważ eutanazja sama przez się jest straszliwym nadużyciem zaufania i obowiązku jednego człowieka wobec drugiego. Można mówić o rozmaitych głupstwach, absurdach, przestępstwach czy lekkomyślnym postępowaniu związanym z eutanazją, ale eutanazja sama w sobie już jest nadużyciem. Wśród członków stanu lekarskiego, tak jak w każdym zawodzie, są rozmaici ludzie, między innymi także głupi, emocjonalnie chwiejni lub moralnie nieodpowiedzialni, ale dopóki w medycynie obowiązywał żelazny zakaz szkodzenia choremu, nie wyrządzali oni nikomu krzywdy i nie odbierali nikomu życia. Kiedy jednak, tak jak w Holandii, eutanazja stała się rozwiązaniem akceptowanym przez społeczeństwo, przez sądy i przez stan lekarski - to właśnie ci mniej wartościowi lekarze pierwsi zainteresowali się tą nową „dziedziną" medycyny. I skutki tego widzimy. Są liczne przykłady na to, że eutanazję przeprowadzano z powodów absolutnie nie związanych ze stanem samego chorego, ale z przyczyn ściśle związanych z tymi, którzy je przeprowadzali. Jest taka klasyczna już publikacja napisana przez Hilhorsta, specjalistę chorób płucnych, który sam opowiadał o tym, jak leczył pewnego chorego, który rozpaczliwie czepiał się życia, ale - powiada lekarz - wreszcie się tak zniecierpliwił, że w napadzie gniewu zabił pacjenta kroplówką dożylną. Takie rzeczy się dzieją.

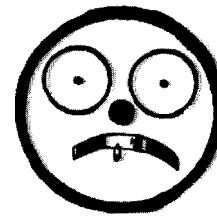

Są fanatycy, którzy uważają, że powołaniem lekarza jest przede wszystkim umożliwić współbliźnim łagodne przejście na tamten świat. Był w Rotterdamie doktor Wotheist, który sam o tym mówił i wielokrotnie sam wprowadzał to w czyn. Chciał zabić, nie znając rozpoznania, nie wiedząc, co choremu jest, dlatego że chory bełkotał i był mało przytomny, ale był mało przytomny, bo lekarz sam mu zapisał valium, o czym widocznie już nie pamiętał. Ta akurat eutanazja nie doszła do skutku, dlatego że odstawiono valium i chory zaczął normalnie rozmawiać. Można by zresztą godzinami mówić o podobnych przykładach. Ale jak powiadam: to nie są nadużycia eutanazji, to jest część eutanazji.

Inna ważna przyczyna, która sprawia, że dobrowolnej eutanazji musi towarzyszyć eutanazja niedobrowolna, leży w samej logice eutanazji. Kto wierzy i głosi, że pozbawienie człowieka życia, aby uwolnić go od cierpień, jest dobrodziejstwem, nie ma prawa pozbawić niektórych cierpiących tego dobrodziejstwa tylko dlatego, że nie są w stanie sami o to poprosić.

Ryszard Fenigsen, *Eutanazja. Śmierć z wyboru?*

O „jakości życia" i oczyszczaniu społeczeństwa

Dużą rolę odgrywa chęć eliminacji ze społeczeństwa bezużytecznych jednostek - i to przede wszystkim noworodków i dzieci kalekich. Jeżeli się przeczyta teksty, w których omawiana jest ta sprawa - między innymi tekst uchwalony przez synod dwukrotnie reformowanego Kościoła holenderskiego jako wytyczną w sprawie eutanazji - to zrozumie się dokładnie, o co chodzi. O tych dzieciach się mówi tam, że są to nieudane, nieukształtowane, po prostu nieludzkie istoty, których życie nie przedstawia żadnej wartości. Mówi się, że zaraz po urodzeniu nikt nie sprzeciwiłby się eutanazji w przypadku na przykład rozszczepu kręgosłupa połączonego z wodogłowiem i późniejszym uszkodzeniem mózgu. Liczy się tu nie litość, na którą się powołują, nie współczucie, nie chęć uchronienia tego dziecka przed przyszłością, która będzie pełna cierpień, ale wstręt, strach przed zniekształconym człowieczkiem, chęć niedopuszczenia go do wspólnoty żywych. Właśnie ta chęć oczyszczania społeczeństwa gra tu przede wszystkim rolę.

Kiedy badano motywacje lekarzy, którzy odbierają życie starym ludziom bez ich zgody i wiedzy, powoływali się oni na to, że „jakość życia" tych pacjentów była zbyt niska. W 30 proc. wypadków powoływali się też na to, że chorzy zbyt cierpieli - chociaż jeśli byli nieprzytomni (ą większość była nieprzytomna), to nie wiadomo, czy oni w ogóle mogli cierpieć. Lekarze sięgali również po argument, że zdarzało się, iż taka rodzina nie mogła tego już dłużej znieść. To bardzo ważny element - rodzina, która nie może znieść chorego. A więc nie dla samego chorego, ale dla kogoś innego trzeba tego chorego usunąć.

Termin „jakość życia", wprowadzony jakieś 30 lat temu przez Masłowa, stal się terminem bardzo niebezpiecznym i szkodliwym, a także fałszywym. Zakłada się, że to jest jakaś wartość obiektywna, ale w rzeczywistości już sam punkt wyjścia jest stronniczy, bo kto mówi o „jakości życia", ten zakłada, że życie samo, jako takie, niezależnie od jego jakości, nie ma wartości absolutnej. Ponadto zakłada się, że „jakość życia" to rzecz obiektywnie mierzalna, a zatem nie tylko sam chory, może zresztą najmniej on sam, ale właśnie inni ludzie są w stanie ocenić jego „jakość życia". Skoro mogą ją oszacować, to mogą też dojść do wniosku, że jest ona niedostateczna, a skoro jest niedostateczna, to mogą też poczuć się do obowiązku, aby to życie skrócić - dla dobra samej ofiary. W ten sposób powiedzmy, Stephen Hawking, największy fizyk świata, który jest sparaliżowany i porozumiewa się tylko za pomocą maszyny, który w tym stanie ożenił się dwukrotnie i miał troje dzieci, który zrobił wspaniały doktorat z fizyki, dokonał wielkich odkryć w fizyce teoretycznej i napisał niezmiernie popularną książkę pt. *Krótka historia czasu,* powinien zostać - jeżeli zastosujemy metodę mierzenia „jakości życia" - oceniony bardzo nisko. Podobnie jak wszyscy ludzie z amputowanymi kończynami czy wszyscy ślepi, chociaż mogą być szczęśliwi w małżeństwie, mogą być doskonałymi pracownikami i mieć rozmaite osiągnięcia, to ich „jakość życia" też nie będzie na poziomie. Widać, że ten termin prostą drogą prowadzi do eksterminacji.

O prawie do wolności, swobodzie wyboru i godności życia

Ogromna większość tych, którzy głośno się wypowiadają za wspomaganym samobójstwem i eutanazją, to ludzie zdrowi - młodzi lub w sile wieku, dla których cała ta perspektywa jest bardzo odległa i na razie dotyczy innych. Kiedy natomiast bada się ludzi starych lub ciężko chorych, wtedy stanowiska są zupełnie inne. W Ameryce hasło wspomaganego samobójstwa odwołuje się do głęboko zakorzenionych, popularnych w społeczeństwie pojęć. Do wolności - każdy jest za wolnością. Do swobody wyboru - „chcę mieć swobodę wyboru, mogą być różne możliwości, ale chcę mieć swobodę wyboru". Do godności - wmówiono społeczeństwu przy pomocy potężnej propagandy, że umieranie w naturalny sposób pozbawia człowieka godności. To wielka nieprawda. Ani naturalny sposób umierania, ani umieranie z pomocą rozmaitych urządzeń w żaden sposób nie pozbawiają człowieka godności. Nawet jeżeli

ktoś ma kroplówkę i maskę tlenową, i coś tam jeszcze, i nawet cewnik, to czy odbiera to godność prawym, odważnym, troskliwym ludziom - naszym rodzicom, naszym współmałżonkom, którzy tak chorują i tak są leczeni? W żaden sposób za pomocą tych urządzeń medycznych nie można odrzeć człowieka z godności. Jedyny sposób na śmierć bez godności, to poprosić fachowca, żeby cię zabił. Ale te frazesy o godności bardzo przemawiają do społeczeństwa amerykańskiego. Szermując tymi fałszywymi hasłami - wolności, swobody wyboru i godności - omotano Amerykanów tak bardzo, że w pierwszym odruchu opowiedzieli się oni za wspomaganym samobójstwem.

To, że pacjenci pragną eutanazji, nie jest zjawiskiem powszechnym, ale to się przecież zdarza i zawsze się zdarzało. Teraz oczywiście zdarza się częściej, ponieważ ludzie są pod przemożnym wpływem potężnej propagandy na rzecz eutanazji. Wytłumaczono im, że to jest słuszne, że to jest postępowe, że to jest nowoczesne rozwiązanie, że to jest aprobowane przez społeczeństwo i przez wszystkich i że dla wszystkich tak będzie najlepiej.

Na temat nieznośnych cierpień można powiedzieć z pewnością dwie rzeczy. Pierwsza jest taka, że - jeśli chodzi o ból - prawie nie ma przypadków, w których nie można by go było uśmierzyć. Zwłaszcza że bardzo rozwinęła się medycyna paliatywna. Poza tym wszystkie statystyki pokazują, że ci, którzy poddają się eutanazji, robią to nie z powodu bólu, lecz raczej z obawy przed bólem, którego jeszcze nie doświadczają. Robią to, bo boją się, że przestaną kontrolować swój los, staną się zależni od innych, np. jeśli chodzi o funkcje fizjologiczne, że utracą godność, że będą ciężarem dla rodziny itd. Oczywiście bywają sytuacje i stany rzeczywiście straszne, tylko trzeba sobie powiedzieć: nie na wszystko jest rada, są rzeczy, wobec których jesteśmy bezradni, i trzeba to niestety zaakceptować, pochylić się przed tym.

O doktorze Kevorkianie

Doktor Jack Kevorkian, z wykształcenia patolog, ale nie pracujący w tym zawodzie od wielu lat, dokonał około 130 eutanazji, tzn. 130 osobom dopomógł w popełnieniu samobójstwa. Najpierw wykorzystywał do tego maszynę, którą sam skonstruował, a która była tak pomyślana, że chory sam musiał nacisnąć guzik, żeby trucizna spłynęła do jego żył - z tym Kevorkian miał trudności, bo przecież nie jest i nigdy nie był praktykującym lekarzem, więc często nie mógł

się wkłóć do żyły. Dlatego potem sięgnął po inny sposób, mianowicie używał balonu z czadem, który przez maskę chory sobie wdychał i w ten sposób popełniał samobójstwo; a Kevorkian był przy tym obecny. Jest to człowiek, który zaczął swoją karierę jeszcze jako student medycyny od tego, że prosił pielęgniarki, aby go zawiadamiały, kiedy ktoś jest bliski śmierci, bo on chce oglądać to wydarzenie. W niewiadomym celu próbował fotografować dno oka u umierających. Opublikował kilka artykułów, w których proponował, żeby przeprowadzić doświadczenia lekarskie na więźniach albo żeby pobierać narządy do przeszczepiania u skazanych na śmierć, notabene w Chinach to się praktykuje. Widać więc, że Kevorkian to człowiek, który znajduje się poza naszym kręgiem cywilizacyjnym, inaczej mówiąc, skrajny psychopata. Przez długi czas był bezkarny, ławy przysięgłych trzykrotnie go uniewinniały. Ale wreszcie przekroczył pewną granicę, mianowicie, wstrzyknął choremu na stwardnienie zanikowe boczne - ciężką chorobę neurologiczną - truciznę, sfilmował to i pokazał w ogólnokrajowej telewizji CBS, w popularnym programie ***60 minut.*** Tym razem, kiedy przedstawiono ławie przysięgłych kasetę wideo, pokazującą, jak Kevorkian zabija człowieka, został on skazany za

morderstwo i obecnie siedzi w więzieniu. Wiadomo, że Kevorkian pomógł w popełnieniu samobójstwa co najmniej kilku osobom, które prawie w ogóle nie były chore albo narzekały np. na bóle mięśniowe. Była też jedna kobieta z lekką depresją ze stanu Massachusetts, która została ofiarą Kevorkiana, cierpiąc tylko na chorobę, którą dałoby się wyleczyć aspiryną.

Jeden błąd chciałbym sprostować, mianowicie, że można przekonać prawdziwych zwolenników eutanazji, iż nie mają racji. Otóż nie można, bo to jest kwestia pewnych podstawowych wyborów, których my dokonaliśmy i oni też dokonali - ale w inny sposób. Prawdę mówiąc, w dialog z nimi nie wierzę. Wierzę natomiast w dialog z tymi, którzy bez większego zrozumienia, bez większego namysłu przechylają się na tamtą stronę. Ich można przekonać. Przede wszystkim poprzez ukazywanie zła i absurdu eutanazji oraz jej skutków.

O trywializacji życia i śmierci

Profesor Margaret Sommerville z Toronto, prawnik, specjalistka od prawa ochrony zdrowia, została zaproszona do Holandii na jubileusz 25-lecia Holenderskiego Stowarzyszenia Prawa Ochrony Zdrowia. Wygłosiła wtedy przemówienie bardzo krytyczne wobec eutanazji. Potem było przyjęcie, podczas którego jeden z uczestników zebrania, lekarz domowy, Holender, podszedł do pani Sommendlle i powiedział: „Proszę pani, dam pani przykład i pani chyba również się ze mną zgodzi, że w tym wypadku eutanazja była uzasadniona". Pani Sommerville spodziewała się usłyszeć o kimś, kto dusi się z powodu daleko posuniętej choroby neurologicznej albo czegoś w tym rodzaju. Okazało się, że nie. „To była kobieta, która miała osiemdziesiąt parę lat, bardzo wykształcona, elegancka osoba, wdowa po dyplomacie, z którym wiodła wspaniałe życie w rozmaitych stolicach całego świata. Dzieci nie mieli, on umarł, jej przyjaciele także, i ona została sama. Co tydzień, bo co tydzień do niej chodziłem, prosiła mnie, żebym dał jej zastrzyk, po którym usnęłaby na zawsze. Trwało to trzy miesiące, ja się opierałem, ale wreszcie to zrobiłem". Na to pani Sommerville spytała: „A czy nie przyszło panu do głowy, żeby jej kupić kota?". „Nie - odpowiedział ten doktor - ale wie pani, że to by był świetny pomysł". Dla niego najwyraźniej to były porównywalne rzeczy: kupić kota lub zabić.

Zbigniew Żylicz opowiada! o przypadku, kiedy chory miał się poddać eutanazji i, jak to nieraz bywa, z Kanady przyjechała rodzina, żeby przy tym być. Ale on się rozmyślił i powiada: „Nie chcę. Nie chcę dzisiaj i nie chcę w ogóle. Ja już tego nie chcę". Ale zaczęto wywierać na niego nacisk: „Jak to? Ludzie przyjechali z Kanady. Drugi raz już nie będą mogli przyjechać". Czasem też bywa tak, że przyspiesza się eutanazję, dlatego że syn został przyjęty na uczelnię i musi zdążyć na inaugurację roku akademickiego, a jeszcze chciałby być przy zgonie ojca. Albo odkłada się eutanazję - to bardzo częsta praktyka - bo chory chce jeszcze święta spędzić z rodziną, bo za trzy tygodnie Boże Narodzenie. A przecież jeśli może wytrzymać trzy tygodnie, to może mógłby i cztery. Albo i więcej. Rzadziej odkłada się eutanazję z powodu Wielkanocy, ale z powodu Bożego Narodzenia naprawdę często. Nie wiem, czy to jest przejaw pogardy dla życia ludzkiego, ale zostało ono strywializowane. Życie i śmierć stały się rzeczami trywialnymi.

Było przynajmniej jedno znane mi badanie, przeprowadzone przez panią Wagner w Holandii wśród pacjentów hospitalizowanych. Wykazało ono, że wielu chorych obawia się własnych rodzin, które w pewnych sytuacjach mogą zadecydować o pozbawieniu ich życia, zwłaszcza kiedy eutanazja jest akceptowana. Nie znaczy to, że sytuacja rodzinna wpływa na postęp ruchu na rzecz eutanazji, raczej odwrotnie: to postęp w ruchu na rzecz eutanazji rozbija rodzinę.

Szczególnie w Holandii bardzo często zdarza się, że całe rodziny akceptują eutanazję i uważają ją za jeszcze wyższy stopień miłości. Rozmawiałem kiedyś z pewną kobietą, która powiedziała mi: „Czy słyszałeś o tej pani, która pomogła matce popełnić samobójstwo? Nazbierała tabletek nasennych na prośbę tej matki i pomogła jej popełnić samobójstwo. Ale cóż, oskarżono ją, musiała stanąć przed sądem i tłumaczyć się z tego bardzo długo - okropne przeżyła rzeczy. Wprawdzie jej nie skazano, ale naprawdę to były okropne przeżycia. Ona napisała o tym wszystkim książkę. Czytałeś może tę książkę?". Odpowiedziałem, że nie, a kobieta na to: „Właśnie dlatego, że tak kochała matkę i że chciała jej pomóc w samobójstwie, musiała tyle się nacierpieć".

„Po pierwsze - spytałem - czy myślisz, że to niedobrze, że ona stanęła przed sądem, że można tak zabić mamusię i koniec, żadnych pytań? Tak ma być? Bo ja myślę, że jeśli ktoś z takich czy innych powodów zabił kogoś czy pomógł mu popełnić samobójstwo, to musi się z tego tłumaczyć, i to nawet grubo tłumaczyć. A po drugie, ta książka powstała dosyć szybko, czy myślisz, że kiedy ona zbierała te tabletki i kiedy rozmawiała z matką na ten temat, to już wtedy przypadkiem nie miała w planie napisania tej książki?". „No wiesz, to bardzo nieładnie tak mówić" - skwitowała moja rozmówczyni. „A matkę zabić to ładnie?" - nie pozostawałem dłużny. „Mam prawo być nieprzyjemny, mam prawo zadawać nieprzyjemne pytania", a więc z rodzinami rozmaicie to bywa. Sam pamiętam przypadek, kiedy syn pewnego starego, chorego człowieka postawił mnie przed wyborem: albo posłać go do domu dla starców, albo zrobić eutanazję, dlatego że on już dosyć żył, nawet za długo i nie musi już dłużej żyć.

„Nie chcę żyć w takim społeczeństwie"

Pokusa, żeby skończyć z własnym życiem, zdarza się u wielu ludzi. Zdarza się nawet u uczniów gimnazjum. Ale nie o to chodzi, czego się człowiekowi chce, tylko o to, jak społeczeństwo na to patrzy, jak reaguje i czy na to pozwala. Bo społeczeństwo istniało zawsze po to, żeby zapewnić ludziom życie, żeby zabezpieczyć ich życie. Po to się ludzie od najdawniejszych czasów gromadzili. Społeczeństwo, które przekształca się w swoją odwrotność i zaczyna zabijać, zaprzecza racji swojego istnienia. Tak więc zasadniczym problemem jest nie to, czego się indywidualnemu pacjentowi zachce, tylko to, jak zareaguje na to społeczeństwo. Oparte na ludzkich zasadach społeczeństwo wyraża następującą prawdę: „Chcemy, żebyście wszyscy tu byli, każdy z was ma prawo tutaj być, chcemy was zatrzymać tutaj, między nami". A społeczeństwo, które aprobuje eutanazję, powiada: „Jeżeli masz ochotę zniknąć, to nie mamy nic przeciwko temu" - i to w najlepszym wypadku, stosując najbardziej dobrowolną formę eutanazji. Chodzi więc nie o indywidualne popędy, które mogą być rozmaite, ale o to, jak reaguje na nie społeczeństwo i jak w związku z tym się organizuje.

Stan lekarski, który przechodzi taką ewolucję, którego członkowie zaczynają pozbawiać pacjentów życia, to okropność, z którą ja nie mogę się pogo-

dzić. Społeczeństwo, które to aprobuje, to społeczeństwo, w którym ja nie chcę żyć. A świat, w którym to będzie aprobowane, to taki świat, w którym naprawdę nie będzie można żyć. Dlatego niebezpieczeństwo zatacza naprawdę szerokie kręgi. Nie tylko o to, że kogoś bez jego wiedzy i woli pozbawia się życia, ale jak powiedział jeden mądry człowiek, który dobrze zrozumiał, co się dzieje: „Ten spór nie toczy się o to, jak niektórzy z nas będą umierali, tylko jak my wszyscy będziemy żyli".

RYSZARD FENICSEN

PS Po przejściu na emeryturę dr Ryszard Fenigsen przeniósł się z Holandii do USA. Powyższe wypowiedzi pochodzą z nagrania dokonanego wiosną 1999 roku w Cambridge w stanie Massachusetts.

W Holandii wielu starszych ludzi czuje, że ma obowiązek umrzeć wcześniej. Czują, że powinni umrzeć dla dobra dzieci, ludzi wokół, tak by nie stać się dla nich ciężarem. Nie jest przyjemnie patrzeć, jak ktoś cierpi, odwiedzać go, więc starzy ludzie robią przysługę, odbierając sobie życie. To dramat, gdy ktoś chce się zabić dla dobra tych, których kochasz.

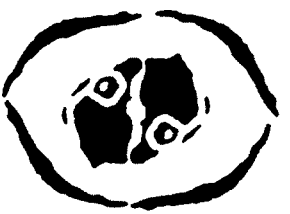

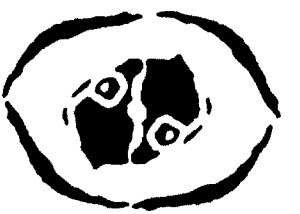

ŚMIERĆ *jako* FORMA TERAPII

ROZMOWA Z HENKIEM REITSMĄ

Henk Reitsma - kierownik centrum młodzieżowego w Ekkeviel koło Nimmwegen w Holandii

Miałeś bardzo smutne osobiste doświadczenie z eutanazją. Czy mógłbyś o nim opowiedzieć?

Mój dziadek został poddany eutanazji w styczniu 1996 roku. Przed śmiercią mieszkał w domu spokojnej starości, gdyż pięć lat wcześniej miał wylew i połowa jego ciała była sparaliżowana. Zachował pełną sprawność intelektualną, miał świetny kontakt z rodziną, babcia mieszkała dwie ulice dalej i każdego

dnia go odwiedzała. Jesteśmy dość liczną rodziną, mam wielu kuzynów i wszyscy bywaliśmy u dziadka bardzo często. Dziadek był kimś w rodzaju „rodzinnego patrioty", lubił mieć wszystkich wokół siebie, czas spędzany z nim był zawsze bardzo radosny.

W grudniu 1995 roku pojawiły się u niego problemy z dziąsłami, toteż lekarz rodzinny wysłał go na biopsję, aby sprawdzić, czy to nie rak. W styczniu przyszły wyniki. Okazało się, że dziadek ma początkowe stadium raka układu limfatycznego. Zapytałem moją siostrę, która jest lekarzem, o prognozy. Powiedziała, że w jego wieku - miał wtedy 80 lat - to około trzech lat; przez pierwsze półtora roku nie ma żadnych poważniejszych zmian, późniejsze stadium choroby może być bolesne. Jednak tydzień później mój dziadek nie żył.

Co się stało? Otóż lekarz rodzinny, gdy otrzymał wyniki, zdecydował, że oszczędzi dziadkowi cierpienia i natychmiast rozpoczął terapię - jeśli można to tak nazwać - polegającą na podawaniu zwiększonych dawek morfiny oraz wstrzymaniu posiłków i napojów. Nasza rodzina odkryła to na dzień przed śmiercią dziadka. Ostatni raz odwiedziłem go sześć dni przed jego śmiercią, byłem bardzo zdziwiony, że jego stan tak szybko się pogorszył, był otumaniony, nie było z nim żadnego kontaktu. Siostry powiedziały nam, że to z powodu walki z bólem spowodowanym zakrzepem w nodze. Mówiły, że to jest przyczyna podawania środków przeciwbólowych. Przedostatniego dnia jedna z moich ciotek chciała mu podać wodę, na co zareagowała jedna z pielęgniarek: „Proszę tego nie robić". Ciotka zdziwiona zapytała: „Dlaczego? Przecież widać, że on jest spragniony". Wtedy siostra odpowiedziała: „To tylko przedłuża jego cierpienia, miałyśmy nie podawać mu wody". To był pierwszy moment, kiedy zrozumieliśmy, co się dzieje. Próbowaliśmy to powstrzymać, ale było już za późno. Z powodu dużych dawek morfiny płuca dziadka przestały normalnie pracować.

Gdy ciotka odkryła, że morfina została przedawkowana, nie mogła uwierzyć, że jakikolwiek lekarz mógł podjąć taką decyzję. W pierwszym odruchu zapytała babcię i swoje siostry: „To wy dałyście na to zgodę?". To było prawie tak, jakby zapytała: „Czy to wy zamordowałyście tatę? Czy zamordowałyście dziadka?". To stało się początkiem bardzo bolesnej sytuacji w rodzinie, załamania zaufania. Moja babcia nie była w stanie o tym mówić aż do swojej śmierci, tak bardzo cierpiała.

Świadomość, że dziadek został poddany eutanazji, była jak eksplozja bomby. To było wbrew wszystkiemu, w co wierzyliśmy. Dziadek był bardzo

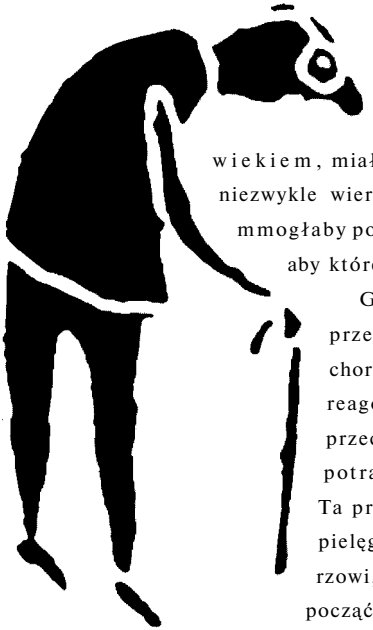

upartym człowiekiem, co jest zarówno zaletą, jak i wadą; był bardzo pryncypialnym człowiekiem, miał jasno określone zasady. Moi dziadkowie byli niezwykle wierzącymi ludźmi i myśl o eutanazji w ogóle nie mmogłaby powstać w ich głowach. Nie było więc możliwości, aby którekolwiek z nich mogło o to poprosić.

Gdy po wszystkim poszliśmy do lekarza, by przedstawić nasze żale, on powiedział: „Ale on był chory, ja mu tylko pomagałem". A gdy rodzina zareagowała na to bardzo gniewnie, powiedział: „Ale przecież on o to prosił". Jako prośbę o eutanazję potraktowano zdanie dziadka: „Proszę mi pomóc". Ta prośba nie padła nawet w obecności lekarza, lecz pielęgniarki. Kobieta przekazała prośbę dziadka lekarzowi, a on uznał to za wystarczający powód, aby rozpocząć legalną eutanazję i pomóc dziadkowi w walce z bólem. Taki to był rodzaj pomocy: morfina, żeby nic nie czuł, i zagłodzenie na śmierć.

By spełnić prawny wymóg konsultacji, ostatecznie decyzję podjął lekarz ze szpitala, gdzie była robiona biopsja, gdy usłyszał, że dziadek jest terminalnie chory.

Po tej krótkiej wymianie zdań lekarz wyprosił nas za drzwi. Rodzina próbowała wytoczyć mu proces, ale sprawa nie trafiła do sądu, gdyż babcia nie była w stanie zeznawać, a my nie chcieliśmy jej naciskać.

Mój ojciec pracował w tym czasie w RPA. Gdy w styczniu usłyszał, że mój dziadek, czyli jego ojciec, ma raka, i gdy dowiedział się o rokowaniach, natychmiast zarezerwował bilet na maj, aby spędzić ze swoim tatą cały miesiąc. Nikt go nie pytał o zgodę na zabicie dziadka. Tydzień później ojciec mógł już tylko zmienić rezerwację, aby przylecieć na pogrzeb. Został ograbiony z możliwości ostatniego spotkania z ojcem przed śmiercią, możliwości, która bardzo wiele dla niego znaczyła.

Nasze uczucia w niczym się nie różnią od tych, które towarzyszyłyby każdemu innemu zabójstwu. To dla rodziny cios. Nie potrafiliśmy zrozumieć, jak lekarz mógł podjąć taką decyzję, że dla niego było to całkowicie normalne, mimo że dla nas stało się to przyczyną ogromnego cierpienia.

Przypadek mojego dziadka nie byl odosobniony. Niedługo po jego śmierci pojawiły się informacje o podobnych zdarzeniach mających miejsce w wielu domach spokojnej starości w całej Holandii.

Dlaczego tak się dzieje? Jak myślisz?

Sądzę, że od czasu, gdy śmierć stała się jednym z rodzajów terapii, lekarze przestali dostrzegać, z czym mają do czynienia.

Rozumiem, że Ty nie uważasz eutanazji za dobre wyjście.

Zdecydowanie nie. Po pierwsze, ogromnym nieporozumieniem wydaje mi się założenie, że życie w cierpieniu nie ma sensu. Żyjemy w czasach, w których nie rozumie się cierpienia, nie ma dla niego miejsca, a przecież pojęcia cierpienia i sensu nie są rozłączne, przeciwnie - często się pokrywają. Po drugie, nie mamy odpowiedniej perspektywy, aby podejmować decyzję na poziomie życia i śmierci i aby robić to w sposób odpowiedzialny. Zdecydowanie przeceniamy nasze możliwości. W przypadku mojego dziadka decyzja została podjęta na podstawie bardzo małego wycinka rzeczywistości - krótkiej wypowiedzi dziadka i szybko wyciągniętych wniosków. Nawet gdyby ten „dialog" z lekarzem miał inny przebieg i trwał dłużej, to i tak byłaby to poważna redukcja czyjegoś życia. Wszystkie wydarzenia, wspomnienia, relacje z ludźmi, wszystkie kręgi koncentrujące się wokół człowieka mają znaczenie. Sprowadzanie ich do paru zdań jest absurdem. Żyjemy w czasach, gdy ból można leczyć lepiej niż kiedykolwiek, czy nie jest zatem dziwne, że właśnie teraz jesteśmy bardziej skłonni skracać ludzkie życie. Może większą wagę przykłada się obecnie do bólu, który sprawia patrzenie na osobę cierpiącą. Zawsze jestem zadziwiony tym, jak dzielni stają się ludzie, gdy spada na nich cierpienie.

Tu w Holandii wielu starszych ludzi czuje, że ma obowiązek umrzeć wcześniej. To jeden z bardziej tragicznych rezultatów tutejszej polityki. Czują, iż powinni umrzeć dla dobra dzieci, ludzi wokół, tak by nie stać się dla nich ciężarem. Nie jest przyjemnie patrzeć, jak ktoś cierpi, odwiedzać go, więc starzy ludzie robią przysługę, odbierając sobie życie. To nie jest fikcja, ale rzeczywistość i gdyby zapytać lekarzy praktykujących eutanazję, okazałoby się, że jest to bardzo ważny aspekt wielu, wielu decyzji - nie stać się ciężarem.

To dramat, gdy ktoś chce się zabić dla dobra tych, których kocha. To świat postawiony na głowie.

Z drugiej strony nie jestem zwolennikiem przedłużania czyjegoś życia poprzez podłączanie go do urządzeń, które nie przywracają życia w całym tego słowa znaczeniu. Powinniśmy zrekapitulować nasze rozumienie leczenia w sytuacjach terminalnych. Chciałbym widzieć ludzi mających możliwość umierania z godnością, najlepiej w domu, a nie wiszących na dziesiątkach maszyn. Dobrze jest móc przywrócić ludzi ich rodzinom, otoczyć tymi, którzy kochają, ofiarować pod koniec życia jak najwięcej. Także dawanie miłości drugiej osobie może być źródłem wielkiego szczęścia dla całego otoczenia. Czasami korzystanie z techniki sprowadza się do udowadniania sobie tego, co się potrafi osiągnąć, i nie ma nic wspólnego z dawaniem miłości.

Dlaczego twoim zdaniem lekarze uznają się za władnych decydować o czyimś życiu lub śmierci?

Odpowiedź jest bardzo złożona i ma związek z tym, co dzieje się z całym naszym społeczeństwem. Uczyniliśmy lekarzy odpowiedzialnymi za dźwiganie starych i schorowanych ludzi na wszystkie możliwe sposoby, podczas gdy wspólnoty rodzinne przestały istnieć. Poza tym społeczeństwo nie dostrzega już znaczenia życia jako takiego, nie uznaje jego sensu za wrodzony, redukuje życie do definicji, które ewoluują wraz ze zmianami w społeczeństwie. Znaczenie nadaje życiu to, co wytwarzam, oraz przyjemności, których mogę zaznać. Jeśli nie uznaje się Dawcy życia, to życie traci sens. Dlatego sami próbujemy ten sens mu nadać, mimo że nasze możliwości w tym zakresie są takie małe. W przypadku choroby to lekarze mają decydować, czy dane życie jest coś warte, czy nie.

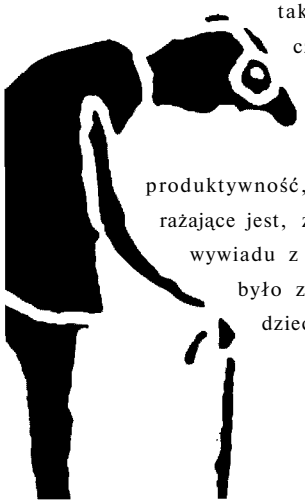

Takie ustalanie norm jest bardzo niebezpieczne, bo prowadzi do wątpliwości, czy leczenie, które dużo kosztuje, ma sens. Jeśli za kryterium tego sensu uznamy produktywność, to życie w różnych sytuacjach stanie się zagrożone. Przerażające jest, że takich sytuacji jest coraz więcej. Słuchałem niedawno wywiadu z przewodniczącym stowarzyszenia niepełnosprawnych. To było zaraz po tym, jak podwyższono próg wiekowy, od którego dzieci upośledzone mogą być poddawane aborcji. Prowadzący

audycję, bardzo podekscytowany, zaczął wypytywać swojego gościa: „Czy jest pan zadowolony z tego postępu w kształtowaniu prawa?". Ten zareagował na to bardzo gwałtownie: „A czy zdaje pan sobie sprawę, że to oznacza, iż moje życie jest mniej warte niż pańskie? Kim pan jest, aby stwierdzać, że ja jestem mniej szczęśliwy, że moje istnienie ma mniejszy sens? Jest wielu zdrowych, lecz nieszczęśliwych ludzi, którzy nie widzą w swoim życiu żadnego sensu...". Odpowiedział tak, gdyż miał świadomość, że wartość jego życia została podważona. Moim zdaniem miał rację.

A jaki jest stosunek do eutanazji przeciętnych Holendrów? Co wynika z Twoich obserwacji w tym względzie?

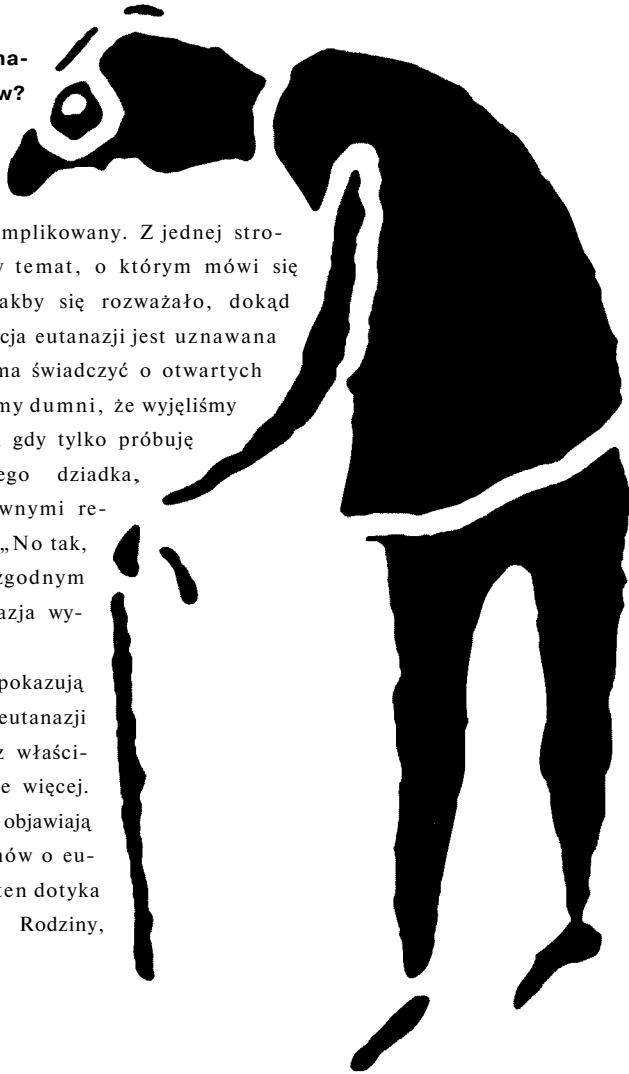

Ten stosunek jest bardzo skomplikowany. Z jednej strony jest to całkiem normalny temat, o którym mówi się spokojnie w telewizji. Tak jakby się rozważało, dokąd pojechać na wakacje. Legalizacja eutanazji jest uznawana za ogromną wartość, która ma świadczyć o otwartych umysłach Holendrów. Jesteśmy dumni, że wyjęliśmy śmierć ze sfery tabu. Jednak gdy tylko próbuję opowiedzieć historię mojego dziadka, spotykam się z bardzo gniewnymi reakcjami. Ludzie oburzają się: „No tak, ale mówisz o działaniu niezgodnym z prawem, normalna eutanazja wygląda inaczej".

Oficjalne statystyki pokazują jednak, że niezgłaszanych eutanazji i tych przeprowadzanych bez właściwego rozeznania jest znacznie więcej. Ogromne emocje, jakie się objawiają w czasie poszczególnych rozmów o eutanazji, dowodzą, że problem ten dotyka głębszych pokładów uczuć. Rodziny,

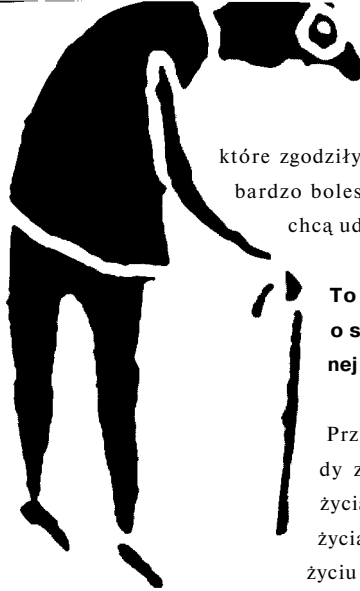

które zgodziły się na eutanazję, w ogóle nie chcą o tym mówić. To bardzo bolesna rzeczywistość, która rani serce człowieka. Ludzie chcą udawać, że to normalne, ale tak nie jest.

To wszystko tak naprawdę odsyła nas do pytania o sens życia. Jaki jest sens życia w obliczu nieuchronnej śmierci?

Przecież nigdy nie wiemy, kiedy nastąpi śmierć. Każdy z nas może być teraz u kresu swojego życia. Sens życia umierającego jest dokładnie taki sam, jak sens życia mojego czy twojego. Każdy rozdział w naszym życiu ma swoje miejsce, zaczynamy jako małe dzieci, które niewiele potrafią, i podobnie jest z nami pod koniec życia. Nie jesteśmy wyspami, lecz istniejemy w sieci relacji i nasze życie zawsze ma znaczenie dla tych, którzy nas otaczają. Pozwolić się kochać to sztuka, gdyż czasem trudno przyjąć czyjąś troskę. W ten sposób aż do śmierci jest miejsce na miłość. W społeczeństwie, gdzie wszyscy wymagający opieki są wypychani do domów opieki czy szpitali dla psychicznie chorych, tak by nie trzeba było na nich patrzeć, zanika wiedza o tym, jak kochać. To odbiera sens życiu.

Czy według ciebie akceptacja eutanazji wiąże się z procesem sekularyzacji holenderskiego społeczeństwa?

Eutanazja została zaakceptowana, gdyż zostały usunięte wszelkie korzenie religijne, cały metafizyczny kontekst. W przeszłości akceptowaliśmy fakt, iż życie zostało nam dane, a gdy Stworzyciel zniknął z pola widzenia, automatycznie przestaliśmy rozumieć sens życia. W czasie II wojny światowej stało się jasne, że wszelka eugenika, poświęcanie jednych dla dobra pozostałych to niewłaściwy kierunek. Po takim doświadczeniu nazizm i w ogóle ten typ myślenia jawił się jako oczywiste zło. Z czasem to wspomnienie zaczęło się zacierać i coraz łatwiej było myśleć o poprawianiu świata poprzez zabijanie.

Tuż przed legalizacją eutanazji w Holandii niemieckie stowarzyszenie lekarzy wystosowało do swoich holenderskich kolegów list otwarty, w którym lekarze ci stwierdzili, że argumentacja stojąca za wprowadzeniem eutanazji

za bardzo przypomina tę stosowaną w latach 30., gdy legalizowano likwidację upośledzonych. Wzywali więc do powstrzymania się od tej decyzji. Myślę, że społeczeństwo holenderskie nie miało prawa owego listu od niemieckich lekarzy zignorować... Ale zignorowało.

Dziękuję za rozmowę.

ROZMAWIAŁ: MACIEJ BODASIŃSKI

EKKEVIEL, LUTY 2004

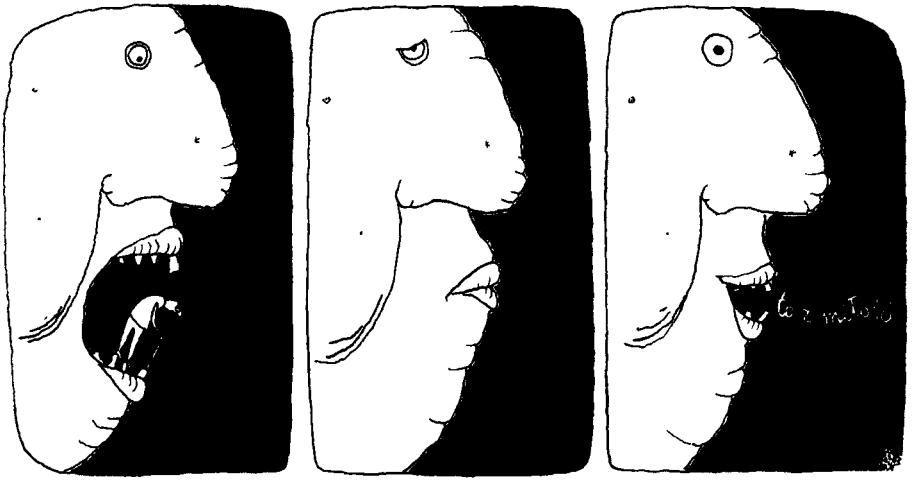

Dopiero wtedy, kiedy porzucamy ciało, kiedy przestajemy myśleć o tym, co nas wiąże w życiu, kiedy jest cisza, kiedy jest milczenie, wtedy możemy wejrzeć w siebie i spotkać się z Bogiem, który jest także w nas - w naszym wnętrzu, w naszej duszy - i poczuć na nowo swoją wartość, swoją godność. Która jest niezależna od tego, jak wyglądamy, kim jesteśmy w życiu, co jest tak po ludzku dla nas ważne.

UMIERANIE TATY

MOJE POWTÓRNE NARODZINY

MONIKA EBERT

Tata trafił do szpitala pod koniec września. Bardzo źle się poczuł w domu, miał kłopoty z oddychaniem, przyjechało pogotowie. Nie wyglądało to jakoś specjalnie groźnie, jednak postanowili go zabrać do szpitala. W drodze do

karetki okazało się, że jest w bardzo ciężkim stanie, konieczna była reanimacja - trwało to chyba pół godziny. Tata później przez tydzień właściwie był nieprzytomny i wyglądało na to, że być może nigdy już nie będzie z nim kontaktu. Miał odmę, dziurę w płucu i nie mógł samodzielnie oddychać, stan jego płuc był bardzo zły z powodu wielu, wielu lat gruźlicy.

Okazało się jednak, że Tata się obudził. I wszyscy się bardzo dziwili, dlaczego tak jest. Myślę, że to był jakiś niesamowity dar. Tata obudził się i był przez pewien czas w zupełnie niezłej formie, przygotowywał się wtedy do operacji, do zaszycia płuca. Było już wiadomo, że szanse powodzenia operacji są znikome, bo płuco było tak zniszczone, że właściwie lekarze nie bardzo nawet chcieli się tej operacji podjąć. Tata, zdając sobie sprawę z tego, że może nie przeżyć operacji, postanowił zmierzyć się z własną śmiercią. Zaczął planować swój pogrzeb. Napisał nekrolog, później napisał klepsydrę, potem zrobił spis wszystkich miejsc - gazet, gdzie powinny się nekrologi ukazać, miejsc, gdzie powinnyśmy powiesić klepsydry. Potem napisał pożegnanie, które zostało odczytane w kościele. Potem zrobił nam rysunek, gdzie wszyscy powinni siedzieć podczas mszy świętej - że jego wnuczki powinny stać w rogach trumny, że ławeczki powinny być ustawione zaraz za trumną. Potem dał wszystkim polecenie, żeby absolutnie żadnych kwiatów nie przynosić, a zamiast tego złożyć dar na Świątynię Opatrzności i że to my mamy taką zbiórkę zorganizować podczas pogrzebu. Potem poprosił, żeby znajomy muzyk grał na mszy. No i niebagatelna była osoba kapłana, ponieważ odprawiał mszę ks. Henryk Michalak, który jest naszym kapelanem rodzinnym, który odprowadzał również na cmentarz moją Mamę, który chrzcił moje dzieci, który udzielał ślubu mnie, mojej siostrze i również mojemu Tacie, kiedy dwa lata temu ożenił się powtórnie. Przed ślubem Tata był u ks. Michalaka u spowiedzi generalnej, która bardzo uporządkowała jego dotychczasowe życie.

Po śmierci Taty byłyśmy z siostrą właściwie jedynie wykonawczyniami jego woli, realizowałyśmy jego scenariusz. Tylko tyle dodałyśmy, że nasze dzieci służyły do mszy, że czytaliśmy czytania i pożegnanie. Animowaliśmy tę mszę rodzinnie, bo wiedzieliśmy, że Tata by tego pragnął. I ludzie, którzy byli na pogrzebie i na cmentarzu, wyszli z tej uroczystości zszokowani, bo tak przebijał tam duch mojego Ojca, jak gdyby był on żywy wśród nas; było i jego poczucie humoru, i jego jakaś wizja estetyczna całości. To było coś niesamowitego. Miałyśmy potem z siostrą wiele telefonów od ludzi, którzy

mówili, że jeszcze nigdy w życiu w takim pogrzebie, w takiej uroczystości nie brali udziału.

Ale chcę powiedzieć, że to się nie wzięło samo z siebie. Ta wola Ojca, ta jego odwaga zmierzenia się ze śmiercią, miała swoją przyczynę w przejściu - od lęku do absolutnego wewnętrznego spokoju. Tata chorował na podobną dolegliwość dwa lata wcześniej. Był w dużo lepszej formie fizycznej, ale bardzo trudno tę chorobę znosił, był niespokojny, taki roszczeniowy i męczący. Jedna niewielka odleżyna na pięcie doprowadzała go niemal do furii.

Tym razem Tata od razu na początku choroby otrzymał niezwykły wewnętrzny spokój. Byłam świadkiem, jak to się stało. Pamiętam dobrze, że po tym pierwszym ciężkim tygodniu odzyskał przytomność w pierwszą sobotę października. Poprzedniego dnia jego stan był zupełnie beznadziejny. Ciocia, siostra Taty, która jest lekarką, powiedziała, że nie ma ratunku. Chcieliśmy, aby Tata przyjął sakrament namaszczenia chorych. Szukając szpitalnego kapelana, trafiłam do kaplicy. Był pierwszy piątek miesiąca. Msza, nabożeństwo, koronka. Byłam rozbita, zmęczona, głodna i zła na siebie, że nie mogę się skupić na modlitwie. Bałam się, że Tata nie zdąży się pojednać, a nie mogłam się modlić nawet w tej intencji. Pomyślałam z jakimś żalem: „Panie Boże, przyjmij mój czas, samo moje bycie, bo nic mi nie wychodzi". Potem ksiądz udzielił Tacie sakramentu namaszczenia chorych. Następnego dnia mogliśmy rozmawiać. Przy chorobach płuc, kiedy dochodzi do niewydolności oddechowej, chorzy mają robioną tracheotomię, to znaczy, mają przebijaną tchawicę, żeby mogli oddychać przez respirator. Zwykła rozmowa jest wtedy bardzo trudna, prawie niemożliwa: tylko szeptem, na piśmie albo na migi. Dlatego ten pierwszy tydzień był chyba jedyny, kiedy mogliśmy rozmawiać. Tata powiedział mi, że straszne ma jakieś lęki, jakieś niepokoje, które nie wiadomo skąd się biorą, że coś go męczy, że męczy go przeszłość, że męczą go jakieś obrazy, które mu się pojawiają, że myli mu się dzień i noc, że po prostu jest to straszne... że jakieś takie wewnętrzne męczarnie przeżywa i że to mu bardzo przeszkadza, że to jest coś takiego, z czym sobie po prostu nie może poradzić. Wtedy doszliśmy wspólnie do wniosku, żeby poprosić o pomoc księdza. A właśnie pojawił się w szpitalu ten nasz przyjaciel rodziny - ks. Henryk. Tata był już w troszkę gorszym stanie, już nie bardzo mógł mówić, ale przyjęcie sakramentów i czuwanie całej rodziny, i świadomość, że jest absolutnie pojednany z Bogiem - świadkiem tej świadomości był kapłan, do którego Tata

miał bardzo wielkie zaufanie - myślę, że to właśnie zupełnie odwróciło jego stan wewnętrzny. Ważne też było czuwanie całej rodziny. Tata nie był sam, wiedział, że go kochamy, że może na nas liczyć, że zatroszczymy się potem o to, na czym mu najbardziej zależy. Nagle okazało się, że znikły wszystkie lęki i jakieś frustracje, i Tata zaczął się poddawać prowadzeniu przez Pana Boga i otwieraniu na Jego łaskę, której zupełnie nie rozumiał, i która w pewnym momencie na początku zaczęła go nawet przerażać. On mi powiedział, a właściwie to bardziej na migi mi to tylko pokazał, że czuje coś, co go bardzo niepokoi, ale dlatego, że po prostu tego nie rozumie. Ja już wtedy wyczułam, wtedy jakoś zorientowałam się, że przychodzi do niego wielką falą miłość Boża, której on po prostu nigdy nie doświadczył, nigdy jej nie doznał. W taki sposób, że jest to jakaś łaska, która najprawdopodobniej przychodzi do człowieka przed śmiercią, taka łaska, która po prostu wymaga duchowego rozeznania. Ponieważ mój Tata nigdy nie miał do czynienia z taką wiedzą, nigdy tego nie posiadł, nie miał takich doświadczeń, dlatego pytał o to mnie. Widać miał do mnie zaufanie. Byłam być może najbardziej zorientowaną osobą, jaką miał pod bokiem. Więc otworzył się, po prostu się przede mną otworzył. Mówię do niego: „To jest dla mnie niezwykły dar, że mogę w tym uczestniczyć". Mówię do niego: „Tato, musisz po prostu wejrzeć w siebie i zorientować się, czy to jest coś, co ci daje pokój". I wtedy Tata kiwnął głową. Pokazał, że tak, że to daje mu bardzo wielki pokój. Ja mówię: „Jeżeli to ci daje taki wielki pokój, to znaczy, że to pochodzi od Pana Boga i że nie masz się czego bać, że jest to po prostu miłość, która jest darem dla ciebie". A on mi mówi, to znów pokazując na migi, to pisząc, że to go przerasta, że on tego nie rozumie, że on tego nie potrafi objąć i dlatego się tego boi. Mówię do niego: „Miłość Boża zawsze nas będzie przerastać, bo Bóg jest nieogarniony. To jest coś, co przychodzi do nas jako tak olbrzymi zdrój miłości, miłosierdzia, że możemy się tylko wyłącznie na to otworzyć, przyjąć to albo odrzucić". No i on się po prostu na

Akt wiary.

Boże mój, dlatego, żeś jest pierwszą i nieomylną prawdą, wierzę mocno w to wszystko, cokolwiek objawiłeś świętej Matce Kościołowi, a że mi ta każe wierzyć, wyraźnie wierzę, że jest Bóg jeden w trzech osobach, a te osoby rozdzielne, Ojciec, Syn i Duch święty; że Syn Boży stał się człowiekiem w najświętszych wnętrznościach Maryi Panny za sprawą Ducha świętego i nazywa się Jezus Chrystus, który cierpiał i umarł dla naszego zbawienia; że tenże Bóg dobrym daje Niebo, a złych piekłem karze. I oświadczam się, że żyć i umierać w tej Wierze świętej pragnę.

to otworzył, mimo że nigdy nie był człowiekiem w pełni praktykującym, jak na przykład ja, jako jego córka, bym sobie tego życzyła. I on to przyjął. Bożą Miłość i Bożą Wolę - w każdą drogę: w stronę życia czy w stronę śmierci.

Teraz powiem, co było dalej. Operacja się udała, to znaczy, operację Tato przeżył, zaszyli mu dziurę w płucu, ale natychmiast pojawiła się nowa. Już było wiadomo, że nie da się drugi raz operować, że to po prostu nie ma sensu, że te płuca będą pękać. I on tak powoli, powolutku, powolutku gasł; trwało to dwa miesiące.

Tata był cały pokryty ranami. Miał nie gojącą się ranę po operacji, miał ranę, w którą był włożony dren do płuca, oddychał za pomocą respiratora przez rurkę w krtani, karmiony był przez rurkę w nosie i miał w przełyku odleżyny z tego powodu. A oprócz tego miał odleżyny na całym ciele tak gigantyczne, że największa na plecach właściwie zabrała mu część pośladków. To były wielkie wyżarte wklęsłości. Pielęgniarki, zmieniając opatrunek, po prostu nad nim płakały... A on nie skarżył się ani jednym słowem, mówił, że go to w ogóle nie boli. Odleżyny robiły się Tacie nawet od kołdry na kolanach z powodu zbyt słabego krążenia. Od wenflonów miał popękane żyły w rękach, całe ręce były w wylewach. I mimo to w ogóle się nie skarżył, co było sprzeczne z jego naturą, bo obserwowałam już wiele jego chorób i pobytów w szpitalu. W takim wewnętrznym pokoju nigdy jeszcze nie był, tak

że wszyscy się temu dziwili. Lekarze mówili, że nie zdarzają się tacy pacjenci. Pielęgniarki nie były w stanie podejść do niego bez wzruszenia, bo taka była dla nich niezwykła ta jego pokora.

Kiedy sobie o tym myślę i kiedy wyliczam dary Ducha Świętego, to wydaje mi się, że Tata otrzymał większość z nich właśnie w tym czasie. Tak naprawdę jednak nie jestem w stanie wypowiedzieć, zobaczyć tego, co on otrzymał, zorientować się w tym. Mogę tylko mówić, co widziałam z zewnątrz, wiem natomiast, że wszyscy znaleźliśmy się w polu działania tej łaski. W moim życiu również zaczęły dziać się rzeczy, których nie przewidywałam, poczynając od jakiegoś niesamowitego porządkowania różnych spraw. W momencie, kiedy Tata zachorował, nie było ze mną najlepiej. Zmagałam się z długotrwałą depresją, wydawało mi się, że moje życie jest tak pełne zajęć, że nie da się choćby szpilki włożyć w mój rozkład dnia. Dojazdy do Warszawy wydawały mi się po prostu niemożliwe. A tymczasem jeździłam do niego, starałam się być co drugi dzień przez kilka godzin - cztery, nawet pięć. No i okazało się, że to jest możliwe. Ale najbardziej niesamowite dla mnie było czuwanie przy ojcu w ciszy...

Jest tak, że nosimy w sobie rozmaite sprawy jeszcze z dalekiej przeszłości, jakieś zgrzyty, zranienia wzajemne, coś, co nas dzieli. Ojciec mój nie mógł mówić i zaproponowałam, że ja też nie będę do niego mówić, że nie będziemy tego zagadywać. To nie było nam potrzebne. Przyjeżdżałam, siadałam przy nim, brałam go za rękę, przytulałam go. Byłam po prostu blisko i widziałam, że on się z tego cieszy i że bardzo tego potrzebuje. Kiedy siedziałam przy nim, kiedy tak czuwałam, a on najczęściej spał, to w tej zupełnej ciszy czułam, jak porządkują się wszystkie nasze sprawy, wszystkie nasze relacje. To było dla mnie niezwykłe, ponieważ działo się absolutnie poza moją wolą - byłam zupełnie bierna. Tak sobie myślę, że to jest troszkę tak, jak przy Adoracji, podczas modlitwy kontemplacyjnej, kiedy Pan Bóg porządkuje różne nasze sprawy, a my jesteśmy zupełnie bierni. Wtedy właściwie dzieje się najwięcej.

Przypominają mi się słowa: „Do końca ich umiłował". Myślę, że umieranie jest właśnie czasem na tę Bożą miłość do końca. Jeżeli nie dajemy Bogu szansy na to, żeby ta miłość do końca się dopełniła, to sobie też nie dajemy szansy na to, żeby nasze życie do końca się uporządkowało, żeby to, co się ma w nas przemienić pod wpływem Jego miłości, faktycznie się przemieniło, żeby się dopełniło, żeby się uleczyło. Bo dopiero wtedy, kiedy porzucamy ciało, kiedy przestajemy myśleć o tym, co nas wiąże w życiu, kiedy jest cisza,

kiedy jest milczenie, wtedy możemy wejrzeć w siebie i spotkać się z Bogiem, który jest także w nas - w naszym wnętrzu, w naszej duszy - i poczuć na nowo swoją wartość, swoją godność. Która jest niezależna od tego, jak wyglądamy, kim jesteśmy w życiu, co jest tak po ludzku dla nas ważne. Ona jest transcendentna, jest coś więcej, jest coś głębiej, jest po prostu coś, co przychodzi do nas za darmo, bez naszej pracy, bez naszego udziału, jeżeli tylko chcemy to przyjąć.

Przy łóżku mojego Ojca na nowo się narodziłam. Myślę, że dzięki temu, że zostały tam uleczone wszystkie jakieś sprawy trudne. Ale również otrzymałam niesamowity dar podczas modlitwy różańcem, już przy trumnie, kiedy tajemnice różańcowe zaczęły się układać w taką tajemnicę mojego życia - od pierwszej tajemnicy Zwiastowania, czyli od momentu, kiedy rodzice powiedzieli „tak", poprzez narodziny itd. I nagle zauważyłam, że te tajemnice to są takie dary, w które rodzice mnie wyposażyli: jest wiara, jest nauka, jest służba innym ludziom itd. Nagle w tym wszystkim zaczął się budować na nowo jakiś fundament, moja tożsamość, korzenie - ja się niesamowicie zakorzeniłam w moim życiu. A ks. Henryk powiedział tak: „Kiedy umierają rodzice, dzieci rodzą się na nowo". To jest historia, która mi się przytrafiła: takie powtórne narodziny.

To skojarzenie z narodzinami jeszcze mi chodzi po głowie. Niedawno zadzwoniła do mnie koleżanka, która właśnie urodziła dziecko, i powiedziała mi: „Ja się tak bardzo szykowałam na ten moment, i wiesz, musiałam mieć cesarskie. I tak żałuję, że tego nie mogłam przeżyć, że do końca się nie mogłam tym nacieszyć". Pomyślałam sobie nagle, że może ona rzeczywiście została czegoś pozbawiona. Oczywiście, była taka konieczność, ale ona trochę tego żałuje. Ja urodziłam siedmioro dzieci. Nigdy nie myślałam wtedy o bólu - w ogóle nie mam takich skojarzeń z porodem, dla mnie zawsze to było przeżycie niemal mistyczne, bardzo wewnętrzne, duchowe. I myślę, że tak też jest ze śmiercią, że jesteśmy tak ogarnięci jakąś wielką łaską, miłością, która nas absolutnie przerasta, że to jest jedyny moment na przeżycie tego. I myślę, że tak jak kobieta, która pragnie urodzić dziecko i być tego w pełni świadoma 1aktywna w tym akcie, żałuje, że została czegoś pozbawiona - bo tak się czasem zdarza - tak my podobnie możemy pozbawić się tej niesamowitej łaski przeżywania Bożej miłości i narodzin człowieka dla Boga, wtedy kiedy umiera on dla ludzi. To też jest akt narodzin. Który na dodatek dotyka nie tylko osoby

umierającej, bo rodzi się ona do nowego życia, ale dotyka również całego otoczenia - rodziny, przyjaciół, bliskich, ponieważ wszyscy są jakoś w tej aurze, w polu rażenia Bożej miłości.

Pewien znajomy powiedział mi tak: „Kiedy patrzę na ciebie, jak ty przeżywasz śmierć swojego ojca, to czasem żałuję, że jestem niewierzący, bo tobie jest łatwiej". Ja nie wiem, czy jest mi łatwiej, myślę, że jest po prostu zupełnie inaczej. Staram się patrzeć na to, co mój Tata zyskał, co było dla niego najważniejsze. Cieszę się tym - jakąś pewnością, którą noszę w sercu - że nie muszę się teraz już o niego martwić: on jest tam, gdzie trzeba. A przed odejściem zostawił mi tak wiele, otrzymałam od niego tak niezwykłe dary, że przelewa się przeze mnie potrzeba dzielenia się tym - tą nowiną o niepojętej, bezgranicznej, przerastającej wszystko miłości, którą otrzymujemy od Boga.

MONIKA EBERT

WYSŁUCHALI: MACIEJ BODASIŃSKI I LECH DOKOWICZ

ZALESIE GÓRNE, LUTY 2004

PS Chciałabym, korzystając z okazji, bardzo podziękować personelowi Oddziału Intensywnej Terapii w Instytucie Gruźlicy i Chorób Ptuc w Warszawie za niezwykle fachową i czułą opiekę.

Coraz więcej ludzi zaczepia nas na ulicy, pytając, dlaczego nie przeprowadzimy na naszym dziecku eutanazji. Prawo do eutanazji stało się obowiązkiem eutanazji.

WDZIĘCZNOŚĆ

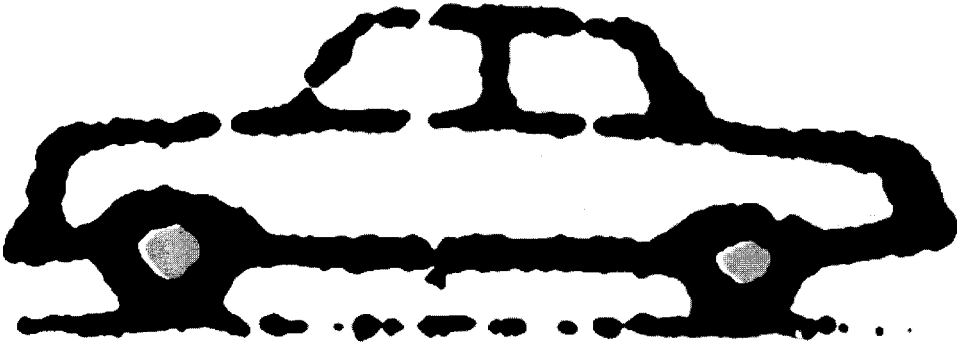

LIONEL I RENATE ROOSEMONTOWIE

Lionel i Renatę Roosemontowie - małżeństwo mieszkające w Belgii, on jest Żydem, którego połowa rodziny zginęła podczas holocaustu, ona Niemką. Mają czworo dzieci, w tym ośmioletnią córkę Tykwę, chorą na wodogłowie.

RENATE: Kiedy byliśmy u naszego ginekologa, pierwsze, co zobaczyliśmy na ekranie USG, to wielka czarna kula. To była głowa. Wiedziałam od razu, że coś jest nie tak, ponieważ zwykle to, co widać podczas badania USG, nie powinno być czarne. To znaczyło, że w środku jest woda. Moja pierwsza myśl: dziecko będzie miało wodogłowie. Zapytałam o to lekarza. On na początku nic nie odpowiedział, ale później stwierdził, że na to wygląda. W pierwszej chwili pomyślałam: no tak, wodogłowie, ale z tym można żyć. Dzieci są trochę ociężałe umysłowo, nawet upośledzone. Na początku nie pojmowałam powagi sytuacji, dopiero później to zaczęło narastać. Badanie się skończyło, my nie wiedzieliśmy nic oprócz tego, co powiedział lekarz, że w głowie jest zupa. Stwierdził też: szkoda, że Pani jest już w siódmym miesiącu ciąży.

Pomyślałam sobie: dlaczego „szkoda"? Potem zrozumiałam, że on myślał o aborcji. Powiedziałam, że chcemy dać temu dziecku szansę. Lekarz uznał, że jeśli tak, to nie ma problemu. Potem zaprowadzono mnie do pediatry, który był już na tyle ostrożny, że nie używał przy nas słowa „aborcja", ale dało się wyczuć, że według niego jest to jedyne rozwiązanie.

Wchodziłam do tego szpitala z nadzieją, że mi pomogą. Jestem w ciąży, moje dziecko jest ciężko chore. Można by mieć nadzieję, że lekarze pospieszą z pomocą, jakąkolwiek pomocą. A jedyne, co mi powiedziano, to że to nie ma żadnego sensu, że nie ma sensu pozwolić temu dziecku przyjść na świat. Wciąż powtarzałam, że chcę dać dziecku szansę. A oni, że to nie ma żadnego sensu, dziecko będzie kulawe, głuche, niewidome, jakość jego życia będzie zerowa. My z mężem uparcie obstawaliśmy przy swoim: chcemy dać dziecku szansę. Oni znów twierdzili: to nie ma żadnego sensu, skrzywdzicie dziecko, jeśli wydacie je na świat. I tak trwało to godzinami: oni mówili, że to nie ma sensu, a my, że chcemy dać dziecku szansę.

Najgorsze było to, że czasami czuliśmy się winni względem dziecka. Myśleliśmy, że może lekarz ma rację. Może rzeczywiście skrzywdzimy dziecko, jeśli pozwolimy mu się urodzić. Pamiętam, co myślałam, wychodząc ze szpitala: kto tu jest w końcu normalny - ja czy ten lekarz? Byłam całkowicie skołowana. To było najgorsze, co spotkało mnie przez ostatnich osiem lat. To, że chcieli mi wmówić, iż skrzywdzę swoje dziecko, jeśli je urodzę. Byli przy tym bardzo sprytni i nie używali przy mnie słowa „aborcja".

„Jeśli pozwolicie urodzić się temu dziecku, będzie prowadziło jedynie życie wegetatywne" - mówili. „Jakość jego życia będzie zerowa". To było bardzo ważne z punktu widzenia lekarzy: zerowa jakość życia. Dziecko będzie niewidome, głuche. To będzie nędzne życie, nie można tego zrobić swojemu dziecku. My wychodziliśmy z założenia: skoro dziecko się już pojawiło, może też się urodzić. Nawet jeśli jest bardzo chore, to być może wytrzyma poród. A jeśli nie, to powinno umrzeć samo. Nie należy zabijać go przedwcześnie. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie mogę być w ciąży przez dziewięć miesięcy i dlaczego dziecko, jeśli nie będzie w stanie przeżyć, nie może umrzeć samo. Musieliśmy bardzo się bronić, mówić lekarzom, że chcemy dać szansę naszemu dziecku. Nie rozumiano nas. Byliśmy cały czas pod wielką moralną presją. Wciąż nam przypominano, że będziemy winni, jeśli pozwolimy temu dziecku się urodzić.

Kiedy rozmawialiśmy z pediatrą, wywołano go, bo właśnie kobieta urodziła wcześniaka i on musiał biec do niej, aby ratować życie dziecka. To było paradoksalne, że z jednej strony próbował nas przekonać do zabicia naszego dziecka, a z drugiej spieszył się do ratowania drugiego dziecka, które było w tym samym wieku co nasze. Potem podeszła do nas pielęgniarka i powiedziała, że od lat nie widziała, żeby ludzie tak walczyli o swoje dziecko. I że cieszy się, iż może coś takiego oglądać na własne oczy. Tu jest jak w powieści *Nowy wspaniały świat,* powiedziała. Ludzie zabijają swoje dzieci z powodu płci lub innych drobnostek. Dlatego ona cieszy się, że może coś takiego z nami przeżyć, chociaż sytuacja jest rzeczywiście poważna.

LIONEL: Kiedy przed narodzinami córki byliśmy wiele razy nakłaniani do dokonania aborcji, moja żona czytała akurat książkę o żydowskiej dziewczynie wykorzystanej seksualnie przez żołnierzy w obozie koncentracyjnym. Dziewczyna ta została zmuszona do usunięcia dziecka, któremu nadała imię Tykwa. Mając w pewnym sensie podobne doświadczenia, oczywiście nie aż tak dramatyczne, zdecydowaliśmy się dać naszej córce to właśnie imię.

Widzę jednoznaczne podobieństwo między tym, co działo się w nazistowskich Niemczech w czasie wojny a wprowadzeniem ustawy o eutanazji. Nie twierdzę, że nasz dzisiejszy rząd ma ten sam sposób myślenia co naziści, ale zasady są podobne zarówno w ogólnych zarysach, jak i w terminologii. W czasie, kiedy w Belgii uchwalano ustawę o eutanazji, w niemieckiej telewizji ZDF porównywano ją z podobną ustawą przyjętą w nazistowskich Niemczech przed II wojną światową. Wówczas użyto w niej określenia „niewartościowe życie". Dzisiaj mówi się o „jakości życia". Myśli się, że istnieją różne jakości życia: te, które są warte utrzymania, i te, które nie są tego warte. Zakwestionował to przewodniczący rady upośledzonych przy belgijskim ministerstwie zdrowia, ale przy tworzeniu ustawy jego opinia została zignorowana. Powiedział on, że jeśli ta ustawa zostanie uchwalona, to życie upośledzonych w Belgii znajdzie się w niebezpieczeństwie.

RENATE: Lekarz nie poradził nam nic. Nie powiedział, jak dalej będzie przebiegała ciąża, jak dziecko się będzie rodzić, co powinniśmy robić. Po prostu nic. Jego ostatnie zdanie brzmiało: „Jeśli już nie będą Państwo mogli, to proszę zadzwonić". Dzisiaj żałuję, że nie zapytałam go: „A co Pan wtedy

zrobi?". To byłoby interesujące móc usłyszeć, co on by zrobił mojemu siedmiomiesięcznemu dziecku. Jak uwolniłby mnie od tego dziecka? Wróciliśmy do domu i stwierdziliśmy, że nie możemy urodzić naszego dziecka w tym szpitalu. Co zrobi ten lekarz po urodzeniu? Czy będzie walczył, jeśli dziecko będzie potrzebowało pomocy? Co jest dla niego warte życie? Czy nie powie, że to nie ma sensu i że lepiej pozwolić dziecku umrzeć? Nie mieliśmy do niego ani odrobiny zaufania. Poszliśmy więc do innego szpitala.

Mój mąż skonsultował się z pewnym lekarzem w innej przychodni uniwersyteckiej. Tam wydało nam się lepiej. Trafiliśmy na starszego lekarza, który powiedział, że są dwa rodzaje rodziców w takich sytuacjach. Pierwsi mówią: szybko dajcie zastrzyk dziecku, żebyśmy mieli to już za sobą. Drudzy mówią: trzeba zrobić wszystko, co oferuje medycyna, aby utrzymać dziecko przy życiu. Powiedział, że musimy zrobić wszystko, aby zapewnić dziecku łagodny poród, by go przeżyło, a później musimy po prostu obserwować, czy dziecko ma wolę życia, czy w ogóle jest w stanie przeżyć. Musimy mu dać jedynie ciepło i miłość i patrzeć, co dziecko może i czego chce. To bardzo dodało nam odwagi i cieszyliśmy się, że spotkaliśmy lekarza, który dał nam tak mądrą radę. Nie chcieliśmy odgrywać roli Pana Boga. Chcieliśmy oddać wszystko w Jego ręce, ale nie grać Jego roli, mówiąc, że dziecko musi żyć za wszelką cenę, jeśli On zaplanował sobie inaczej.

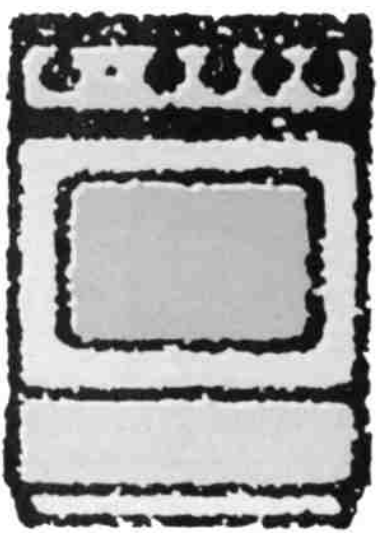

Podczas porodu lekarze powiedzieli, że muszą zrobić cesarskie cięcie, bo inaczej nie ma szans. Zapytali, co mają zrobić po urodzeniu dziecka: czy położyć je do inkubatora, czy po prostu zostawić? Mój mąż powiedział wtedy, żeby położyli córkę do inkubatora, abyśmy mieli czas na przemyślenie wszystkiego i zobaczenie, jakie są jej szanse, jak ciężko jest chora. Nie chcieliśmy, aby rozstrzygało się to w ciągu kilku minut.

LIONEL: Pierwsza reakcja lekarzy, neurologów dziecięcych, była taka, że dawali 24, maksymalnie 48 godzin życia. Byli przekonani, że nasza córka nie będzie żyła dłużej. Cała atmosfera wokół zdawała się mówić, że nasza córka niedługo umrze.

To było jednoznaczne. Pamiętam pierwszą noc, kiedy siedziałem przy córce. Została zabrana na oddział intensywnej terapii. Zwykle mogą tam przebywać jedynie lekarze i pielęgniarki, ale ja zostałem tam wpuszczony w drodze wyjątku, ponieważ powiedziałem, że jeśli moja córka umrze, pragnę być przy niej, bo nie chcę, żeby umierała samotnie. Całą noc liczyłem, ile razy oddycha, ile razy bije jej serce. Później z podnieceniem opowiadałem to pielęgniarce. Cały czas oczekiwałem jej śmierci. Naturalnie, nie wypatrywałem jej, ale zadawałem sobie pytanie, kiedy to się skończy, i krzyczałem przy tym: „Boże, pomóż! Nie wiem, co się dzieje!". Kiedy mała przeżyła dzień, potem drugi, powiedziano, że może przeżyje tydzień. Wciąż przesuwano trochę termin śmierci - o kilka dni, o tydzień. Aż do momentu, kiedy po dwóch tygodniach zorientowano się, że wciąż nie umiera, a jej stan się poprawia.

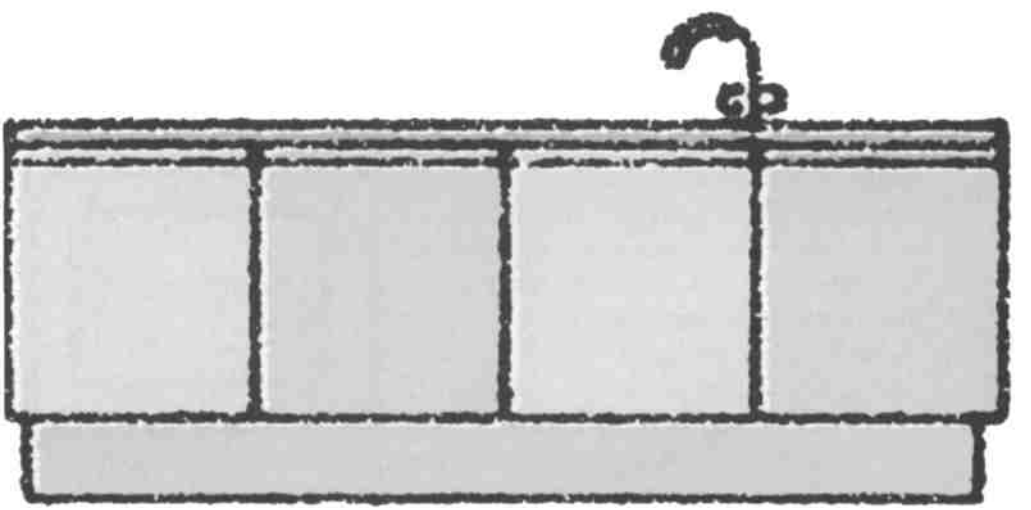

RENATE: Od pierwszego momentu, kiedy usłyszeliśmy złe wiadomości o naszym dziecku, powiedzieliśmy sobie, że będziemy prowadzić normalne życie niezależnie od tego, co się stanie, że nie będziemy robić z tego głównego problemu. Bóg tak postanowił, a my spróbujemy prowadzić dalej nasze życie rodzinne tak normalnie, jak to tylko możliwe. Wiem, że to była dobra decyzja, chociaż oczywiście był to dla nas cios. Pamiętam, że byliśmy bardzo zmęczeni w pierwszych tygodniach, nie mieliśmy siły zrobić najbardziej nawet niezbędnych rzeczy. Ale pamiętam też, że byliśmy spokojni, ponieważ mieliśmy poczucie, że postępujemy prawidłowo.

LIONEL: Przez pięć miesięcy powtarzano nam, że nie ma żadnej nadziei. Chociaż z ludzkiego punktu widzenia był to bardzo dramatyczny okres, to jednak wewnątrz byliśmy spokojni. Można powiedzieć, że chwyciła nas mocna ręka i czuliśmy się, jakbyśmy usłyszeli głos: „Teraz Ja będę z wami, będę się wami opiekował". Tak jak w Piśmie świętym jest powiedziane,że „kto jest w Moim ręku, jest bezpieczny, i nikt nie może wyrwać go z mojej ręki".

RENATE: Wróciliśmy szczęśliwi ze szpitala do domu, ale niestety nie zaproponowano nam żadnej terapii stymulującej, aby córka mogła się rozwijać. W ogóle nas nie poinformowano, że coś takiego jest możliwe. Mieliśmy przychodzić co dwa miesiące na badania, aby sprawdzać, jak przedstawia się jej stan fizyczny, ale dla jej rozwoju nie zrobiono nic. Musieliśmy szukać sami. Rodzice dzieci, które są w inny sposób upośledzone, są informowani, że istnieje jakiś rodzaj terapii, że trzeba iść tu albo tam. Nam nie powiedziano nic.

Sześć tygodni po urodzeniu wszystko zaczęło przybierać coraz gorszy obrót. Córka wymiotowała, miała dziwne ruchy oczu. Wydawało mi się również, że jej głowa jest coraz większa. Lekarze jednak nic nie widzieli. Byłam zła, ponieważ wiedziałam, że jeśli oczy wędrują w dół, to znaczy, że w głowie jest podwyższone ciśnienie. Córkę męczyły coraz gorsze wymioty, nie chciała pić, właściwie prawie umarła. Wreszcie jakiś lekarz zauważył, że coś jest nie tak. Potem wróciliśmy do naszego szpitala, a tam lekarz powiedział nam, że musimy być świadomi tego, że to początek końca. Ale ja wiedziałam, że to jest kwestia wszytego jej wcześniej drenu, który przestał działać i który trzeba było poprawić. Dla mnie nie było żadnego powodu, dla którego musiałaby umrzeć. Rzeczywiście, zoperowano ją i od tego czasu nie było problemów.

Bałam się, jak ludzie będą reagować. Córka miała wciąż o wiele za dużą głowę. Od razu było widać, że jest upośledzona. Czy ludzie będą ją uważać za brzydką, będą się jej bać, będą w niej widzieć małego potwora? Czy będą się czuli normalnie, odwiedzając nas?

Na reakcje nie czekaliśmy długo. Szef mojego męża w pracy powiedział, że nie było naturalne to, co zrobiliśmy. „Popatrzcie na świat zwierząt - mówił - jeśli kotka rodzi chore małe, to od razu je zabija. Pozwolić żyć temu dziecku jest przeciw naturze".

Później pojawiły się problemy finansowe. Musieliśmy zapłacić za schody w domu. Nie mogliśmy tego zrobić od razu, chcieliśmy uregulować to w ratach.

Mieliśmy wtedy dużo wydatków związanych z naszą nową sytuacją. Człowiek, który nam robił te schody, powiedział z wściekłością, że przecież wiedzieliśmy, że dziecko będzie upośledzone. Innymi słowy nie musieliśmy mieć tego dziecka i gdybyśmy go nie miali, teraz nie mielibyśmy także problemów finansowych.

LIONEL: Myślę, że jest wiele powodów, dla których w Belgii pojawiła się ustawa o eutanazji. Istnieje tu silne lobby proeutanazyjne. Istnieje też w pewnych kręgach społecznych duży nacisk, aby przeprowadzać eutanazję. W fachowym czasopiśmie medycznym „The Lancet" znalazły się dane, że w Belgii przeprowadzono 2000 eutanazji, ale tylko 150 z nich było prawdziwymi eutanazjami, tzn. takimi, że ludzie sami o nie poprosili. W pozostałych wypadkach nie chodziło o eutanazję zgodnie z literą prawa, ale o to, że pewnych ludzi po prostu usunięto z drogi. Powodem najczęściej jest to, że członkowie rodziny nie mogą patrzeć, że ktoś z ich rodziny cierpi, nie mogą tego znieść. W społeczeństwie zachodnim nie jesteśmy przyzwyczajeni do oglądania ludzi, którzy cierpią, i chcemy jak najszybciej pozbyć się tego cierpienia. Jednym ze środków do tego celu jest eutanazja. To fałszywa forma współczucia. Współczucia nie dla cierpiącego, ale dla samego siebie.

Przed kilku laty w jednym ze szpitali w okolicy urodziło się dziecko z wodogłowiem. Z punktu widzenia dzisiejszej wiedzy medycznej nie jest to choroba śmiertelna. Jednak rodzice nie wyobrażali sobie posiadania dziecka z wodogłowiem. Odmówili więc zabrania go ze sobą do domu. Wahali się również w kwestii załatwienia dziecku odpowiedniej opieki medycznej w celu usunięcia wodogłowia, tak aby dziecko pozostało przy życiu. Dziecko to leżało w szpitalu bez opieki i cały czas cierpiało, aż w końcu zmarło. To jest pasywna forma eutanazji.

RENATE: Przypominam sobie, że byliśmy kiedyś na spacerze w lesie i spotkaliśmy tam naszego znajomego. Zaczęliśmy rozmawiać, a on, patrząc na naszą córkę, powiedział: „Przecież to nie ma żadnego sensu, przecież jest eutanazja".

Inna sytuacja miała miejsce podczas pewnego święta w szkole. Nasza córka robi dużo hałasu, wydaje dziwne dźwięki w obecności innych ludzi. Dla nas jest to albo znak radości, albo niewygody. My umiemy to zinterpretować, ale dla osób postronnych jest to po prostu uciążliwy hałas. Pewna starsza kobieta powiedziała wtedy: „Temu dziecku trzeba przecież zrobić zastrzyk..."

LIONEL: W praktyce wyraźnie widać, że prawo do aborcji doprowadziło do obowiązku aborcji. Coraz więcej młodych dziewczyn jest zmuszanych do tego przez społeczeństwo, przez rodziny. To samo dzieje się z eutanazją. Coraz więcej ludzi zaczepia nas na ulicy, pytając, dlaczego nie przeprowadzimy na naszym dziecku eutanazji. Prawo do eutanazji stało się obowiązkiem eutanazji. Jeśli nie wrócimy do Boga, nasza cywilizacja zostanie wyabortowana przez samą siebie.

RENATE: Na początku bardzo dotykały mnie spojrzenia ludzi. Kiedy szłam na zakupy, zabierałam córkę ze sobą. Widziałam, jak ludzie oglądają się za nami, szepczą, pokazują i mówią: co za śmieszne dziecko. Byłam wtedy zła i ze złością patrzyłam na tych ludzi. Dzisiaj mnie to już nie obchodzi, niech sobie patrzą. Ja też się boję, widząc takie dziecko - dlaczego oni nie mieliby się bać? Ludzie patrzą i mówią do siebie: przecież ona jest upośledzona, czy jej matka nie wiedziała tego w ciąży? To wina lekarzy, przecież oni musieli to wiedzieć. I mogli coś zrobić. Ale co? Tylko zabić

Kiedy nasza córka miała rok. mąż chciał przeprowadzić pewne badanie, żeby zobaczyć, jak w tym czasie rozwinął się jej mózg. Lekarz stwierdził, że gdybyśmy wiedzieli, ile kosztuje badanie, nie prosilibyśmy o nie. Uważał, że to zbyt duże koszty, jak dla naszej córki. Takich pieniędzy nie warto inwestować w to dziecko.

Pewnego razu odwiedził nas inny lekarz, który zapytał, czy może zobaczyć fotografie rentgenowskie naszego dziecka. Zgodziłam się. a on po obejrzeniu powiedział: „Bez szans, bez szans". Nasza córka miała wtedy dwa lata. Stwierdziłam, że przecież ona żyje. A on znowu swoje: bez szans. Zmieniliśmy więc lekarza, ponieważ nie podobało nam się takie nastawienie.

Wiele razy mówiono nam, szczególnie podczas pierwszych wizyt, że to dziecko będzie miało jakość życia na poziomie zerowym Źle reaguję na określenie „jakość życia". Co to właściwie jest? Kto o tvm decyduje? Kto to mierzy? Córka żyje już osiem lat, a ja mam poczucie, że żyje jej sie przyjemnie. Jest radosna. Oczywiście nie ma tego świadomości, ale jest wesoła Ma momenty, kiedy nie czuje się dobrze, ale ogólnie rzecz biorąc jest szczęśliwa. Ma tę zaletę, że nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jest chora psychicznie. Nic sobie z tego nie robi. Nie ma świadomości, że nie jest w stanie tak dobrze biegać jak inni ludzie. Nie wie. że nie jest inteligentna, że nie może poprawnie myśleć. Po prostu tego

nie wie. Jest szczęśliwa, jeśli się o nią dba, daje się jej jeść, kiedy idzie się z nią na basen. Kiedy się ją kocha. Gdyby ją zapytać, odpowiedziałaby, że jej jakość życia jest bardzo dobra.

Jej coraz lepszy stan zawdzięczamy intensywnej terapii trwającej trzy lata. Gdybyśmy nie wykazali inicjatywy, wszystko wyglądałoby o wiele gorzej. Córka pewnie by cierpiała.

Widzę to tak. Nad moim życiem stoi Bóg. On ma w ręku moje życie i życie mojej rodziny i to On dopuścił do tej sytuacji. Nie wiem dlaczego, ale nie jest mi to potrzebne, nie muszę tego wiedzieć. On widzi z góry pięknie wypleciony dywan. Ja z dołu mogę obserwować tylko pojedyncze frędzle tego dywanu. On widzi całość i wie, dlaczego do tego dopuścił. Dla Niego jest to zrozumiałe. Przyjmuję to z wdzięcznością.

LIONEL: Główny powód, dla którego nie poddaliśmy naszej córki eutanazji, ma wiele wspólnego z naszą wiarą. Wiarą, że każdy człowiek jest stworzony i kochany przez Boga. Każdy człowiek ma prawo do życia. Nawet my jako rodzice nie możemy mieszać się do tego świętego prawa dziecka. Nie jesteśmy stworzycielami życia, nie mamy więc prawa tego życia odebrać. Każde stworzenie jest własnością Boga. Jestem przekonany, że każdy pewnego dnia stanie przed Bogiem i zostanie przez Niego zapytany, co zrobił z życiem, które Bóg podarował jemu i jego żonie.

RENATE: Gdybym miała się porównywać z innymi kobietami w moim wieku, których dzieci są już większe, a one same wróciły do pracy, robią przeróżne kursy i mają dużo kontaktów z ludźmi, to mogłabym stwierdzić, że źle mi się powodzi, że zostałam przez Boga ukarana na całe życie. Ale ja tak nie sądzę. Gdyby tak było, zaczęłabym się nad sobą litować i dopiero wtedy cierpiała, a wraz ze mną cała moja rodzina. Chcę to wszystko przyjąć z wdzięcznością z rąk Bożych. Byłoby okropną niewdzięcznością wobec Boga, który przecież podarował nam to dziecko, gdybym robiła z tego jakiś wielki problem. Nasza córka przecież nie umarła do dziś. Nie jest głucha, niewidoma, kulawa. Może jeść, a przecież jest wiele upośledzonych dzieci, które nie mogą przełykać. Może trochę biegać, poruszać się, trochę się bawić. Wiele upośledzonych dzieci nie umie robić tych rzeczy. Dla mnie to coś niezwykłego, że w mózgu tak małym, że prawie go nie ma, mieszczą się takie rzeczy. To cud.

Jedyna rzecz, która nas niepokoi, to zmiany w mentalności społecznej. Jak dotąd znaleźliśmy lekarzy, którzy chcą angażować się w pomoc naszemu dziecku. Mogliśmy unikać lekarzy, którzy nie chcieli się zaangażować, i wybrać innych. Zadajemy sobie pytanie, czy będzie to możliwe w przyszłości. I czy społeczeństwo będzie w stanie inwestować pieniądze w takie dziecko. Czy dostanie ono w przyszłości taką samą opiekę? Słyszeliśmy o pewnym przypadku w Anglii: oskarżono dwie ciotki oraz wujka o to, że chcieli ratować życie swojego siostrzeńca, który miał zostać poddany eutanazji. Boję się, że ja również mogę się znaleźć w takiej sytuacji, kiedy coś poważnego stanie się mojej córce. Teraz, dzięki Bogu, ono rzadko choruje, ale to przecież może się zmienić.

Czasami ludzie mówią mi, że podjęłam dobrą decyzję. A ja sobie myślę, że nie podjęłam żadnej decyzji. Po prostu to przyjęłam. Jestem szczęśliwa, że zaoszczędzono mi takich decyzji. Wierzę, że istnieje Ojciec w niebie, który obdarza nas miłością i siłą, abyśmy umieli znosić i pokonywać trudne sytua-

cje. Nie muszę rozmyślać, czy urodzić to dziecko, czy nie. Czy przyjąć je, czy poddać eutanazji. Takich pytań nie muszę sobie stawiać, ponieważ Bóg jest Panem życia i śmierci. Nie miałam żadnych konfliktów sumienia. Nie muszę też wracać myślami do przeszłości i zastanawiać się, czy podjęliśmy właściwą

decyzję. Każdy człowiek został stworzony jako niepowtarzalny i życie każdego ma sens. Każdy ma swoje zadanie. Nawet moja córka ma swoje zadanie. To, że jest taka a nie inna, ma głęboki sens. Jest w tym jakiś wielki plan, który my może nie do końca widzimy. Ale on jest.

LIONEL: Istnieje oczywiście podstawowe pytanie: jaki jest sens cierpienia? Wielu ludzi pyta mnie: dlaczego Bóg na to pozwala? Dlaczego istnieje cierpienie? Bóg, chociaż sam nie stworzył cierpienia, jednak do niego dopuszcza. Nie możemy dokładnie zrozumieć dlaczego, ale tak to jest. Możemy jedynie mówić o własnym doświadczeniu. My na przykład poprzez cierpienie związane z naszą córką żyjemy o wiele bliżej Boga. Widzimy również, że to cierpienie bardzo nas wzbogaca. Nasze życie wiele nas nauczyło. Możemy innym dodać odwagi, a tę pociechę, która została nam podarowana, możemy przekazywać dalej. Wielu ludzi usłyszało o Jezusie Chrystusie tylko dzięki narodzinom naszej córki. W przeciwnym razie nie wiedzieliby o Nim. Wielu ludzi w trudnym położeniu doznało pocieszenia, gdy zobaczyli, że Bóg może im pomóc, kiedy przyjdą do Niego ze swoim cierpieniem. Nasze ciało w zetknięciu z cierpieniem chce uciec jak najdalej. Człowiek z natury ucieka przed cierpieniem, Ale czy nie jest tak, że my wszyscy jako ludzie najwięcej uczymy się, będąc pod presją, kiedy cierpimy? Najważniejszą lekcję naszego życia dostajemy właśnie w ten sposób. Kiedy zrobię coś nie tak w pracy i zostanę upomniany przez pracodawcę, to też doznaję jakiejś formy cierpienia Ale nie będę **cierpiał** dłużej niż tydzień, może miesiąc. A kiedy sobie o tym przypomnę, czy nie będę później lepiej pracował? Cierpienie poznaję najczęściej przez moje własne błędy, które również są formą cierpienia. Zatem na cierpienie można spojrzeć również pozytywnie. Mnie najbardziej dodaje odwagi to, co stoi za cierpieniem. To jesi Boża miłość.

Renatę mówiła o życiu jako dywanie, którego nie widzimy z naszej ludzkiej perspektywy. Ale jestem pewien, że kiedy pewnego dnia znajdę się u Boga, zobaczę tę piękną tkaninę, którą Bóg stworzył z mojego życia. Często zadaję sobie pytanie: jeśli Bóg nie dopuściłby Tykwy do naszego życia, ile złego mogłoby się z nami stać?

Jaki jest sens życia Tykwy czy osób podobnych do niej? Mogę to wyjaśnić tylko na podstawie naszego własnego doświadczenia. Myślę, że Tykwa ogromnie nas wzbogaciła. Przede wszystkim mnie jako ojca, Renatę jako mat-

kę i nasze pozostałe dzieci. Myślę, że gdyby Tykwa nie pojawiła się w naszym życiu, stracilibyśmy bardzo wiele.

Kiedy ktoś pyta o sens życia Tykwy, to tak naprawdę pyta o jakość życia. Kiedy ktoś pyta o jakość życia, to zastanawia się, ile wart jest dany człowiek. Posłużę się przykładem. Kiedy myślę o inteligencji Boga, który wszystko stworzył, kiedy widzę, z jaką precyzją i perfekcją to zrobił, od najmniejszych do największych rzeczy we wszechświecie, to widzę rozum Boży, który musi posiadać nieskończoną inteligencję. I kiedy porównuję swoją inteligencję z inteligencją Boga, to widzę, że moja jest niczym. A przecież różnica między moją inteligencją a inteligencją Tykwy jest o wiele mniejsza niż między inteligencją moją a inteligencją Boga. Czy to oznacza, że moje życie jest bez wartości? Czy wszystko **na** tej ziemi musi mieć tę samą inteligencję, czy musi być tak samo produktywne? Czy wszystko musi być na tym samym poziomie? A może właśnie różnorodność ma sens? Są przecież ludzie, którzy są bardziej inni. niż my możemy to sobie wyobrazić. Kiedy mówimy o mniejszej jakości czy wartości czyjegoś życia, to wracamy do czasów nazizmu. Według mnie profesor zasługuje na życie tak samo jak ciężko upośledzone dziecko. Każdy jest stworzony przez Boga i każdy **ma** prawo do życia. Społeczeństwo, które nie **pomaga** najsłabszym, nie szanuje ich i nie chroni przed śmiercią, jest społeczeństwem skazanym na zagładę.

LIONEL I RENATĘ ROOSEMONTOWIE

WYSŁUCHAŁ: LECH DOKOWICZ.

KEMMEL. LUTY 2004

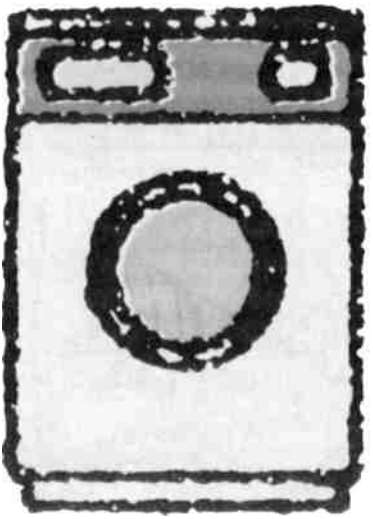

Polscy eugenicy otwarcie deklarowali, że sterylizować, ewentualnie kastrować należy wszystkich chorych psychicznie, cierpiących na choroby dziedziczne, w tym na cukrzycę czy choroby płucne, kobiety, których bracia lub ojcowie chorują na hemofilię, epileptyków, niewidomych, głuchych, chorych na zaćmę, a nawet ludzi z „dziwnym charakterem". Oczywiście, nie wszystkich i nie zawsze da się wysterylizować. Co wtedy? Tadeusz Boy-Żeleński miał na to prostą receptę: państwo powinno likwidować dzieci takich rodziców jeszcze w fazie embrionalnej albo zaraz po urodzeniu.

LIBERALNE LUDOBÓJSTWO

czyli zlikwidować niepotrzebny materiał ludzki

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Wielka Brytania, rok 1981. W jednym ze szpitali rodzi się John Pearson - chłopiec z zespołem Downa. Matka, w szoku okołoporodowym, gdy lekarze

powiedzieli jej, że urodziła chore dziecko, powiedziała do męża: nie chcę go. Lekarz, dr Leonard Arthur, potraktował te słowa śmiertelnie (nomen omen) poważnie. Zakazał karmienia dziecka. Polecił, by podawano mu środki przeciwbólowe. Po kilku godzinach chłopiec poszarzał. A po dwóch dniach zmarł. Nikt za ten mord nie odpowiedział. Lekarz został uniewinniony. Poważni brytyjscy lekarze, np. Douglas Black, przewodniczący Royal College of Physicians, podczas procesu otwarcie głosili, że „z etycznego punktu widzenia dziecko z zespołem Downa... nie powinno przeżyć". To nie jedyny taki przypadek. Zabójstwa, w majestacie prawa, upośledzonych dzieci są już niemal codziennością w wielu amerykańskich i brytyjskich szpitalach. Dlaczego? Odpowiedź, zdaniem najbardziej znanego współczesnego bioetyka Petera Singera, a także wielu jego naśladowców, jest oczywista: jakość życia dziecka z zespołem Downa jest zbyt niska, by „skazywać" na nie je samo i jego rodziców.

Analogia z medycyną III Rzeszy nasuwa się tu niemal automatycznie. Istotą działania lekarzy hitlerowskich także była selekcja i eliminacja. „Niepełnowartościowi pod względem biologicznym zostają wyeliminowani z ciała narodu, zawsze w obietnicy na jego lepszą biologiczną przyszłość. Pojedynczy człowiek się nie liczy, jest bezlitośnie sterylizowany, uśmiercany, zabijany w imię medycyny" - opisywał istotę niemieckiej medycyny nazistowskiej w książce *Medycyna III Rzeszy i jej ofiary* Ernst Klee. Z problemem uznawania jakiejś części ludzi za niepełnowartościowych, a w konsekwencji niegodnych życia, borykali się w przeszłości jednak nie tylko Niemcy. Eugenika, która legła u podstaw projektu masowej eksterminacji chorych psychicznie, Żydów, Cyganów czy Słowian, przyczyniła się także do wprowadzenia w Stanach Zjednoczonych, Szwecji czy Danii programu sterylizacji, a także kastracji ludzi nieprzystosowanych społecznie czy alkoholików, których uznano za niegodnych posiadania dzieci. Podobne projekty, o czym wiedzą nieliczni, powstawały również w Polsce. Przypomina o tym w znakomicie udokumentowanej pracy *Rasa i nowoczesność. Historia polskiego ruchu eugenicznego* Magdalena Gawin.

Książka Gawin pokazuje, do czego prowadzić mogą nawet najszczytniejsze cele (w tym wypadku propagowanie higieny, walka z alkoholizmem, prostytucją czy chorobami wenerycznymi), jeśli nie towarzyszy im szacunek dla ludzi oraz świadomość ich godności, niezależnie od ich postaw i przekonań. W Polsce czasopismo lewicowo-demokratyczne „Czystość" rozpoczęło od

propagowania higieny i czystości moralnej (wolności od alkoholu i prostytucji), by niemal natychmiast przejść do projektów „oczyszczających" całe społeczeństwo ze zbędnych wyrzutków. „Alkoholik sam będąc wyrzutkiem społeczeństwa, popełnia jeszcze drugą społeczną zbrodnię: płodzi chore dzieci" - przekonywała na lamach „Czystości" dr Justyna Budzińska-Tylicka. Jak zaradzić tej zbrodni? Odpowiedź moralistów humanistycznych jest prosta: należy sterylizować i kastrować jednostki społecznie nieodpowiednie. „Zręczni, silni i dzielni powinni się rozmnażać; słabi, niedotężni, źli i głupi natomiast - wcale nie, średni - umiarkowanie" - uzupełniał na łamach „Czystości" niemiecki socjaldemokrata, profesor August Forel.

Biorąc pod uwagę lewicowy rodowód większości eugeników, nie tylko W Polsce, nie powinno dziwić, że instytucją odpowiedzialną za ustalanie, kto może, a kto nie może posiadać potomstwa i zawierać związków małżeńskich - jest państwo. W zaprezentowanym w latach 30. XX wieku polskim projekcie ustawy eugenicznej lekarze postulowali utworzenie sieci poradni przedślubnych, które wydawałyby zaświadczenia (ważne dwa tygodnie) o zdolności do ślubu. Proponowano też możliwość wydania przez urzędnika zakazu zawarcia małżeństwa, jeśli uznałby on, że jedno z małżonków zaraziło się chorobą weneryczną. Planowano wspomaganie finansowe przez państwo prokreacji ludzi „wartościowych" (pochodzących z rodzin „zasłużonych w pracy społecznej", „wzorowych pracowników we wszystkich rodzajach wytwórczości", „bezinteresownych działaczy społecznych") oraz jej podatkowe ograniczanie w wypadku osób „bezwartościowych".

Projekt ustawy hvl zresztą i tak niezwykle umiarkowany F.ugenicy w swoich pismach i podczas zjazdów otwarcie deklarowali, że sterylizować, ewentualnie kastrować (a nie tylko zakazywać małżeństw) należy wszystkich chorych psychicznie, cierpiących na choroby dziedziczne, w tym na cukrzycę czv choroby płucne (jednostki takie wydają bowiem na świat dzieci pozbawione wartości swoją drogą ciekawe, czy lekarze ci wiedzieli, że na dziedziczną chorobę płuc cierpiał np Chopin), kobiety, których bracia lub ojcowie chorują na hemofilię, epileptyków, niewidomych, głuchych, chorych na zaćmę, a nawet ludzie z „dziwnym charakterem". Oczywiście, nie wszystkich i nie zawsze da się wysterylizować. Co wtedy? Tadeusz Boy-Żeleński miał na to prostą receptę: państwo powinno likwidować dzieci takich rodziców jeszcze w fazie embrionalnej albo zaraz po urodzeniu.

Argumenty za likwidacją jednostek nieprzystosowanych były w Polsce, podobnie jak w krajach skandynawskich czy Stanach Zjednoczonych, raczej społeczne niż rasowe. Nieliczni sugerowali, że likwidować jednostki chore należy dlatego, że psują one krew narodu. Większość sugerowała (w zasadzie wszyscy najważniejsi eugenicy polscy mieli poglądy lewicowo-liberalne), że należy to robić z przyczyn ekonomicznych (po co wydawać pieniądze na leczenie, skoro można zlikwidować źródło chorób, czyli dziedzictwo ludzi chorych) i społecznych (uzdrowienie społeczeństwa przez medyczną, a nie tylko społeczną inżynierię). Dlatego nie powinien być specjalnym zaskoczeniem fakt, że eugenicy polscy byli też wielkimi zwolennikami budowy Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Żoliborzu i innych programów całościowego projektowania ludziom życia - od małżeństwa do mieszkania.

Eugenika w Polsce znalazła na szczęście niezwykle silnych przeciwników. Najważniejszym z nich był Kościół katolicki (ciekawe, że w krajach katolickich, inaczej niż w protestanckich - projekty eugeniczne nigdy się nie przyjęły). Encyklika Piusa XI *Casti canubi* jasno zakazywała katolikom uczestniczenia w tego rodzaju praktykach. Jezuicki „Przegląd Powszechny" piórem Stanisława Podoleńskiego głęboko rozwijał intuicje i myśli zawarte w papieskim dokumencie. Nauka - przypominał - wbrew temu, co sądzą eugenicy, nie może rozstrzygać sporu o wartość człowieka. „Wszystkie odmiany eugeniki noszą na sobie to samo piętno - okrucieństwa i bezwzględności wobec słabych, chorych, niewartościowych, biednych, «niższych rasowo», źle przystosowanych" - podkreślał Podoleński. Trudno nie dostrzec, że podobne zarzuty można zastosować dziś do „naukowych" i „utylitarnych" usprawiedliwień aborcji czy eutanazji.

Uzasadnienia ekonomiczne eugeniki zdecydowanie i niezwykle trafnie (by nie powiedzieć proroczo) odrzucił Witold Łuniewski, dyrektor szpitala psychiatrycznego w Tworkach. Napisał on: „Gdyby względy ekonomiczne miały decydować o losie psychicznie chorych, to daleko skuteczniejszym sposobem pozbycia się tych kosztów byłaby nie

sterylizacja, lecz np. wytrucie i wystrzelanie wszystkich chorych". Niebawem w sąsiednich Niemczech, a później - pod hitlerowską okupacją w Polsce - ostrzeżenia te miały się spełnić. Niemieccy eugenicy wymordowali tysiące chorych psychicznie.

Zwieńczeniem rozważań Gawin nad eugeniką jest ukazanie jej skutków w wydaniu niemieckim na terenie Polski. Likwidacja szpitali psychiatrycznych (to w nich po raz pierwszy zastosowano trucie gazem czy spalinami), badania nad wyższością jednej rasy nad innymi w „ośrodkach badawczych" w Oświęcimiu czy projekt opracowania masowej i niezauważalnej sterylizacji jednostek „niższych" w imię rozwoju „nowego wspaniałego świata". Paradoksalnie doświadczenia te wcale nie zmieniły po wojnie stanowiska polskich eugeników. Ich rozwój zatrzymał dopiero stalinizm, który zresztą tę pseudonaukę odrzucił z przyczyn ideologicznych, opierała się bowiem na zasadach genetyki, podczas gdy komunizm promował wówczas „jedynie słuszne" doktryny Trofima Łysenki.

Wnioski, jakie płyną z lektury książki Magdaleny Gawin, nie ograniczają się jednak tylko do historii. Uświadamia ona bowiem przede wszystkim, że nadal żyjemy w epoce eugenicznej. Nadal naukowcy, tym razem genetycy, bioetycy czy medycy prenatalni - roszczą sobie prawa do decydowania o tym, kto może, a kto nie powinien żyć. Czyje życie jest wartością samoistną, a czyje może zostać przerobione na lekarstwa, kosmetyki czy części zamienne dla „pełnych ludzi". I podobnie jak wtedy argumenty są podobne. Rodzenie chorych dzieci jest kosztowne tak dla państwa, jak i dla rodziny (i nie chodzi tu tylko o pieniądze), a ich życie nie jest na tyle wartościowe, by go bronić. Podobny jest również język wczorajszych i dzisiejszych eugeników: pozbawiają oni swoje ofiary człowieczeństwa i mówią o nich jak o materiale (społecznym - przed wojną, genetycznym - obecnie). Różnica, jaką można dostrzec, jest tylko jedna: ilość ofiar. Współcześni eugenicy pozbawili życia więcej ludzi niż wszystkie lewicowe reżimy eugeniczne razem wzięte, nazistowskiego nie wykluczając.

Nie ma się zatem co oszukiwać - cywilizacja, w jakiej żyjemy, wcale nie wyzwoliła się z okowów eugeniki, również tej hitlerowskiej. Przeciwnie, wszyscy jesteśmy - w swojej choćby myślowej akceptacji aborcji czy eutanazji - dziećmi nazizmu i lewicowych technik eugenicznych. Hasło „nigdy więcej" będzie pustym sloganem tak długo, jak długo na naszych oczach i za

naszym - mniej lub bardziej otwartym - przyzwoleniem będzie się toczy! niespotykany holokaust nienarodzonych: zabijanych, przerabianych na komórki macierzyste czy dodawanych do kosmetyków. Auschwitz, Birkenau, Dachau są obecne wśród nas - za rogiem ulicy, ukryte pod gazetowym ogłoszeniem: „wywołuje miesiączki...". Uświadamia to z bolesną dosłownością naukowa praca o historii polskiego ruchu eugenicznego, szczególnie gdy wraz z nią czyta się książki Petera Singera, bioetyka zabójcy.

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Magdalena Gawin, Rasa i nowoczesność. *Historia polskiego ruchu eugenicznego,* Warszawa 2003

Zielonym okiem: GORĄCE METRO

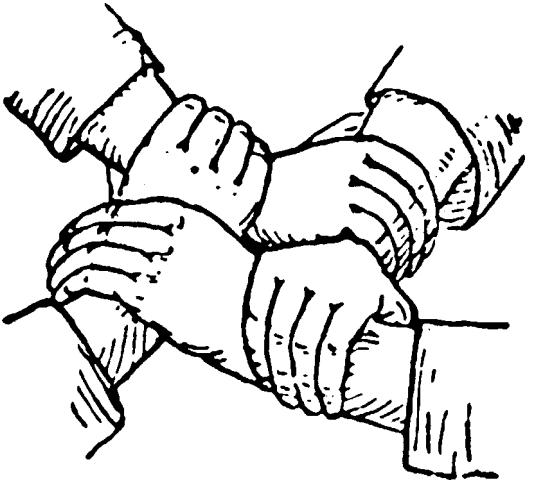

DŻEBEL-AL-NUR

Bolanda, 12 Safar-Maar 2004

Język polski ćwiczę czas cały. To ważne jest mówić wyraźnie do klienta. Klient przychodzi i klient jest pan. Szanować go więc trzeba. Dlatego ćwiczę polski. Czytam, jak metrem jadę do domu, to, co na szybach piszą. Oni tam dużo różnych rzeczy piszą. Ja się szybko uczę. Ostatnio czytałem na szybie, że Muzeum otwarte będzie dla wojowników dawnej wojny w Europie. To dobrze jest bardzo. Bo ja długo tu jestem i już smutno

mi było, że oni tu nie mają żadnych dzielnych mężów. Ale jednak pomyłka moja. Ich dużo jest, bo to Muzeum duże też będzie.

Inne zdania, co piszą, też czytam. Ostatnio takie dziwne pisze, że jak się zobaczy coś nietypowe w metrze, to dzwonić po pana policjanta trzeba. (Sprawdziłem w słowniku: nietypowe to znaczy dziwne, nie takie). Allah akbar! Ja to bym co chwila musiał dzwonić. Tyle tu dziwnych rzeczy w Bolanda się staje co dzień. Kobiety dla przykład. Jak one się tu ubierają! Wszystko im widać! Co na to mężowie ich? Gdzie oni? Jak u naszych sąsiadów kobieta pokazała za dużo twarzy, to mąż sprawę załatwił krótko. We wczoraj Ranią al Baz, co w telewizji występuje, się o tym dowiedziała. Widziałem zdjęcie jej w tej dobrej gazecie. Pokazali, jaki mąż jej silny i sprawiedliwy. Ale dziwne jest. Panowie z gazety nie napisali, dlaczego on tak zrobił. Pisali pod zdjęciem zbitej Ranią, że męża ona do sądu zgłosiła. Ale nie pisali, że niewierna mu jest ona. Dlaczego? W mojej ziemi też taka niewierna jedna była. Oj, bardzo niewierna! Grala w brzydkich filmach co dużo mężowie i kobiety cały czas jęczą tam, i goli są. To hańba. Ona mówiła, że to robi na złość ojcu. Czy Allah wybaczy jej? Wyjechać musiała. Teraz w Niemczech w filmach gra. Ale innych. Czasami płacze i mówi zdania. Mężów mniej na ekranie. I ona mniej się śmieje w ekran. Europejczycy filmowi temu nagrodę dużą dali. Co oni myślą? Oni nie myślą! Oni kobiety nie szanują! Pozwalają na wszystko. A kobieta nie lubi mieć wszystko. Bo jak ma wszystko, to kończy jak Ranią al Baz. Dlatego lepiej, jak ma, ile potrzebuje. A te tu, co w metrze widzę, to za dużo dawno już mają. Krzyżyki złote z szyi na piersi wchodzą im. Oczami one szukają, kto na nich spojrzy. A jak się spojrzy, to one szczęśliwe jak kocica, co szczura ubiła. Głupie one i marne. O Allah! Po co Ty mnie sprowadziłeś tu? I tak

sobie myślałem, jak zobaczyłem, że taki blady i chudy śmieje się do mnie. Dziwne ubranie miał. Gniecione takie i w kwiatki. Ciasne bardzo spodnie miał on. I patrzy on na mnie takim okiem gorącym. Jak kobieta. Ale co ja widzę! On sam nie jest. Obok niego taki chudszy jeszcze stoi czarno ubrany. Pierścionki miał na palcach i takiego piega na wardze. Pachniał on jak poduszki w pokoiku ciotki mej Zizur. Duszno tak koło niego mi było. I on tak dziwnie stoi koło kolegi, że go tyka w brzuch ręką, a drugą mu na pupę położył. I noga jego kłuje w nogę tamtego. „Allah, co się dzieje?" - szeptnąłem ja. I oko moje poleciało na napis w szybie: „Jak zobaczysz nietypowe coś, wołaj pana policjanta". Pchałem ja więc ludzi i szybko wysiadłem z metro. Biegłem. Stał pan w czapce. Mówię mu ja, że dziwne widziałem i że to dziwne pojechało i że zatrzymać wagon trzeba, żeby dziwne nie uciekło. On na mnie okiem patrzy jak na ducha. Ja mu drugi raz mówię, że dziwne widziałem. Pan się pyta, czy oni coś nietypowe w rękach mieli. Ja mówię, że tak - oni swoje ręce mieli w rękach. Pan inaczej się pyta: czy oni siatki nietypowe mieli? Ja mówię, że po co im nietypowe siatki jak dziwne ręce połączone mieli. Plecak, pan pyta? Jaki plecak, jak jeden innemu plecy tykał, mówię ja. Czy oni nerwowe ruchy robili? Nerwowe? Nie, nie nerwowe, oni uśmiechali się do mnie. „To co tu nietypowe jest, panie?" - on do mnie mówi. Ja głupi się zrobiłem, jak on mi się to zapytał. On patrzy na mnie, że ja blady, i patrzy on na siatkę moją. Pyta się, co ja taki zdenerwowany i co w siatce mam. Dłużej nie mogę o tym pisać. Hańba! Co oni mi kazali mówić i pokazywać! Za taką zniewagę na mężu w mojej ziemi to szariat karał i to niemało. Wytrzymałem to. Teraz wiem, po co Polakom napis ten w metrze, żeby na nietypowe rzeczy patrzeć. Żeby się do nich przyzwyczajać...

DŻEBEL-AL-NUR

kto pyta ten pyta!

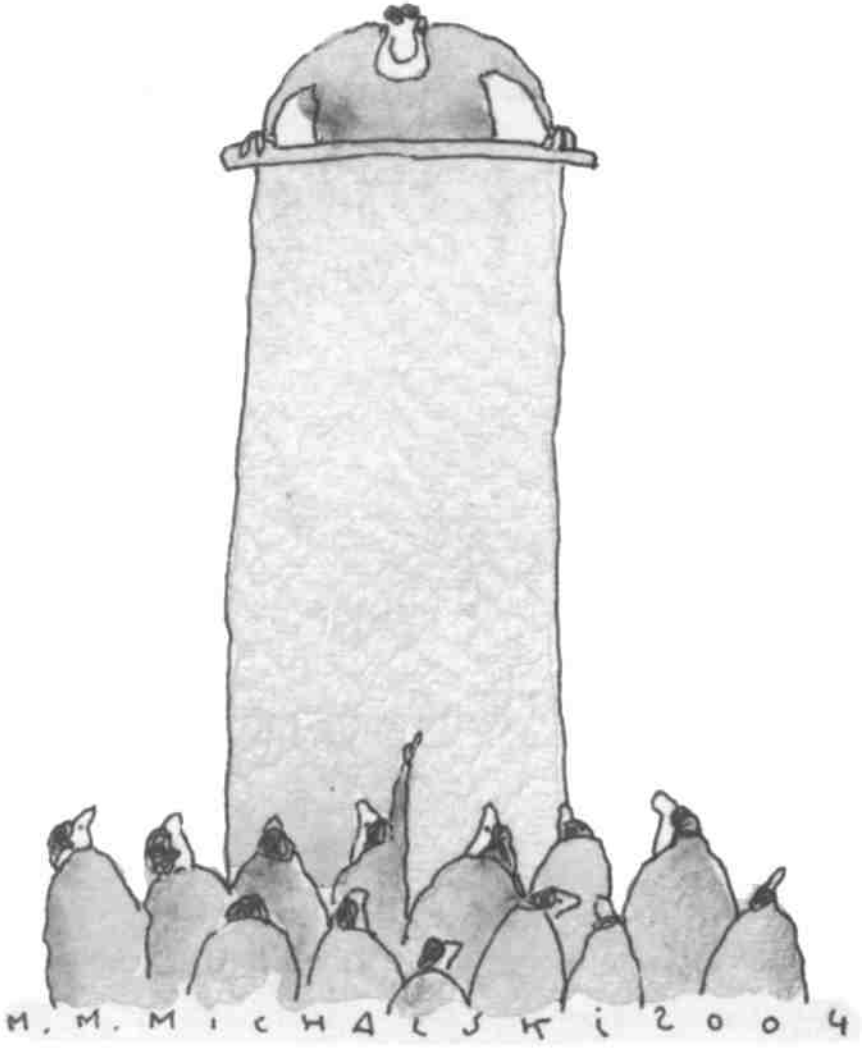

Trapes to mała miejscowość leżąca pod Paryżem, zamieszkana przez około 50 tysięcy mieszkańców, w większości muzułmanów. Ich procent jest tak znaczny, że pierwsza otwarta księgarnia w tym mieście sprzedaje wyłącznie muzułmańskie książki religijne w języku arabskim. Uzmysławia sobie to Pan? - jesteśmy we Francji...

CHUSTY TO MANIFEST

ROZMOWA Z ALAINEM FINKIELKRAUTEM

Alain Finkielkraut (1949) - znany filozof i publicysta francuski, jeden z najwybitniejszych intelektualistów swego pokolenia. Jest myślicielem konserwatywnym, naznaczonym antykomunizmem lat 80. Pisuje też o problemach żydowskich („Oto nadeszty czasy antysemityzmu triumfującego" - to jego reakcja na zamachy na Żydów i wzniecane w podparyskich miejscowościach pożary; w innym miejscu powie: „Trzeba odwagi, by nosić kipę w paryskim metrze"), o nacjonalizmie, modernizmie, tradycji. . . . .Dlaczego dotkniętą kryzysem ideologicznym lewicę daje się zarazić wimsem antysemityzmu, dlaczego jej sumienie jest płytkie, lekkomyślne, frywolne?" - zapytuje. Urodzony w Paryżu, jedyny syn Daniela, kaletnika żydowskiego pochodzącego z Polski, ocalonego z Auschwitz. Wykłada na Politechnice Paryskiej. Autor kilkunastu książek, z których najbardziej znane to: *Le Juif imaginaire* (Żyd z wyobraźni), *La Defaite de la pensee* (Przegrana myśli) oraz *UHumanke perdue* (Utracone człowieczeństwo - tłum. na jęz. polski). Podczas wojny w byłej Jugosławii zajął stanowisko zdecydowanie prochorwackie. Nie tak dawno otwarcie wyraził swoje poparcie dla książki Oriany Fallaci *Wściekłość i duma.* Jako jeden z zaproszonych konsultantów brał udział w obradach Zgromadzenia Narodowego nad nową ustawą, zabraniającą ostentacyjnego eksponowania znaków religijnych w publicznych szkołach francuskich. Zazwyczaj krytyczny wobec polityki rządu francuskiego, tym razem z przekonaniem broni nowej ustawy.

Nowa ustawa, uchwalona 10 lutego br. przez Zgromadzenie Narodowe przytłaczającą większością głosów, zabraniająca eksponowania znaków religijnych w publicznych szkołach Francji, spotkała się ze zdecydowaną krytyką w wielu krajach. Czyżby działo się we Francji coś, co tylko sami Francuzi rozumieją...?

Nie przesadzajmy, idzie Pan za daleko. Weźmy na przykład Belgię, która boryka się z podobnym do naszego problemem i także rozważa prawne sposoby wyjścia z impasu. Albo Niemcy: mimo że ich tradycja różni się od francuskiej i inną mają formę laickości, występuje się tam na drodze prawnej przeciw wykładowcom noszącym tradycyjne islamskie turbany czy chusty. Sytuacja nie przedstawia się tak czarno, jak ją Pan maluje. Nie można powiedzieć, że Francja została osamotniona, że oto znalazła się sama przeciw wszystkim. Mówiąc to, przyznaję jednak, że złudzenie, które u współczesnych wywołuje technika, sprawia, iż ludzie z całego świata czują się zwolnieni z wysiłku rozumienia. Zdobycze techniki usuwają problem odległości, wszystko dzieje się na naszych oczach - za sprawą obrazu każde rzeczywiste zdarzenie dane jest każdemu do dyspozycji, jakkolwiek daleko by się od niego znajdował. A ponieważ oczekuje się naszej opinii o wydarzeniach, twierdzimy, że je rozumiemy. Dochodzimy do „stracenia z oczu" - jeśli tak można powiedzieć - różnicy między „widzieć" a „wiedzieć". I oto osądzamy doświadczenia drugich z piedestału naszych własnych pewności, naszych własnych oczywistości, własnej historii i tradycji. Dla przykładu, w Polsce zakaz dotyczący obecności znaków religijnych w szkołach może się kojarzyć tylko z bolesnym okresem komunizmu. Nie do wyobrażenia jest dla Polaków myśl, iż taka świeckość ograniczająca - „na modłę francuską" - może być formą emancypacji: świeckość, laicyzacja życia przywołują komunizm, a więc są formą ucisku. Doświadczenie historyczne Francji jest inne: tam wolność została zdobyta skutkiem długotrwałych i zaciętych walk przeciwko przymierzu tronu z ołtarzem. Ale symultaniczność oferowana nam przez zdobycze techniki sprawia, że zapominamy o tej różnorodności naszych dziejów: jesteśmy sobie nawzajem współcześni, ale różny jest nasz sposób zamieszkiwania czasu teraźniejszego. A przecież byłoby godne pożądania, gdyby każdy z nas w konfrontacji z „innym" umiał stawić opór tej iluzji symultaniczności, natychmiastowości, którą zawdzięczamy technice; aby umiał - że tak powiem - rozbudzić w sobie na nowo tę odrobinę ciekawości. Fakt, iż mamy posiadać wszystko w zasięgu ręki,

odziera nas z autentycznej ciekawości. Przepraszam za ten przydługi wstęp, ale trzeba powiedzieć na samym początku, że konieczne jest uzmysłowienie sobie specyfiki aktualnej sytuacji we Francji, z uwzględnieniem jej niepowtarzalności. Francuzi nie zostali zaatakowani nagle przez jakąś jakobińską czy republikańską wysypkę, ale stanęli wobec konkretnego problemu. Chodzi o olbrzymią, niewyobrażalną wprost mutację demograficzną: w ciągu 20, może 30 ostatnich lat Francja zmieniła swe oblicze. Dzieje się tak od czasu wprowadzenia słusznego i potrzebnego skądinąd prawa dotyczącego łączenia rodzin imigrantów pracujących we Francji, prawa którego konsekwencje nie zostały w porę przemyślane. Zatrudnieni cudzoziemcy otrzymali zgodę na sprowadzenie do siebie swoich bliskich, co samo w sobie nie stanowi problemu, sprzyja natomiast decyzjom definitywnego osiedlania się całych rodzin we Francji, ten zaś fakt zmienia w sposób znaczący skład społeczeństwa francuskiego, jego strukturę, pejzaż. Obecnie islam jest we Francji drugą praktykowaną religią. Chodzi tu o islam nastawiony wojowniczo, islam pulsujący rytmem świata arabsko-muzułmańskiego, islam radykalny, islam wojujący. Chusty muzułmanek są jedną z jego części składowych, jednym ze znaków tego neoradykalizmu islamskiego. A to dlatego, iż nie jest to po prostu zwykły element ubioru czy znak przynależności religijnej, własnej tożsamości - jest to obok tych sygnałów także odezwa, proklamacja. A cóż takiego obwieszczają owe chusty? Tutaj konieczne jest głębsze wniknięcie w naturę rzeczy, takie obserwowanie zjawisk, którego nie zadowala jedynie rozumowanie za pomocą analogii osobistej typu: sprawa chust przypomina sprawę krzyży; nam udało się wprowadzić je na nowo do przestrzeni publicznej, a oto Francuzi robią to samo, co dawniej czynili komuniści, czyli chcą wyeliminować wszystkie znaki religijne. Sprawy nie tak się mają bynajmniej. Cóż bowiem w ostatecznym rozrachunku obwieszcza islam? Parę dni temu oglądałem w telewizji francuskiej niezwykle interesujący film dokumentalny zatytułowany: *Trapes w godzinie modlitwy.* Trapes to mała miejscowość leżąca pod Paryżem, zamieszkana przez około 50 tysięcy mieszkańców, w większości muzułmanów. Ich procent jest tak znaczny, że pierwsza otwarta księgarnia w tym mieście sprzedaje wyłącznie muzułmańskie książki religijne w języku arabskim. Uzmysławia sobie to Pan? - jesteśmy we Francji... I mamy tu do czynienia z islamem radykalnym - najlepszy dowód to fakt, że muzułmanie umiarkowani przestali się tam czuć dobrze i zdecydowali się wystąpić ze Związku Muzułmanów miasta Trapes. Jeden z tych umiarkowanych muzułmanów rasy afrykańskiej tłumaczy w reportażu powody oddalenia się,

przytaczając wiele mówiący obrazek: w czasach obecnych dzieci dają lekcję swym własnym rodzicom, na przykład otwierają lodówkę i, jeśli znajdą tam butelkę coca-coli, wyrzucają do śmietnika. Nie alkohol, ale coca-colę. Dlaczego? Bo uważają, że to amerykański napój. Widzi Pan zatem, że chodzi tu o islam polityczny. Stany Zjednoczone muszą być zwalczane, także w swoich symbolach. Powód? - Amerykę należy zwalczać, bo służy polityce Izraela. I to są prawdziwe motywy: odrzucają coca-colę, ponieważ utożsamiają ją z Izraelem. Dalej reportaż pokazuje zdjęcia z olbrzymiej manifestacji sprzed paru miesięcy, w której rozwścieczeni mężczyźni i młode dziewczęta ubrane w swoje chusty protestowali przeciwko represjom Izraela wobec uczestników Intifady. Krzyczeli: „Nie spoczniemy, dopóki Palestyna nie będzie nasza!". „Nasza" - znaczy muzułmańska, „nie nasza" - Palestyńczyków. I nie Transjordania, ale cała Palestyna. Muzułmanie utracili Palestynę i powinni ją odzyskać. Oto, co głosi dziś radykalny islam we Francji. A w rym właśnie islamie chusta zajmuje miejsce szczególne: jest pierwszą odezwą, pierwszym manifestem. Czy wyobraża Pan sobie, jakie mogą być tego konsekwencje? Za pierwszym idzie następny manifest: w filmie widzimy dziewczynę z zakrytą chustą głową, która wyjaśnia, że w odróżnieniu od swoich rodziców, ona nie ma kompleksów. „Bardzo mi przykro - mówi - ale nikt mi nie musi pozwalać być Francuzką; ja jestem Francuzką. Niech nikt mi nie przychodzi mówić **0** integracji". Narodowość francuska przestała być

początkiem ukoronowania pewnej integracji, ona stała się jej prostym stwierdzeniem. Tak więc nie stajemy się Francuzami, ponieważ wprowadzeni zostajemy w naród francuski i sami się z nim integrujemy, ale stajemy się Francuzami, by nie musieć się integrować. A ponieważ jesteśmy Francuzami, uznajemy się za upoważnionych do bycia, kim jesteśmy, bez żadnych ograniczeń. To też „głosi" chusta. A czymże jest szkoła? Jest to przestrzeń, w której wszyscy nowoprzybyli, wszyscy „nowi" - imigranci wraz z ich dziećmi - wprowadzeni zostają w świat, który jest od nich starszy, i tym światem jest w pierwszej kolejności Francja. I jak mogą niektórzy żądać, abyśmy tolerowali w szkołach znak-manifest, który

oznacza odrzucenie Francji? Jeśli Francja nie jest pewnym światem, lecz zaledwie autoryzacją tego, czym każdy jest, to szkoła francuska przestała mieć sens.

Wydaje się, że mamy do czynienia z wojną między dwoma fundamentalizmami i że to lewica francuska potrzebuje zdefiniowania swojej tożsamości. Tradycyjne hasła walki o równość społeczną przestały pełnić funkcję mobilizującą, pozostaje jedynie walka z religią. Jednak w Pana rozumieniu przyczyny nowej ustawy nie mają charakteru ideologicznego...

Szczerze wierzę, że intelektualiści i specjaliści zebrani wokół Bernarda Stasi, ci intelektualiści, którzy zaproponowali nową ustawę, kierowali się nie ideologią, lecz pragmatyzmem: ich naprawdę zbiła z tropu gwałtowność wyzwania rzuconego Francji. I powiedzieli sobie: trzeba działać. Kiedy prezydent Francji zdecydował się w końcu na rozwiązanie problemu za pomocą ustawy, drogą legislacyjną, to kierowały nim te same racje. Na początku sprzeciwiał się proponowanej ustawie, potem przeczytał raport Stasi, przeczytał też książkę *Utracone terytorium Republiki*. Jest to książka, która we Francji odbiła się szerokim echem, ale której nie przeczytano w innych krajach, jako że żyjemy dzisiaj w „nieustającej bezpośredniości", a która to książka jest ważnym świadectwem o przemocy stosowanej w szkołach przez młodych islamistów i o trudnościach, jakie stały się udziałem dyrektorów szkół średnich i nauczycieli, o dręczącym ich dylemacie: jak reagować, co robić? Problem nie jest prosty - ten wojujący islam ma po swojej stronie przewagę liczebną; stało się niezbędne przypomnieć pewien kodeks zasad i konkretnych reguł, aby na nowo umożliwić integrację. Podstawowa reguła gry znalazła się w pogardzie i istniało ryzyko, że zostanie całkowicie pominięta i zapomniana. To w taką właśnie sytuację wkroczyło prawo, i to, co uczyniono, było niezbędnym minimum.

Są inne podejścia: w Niemczech m.in. przewodniczący CSU Edmund Stoiber, podobnie jak jeden z deputowanych SPD z Badenii-Wirtembergii, sprzeciwił się zakazowi eksponowania w szkołach - obok chust islamskich - także

krzyży, argumentując, że w przeciwieństwie do chust krzyż należy do kultury i tradycji Zachodu i nie jest w żaden sposób obciążony ładunkiem politycznym...

Właśnie we Francji nie przyjęliśmy takiej opcji, z troski o równość, aby wyjść naprzeciw podejrzliwości muzułmanów francuskich. Chcieliśmy jednocześnie potwierdzić jeszcze raz zasadę, której groziło zapomnienie, dać też dowód delikatności. Pragnęliśmy wymyślić „przedziwną rzecz" - prawo delikatne. Mówiliśmy sobie, że właśnie w tym okresie, kiedy muzułmanie mogliby - i to słusznie - czuć się na straconych pozycjach i jako ci, których reszta społeczeństwa odrzuca i spycha na margines, powinno się unikać wszelkich środków, które zdawałyby się potwierdzać u nich poczucie naznaczenia. Ustawa ta nie jest ustawą rasistowską. Jak można to lepiej wyrazić, niż wprowadzając ustawę dotycząca wszystkich: nie zabraniamy chust, zabraniamy wszelkich znaków ostentacyjnych...

Tak czy inaczej, wszyscy rozumieją, że ustawa skierowana jest do muzułmanów. Dlaczego nie powiedzieć tego otwarcie, zamiast rozszerzać ustawę na tych wszystkich, którzy nie stanowią zagrożenia dla społeczeństwa francuskiego?

No cóż, w pewnym momencie ma się ochotę powiedzieć krytykom: chcecie, byśmy całkiem zwariowali... Muzułmanie - przynajmniej niektórzy - mówią: ustawa godzi w islam, chodzi więc o naznaczenie nas i marginalizację, z kolei Polacy powiedzą: dlaczego zabraniacie krzyży, jeśli problemem Francji jest islam? Z każdego punktu widzenia jesteśmy przegrani...

Niektórzy pamiętają jeszcze, jak w szkołach francuskich prześladowano znaki chrześcijańskie. Uczennicę wchodzącą do klasy z widocznym krzyżykiem na szyi proszono o schowanie go pod bluzkę...

Tak, oczywiście. I ten aspekt także jest brany pod uwagę, gdy Francja patrzy na swoją tradycję. Istniała bardzo silna walka między obozem republikańskim a Kościołem katolickim i byłoby niezmiernie dziwne, gdyby ta sama Republika, która tak surowo obchodziła się z Kościołem, którego jest spadkobierczynią, okazywała dziś pobłażliwość czy lizusostwo wobec radykalnego islamu: ona nie mogłaby się tak zachowywać. Szukaliśmy takiego sformułowania ustawy, aby

była ona zrównoważona; użyto różnych środków ostrożności, obowiązkowa jest rozmowa z uczniem przed wprowadzeniem jakiegokolwiek zakazu. Ustawa ta jest przede wszystkim ostrzeżeniem, znakiem prawnym, który mówi muzułmanom, iż Francja nie jest miękka jak roztapiające się masło, narodowość i obywatelstwo francuskie to nie jakieś przybudówki, Francja jest światem, do którego możesz należeć, który możesz wraz z innymi dzielić, pod warunkiem jednak, że będziesz przestrzegać zasad i że zechcesz być za ten świat odpowiedzialnym. Chusta wyraża następującą treść: „To nie ja jestem tym, który musi się zaadaptować i przyjąć jako swoją tę ojczyznę, to ona musi mnie przyjąć takim, jaki jestem, i dostosować się do mnie". Takie odwrócenie porządku ma w sobie coś przerażającego i czyni ze szkoły rzeczywistość absolutnie zbędną. Prawo zaś chciało zamanifestować, że owszem, szkoła nie tylko jest jeszcze potrzebna, ale jest niezbędna.

A co powiedziałby Pan tym muzułmanom, którzy dziś twierdzą: „Dotąd czuliśmy się Francuzami, zintegrowanymi ze społeczeństwem francuskim, teraz jednak wskazuje się nas palcem jako zagrożenie; cofnięto nasz proces integracyjny".

To nieprawda. Jeśli jakaś dziewczyna nie zakłada do szkoły chusty islamskiej, nie jest postrzegana jako zagrożenie. Oni także powinni zadać sobie pytanie, do jakiej szkoły chcą uczęszczać. Szkoła to nie to samo co społeczeństwo.

Ale ci Arabowie francuscy, którzy nawet nie są praktykujący, zostają wrzuceni do jednego wspólnego worka islamskiego...

Nic podobnego. W takim Trapes to nie-Arabowie czują się źle i nie na miejscu. Oni są silni liczebnie. Nie zapominajmy, że tę przewagę liczebną uczniowie odczuwają także na przerwach w szkole. Jeśli we Francji byłoby na przykład tylu Żydów co Arabów, mielibyśmy konflikty otwarte jako odbicie konfliktu izraelsko-palestyńskiego (i nawet tutaj symetria okazuje się zadziwiająca, o ile bowiem raczej zrozumiałe jest identyfikowanie się wszystkich Żydów świata z państwem Izrael, o tyle fakt, iż wszyscy Arabowie świata identyfikują się z państwem palestyńskim, wydaje się niejasny...). Jednak obecnie w szkołach francuskich mamy do czynienia nie tyle z konfliktami otwartymi, ile

z prześladowaniem. To, co relacjonują dyrektorzy szkół średnich, to nie historie małych Arabów wytykanych palcami, nienawidzonych czy pogardzanych, nie; są to sprawy uczniów żydowskich, których przenosi się z jednej placówki szkolnej do drugiej, nikt bowiem nie jest w stanie zapewnić im bezpieczeństwa. Taka jest sytuacja, w której żyjemy. Co może uczynić dyrektor szkoły? Nie przeniesie 30 uczniów arabskich naraz. W takich okolicznościach stało się sprawą wielkiej wagi przypomnienie, czym jest szkoła: jest to takie miejsce, wydzielone w łonie pewnego społeczeństwa, gdzie różne tożsamości nie powinny być manifestowane w sposób ostentacyjny, gdzie nie powinien panować, jak ja to nazywam, „bezwstyd" tożsamości, ale wręcz przeciwnie - zawieszenie wszelkich arogancji. Neutralność szkół ma przede wszystkim to właśnie na celu. W szkole panuje neutralność, bo szkoła to nie to samo, co supermarket, ulica czy dom. Jest to przestrzeń wybrana, w której panują swoiste reguły gry. Prawo, słusznie i w porę, przypomina o tym fakcie.

A gdzie w tym kontekście konsekwencja Francji, jeśli chodzi o jej stanowisko wobec operacji wojskowej w Iraku?

Francja broniła przez cały czas trwania tego konfliktu pozycji zdecydowanie antyamerykańskich i Arabowie francuscy byli usatysfakcjonowani. Pytanie, które sobie zadaję, jest następujące: co by się działo we Francji, gdyby prezydent Chirac zajął takie stanowisko jak Aznar czy rząd polski albo angielski... Mielibyśmy walki uliczne; muzułmanie wyraziliby swój gniew o wiele gwałtowniej. Wojna w Iraku pojednała w pewnym stopniu muzułmanów z Francją. Niektórzy przeciwnicy rzeczonej ustawy, na przykład dziennik „Le Monde", oskarżają rząd francuski o niekonsekwencję: jak możemy popierać sprawę arabską w kwestii wojny w Iraku, a potem zwrócić przeciwko sobie wszystkich Arabów, wprowadzając ustawę zabraniającą noszenia w szkołach chust islamskich? Oskarżenie to ma w sobie coś groteskowego i potwornego zarazem: te dwa problemy nie są z tego

samego porządku, a społeczeństwo Francji nie ma jako ostatecznego celu przypochlebiania się roszczeniom arabskim. Problemem istotniejszym jest fakt, iż we Francji jesteśmy skonfrontowani ze wspólnotą arabską muzułmanów, która nie zna niczego poza rewindykacjami. Fale wcześniejszej imigracji nie były tej samej natury, towarzyszyły im przynajmniej dwa uczucia: wdzięczności i, ewentualnie, rewindykacji. W tym wypadku nie ma co mówić o jakiejkolwiek wdzięczności, co więcej - zastąpiła ją polityka bezwarunkowych roszczeń o uznanie. Ani śladu wdzięczności, wyłącznie wola bycia uznanym. Jest to wola bezgraniczna, która wyraża się noszeniem chust w szkołach czy choćby pierwszymi zwiastunami żądań rewizji systemu nauczania: wymaga się od Francji, aby wyraziła poprzez nauczane treści skruchę za kolonizację; ten ostatni warunek stawiany jest coraz wyraźniej. Gdzie się zatrzymamy? Jak ma żyć społeczeństwo, w którym napływający ciągle nowi imigranci dają tak dobitne dowody swojej niewdzięczności?

Może są to konsekwencje polityki, w której całymi latami mówiło się o prawach, nigdy zaś o obowiązkach?

Jest to idea mocno rozpowszechniona w świecie zachodnim: moralność dotyczy zaledwie praw człowieka, człowiek nie istnieje inaczej jak tylko poprzez ekspresję przynależnych mu praw. Przy tym taka dynamika moralności nabiera szczególnie dramatycznego tonu w kontekście imigracji. Francja jest krajem, gdzie żyje się obecnie z wyrzutami sumienia, i to obciążone sumienie wykarmiło resentyment pewnej liczby imigrantów, uzasadniło ich wrogość, uwierzytelniło ich niechęć do Francji. Teraz zaś Francuzi stają wobec konsekwencji. Więc z jednej strony antysemityzm, z drugiej - odrzucenie Francji wraz z jej kulturą. Konieczne jest, na tyle, na ile to możliwe, odwrócenie tego ruchu, przerwanie związku, który zachodzi między sumieniem Francuzów a wrogością imigrantów. Ustawa jest środkiem do tego celu i żałuję niezmiernie, że zostało to tak źle zrozumiane.

Czy to nie za dużo - oczekiwać, że działanie mechaniczne, za pomocą ustawy prawnej rozwiąże problem?

Prawo jest natury symbolicznej, daje nam punkty odniesienia, wyznacza granicę między tym, co wolno, a tym, co jest zakazane. Ta granica jest koniecznie potrzebna nie po to, by zapobiec jej przekroczeniu, ale po to, aby przekro-

czenie było przeżywane jako przekroczenie. Dając ludziom Dekalog, Bóg nie oczekiwał, że odtąd nikt już nigdy nie będzie zabijał czy kradł - przykazania miały przypominać ludziom, że takie czyny są zabronione, że są przyczyną zła, które człowiek sam sobie wyrządza. Taka jest funkcja Prawa: wobec nihilizmu postawy „wszystko jest sobie równe" przywrócić symboliczny ład.

A czy nie jest tak, że Francja poprzez oddalenie się od swoich chrześcijańskich korzeni wytworzyła pewną próżnię, w którą wkroczył islam?

Istnieje pewna pustka, nie możemy jednak przekreślić całej współczesnej historii Francji. Ta próżnia nie pojawiła się wtedy, gdy Francja przestała się uważać za najstarszą córkę Kościoła. Francja umiała być Republiką otwartą, tolerancyjną, gościnną. Dzisiaj nie umie już nią być. To, co tak boli, to widok zmarnowania dziedzictwa republikańskiego, rozpadu systemu szkolnictwa, który stanowił jeden z powodów chluby Francji, a który dziś niemalże przestał istnieć. Republika to decyzja, aby wszystko postawić na szkołę - dzisiaj szkoła wydana jest na pastwę nihilizmu społecznego, nie potrafi stawić czoła wymaganiom społecznym. I jedyny zarzut, który wypowiedziałbym pod adresem ustawy o chustach, to ten, że skupiła całą swoją uwagę na tym znaku (nie tylko) religijnym, nie angażując się przy tym w odbudowę systemu szkolnictwa. Jestem pesymistą, potrzeba bowiem było, aby to wyzwanie chust islamskich przywróciło życie szkołom jako świątyniom. To dzięki współzawodniczeniu z religią o monopol na dziedzinę sacrum i transcendencji kultura w Europie stała się wartością najwyższą.

Dziękuję za rozmowę.

ROZMAWIAŁ: NELSON RODRICO PEREIRA

WARSZAWA, 17 LUTEGO 2004

Skoro świat zachodni odchodzi od Boga i zasad moralnych, skoro nie ma nawet potomstwa, to najwyższy czas, aby pokazać swoją moralną wyższość, przejąć ster i wprowadzić zmiany; skoro kościoły chrześcijan pustoszeją, to my je kupimy! My, muzułmanie, żyjemy bogobojnie i nie dopuszczamy się ani aborcji, ani eutanazji, nie tolerujemy ani alkoholu, ani pornografii, mamy za to dużo dzieci i pomysł, jak uzdrowić ten chory świat: wystarczy wprowadzić rządy samego Allana.

Niewierna muzułmanka a sprawa polska

KRZYSZTOF KĘDZIOR

Przeglądanie muzułmańskich stron internetowych to bardzo ciekawe zajęcie. Osobiście przeglądam te niemieckie, ponieważ znam język, a stron jest bardzo dużo - w Niemczech żyje około 3,5 min muzułmanów, istnieje ponad 2,5 tys. meczetów oraz mnóstwo przeróżnych stowarzyszeń i wspólnot. Na stronach tych dowiemy się wiele o Koranie i Mahomecie, o fundamentach i historii wiary muzułmańskiej, o modlitwach i świętach; zostaną nam też polecone różne książki, pielgrzymki itd.

O ile informacje teologiczne mają charakter teoretyczny, o tyle tzw. fatwy czyli orzeczenia muzułmańskich uczonych w kwestiach moralno-religijnych,

które są tu również zamieszczone, dają nam wgląd w codzienne życie i problemy muzułmanów. Na wielu stronach oferowany jest swego rodzaju serwis: przez Internet stawiamy konkretne pytanie dotyczące życia czy wiary i w ten sam sposób znawca szariatu[1], daje nam konkretną odpowiedź. A ponieważ z jednej strony muzułmanie kierują się w dużej mierze szczegółowymi nakazami, a z drugiej samo życie stwarza coraz to nowe sytuacje, pytań skierowanych do autorytetów w dziedzinie prawa jest bez liku. Są więc wierzący, którzy pytają, czy można używać karty kredytowej, czy kobieta może chodzić w szpilkach i w jaki sposób może się modlić w miejscach publicznych lub też jak przekazać dziecku miłość do Proroka. Znajdziemy tu wszystkie dziedziny życia, a na każde pytanie jest odpowiedź. W ten sposób powstają całe zbiory religijno-prawnych orzeczeń, a Internet umożliwia nam prosty do nich dostęp.

Podczas ostatniego przeglądania strony muzułmańskiego centrum miasta Munster (www.as-sunnah.de) natknąłem się na pytanie, co powinien zrobić muzułmanin, jeśli jego żona - dotychczas tego samego wyznania - wyrzeka się wiary. Pytanie jest bardzo poważne: jeśli jedno z małżonków nagle radykalnie dystansuje się od wspólnej wiary i wynikających z niej zasad, to pociąga to za sobą poważne konsekwencje, także w świecie chrześcijańskim. Co więc robić? Przekonywać? Prosić? Akceptować? Przeczytajmy pytanie i odpowiedź:

> Pytanie (nr 7328):
>
> Jeden z moich braci przyszedł do mnie i zapytał: „Co mam zrobić, kiedy moja żona mi mówi, że nie chce być dłużej muzułmanką? Wierzy, że istnieje Bóg, ale nie chce być muzułmanką. Powiedziała, że jest jej obojętne, czy pójdzie do piekła. Przestała się modlić, zdjęła nakrycie głowy swoje i swojej córki (która nie jest jego córką) i powiedziała, że nie chce dłużej przestrzegać islamu". Powiedziała też, że chce się przeprowadzić. Musimy koniecznie wiedzieć, co dalej robić. Jeśli jest winna odejścia od islamu, to jaki ma to wpływ na ich małżeństwo? Czy są jeszcze małżeństwem? [...] Czy on może przebywać z nią sam na sam? Czy powinien z nią nadal mieszkać (poprosiła go, żeby opuścił dom, i przynosi figurki i inne zakazane rzeczy)? Może przecież dojść do wojny domowej i przez to do osłabienia jego wiary z powodu jego uczuć. My (członkowie tej wspólnoty) chcielibyśmy otrzymać szybką odpowiedź, ponieważ cała ta sprawa może mieć poważne następstwa[2].

Odpowiedź:

Niech będzie pochwalony Allah. Jeśli tak wygląda sprawa, to znaczy, że ona bez wątpienia woli niewiarę od wiary. Nie chce pozostać muzułmanką, obraża islam i jego naukę i postępuje przeciwko islamowi. W takim razie jest niewierzącą i odszczepieńcem, dlatego nie wolno mu pozostać z nią w małżeństwie, ponieważ Allah mówi:

„I nie pozostawajcie w związku małżeńskim z niewierzącymi kobietami".

(Surat al-Mumtahanah 60:10)

To znaczy, że jeśli ma niewierzącą żonę, nie wolno mu pozostać jej mężem. Musi jej doradzić[3], uzasadnić dowody przeciwko niej i potem ją opuścić. Jeśli mieszka gdzieś, gdzie jest muzułmański rząd i gdzie obowiązuje prawo szariatu, to należy tę sprawę przedstawić muzułmańskiemu sędziemu, aby ten przekonał żonę do żalu. Jeśli nie będzie żałowała, to powinien zapaść wyrok Allaha, który oznacza śmierć, ponieważ prorok powiedział:

„Każdy, kto zmienia swoją religię (odchodzi od islamu) - zabijcie go".

Ale jeśli nie jest to możliwe i nie ma ani muzułmańskiego rządu, ani nie obowiązuje szariat, wtedy powinien całkowicie od niej odejść; nie wolno mu z nią żyć po tym, jak jasno wyraziła swoją niewiarę[4].

Po przeczytaniu tekstu można dostać gęsiej skórki albo się oburzyć, ale można też dojść do wniosku, że w końcu „co kraj, to obyczaj", że taka jest już ich religia i nic się na to nie poradzi. Sęk w tym, że ten „kraj" to już nie tylko każde z państw arabskich, ale coraz częściej także Europa, szczególnie ta zachodnia, gdzie coraz większa liczba muzułmanów dąży do zalegalizowania szariatu: jeszcze nie za rok, nie za pięć lat, ale może za dziesięć? A może wtedy, kiedy (na razie laicka) Turcja[5] będzie miała upragnione miejsce w Unii czy nawet większość w Parlamencie Europejskim? Nie jest to wcale wykluczone, biorąc pod uwagę, że siedemdziesięciomilionowy naród turecki stale się powiększa, a przyrost w krajach zachodnich jest ujemny.

Dla wielu zwolenników „boskiego prawa" jest to jedynie kwestia czasu. Dążenia w tym kierunku są w każdym razie oczywiste[6]. Niezależnie od legalizacji szariat jest już teraz gdzieniegdzie praktykowany: jak informuje organizacja na rzecz praw człowieka IGFM[7], w roku 2002 odnotowano w Mediolanie przypadki muzulmanek, które trafiły do szpitala po tym, jak usiłowano je ukamienować za rzekome zdrady małżeńskie; w Turynie policja znalazła mężczyznę, któremu odcięto nożem masarskim rękę[8]. W czerwcu 2003 roku media niemieckie opisywały sprawę obywatela Turcji, który w mieście Dinslaken zastrzelił swoją żonę, również pochodzenia tureckiego, po tym jak wyprowadziła się od niego wraz z synem[9].

A co my, Polacy, na to? Czy nas to też jakoś dotyczy? Opisane problemy mogą się wydawać odległe, ale tak naprawdę odległe nie są. Z członkostwem w UE wiązane są przeważnie nadzieje na poprawę sytuacji gospodarczej, ale trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że bycie w jakiejkolwiek wspólnocie to nie tylko wspólne korzyści, ale też wspólne trudności. „Podwórko" naszych zachodnich sąsiadów stało się także naszym podwórkiem, a ich „dziwne" problemy naszymi problemami.

I tak Polacy coraz częściej będą stawali, a raczej zostaną postawieni przed pytaniem, jakiej Europy właściwie chcą: czy tej zbudowanej na wzgórzach Akropolu (filozofia), Kapitolu (prawo) i Golgoty (religia), Europy praw człowieka, czy też jakiejś innej, może właśnie Europy Koranu i szariatu...? Obecnie alternatywa ta może się wydawać bardzo przesadna i odległa. Musimy wziąć jednak pod uwagę fakt, że na całym świecie działa spora grupa ludzi (także z niemieckimi, francuskimi, brytyjskimi itd. paszportami), którzy gardzą nie tylko Ameryką, ale całym światem zachodnim jako światem bezbożnym i zepsutym. Jednocześnie są przekonani o prawdziwości swojej religii. Nie chodzi tu nawet o terrorystów, których

istnienie stanowi tylko wierzchołek góry lodowej. Na przykład działająca w Niemczech wspólnota „Milli Góriis", która liczy około 30 tys. członków, nie podkłada bomb, ale całkiem legalnie wykupuje parcele i buduje meczety, organizuje letnie szkoły Koranu dla dzieci[10], zapewniając przy tym o chęci dialogu z chrześcijanami. Wystarczy jednak wejść na jej stronę internetową, aby się domyślić, o co tak naprawdę chodzi: zamieszczony tam zarys Europy w kolorze zielonym (kolor islamu) połączony z półksiężycem mówi właściwie wszystko[11]. Ludzie ci mają silne poczucie misji i historycznej szansy: skoro świat zachodni odchodzi od Boga i zasad moralnych, skoro nie ma nawet potomstwa, to najwyższy czas, aby pokazać swoją moralną wyższość, przejąć ster i wprowadzić zmiany; skoro kościoły chrześcijan pustoszeją, to my je kupimy![12]. My, muzułmanie, żyjemy bogobojnie i nie dopuszczamy się ani aborcji, ani eutanazji, nie tolerujemy ani alkoholu, ani pornografii, mamy za to dużo dzieci i pomysł, jak uzdrowić ten chory świat: wystarczy wprowadzić rządy samego Allaha; jego boskie prawo jest bardzo skutecznym lekarstwem na wszystkie osobiste i społeczne słabości!

Niejaki Muhammad Selim z Kolonii opisał ten proces w Internecie na przykładzie naszych zachodnich sąsiadów:

1. Odejście od Boga miłosiernego i łaskawego oraz odrzucenie wszelkiej religijności nie opłaciły się.
2. Skrajny konsumpcjonizm, chciwość i ograniczenie duchowych horyzontów do teraźniejszości pozostawiły pustkę (brak potomstwa).
3. Przełom w niemieckim społeczeństwie jest nieunikniony.
4. Muzułmanie, którzy uszanowali wartość rodziny, wkrótce będą żywić starych, bezdzietnych Niemców.
5. Niemcy staną się krajem muzułmańskim[13].

Czy Niemcy staną się krajem muzułmańskim, czy też nie, pokaże przyszłość. Lecz po zniknięciu naszej zachodniej granicy znaleźliśmy się pod jednym dachem nie tylko z Niemcami, ale i z Holandią, Włochami, Francją, Belgią, Hiszpanią - a opisany problem jest wszędzie taki sam. Jest to ogromne wyzwanie, ale też szansa na to, że Polska może w jakiś sposób przyczynić się do ocalenia dziedzictwa i wartości, które wydają się nam oczywiste, ale takimi nie są. Chyba że także nasz kraj stanie się przyczółkiem dla zwolenników kamienowania,

a nasi politycy i my będziemy milczeć - ze strachu albo w imię tolerancji i politycznej poprawności.

Stawka jest bardzo wysoka, warto się więc zastanowić, kim jesteśmy, czego chcemy, a czego nie: dla nas samych, a szczególnie dla naszych dzieci i wnuków. I tak „za kilka lub kilkanaście lat zostaniemy zmuszeni do zajmowania się sprawami, które jeszcze dzisiaj wydają się egzotyczne. I nie będzie to już prawdopodobnie przymus jedynie intelektualny"[14].

KRZYSZTOF KĘDZIOR

PRZYPISY

1 Szarłat: „boskie prawo" świata muzułmańskiego polegające na interpretacji Koranu i Haditu - czyli innych pisemnych przekazów Mahometa. Szariat porządkuje życie prywatne jak i społeczne, o ile zezwala na to rząd. Według wiary muzułmańskiej szariat, tak jak i Koran, skierowany jest do całej ludzkości.

2 Por. www.as-sunnah.de, strona główna: „Seine Frau hat den Islam verlassen" (tłum. autora).

3 Chodzi prawdopodobnie o pouczenie.

4 Por. www.as-sunnah.de (tłum. autora).

5 „Europejczycy myślą, że muzułmanie przybyli do Europy tylko po to, żeby zarabiać pieniądze, ale Allah ma inny plan" - te słowa padły 15 kwietnia 2001 w Hagen z ust byłego premiera Turcji, Ebakana, na spotkaniu założonej przez niego wspólnoty „Milli Goriis". Jego zdaniem muzułmanie powinni być w Europie tym, czym według niego są Żydzi w Stanach Zjednoczonych: instancją kontrolną gospodarki i państwa (por. Udo Ulfkotte, *Der Kreig in unseren Stddten,* Frankfurt am Main 2003, tłum. autora). Poparcie dla Erbakana i jego islamistycznej partii „SP" wskazuje na powrót do religii w Turcji.

6 Por. Piotr Ktodkowski, *Wojna światów?,* Kraków 2002, a także pozycje muzułmanina Bassama Tibi, np. *Im Schatten Ałłahs.*

7 Intenationale Gemeinschaft fur Menschenrechte, Frankfurt am Main.

8 Por. www.igfm.de. Odcięcie ręki to kara, jaką przewiduje Koran dla złodziei.

9 Por. „Neue Rhein-Ruhr Zeitung", 18.06.2003.

10 Meczet to nie tylko muzułmański „kościółek", ale zarówno miejsce modłów, jak i spotkań politycznych. Wynika to z tego, że islam jako taki nie zna podziału na państwo i religię.

11 Por. www.igmg.de.

12 Lokalna wspólnota muzułmańska niemieckiego miasta Duisburg chciała wykupić wystawiony na sprzedaż budynek kościoła ewangelickiego. Po sprzeciwach ze strony wiernych do transakcji nie doszło, a muzułmanie stwierdzili, że chrześcijanom brakuje tolerancji.

13 Por. Udo Ulfkotte, *Der Krieg..., s.* 173 (tłum. autora).

14 Piotr Kłodkowski, *Wojna...,* s. 340.

W Europie jest więcej meczetów niż barów McDonalcTsa. W większości z nich serwowany jest Mclslam.

McIslam
z *frytkami*

WITOLD PASEK

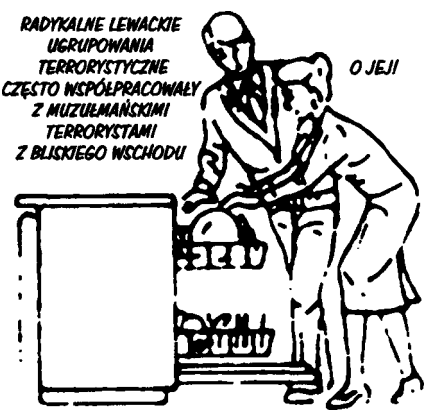

fatwa 9: praca przy haraam

Pytanie: Jestem pracownikiem sieci barów McDonalcTsa. Sprzedaje się w nich mięso wieprzowe. Wiecie dobrze, że niełatwo znaleźć pracę, szczególnie człowiekowi, który ma niskie kwalifikacje. Poza tym musicie wiedzieć, że moja żona niedługo rodzi. Jestem jedyną osobą, która ją utrzymuje. Chcę wspomnieć, że w tych barach serwuje się też dania nie zawierające wieprzowiny.

Odpowiedź: Allah zabronił spożywania wieprzowiny niepodważalnymi i jasnymi tekstami Koranu. Co się tyczy handlu wieprzowiną, to jest zabroniony w sunnie. Dżabir ibn Abd Allah relacjonował, że usłyszał Posłańca Allaha mówiącego w dniu zdobycia Mekki: „Allah i Jego

Posłaniec zabronili sprzedaży alkoholu, padliny, wieprzowiny i posągów bóstw". Zasadą - wypływającą z hadisu - jest zakaz pracy, przy której sprzedaje się wieprzowinę. Koniecznie musisz poszukać innego źródła dochodów. Jeżeli nie znajdziesz innej pracy, zobligowany jesteś - oczywiście jeśli nie ma w rym nic złego - poprosić przełożonych, żebyś nie musiał sprzedawać wieprzowiny. Możesz poprosić innego pracownika niemuzułmanina, żeby wykonywał za ciebie tę pracę. Jeżeli to będzie trudne do zrealizowania, nie będzie nic złego, jeśli będziesz kontynuował swą pracę, gdyż nie masz wpływu na zmianę swego położenia. Pomimo tego winieneś nie ustawać w poszukiwaniu pracy, która wolna będzie od tego, co zabronione.

(źródło: www.islam.pl)

Od czasów dzieci-kwiatów panuje politycznie poprawne przeświadczenie 0 wyższości „ducha" Wschodu nad „duchem" Zachodu. Według tej teorii „zmakdonaldyzowane" (George Ritzer) społeczeństwa Zachodu oddające się bez opamiętania konsumpcjonizmowi i hedonizmowi, zlaicyzowane i pozbawione wyższych wartości, powinny się wzorować na cywilizacjach Wschodu - głęboko uduchowionych i transcendentnych.

Była to teoria wybitnie poprawna politycznie, gdyż pozwalała wytłumaczyć, dlaczego kraje azjatyckie nie potrafią same sobie radzić z głodem, przeludnieniem i biedą - otóż nie mają na to czasu, bo zajmują się rozwijaniem wyższej kultury duchowej. Nie martwcie się, kochani, że macie niski dochód, wysoką śmiertelność, że cierpicie głód, nie macie samochodów, telewizorów 1 lodówek, gdyż DUCHOWO stoicie dużo wyżej niż „zgniłe", syte, zindustrializowane i wykorzenione z idei społeczeństwa Zachodu.

Początkowo „depozytariuszem" wszystkich światowych wartości duchowych uczyniono społeczeństwa i kraje buddyjskie, późnej pokolenie buntowników 1968 roku i podstarzali hippisi rozciągnęli to pojęcie na cały Daleki Wschód. Jednak ku ich wielkiemu zdumieniu (bo wierzyli przecież święcie, że wystarczy wymyślić „postępową" teorię i ogłosić ją w gazetach) - najsłabszym elementem tej teorii okazały się właśnie te „wyższe" duchowo społeczeństwa azjatyckie, które postawiły na „modernizację" (Japonia, Korea Południowa, Tajwan, Indonezja, Indie, ostatnio Chiny) - wszędzie tam, gdzie KOPIOWANO (bo przecież nie był to alternatywny rozwój) zachodnie metody produkcji

przemysłowej, dochodziło do błyskawicznej „westernizacji" społeczeństw, czyli odrzucenia przez nie tych wartości, które lewaccy intelektualiści europejscy i amerykańscy uważali za „wyższe" od zachodnich.

Tak więc należało poszukać nowego „wzorca" duchowości, ideowości i odrzucenia materializmu - w początkach lat 90. lewaccy „intelektualiści" zaczęli odnajdywać ten wzorzec w krajach islamskich. Było to tym łatwiejsze, że wcześniej radykalne lewackie ugrupowania terrorystyczne często współpracowały z muzułmańskimi (choć często zlaicyzowanymi) terrorystami z Bliskiego Wschodu.

Wymyślono więc teoretyczną konstrukcję, że nadciągający konflikt nie będzie wojną biednych z bogatymi ani starciem religii, ale konfrontacją IDEI z TECHNOKRACJĄ. Przeświadczenie to pogłębiła dość popularna książka Beniamina Barbera *Dżihad kontra McŚwiat.* Miało to być więc starcie skostniałej, bezideowej, zakochanej w pieniądzu i niezdolnej do postępu Europy z milionami uduchowionych, oddanych tradycji i religii derwiszów.

Pojawiły się nawet głosy (wśród części tzw. liberalno-postępowych intelektualistów) oznajmiające, iż będzie to starcie, w którym młoda, prężna i bezkompromisowo ideologiczna religia, jaką jest bez wątpienia islam, zmiecie ostatecznie zmurszałą cywilizację Zachodu opartą na industrializacji, globalizacji i chrześcijaństwie; słowem, że unicestwiona zostanie powierzchowna, przeżarta seksem i cholesterolem „cywilizacja McDonald'sa".

Konstrukcja piękna; na tyle atrakcyjna, że wielu Europejczyków i Amerykanów łapie się w tę pułapkę; skoro jestem przeciwko konsumpcjonizmowi, odhumanizowaniu i technicyzacji świata, to może powinienem popierać radykalnych islamistów, którzy zniszczą McDonald'sa i przywrócą wartości duchowe zamiast materializmu?

Wydaje się jednak, że leczenie problemów Europy lub USA przy pomocy dżihadu nie jest możliwe z dwóch zasadniczych powodów.

Po pierwsze: być może fundamentaliści islamscy są w stanie zniszczyć bary McDonald'sa (z pewnością są w stanie!), ale równie pewne jest to, że nie potrafią nic zaproponować w zamian. Nie będą po prostu potrafili wyżywić tych, którzy dotychczas jadali w barach McDonald'sa. Wyrażając się dosadnie: muzułmanie za szybko się rozmnażają, a za mało produkują.

Blisko jedna czwarta mieszkańców ziemi wyznaje dziś islam (wroku 1900 muzułmanie stanowili ok. 12,4 proc. mieszkańców ziemi, w roku 1980 - 16,5 proc.).

Szacunki demograficzne mówią, że w roku 2025 muzułmanie będą największą na świecie grupą wyznaniową (około roku 2020 po raz pierwszy w historii świata będzie na ziemi więcej muzułmanów niż chrześcijan) i stanowić będą ok. 30 proc. ludzkości.

Liczba wyznawców islamu wzrasta o ok. 2,9 proc. rocznie (dla porównania: w Polsce przyrost naturalny wynosił do niedawna zaledwie ok. 0,05

proc. a obecnie jest... ujemny; średnia dla krajów rozwiniętych to niespełna 0,3 proc), czyli szybciej niż liczba ludności ziemi (średnio 2,3 proc). W latach 1994-1995 przyrost naturalny wśród muzułmanów wynosił 6,40 proc, wśród chrześcijan - 1,46 proc; później liczby te nieznacznie się obniżyły (obecnie rekord wśród krajów muzułmańskich należy do Maroka, gdzie przyrost naturalny wynosił jeszcze niedawno 4,1 proc, choć ostatnio obniżył się do „jedynie" 3,2 proc.). Populacja muzułmańska zwiększyła się w ciągu ostatnich 50 lat o 235 proc. (w tym samym okresie liczba chrześcijan zwiększyła się jedynie o 47 proc).

W krajach muzułmańskich liczba urodzeń wynosi 42 na 1000 mieszkańców (dla porównania: w krajach rozwiniętych współczynnik ten wynosi 13 na 1000); przełożywszy te dane na tzw. współczynnik płodności otrzymujemy informację, iż statystyczna kobieta muzułmańska rodzi 6 dzieci (średnia dla

krajów rozwiniętych wynosi 1,7 dziecka na kobietę, a do zachowania zastępowalności pokoleń w danej populacji niezbędne jest utrzymanie tego współczynnika na poziomie 2,1 dziecka na kobietę).

W krajach Maghrebu pomiędzy rokiem 1965 a 1990 liczba ludności wzrosła z 29,8 do 59 min; w tym samym okresie ludność Egiptu wzrosła z 29,4 do 52,4 min mieszkańców (dla porównania: w Polsce w tym samym okresie populacja wzrosła z 31,2 do 38 min).

Warto przy tym zauważyć, iż społeczeństwa muzułmańskie są znacznie „młodsze" niż tradycyjne społeczeństwa europejskie; dla przykładu: ponad 50 proc. ludności Algierii nie ma jeszcze 20 lat (w Polsce jest to mniej niż 30 proc.).

Jednak sama demografia jako czynnik „konfliktogenny" nie jest przesłanką decydującą; dopiero w połączeniu z czynnikami ekonomicznymi staje się zarzewiem globalnego konfliktu - po prostu kraje muzułmańskie nie są w stanie rozwijać swych gospodarek w tempie umożliwiającym wykarmienie kolejnych roczników.

Kraje arabskie (muzułmańskie) zajmują ok. 23 proc. powierzchni globu, które to terytorium zamieszkuje - jak już było wspomniane - ok. 25 proc. ludności świata. Tymczasem udział krajów islamskich w „dochodzie światowym" wynosi zaledwie ok. 8,5 proc, a w światowym eksporcie niespełna 12 proc.

W Indonezji wzrost gospodarczy w latach 1997-2001 był ujemny i wynosił minus 0,2 proc. rocznie (przyrost naturalny był natomiast dodatni: 1,3 proc). Podobnie w Turcji: przyrost naturalny wynosił 2,lproc. i spadek dochodu narodowego (2001) o 7,4proc. Z kolei w Egipcie przyrost naturalny (2,75 proc.) znacznie wyprzedzał wzrost dochodu narodowego (0,8 proc. -2001/2002)

Pomiędzy rokiem 1988 a 1992 dochód na głowę mieszkańca Algierii spadł z 2360 do 1540 dolarów; w tym samym okresie liczba mieszkańców zwiększyła się o ponad milion. Obecnie szacunki mówią o 32,2 min Algierczyków. W ciągu ostatnich 30 lat liczba ludności Algierii podwoiła się.

Warto przy tym pamiętać, że większość dochodów krajów muzułmańskich pochodzi z eksportu ropy naftowej i koncentruje się na Bliskim Wschodzie. Kraje Maghrebu należą dla odmiany do najbiedniejszych regionów globu - ponad 60 proc. ich mieszkańców osiąga dochód niższy niż 1 dolar dziennie!

Ale nawet w muzułmańskich krajach „roponośnych" większość „zaawansowanych technicznie" profesji, takich jak opieka zdrowotna, transport, wydobycie ropy, systemy informatyczne i łączność oraz - w znacznym stopniu - wojsko, jest oparta na cudzoziemcach nie będących muzułmanami. Tak więc jeśli Al Kaida rzeczywiście odniesie sukces w „wypłaszaniu" zagranicznych fachowców z krajów takich jak Arabia Saudyjska, to do pierwszych ofiar będzie należeć właśnie ludność tych krajów. Zwiększy się zapewne emigracja głodnych Arabów do Europy, co z kolei zwiększy napięcia i doprowadzi do otwartych konfliktów.

Każdy ma oczywiście prawo wierzyć, w co chce; warto jednak pamiętać, że wprawdzie islam jest - być może - w stanie zniszczyć „cywilizację McDonald'sa", ale z pewnością nie jest w stanie zaproponować w zamian nic sensownego. Innymi słowy: nie liczmy, że islamiści zbudują nam jakąś wymarzoną „cywilizację falafla" (wersja dla postępowych wegetarian: „ideologia kuskus").

W tym względzie rację ma Oriana Fallaci, twierdząc, iż islam nie zbudował niczego sensownego (przynajmniej przez ostatnie 200 lat - dodajmy z potrzeby zachowania historycznej rzetelności) i także obecnie nie jest w stanie zaoferować Zachodowi niczego atrakcyjnego w takich dziedzinach jak: filozofia, literatura, muzyka, malarstwo, rzeźba, ekonomia, medycyna, fizyka, chemia czy astronomia.

Nawet w dziedzinie strategii i techniki wojskowej Arabowie nie wnieśli niczego nowego od czasu zastosowania (nie wynalezienia!) prochu. Generalnie islam nie jest w stanie przeciwstawić Zachodowi niczego równie atrakcyjnego jak wytwory „cywilizacji McDonald'sa".

Ale drugi powód jest znacznie ważniejszy: otóż ten uduchowiony, wyidealizowany islam, rywalizujący z odhumanizowaniem symbolizowanym przez

McDonalcTsa... nigdy nie istniał. Był wymyślony przez lewicowych intelektualistów (jakim zabrakło socjalizmu czy nawet komunizmu w wersji „Made in USSR", które mogli wychwalać i przeciwstawiać „bezideowości Zachodu").

Ten tradycyjny islam był religią państwową krajów arabskich - i w tej roli się sprawdzał. Ale warto chyba zauważyć zasadniczą zmianę, jaka dokonała się w islamie w drugiej połowie XX wieku: religia ta przestała pełnić funkcję służebną wobec państwa (jeżeli nie .utylitarną" wobec organów władzy, to co najwyżej istniejącą równolegle z nimi, raczej w świecie duchowym - czasem w prawodawstwie i sądownictwie - a nie w polityce) i zaczęła samodzielnie „kreować" rzeczywistość polityczną państw arabskich.

Islam jest - ze swej natury - religią zatomizowaną, pozbawioną silnego centralnego przywództwa, a przez to niezwykle odporną i łatwo adaptującą się do nowych warunków. Religia muzułmańska już wcześniej - pomijając nawet podział na szyitów i sunnitów - stanowiła luźną „federację" szkół koranicznych, obecnie jednak ulega ona całkowitej i radykalnej „decentralizacji".

We współczesnym islamie obserwujemy dwa ciekawe procesy: stopniowe zanikanie różnic między dwoma zasadniczymi nurtami islamu (z wyjątkiem Iranu i Iraku, gdzie różnice te - z powodu polityki wewnętrznej i zewnętrznej - podsycane są przez struktury państwowe) oraz postępującą „pauperyzację" struktur religijnych. Szczególnie to drugie zjawisko wydaje się zasługiwać na wnikliwą analizę. Tworzy się bowiem „islam wojenny" - dwuwymiarowy i uproszczony, skrajnie utylitarny, wyrwany z podległości teoretykom uniwersytetów islamskich, kierowany przez lokalnie wybieranych, radykalnie populistycznych imamów, często nawet nie znających dobrze Koranu (Afganistan, Algieria).

Trudno wskazać jeden konkretny moment decydujący dla tej przemiany - czy była to jemeńska wojna domowa, czy może radziecka interwencja w Afganistanie, czy rewolucja islamska w Iranie, czy też powstanie reżimu talibów.

Szczególnie ciekawy może tu być przykład afgański, gdzie islam - dodajmy, że często był to islam „reintrodukowany" sztucznie przez amerykańskich agentów, którzy równie chętnie jak stingery dostarczali afgańskim bojownikom egzemplarze Koranu i instruktorów z „koranicznym" przeszkoleniem - pełnił pierwotnie funkcję swoistego „lepiszcza", sklejającego niezdyscyplinowane, skłócone i rozproszone oddziały plemienne w armię mudżahedinów.

Interesujące może być także prześledzenie ewolucji, jaką przeszedł islam w tradycyjnych monarchiach bliskowschodnich (takich jak np. Arabia Saudyjska), gdzie z „religii domu panującego", podporządkowanej całkowicie woli monarchy, wyemancypował się do tego stopnia, że nie tylko recenzuje decyzje rządzących, ale wręcz uzurpuje sobie prawo ich dowolnego uchylania (poprzez zwalnianie wyznawców z obowiązku posłuszeństwa wobec władcy), gdyby uznał je za niezgodne z porządkiem koranicznym.

Kolejnym istotnym zagadnieniem jest ewolucja „socjalistycznych" państw arabskich, takich jak Libia czy Irak, z „postępowych" reżimów quasi-socjalistycznych, rządzonych przez młodych oficerów, w stronę patriarchalno-feudalnych dyktatur islamskich, a w dalszej perspektywie: teokratycznych struktur panislamskich.

Jednocześnie jednak zasadniczej przemianie ulega sam islam - następuje jego swoista „macdonaldyzacja" - uproszczenie (żeby nie powiedzieć: prymitywizacja).

Na naszych oczach powstaje Mclslam: wersja uproszczona, zinternacjonalizowana, przystosowana do przekazu przez media, a więc spłycona, operująca skrótem, piktogramem, stereotypem.

Jest to islam o charakterze wybitnie utylitarnym i - można zaryzykować takie stwierdzenie - areligijnym. To islam dla krajów biednych i ogarniętych wojną (jak Afganistan, Algieria, Albania, Palestyna, Indonezja, Filipiny czy Nigeria), to religia dla pogardzanych i odsuniętych od głównego nurtu życia społecznego emigrantów muzułmańskich w krajach zachodnich.

Ta wersja islamu operuje zaledwie kilkoma skrajnie uproszczonymi pojęciami: wyrzeczeniem się rzeczy „nieczystych", postem, koniecznością prowadzenia nieustannej walki oraz oczekiwaniem na „pozaziemską" nagrodę.

By użyć tu zrozumiałych dla zachodniego odbiorcy porównań, należałoby odwołać się do chamberlainowskiego darwinizmu społecznego, skarykatu-

ryzowanego w hitlerowskim *Mein Kampf* czy kim-ir-senowskiej idei „juchę" (czyt.: dżucze), przedstawiającej w skarlałej, skarykaturowanej formie idee „oświeconego" stalinizmu. Można tu również przywołać jako przykład „kolorową" serię, czyli czerwoną książeczkę Mao i zieloną Kadafiego lub też, z nieco innego zbioru - dzieła tzw. teologii wyzwolenia. Warto jednak podkreślić, że tworzenie tego typu uproszczonych systemów filozoficzno-religijnych na potrzeby krajów Trzeciego Świata zwykle kończyło się mniejszą lub - częściej - większą jatką.

Ale to właśnie z takim procesem mamy do czynienia: na naszych oczach tworzy się nowa religia - Mclslam. Jej cechami charakterystycznymi są internacjonalizm (czy raczej panmuzułmanizm), skrajne uproszczenie i radykalizm. To sprawia, że Mclslam stał się „towarem eksportowym", że sprawdza się w sytuacji rozproszenia muzułmanów w społeczeństwach niemuzułmańskich. Jest to wersja dla murzyńskich gett w Ameryce, dla czarnej, niearabskiej Afryki oraz dla „kolorowych" dzielnic Paryża. Mclslam zaciera różnice między sunnitami a szyitami, nie stawia zbyt trudnych problemów filozoficznych - to „islam wyzwolenia", bardzo przyziemny i utylitarny, ale przez to niezwykle skuteczny.

Mclslam - co ciekawe - nie odrzuca osiągnięć Zachodu *en masse;* jego twórcy są na to zbyt mądrzy - pamiętają, że odwołują się często do muzułmanów żyjących w diasporze, którzy przybyli np. do Europy w poszukiwaniu lepszego życia: pieniędzy, samochodów, restauracji, dyskotek czy szkół. Tak

więc Mclslam odwołuje się - ciekawa analogia z początkami bolszewizmu w Rosji - do ludzi ubogich, pozbawionych pełni praw, czasem pogardzanych; daje im szansę na „lepsze jutro", ale szansę „na skróty" - nie poprzez budowanie, ale poprzez bunt i niszczenie.

Doskonałym uzupełnieniem do tak rozumianego Mclslamu jest e-terroryzm - terroryzm w wersji bin-ladenowskiej. Jest to terroryzm nowego typu, który można nazwać „terroryzmem sieciowym" (przez analogię z globalną siecią internetową) lub rozproszonym. Al Kaida to terrorystyczny odpowiednik aukcji internetowych: spotyka się kilku sfrustrowanych Arabów np. w Madrycie i zastanawiają się, co by tu wysadzić; wpadają na pomysł, kontaktują się (często przez Internet) z jakimś fundamentalistycznym portalem, który zbiera tego typu „oferty" - ci wybierają najlepsze „projekty" i ogłaszają, że szukają dla nich finansowania. Znajduje się sponsor - wpłaca pieniądze na konto muzułmańskiej organizacji charytatywnej lub dla muzułmańskiego banku, który wydaje kartę kredytową bezpośrednim wykonawcom; ci kupują od górnika materiał wybuchowy, wynajmują samochody, telefony komórkowe. Następuje zamach, a islamska telewizja potwierdza, że był on dziełem Al Kaidy. Konstrukcja doskonała: żadnych magazynów broni, ośrodków szkoleniowych, siatki dowodzenia, rekrutacji. Pełna decentralizacja (wspaniałe wykorzystanie Internetu, który - warto przypomnieć - powstał w umysłach amerykańskich wojskowych właśnie jako rozproszona, a przez to niezniszczalna konstrukcja teleinformatyczna, zdolna przetrwać uderzenie jądrowe).

Tak więc kiedy uczeni profesorowie-arabiści przekonują nas, że nie grozi nam starcie Zachodu z islamem, to należy im wierzyć. Bo nie będzie to walka z tradycyjnym islamem, ale z jego „młodszą", agresywniejszą i bardziej niebezpieczną wersją - Mclslamem. Co więcej, wydaje się, że zanim Mclslam zetrze się na dobre z cywilizacjami Zachodu - dojdzie do bratobójczego konfliktu, który zniszczy „tradycyjne" państwa muzułmańskie, takie jak Arabia Saudyjska czy Emiraty.

Wszystko wskazuje na to, że główne starcie rozegra się na terytorium Europy. Już w roku 1998 żyło tu (wliczając europejską część Rosji) ok. 32 min muzułmanów. Siedem krajów europejskich ma mniejszość muzułmańską liczącą powyżej miliona mieszkańców. Wyznawcy Allaha są drugą co do liczebności grupą religijną we Francji i Wielkiej Brytanii. W ciągu 10 lat - między rokiem 1989 a 1998 - liczebność społeczności muzułmańskiej na Starym Kontynencie zwiększyła się o 142,35 proc.

W roku 2001 aż 7 proc. dzieci urodzonych w Europie przyszło na świat w rodzinach muzułmańskich. W Brukseli odsetek ten wyniósł aż 57 proc. Islam jest obecnie drugą, a w niektórych krajach Unii Europejskiej nawet pierwszą religią, jeżeli chodzi o liczbę wyznawców regularnie praktykujących swoją wiarę. Jeżeli trend ten się utrzyma , to w roku 2020 około 10 proc. ludności Europy będzie wyznawać islam.

Liczba muzułmanów w Berlinie wynosi ok. 200 tys. Mają oni do swej dyspozycji 34 meczety. We Francji jest 1500 meczetów. W Belgii muzułmanie zaczynają stanowić najlepiej rozpoznawalną, zintegrowaną grupę. Islam został zresztą uznany w Belgii za jedną z pięciu oficjalnych religii kraju. Od roku 1999 rząd belgijski przeznacza corocznie 20 min euro na opłacenie nauczycieli religii muzułmańskiej w szkołach i na utrzymanie około 300 działających w kraju meczetów. Według szacunków dziennika „Le Soi", ok. 20 tys. „rdzennych" Belgów przeszło w ostatnich latach na islam. Najpopularniejszym imieniem nadawanym noworodkom w tym państwie jest już od wielu lat Muhamed.

Warto przy tym zauważyć, że większość europejskich Mclslamistów wcale nie ukrywa swych rzeczywistych celów i zamiarów.

Oto na przykład Harunur Rashid Tipu, wydawca bengalskiej gazety w Wielkiej Brytanii, wyjaśnił z całą otwartością, że przywódcy Organizacji Młodzieży Islamskiej pragną „zbudować tu [w Anglii] społeczeństwo islamskie".

Z kolei Fouad Salah, Tunezyjczyk oskarżony o organizację zamachów bombowych we Francji w latach 1985-1986, w których zginęło 13 osób, powiedział sędziemu, że „nie zaprzestanie walki z Zachodem, który zamordował proroka Mahometa", i dodał, iż „muzułmanie powinni wybić mieszkańców Zachodu".

Algierska grupa terrorystyczna GIA wydała z kolei komunikat, w którym zapewniała, iż „ze wszystkich sił kontynuuje dżihad przeciwko Francji i jej największym miastom i że Francuzi nie zaznają więcej snu i odpoczynku"; komunikat ten stwierdzał także, że islam „wejdzie do Francji, czy Francuzi tego chcą, czy nie".

W Wielkiej Brytanii islamiści z Instytutu Muzułmańskiego powołali w roku 1992 Parlament Muzułmański, który proklamował „państwo islamskie bez własnego terytorium" (kilka miesięcy wcześniej belgijscy muzuł-

manie powołali własną partię polityczną). Parlament Muzułmański ma być przyszłym islamskim rządem Wielkiej Brytanii.

Tak czy inaczej: w Europie jest więcej meczetów niż barów McDonald'sa. W większości z nich serwowany jest Mclslam. Mclslam z frytkami. Raz!

WITOLD PASEK

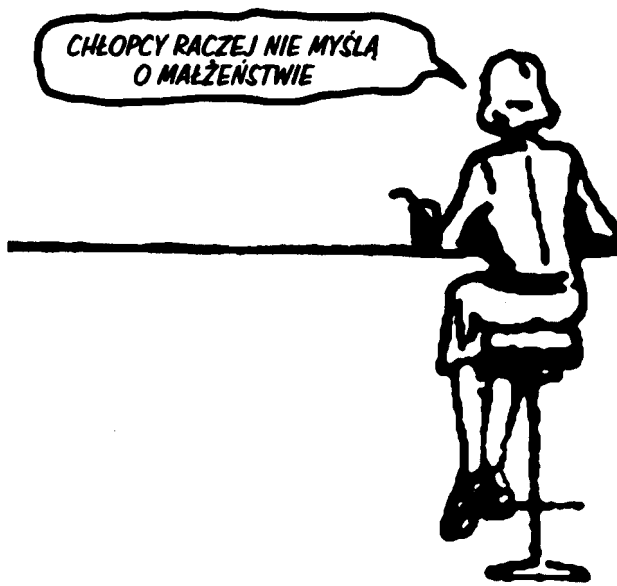

Dlaczego ludzie Zachodu protestują przeciwko skazaniu na śmierć za cudzołóstwo Nigeryjki, organizując w jej obronie wielkie kampanie międzynarodowe, a milczą, gdy morduje się chrześcijan?

KOLEBKA *czy skansen*

BOHDAN KOROLUK

O ile liczba muzułmanów w krajach europejskich rośnie z roku na rok, o tyle liczba chrześcijan w tradycyjnie islamskich państwach Bliskiego Wschodu z roku na rok maleje. Dyskryminowani ekonomicznie, społecznie czy wyznaniowo coraz częściej opuszczają miejsca, w których ich przodkowie żyli od wielu pokoleń, wyjeżdżając do Europy lub Ameryki.

Wystarczy porównać, ilu żyło tam chrześcijan na początku XX w., a ilu dziś - po 100 latach. W Turcji stanowili oni 20 proc. mieszkańców, dziś tylko 2 proc. W Syrii żyło ich również 20 proc, obecnie 10 proc. W Jordanii sta-

nowili 9 proc. ogółu ludności, teraz zaledwie 3 proc. Na terytorium Palestyny (dzisiejszy Izrael i Autonomia Palestyńska) mieszkało ich 10 proc, dziś 2-3 proc. Nawet w najbardziej chrześcijańskim kraju tego regionu, czyli Libanie, ich liczba skurczyła się z 51 do 41 proc.

A przecież Bliski Wschód to kolebka religii Chrystusowej, teren misji pierwszych apostołów, miejsce narodzin ruchu monastycznego, centrala głównych ośrodków pierwotnego chrystianizmu - Jerozolimy, Antiochii, Aleksandrii, Efezu, Nisibis, Edessy. To właśnie w Antiochii - jak przekazują Dzieje Apostolskie - „nazwano po raz pierwszy uczniów Jezusa chrześcijanami". Armenia jako pierwsze państwo na świecie przyjęła chrześcijaństwo jako swoją religię - było to w roku 301, a więc niemal dwa wieki przed „najstarszą córą Kościoła" Francją (rok 498). Jako jedyny kraj w dziejach Syria była ewangelizowana w dwóch językach wczesnego chrześcijaństwa - po aramejsku (w mowie Jezusa) i po grecku (w języku Nowego Testamentu), co stworzyło fundament pod niezwykle dynamiczną i unikalną kulturę religijną. Syryjscy chrześcijanie przez blisko 10 stuleci - od IV do XIV wieku - prowadzili misje w całej Azji, docierając do Turkiestanu, Mongolii, a nawet do Chin, nad wybrzeże Oceanu Spokojnego.

Nie są to fakty powszechnie znane. Mówi o nich wydany znakomicie przez WAM album fotograficzny pt. *Zapo-*

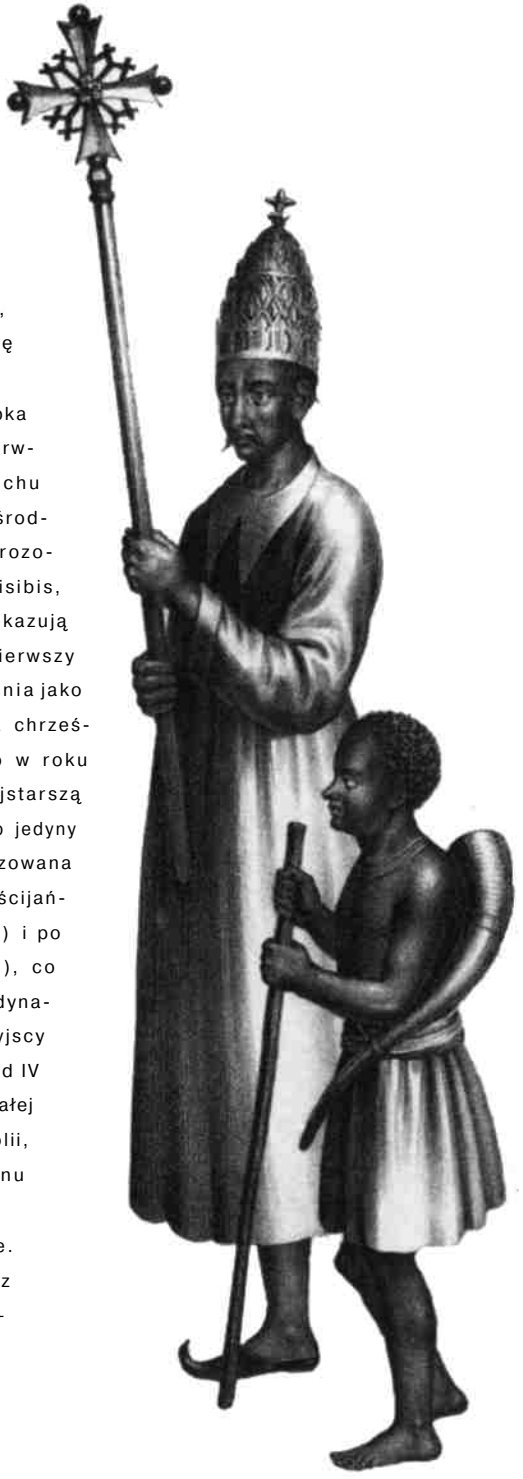

mniani bracia autorstwa Andrzeja Flisa i Beaty Kowalskiej. Tytułowi bohaterowie to właśnie dziedzice wspomnianej tradycji - chrześcijanie Bliskiego Wschodu. Na fotografiach możemy podziwiać nie tylko wspaniałe zabytki orientalnej architektury chrześcijańskiej sprzed wieków, lecz również ujmujące portrety dzisiejszych wyznawców Chrystusa w tym morzu islamu, jakie rozciąga się wokół. Niektórzy z nich wyglądają niczym zjawy wśród opuszczonych wiosek lub zniszczonych świątyń. Zawsze są to jednak postaci z krwi i kości, czy chodzi o brodatych biskupów Kościoła jakobickiego w Libanie, stare kobieciny ze starokalendarzowego Kościoła nestorianów w Iraku, czy dzieci w wiejskiej szkole w Turcji uczące się syryjskiego.

Podtytuł albumu głosi: *Ginący świat chrześcijan Bliskiego Wschodu.* I rzeczywiście, czytając podpisy pod fotografiami, informujące o wyludnianiu się kolejnych wiosek i wymieraniu kolejnych wspólnot, ma się wrażenie, jakby przedstawieni na zdjęciach ludzie byli już tylko strażnikami przeznaczonego do likwidacji skansenu. A jednak z niektórych naznaczonych życiowym doświadczeniem twarzy bije taka wewnętrzna siła, że przypatrując im się, nie ma się wątpliwości: chrześcijaństwo będzie trwać na tych ziemiach, dopóki nie umrze ostatni z nich.

Autorzy albumu piszą: „Wszyscy jesteśmy dłużnikami chrześcijan Bliskiego Wschodu. To oni jako pierwsi odpowiedzieli na przesłanie Jezusa, które stało się jednym z fundamentów cywilizacji Zachodu. Dzisiaj nasi zapomniani bracia potrzebują pomocy i odruchu solidarności. Z godnością znoszą swój los, a pomaga im w tym przekonanie, że za Bosforem rozciąga się chrześcijańska Europa, która o nich pamięta".

Problem polega jednak na tym, że ta Europa robi się coraz mniej chrześcijańska (według Ryszarda Kapuścińskiego, w XXI stuleciu będzie ona kontynentem chrześcijańsko-muzułmańskim) i coraz mniej pamięta o swych zapomnianych braciach.

Braterstwo to rodzaj pokrewieństwa. Jakie zaś pokrewieństwo łączy zlaicyzowanych Europejczyków z jakobitami, Chaldejczykami, nestorianami czy maronitami Bliskiego Wschodu? Dlaczego ludzie Zachodu protestują przeciwko skazaniu na śmierć za cudzołóstwo Nigeryjki, organizując w jej obronie wielkie kampanie międzynarodowe, a milczą, gdy morduje się chrześcijan? Chyba dlatego, że większe pokrewieństwo duchowe łączy ich z nią niż z tymi ostatnimi. Bliższa jest im bowiem osoba uprawiająca seks pozamalżeński niż

osoba wyznająca Chrystusa aż do śmierci. Ona reprezentuje dla nich wartości swojskie, dobrze znane, z którymi mogą się utożsamić; oni natomiast ze swą postawą są zupełnie niezrozumiali i obcy. W takich warunkach nic dziwnego, że trudno o pomoc czy nawet gest solidarności.

BOHDAN KOROLUK

Andrzej Flis, Beata Kowalska, *Zapomniani bracia. Ginący świat chrześcijan Bliskiego Wschodu.* Wydawnictwo WAM, Kraków 2003

Renesans jest, wedtug Reginę Pernoud, najlepszym przykładem na fałszywość sądów o wiekach średnich, wszystko bowiem wskazuje na to, że w wielu dziedzinach życia był on nie postępem, lecz regresem w stosunku do poprzedzającej go epoki. Przede wszystkim dlatego, że średniowiecze było epoką twórczą, renesans zaś - odtwórczą.

ODKŁAMAĆ WIEKI ŚREDNIE

REMIGIUSZ OKRASKA

Historia może mieć postać rzetelną lub ideologicznie „słuszną". Jednak to, co zostanie zakłamane, prędzej czy później ktoś odkłamie. Wśród naukowców są nie tylko jednostki podążające koleinami obiegowych sądów, lecz także ci, którzy więcej uwagi poświęcają dociekliwemu i starannemu badaniu faktów niż uniwersyteckim modom.

Do tych drugich należy francuska mediewistka Reginę Pernoud. Od lat zajmuje się wiekami średnimi, czego owocem były przede wszystkim rozprawy o roli kobiet w tamtej epoce *(Kobieta w czasach wypraw krzyżowych, Kobieta w czasach katedr, Hildegarda z Bingen, Królowa Blanka, Alienor z Akwitanii),* wywracające do góry nogami powszechne wyobrażenia o sytuacji płci pięknej. Dość powiedzieć, że pod wpływem książek Pernoud nawet część środowisk feministycznych nieco zmieniła ocenę tego problemu, przyznając, że obraz relacji damsko-męskich w średniowieczu nie był tak jednoznaczny i czarno-biały, jak wcześniej sądziły.

Oprócz „sprawy kobiecej" Pernoud podejmowała wiele innych wątków związanych z tą epoką, zawsze dając się poznać jako wnikliwa i sumienna badaczka

źródeł historycznych, co pozwalało jej wykroczyć poza schematy i podeprzeć swoje tezy mocnymi argumentami. Lata badań nad wiekami średnimi sprawiły, że zdała sobie sprawę, iż w świadomości ludzi współczesnych, wielu historyków nie wyłączając, dominuje zupełnie zafałszowany obraz tamtej epoki. I postanowiła go choć trochę odkłamać. Temu służyć ma jej praca - choć lepsze byłoby tu określenie esej czy wręcz pamflet - *Inaczej o średniowieczu,* z roku 1977. Niedawno książka została wydana po polsku. Ta niewielka rozprawka mówi o średniowieczu zupełnie innym niż nam znane.

Jest to książka po pierwsze popularyzatorska (nie zaś naukowa), po drugie typowo polemiczna, z całym dobrodziejstwem takiego inwentarza, po trzecie natomiast stanowi jedynie zarys przywołanego tu problemu - kondycji wieków średnich w zestawieniu z innymi epokami. Mając to na uwadze, wiemy, że *Inaczej o średniowieczu* nie jest jakąś ostateczną wykładnią i zbiorem odpowiedzi na wszelkie pytania i wątpliwości, lecz pierwszym krokiem ku odkłamaniu pewnej epoki.

Średniowiecze - czas twórczości

Od czego zaczyna Pernoud? Od irytacji naukowca, który znając bogactwo i złożoność problematyki średniowiecza, a także dużo wiekopomnych i znakomitych wytworów tej epoki, musi obcować z opiniami dotyczącymi „ciemnoty", „zacofania" i „barbarzyństwa". Mediewistka wie, że to nonsensowne komunały - ale bardzo popularne, uznawane wręcz za pewnik, co gorsza, podzielane także przez ogół środowiska naukowego. O tym ostatnim Pernoud pisze kąśliwie, iż „dobry uniwersytet jest fizycznie niezdolny dostrzec coś, co nie jest zgodne z wyobrażeniami, które są dziełem jego mózgów". I nie jest to tylko polemiczna złośliwostka, gdyż w ślad za nią otrzymujemy spory zestaw faktów potwierdzających ten surowy sąd.

Po pierwsze, zdaniem Pernoud, problematyczne jest mówienie o jednym średniowieczu, czyli wrzucanie do jednego worka tysiąca lat historii. Po drugie, znacznie większym uproszczeniem jest przypisanie tej epoce wszelkich możliwych patologii i wad. I to nie dlatego, że nie występowały, lecz z tego powodu, iż największe ich nasilenie miało miejsce w końcowym okresie wieków średnich, kiedy to pojawiły się pierwsze symptomy czegoś, co znamy pod nazwą renesansu. To właśnie renesans jest, według Reginę Pernoud, najlepszym przykładem na fałszywość sądów o wiekach średnich, wszystko bowiem wskazuje na to, że w wielu dziedzinach życia był on nie postępem, lecz regresem w stosunku do poprzedzającej go epoki. Przede wszystkim dlatego, że średniowiecze było epoką twórczą, renesans zaś - odtwórczą.

Wbrew temu, co się powszechnie sądzi, średniowiecze bardzo chętnie czerpało z antyku - w filozofii, estetyce, wzorcach politycznych etc. Czyniło to jednak tak, jak nakazywał zdrowy rozsądek, czyli w sposób twórczy, adaptując to, co wartościowe, ponadczasowe i „rozwojowe". Jak wskazuje Pernoud, u autorów średniowiecznych mamy liczne nawiązania do myśli antycznej i inspiracje nią, rozległą jej znajomość, a także dbałość o przechowanie dorobku poprzedników. Tymczasem renesans ograniczył się do ślepego i bezrefleksyjnego naśladownictwa wzorów antycznych, posuniętego niekiedy do granic absurdu i śmieszności.

Wszystko, co zostało stworzone - twórczo i samodzielnie - w średniowieczu, w renesansie uznano za byle jakie, gdyż ideałem mądrości i piękna stało się dosłowne kopiowanie antycznego dorobku. Jak pisze Pernoud, „to, co było nowe, to - by tak rzec - użytek, jaki zrobiono z klasycznego antyku. Zamiast jak poprzednio uznać, że są to skarby do wykorzystania (skarby mądrości, wiedzy, poczynań artystycznych i literackich, z których można czerpać w nieskończoność), ograniczono się do uznania dzieł antycznych za wzory do naśladowania. Starożytni stworzyli dzieła doskonałe, osiągnęli piękno. Im lepiej więc będzie się naśladować ich dzieła, tym większa będzie pewność, że również osiągnie się piękno". Wskazuje przy tym, że z dzisiejszej perspektywy taka postawa wydaje się zacofana. Ślepe naśladownictwo zamiast twórczego - jak w średniowieczu - rozwoju oznacza regres, nie zaś postęp. Zamiast przecierania nowych szlaków i odkrywania nowych horyzontów, renesans proponował przede wszystkim wierne dreptanie po śladach poprzedników odległych o ładnych parę setek lat.

Jednym ze skutków dominacji takich wzorców kulturowych była daleko posunięta deprecjacja dorobku poprzedniej epoki. Powstał efekt sprzężenia zwrotnego - im bardziej lekceważono średniowiecze i poświęcano mu mniej

uwagi, tym bardziej było ono godne lekceważenia. Jeśli przyjęto, że na przykład myśl filozoficzna średniowiecza jest niewarta uznania, to nie dokonywano nowych edycji ówczesnych rozpraw. Gdy tychże edycji następne pokolenie nie mogło znaleźć w bibliotekach, a widziało tam mnóstwo dzieł antycznych, to uznawało, iż średniowiecze faktycznie było „jałowe". I tak w kółko.

Nie chodzi tu jednak tylko o sztukę czy myśl filozoficzną. Podobna degrengolada ogarnęła dziedzinę władzy i organizacji życia zbiorowego. Zamiast zdecentralizowanego i znacznie mniej ingerującego w życie jednostki i zbiorowości systemu władztwa feudalnego nastała centralizacja prerogatyw władzy, „oderwanie" rządzących od konkretnych i bliskich zbiorowości, rosnąca potęga aparatu państwowego. Po latach głosi się natomiast teorię, w myśl której średniowiecze było „zamordystyczne", a nowożytna centralizacja i postępująca statolatria okazały się jaskółkami czyniącymi wiosnę wolności i autonomii. Nic bardziej mylnego.

Otóż średniowiecze było „wolnościowe" i „autonomiczne". Co więcej, stało się takie po wiekach rzymskiego, cesarskiego centralizmu. Zamiast dawnej jednolitej władzy, skupionej w rękach wszechmocnej jednostki, w średniowieczu powstała istna mozaika porządków polityczno-prawnych. Po upadku Cesarstwa Rzymskiego nastąpił chaos, jednak nie trwał on długo. Wkrótce ukształtował się nowy rodzaj organizacji społeczeństwa - zależność feudalna. I znów, wbrew obiegowym opiniom, była ona zupełnie inna niż to się powszechnie wyobraża. Na feudalizmie zyskały obie strony - pan i poddany. Ten drugi w chaotycznym świecie oddaje się pod opiekę pana, który w zamian za część plonów zobowiązuje się zapewnić poddanemu bezpieczeństwo. Jeden zyskuje spokój, drugi większe bogactwo i możliwość stworzenia minipotęgi, co jeszcze bardziej utrwala porządek i bezpieczeństwo poddanych. Akt ten dokonuje się pod przysięgą, która wtedy - w epoce na wskroś przesiąkniętej duchem religijnym - ma moc wiążącą obie strony w sposób niezwykle silny. Jedna strona czuje się zobowiązana oddać część swego rokrocznego dorobku - druga natomiast w zamian za to bronić tej pierwszej przed zagrożeniem zewnętrznym (najazdy zbrojne) i wewnętrznym (bandy rabunkowe, przestępcy itp.).

To wszystko dzieje się po wielekroć, gdyż tego rodzaju władztwo ma ograniczony zasięg, na ogół przybierając postać „terytorium lokalnego", wyodrębnionego na podstawie czynników etnicznych, kulturowych czy geograficznych. Każde z nich jest rządzone przez kogoś innego oraz - co szczególnie istotne - inaczej. Nie ma jednego wzorca władzy. Zarówno umowy na linii pan-poddany, jak i systemy prawodawstwa były inne w zależności od danego

miejsca i jego obyczajów. Ta różnorodność była daleko posunięta, niejednokrotnie w pobliżu siebie funkcjonowały dwa porządki różniące się w dużym stopniu. I co nie mniej ważne - oznaczała ona decentralizację, a raczej decentryzację, brak jednego, spójnego centrum, które narzucałoby wielkim zbiorowościom swoje wartości i zasady. Owszem, istnieje urząd królewski, ale jak pisze Pernoud, „król feudalny jest panem wśród innych panów, tak jak inni zarządza swoim osobistym lennem, jest głównym sędzią, broni mieszkańców

swoich ziem i pobiera opłaty w naturze albo w gotówce. [...] Jego królewski tytuł nie oznacza bynajmniej, że jego możliwości finansowe czy militarne są większe niż niektórych jego wasali. Zwykła ludzka ostrożność dyktuje mu sposób zachowania równowagi między wielkimi wasalami, a także między nimi a sobą. [...] Oprócz autorytetu król feudalny nie ma [...] żadnych atrybutów władzy. Nie może on ani ogłaszać praw, ani nakładać podatków na obywateli swojego królestwa, ani powoływać armii".

Renesans - triumf centralizmu

Dlaczego zatem ulega to zmianie i triumfuje centralizacja? Autorka *Inaczej o średniowieczu* odpowiada w podobnym tonie co poprzednio - winny jest renesans. Pod koniec średniowiecza pojawiają się pierwsze renesansowe nowinki, a wśród nich potraktowane naśladowczo centralistyczne koncepcje

władzy z czasów antycznych oraz prawo rzymskie. To ostatnie cieszy się coraz większym zainteresowaniem wśród włodarzy różnego szczebla, świeckich i kościelnych. Zamiast dawnej władzy, ograniczonej licznymi umowami i zobowiązaniami, a przede wszystkim opartej na więziach personalnych i terytorialnych, powstaje porządek zasadzający się na skupieniu ogółu prerogatyw w rękach „wyizolowanej" elity władczej. Instytucjonalizacja postępuje coraz

bardziej, rozszerza się warstwa biurokratyczna. Państwu nadaje się odgórnie coraz to nowe prawa kosztem swobód poddanych - to wszystko dzięki zapożyczonej z czasów antycznych wykładni regulacji życia społecznego.

Ale nie tylko społecznego - jak wskazuje Pernoud, ów triumfalny pochód prawa rzymskiego zaowocował także „usztywnieniem" ról w rodzinie. Ojca-opiekuna zastąpił ojciec-właściciel, dożywotnio zarządzający „inwentarzem": żoną, dziećmi, całym majątkiem. Zamiast średniowiecznego egalitaryzmu i wspólnoty mamy do czynienia z tyranią pana-władcy. Gdy w średniowieczu kobiety były w dużej mierze samodzielne (choć oczywiście w ramach pewnego systemu obyczajów, podobnie jak mężczyźni), niejednokrotnie realizując własne plany i zamiary (prowadzenie sklepu, warsztatu usługowego, kupno i sprzedaż nieruchomości itp.), to w renesansie stały się po prostu jednym z „dóbr" zgromadzonych przez własnego męża, nieskrępowanego w dysponowaniu tym „majątkiem". Podobnie było z dziećmi - w średniowieczu za dojrzałych i samodzielnych ludzi uznawano nastolatków, w renesansie przyznano ojcu nieograniczoną władzę nad potomstwem mającym nawet po trzydzieści i więcej lat, zdejmując jednocześnie z głowy rodziny różne obowiązki i obostrzenia (na przykład ojciec mógł już bez przeszkód wydziedziczyć najstarszego syna, choćby ten przez kilkadziesiąt lat harował na wspólny majątek). Kobiety w ogóle dużo straciły na nowożytnych porządkach. Pernoud dowodzi, że niegdyś szanowane, w wielu kwestiach samodzielne, pełniące szereg odpowiedzialnych, ale i prestiżowych oraz dających realną władzę funkcji społecznych, stały się po nastaniu renesansu istotami ubezwłasnowolnionymi, całkowicie poddanymi swym męskim „panom", służąc do realizacji ich zachcianek i interesów bez prawa do decydowania o sobie. Nie tylko społeczeństwo świeckie stało się „antykobiece" - także w Kościele zaszły zmiany, które znacznie pogorszyły rolę i status kobiet, wszystko to w imię centralizacji władzy rodem z wzorców antycznych i mocno spatriarchalizowanego prawa rzymskiego.

Stracili na tych zmianach także ludzie żyjący na bakier z obowiązującymi wzorcami i zasadami. Wbrew powszechnym opiniom, średniowiecze - co już wskazaliśmy na przykładzie decentralizacji - było znacznie bardziej „elastyczne" w kwestii postaw, niż skłonni jesteśmy dziś sądzić. Owszem, istniały pewne stałe ramy, choćby kultura chrześcijańska, ale ówczesne obyczaje i władze nie były szczególnie restrykcyjne w porównaniu z następnymi

epokami. Renesansowa centralizacja i „usztywnienie" zachodziły we wszelkich dziedzinach życia. To, na co kiedyś przymykano oko, jeśli nie groziło zaburzeniem ładu publicznego, teraz zaczęło być traktowane jako niewybaczalna zbrodnia. Jak wskazuje Pernoud, tropienie wszelkich „odstępców" narastało w miarę zdobywania popularności przez tendencje centralistyczne. Począwszy od XIII wieku stale rośnie ingerencja sprzymierzonych władz kościelnych i świeckich w życie zbiorowości i jednostek. Inkwizycja swoje najbardziej brutalne działania podejmuje w renesansie, wcześniej stanowiąc niejednokrotnie ochronę „outsiderów" przed ślepą żądzą nienawiści zwykłego ludu, lubującego się w samosądach. Także u schyłku średniowiecza i w renesansie nasila się obsesja na punkcie domniemanych czarów i konszachtów z diabłem - to, co wcześniej traktowano często z lekceważeniem, jako wytwór gminnej fantazji, teraz zaprząta najsubtelniejsze i najwybitniejsze umysły epoki. Inkwizycja wymyka się w renesansie spod kontroli, służąc coraz częściej do realizacji partykularnych interesów władzy świeckiej. Przejawem tego jest choćby - całkowicie sprzeczne z zamysłem jej twórców - użycie tej instytucji do rozprawy z Maurami i Żydami w Hiszpanii, choć jeszcze w XIII wieku w kraju tym król Ferdynand III zabronił inkwizytorom działania, a sam ogłosił się królem trzech religii, nie przestając być chrześcijaninem.

Odrodzenie - powrót do niewolnictwa

Jednak największy kontrast między średniowieczem a czasami późniejszymi (i wcześniejszymi) dotyczy problemu traktowania człowieka przez człowieka, znajdującego wyraz w instytucji niewolnictwa. To, co zostało odesłane na śmietnik historii po upadku Cesarstwa Rzymskiego, po dziesięciu wiekach powróciło na tejże historii arenę. Jak dowodzi Pernoud, życie średniowiecznego chłopa pańszczyźnianego nie było bynajmniej sielanką, gdyż krępowało go wiele zależności od swego pana, jednak było to życie bez porównania lepsze niż egzystencja

przed- i pośreoriiowiecznych ràewolników, wyzutych z wszelkich praw, swobód i godności. Stan niewolnictwa nie był już zwykłą różnicą pozycji w hierarchii społecznej i wynikających stąd praw i obowiązków - to było traktowanie jednych przez drugich w kategoriach wyłącznie przedmiotowych. O ile i pan, i chłop byli ludźmi, choć nierównymi w swych prawach, o tyle po nastaniu „postępowego" renesansu zależność między panem a niewolnikiem przybrała postać - skąd myją znamy? - nadludzi i podludzi. I oczywiście dało się tę zmianę uzasadnić na gruncie prawa rzymskiego - tak czynili władcy, gdy niektórzy ludzie Kościoła krytykowali handel niewolnikami i zamorski kolonializm. „Postęp" miał zatem swoją wysoką cenę, o której lubi się zapominać...

To wszystko wskazuje, twierdzi Pernoud, że średniowiecze było epoką zupełnie inną, niż przyjęliśmy sądzić w ślad za „postępowymi" wykładniami

historii. Było także, co jeszcze trudniej jest nam zaakceptować, epoką lepszą od wielu innych. Epoką, w której żywej i mocnej wierze w Boga towarzyszył surowy obyczaj, ale jednocześnie szanowano człowieka jako jednostkę, ofiarowano autonomię wspólnocie, kładziono nacisk na rozwój nauki i sztuki bez ślepego naśladownictwa itp. Nie oznacza to, że wieki średnie były okresem doskonałym, pozbawionym wad. Były jednak porządkiem na tyle dobrym, że „reformy" renesansu oznaczały w stosunku do wcześniejszych zdobyczy regres, choć udrapowany w szlachetne „klasyczne" ozdobniki.

Dziś - czas odkłamywania?

Co to wszystko oznacza dla nas, ludzi odległych od tamtej epoki o setki lat i tkwiących w zupełnie odmiennym porządku etycznym, społecznym i technologicznym? Przede wszystkim, zdaniem piszącego te słowa, konieczność ostrożniejszego szafowania sądami historycznymi i odejścia od zbyt prostych schematów. Oznacza także potrzebę zadawania pytań utrzymanych w duchu chłodnego realizmu: jaki postęp, dla kogo, czyim kosztem, w jakich dziedzinach - i dopiero wtedy możność formułowania opinii.

Druga ważna kwestia wydaje się dotyczyć stosunku wobec epoki średniowiecznej. Uczciwa lewica musi sobie zadać pytanie, czy jej obraz dziejów jest prawdziwy, skoro rzeczywiste średniowiecze zapewniało znacznie lepszą realizację „prospołecznych" ideałów niż kilka następnych porządków moralno-ustrojowych. Uczciwa prawica musi odpowiedzieć sobie na pytanie, czym było średniowiecze i czym obecnie może być jego przykład, czyli jakiego modelu społeczeństwa chce - organicznego ładu, gdzie rozwój zbiega się z rozsądkiem, tradycja z poszanowaniem „odszczepieńców", a władza z autonomią rządzonych, czy też inżynierii społecznej, technokratyzmu, scentralizowanego państwa i peanów na cześć „tradycji łacińskiej" opartej na prawie rzymskim, a także wykluczania tych, którzy do pożądanego modelu nijak nie pasują.

Nie pora marzyć o królach, rycerzach i dobrych feudałach - ale nie ma też sensu potępiać w czambuł religii, tradycji i sprawdzonych rozwiązań ustrojowych. Wiek XX był krachem idei nowożytnych - czy to w postaci Auschwitz, czy sowieckich łagrów, czy też humanitarnych bombardowań. Dlatego warto zwrócić się w stronę innych rozwiązań, w stronę nowego, które tylko wtedy

będzie miało jakiś sens i szansę powodzenia, jeśli zaczerpnie z doświadczeń minionych epok.

Przywołajmy na koniec jeszcze jedno pytanie z omawianej tu książki Reginę Pernoud, ku refleksji i przestrodze: „Czy dla historyka z roku 3000 okresem fanatyzmu lub ciemiężenia człowieka przez człowieka będzie wiek XIII czy XX?".

REMIGIUSZ OKRASKA

Reginę Pernoud, *Inaczej o średniowieczu,* tłum. Krystyna Husarska,
Wydawnictwo MARABUT & Oficyna Wydawnicza VOLUMEN. Gdańsk-Warszawa 2002

Tak naprawdę świat muzułmański pamięta krucjaty niemal tak dobrze jak Zachód - innymi stówy: błędnie. Nie powinno to dziwić. Muzułmanie czerpią wiadomości na temat krucjat z tych samych kiepskich książek historycznych, na których polega Zachód.

MITY NA TEMAT KRUCJAT

THOMAS F. MADDEN

Krucjaty są ostatnio tematem dnia. Prezydent Bush popełnił ten błąd, że określił wojnę przeciwko terroryzmowi jako „krucjatę" i był na okrągło krytykowany za to, że wypowiedział słowo zarówno obraźliwe, jak i bolesne dla świata muzułmańskiego. Jeśli jest ono bolesne, to jest niezwykłe, jak często Arabowie sami go używają. Osama bin Laden i Mułła Omar wciąż określali Amerykanów jako „krzyżowców", a obecną wojnę jako „krucjatę przeciwko islamowi". Przez dekady pośród Arabów na Bliskim Wschodzie określano Amerykanów rutynowo „krzyżowcami" lub „kowbojami". Najwidoczniej krucjaty są wciąż żywe w świecie muzułmańskim.

Nie zapomniano o nich również na Zachodzie. Istotnie, pomimo wielu różnic pomiędzy Wschodem a Zachodem większość ludzi obu kultur zgadza się na temat krucjat. Powszechnie się przyjmuje, że krucjaty są czarną pla-

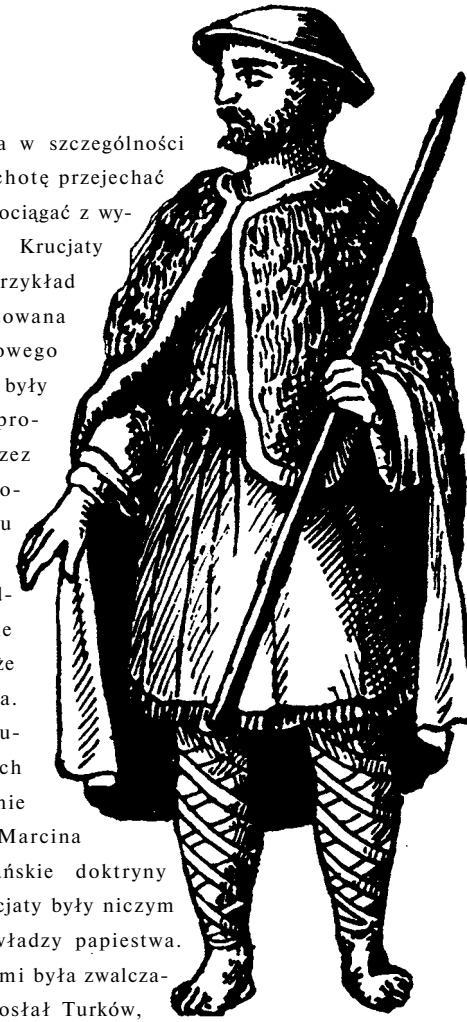

mą w historii cywilizacji zachodniej, a w szczególności Kościoła katolickiego. Każdy, kto ma ochotę przejechać się po katolikach, nie będzie się długo ociągać z wymachiwaniem krucjatami i inkwizycją. Krucjaty są często używane jako klasyczny przykład zła, jakiego może dokonać zorganizowana religia. Przeciętny człowiek na ulicy Nowego Jorku i Kairu zgodziłby się, że krucjaty były podstępnym, cynicznym i niczym nie sprowokowanym atakiem dokonanym przez religijnych fanatyków przeciwko pokojowemu, zamożnemu i wyrafinowanemu światu islamu.

Nie zawsze tak było. W czasach średniowiecznych nie znalazłbyś w Europie chrześcijanina, który nie wierzyłby, że krucjaty były dziełem najwyższego dobra. Nawet muzułmanie szanowali ideały krucjat i pobożność mężczyzn, którzy w nich walczyli. Ale wszystko to uległo zmianie wraz z reformacją protestancką. Dla Marcina Lutra, który odrzucił już chrześcijańskie doktryny o autorytecie papieża i odpustach, krucjaty były niczym więcej, jak tylko wybiegiem żądnego władzy papiestwa. Argumentował, że walka z muzułmanami była zwalczaniem samego Chrystusa, gdyż to On posłał Turków, by ukarać świat chrześcijański za niewierność. Kiedy sułtan Sulejman Wspaniały i jego armie rozpoczęły inwazję na Austrię, Luter zmienił zdanie na temat potrzeby walki, ale trwał przy potępieniu krucjat. W czasie następnych dwóch stuleci ludzie mieli tendencję do patrzenia na krucjaty przez pryzmat wyznania: protestanci je demonizowali, katolicy zaś wychwalali. Jeśli chodzi o Sulejmana i jego następców, to byli oni zadowoleni, że się ich pozbyli.

To w wieku XVIII, podczas oświecenia, narodziło się współczesne spojrzenie na krucjaty. Większość filozofów, jak Wolter, wierzyła, że chrześcijaństwo

średniowieczne było nikczemnym zabobonem. Krucjaty były dla nich barbarzyństwem wiedzionym przez fanatyzm, chciwość i pożądliwość. Od tamtych czasów pogląd oświecenia na krucjaty to stawał się modny, to odchodził w zapomnienie. Krucjaty miały dobrą prasę jako wojny arystokracji (chociaż nie religii) w okresie romantyzmu i na początku XX wieku. Po II wojnie światowej jednak opinia znowu zdecydowanie zwróciła się przeciwko krucjatom. Po Hitlerze, Mussolinim i Stalinie historycy zaczęli postrzegać wojnę ideologii - jakiejkolwiek ideologii - jako rzecz wstrętną. To odczucie zostało podsumowane przez Stevena Runcimana w jego trzytomowej pracy *A History oj the Crusades* z lat 1951-1954 (wyd. pol. *Dzieje wypraw krzyżowych 1987 i nast.).* Dla Runcimana krucjaty były moralnie odrażającymi aktami nietolerancji w imię Boga. Człowiek średniowiecza, który wziął krzyż i pomaszerował na Bliski Wschód, był albo cyniczny, albo pazernie chciwy, albo naiwnie łatwowierny. Ta pięknie napisana historia wkrótce stała się standardem. Niemal w pojedynkę Runciman zdołał określić popularny współczesny pogląd na krucjaty.

Od lat siedemdziesitych XX wieku krucjaty przyciągają uwagę setek naukowców, którzy skrupulatnie je przetrząsnęli, ponakłuwali i zbadali. W rezultacie wiadomo dużo więcej o świętych wojnach chrześcijaństwa niż kiedykolwiek przedtem. Jednak owoce dziesięcioleci studiów powoli przenikają do powszechnej świadomości. Częściowo jest to wina profesjonalnych historyków, którzy mają tendencję do publikowania studiów, mających z konieczności charakter fachowy i niezbyt łatwo dostępnych poza środowiskiem akademickim. Ale jest to również spowodowane oczywistą niechęcią wśród współczesnych elit, by pozwolić wizji krucjat Runcimana odejść w zapomnienie. I tak współczesne popularne książki o krucjatach - zasługujące w końcu na swą popularność - mają tendencję do małpowania Runcimana. To samo dotyczy innych mediów, np. wieloczęściowego, wyprodukowanego przez BBC/A&E dokumentu telewizyjnego *The Crusades* (1995), w którym występował Terry Jones, sławny dzięki programowi *Latający Cyrk Monty Pythona.* By nadać mu znamiona szczególnej wiarygodności, producenci wpletli do programu wypowiedzi pewnej liczby wyrafinowanych historyków zajmujących się krucjatami, którzy wyrazili swój punkt widzenia na temat ówczesnych wydarzeń. Trudność polegała na tym, że historycy nie podzielali poglądów Runcimana. Ale to nieważne. Producenci tak sprytnie zredagowali nagrane rozmowy, że historycy wydawali się z Runcimanem zgadzać. Jak powiedział

mi wzburzony profesor Jonathan Riley-Smith: „Sprawili, że zdawałem się mówić rzeczy, w które nie wierzę!".

A więc, jaka jest prawdziwa historia krucjat? Zapewne możecie sobie wyobrazić, że to długa historia. Ale są dobre książki historyczne napisane w ostatnich dwudziestu latach, które wykładają większą część tej historii. Wziąwszy pod uwagę ogrom zainteresowania, z jakim krucjaty się dzisiaj spotykają, najlepszym rozwiązaniem będzie po prostu rozważenie, czym krucjaty nie były. Oto więc parę najpowszechniejszych mitów i wyjaśnienie ich nieprawdziwości.

Krucjaty były wojnami niczym nie sprowokowanej agresji przeciwko pokojowemu światu islamu

Jest to tak błędne, jak tylko możliwe. Od czasów Mahometa muzułmanie dążyli do podboju świata chrześcijańskiego. Całkiem się też nieźle przy tym spisali. Po kilku wiekach stopniowych podbojów muzułmańskie armie zajęły całą Afrykę północną, Bliski Wschód, Azję Mniejszą i większość Hiszpanii. Innymi słowy, przed końcem XI wieku siły islamu zdobyły dwie trzecie świata chrześcijańskiego. Palestyna, ojczyzna Jezusa Chrystusa; Egipt, miejsce narodzin chrześcijańskiego monastycyzmu; Azja Mniejsza, gdzie św. Paweł zasiał ziarna chrześcijańskich społeczności - to nie były peryferia chrześcijaństwa, ale samo jego centrum. A budowa imperiów muzułmańskich jeszcze nie była ukończona. Kontynuowały one presję na zachód, w stronę Konstantynopola, wkraczając ostatecznie do samej Europy. Jeśli myślimy o niczym nie sprowokowanej agresji, to była ona po stronie muzułmańskiej. W którymś momencie to, co ocalało z chrześcijańskiego świata, musiałoby się bronić lub po prostu poddać się podbojowi islamu. Pierwsza krucjata została zwołana przez papieża Urbana II w roku 1095 w odpowiedzi na ponaglające prośby cesarza bizantyjskiego płynące z Konstantynopola. Papież Urban II wezwał rycerstwo chrześcijaństwa, aby pospieszyło z pomocą wschodnim braciom. Miał to być

czyn miłosierdzia, wyzwolenie chrześcijan Wschodu od muzułmańskich napastników. Innymi słowy, krucjaty od początku były wojną obronną. Cała historia wschodnich krucjat jest historią odpowiedzi na muzułmańską agresję.

Krzyżowcy nosili krzyże, ale w rzeczywistości byli zainteresowani tylko zdobyciem łupów i ziemi. Ich pobożne frazesy były jedynie przykrywką dla ich chciwości

Historycy zwykli byli wierzyć, że duży przyrost naturalny w Europie doprowadził do kryzysu zbyt wielu „drugich synów" szlacheckich, którzy byli przeszkoleni w rycerskim rzemiośle, ale nie mieli żadnej ziemi do odziedziczenia. Krucjaty były więc postrzegane jako zawór bezpieczeństwa: można było posłać wojowniczych mężczyzn daleko od Europy, tam gdzie mogli sobie wykroić ziemię czyimś kosztem. Współczesne osiągnięcia naukowe obaliły ten mit. Teraz wiemy, że to „pierwsi synowie" Europy odpowiedzieli na wezwanie papieża w 1095, podobnie jak w następnych krucjatach. Wyprawa krzyżowa była drogim przedsięwzięciem. Trzeba było sprzedać swoją ziemię lub obciążyć ją hipoteką, aby zebrać konieczne fundusze. „Pierwsi synowie" nie byli również zainteresowani zamorskim królestwem. Całkiem jak współcześni żołnierze, średniowieczni krzyżowcy byli dumni z pełnionych obowiązków, ale tęsknili za domem. Po spektakularnym sukcesie pierwszej wyprawy krzyżowej, po zdobyciu Jerozolimy i większej części Palestyny praktycznie wszyscy krzyżowcy wrócili do domu. Tylko drobna garstka pozostała, aby skonsolidować nowo zdobyte terytoria i zarządzać nimi. Łupy także były rzadkością. W istocie, chociaż krzyżowcy bez wątpienia marzyli o ogromnych bogactwach wschodnich miast, praktycznie nikt z nich nawet nie odzyskał poniesionych kosztów. Ale pieniądze i ziemia nie były głównymi powodami, dla których wyruszyli na krucjatę. Wyruszyli, aby odpokutować za swoje grzechy i osiągnąć zbawienie dzięki dobrym uczynkom w dalekim kraju.

Kiedy krzyżowcy zdobyli Jerozolimę w 1099 roku, wycięli w pień każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko w mieście, aż ulice spłynęły po kostki krwią

Ten mit jest ulubiony przez tych, którzy lubią podkreślać brutalny charakter wypraw krzyżowych. Ostatnio Bill Clinton w przemówieniu w Georgetown cytował to jako powód, dla którego Stany Zjednoczone stały się ofiarą terroryzmu muzułmańskiego (chociaż Clinton dla lepszego efektu podniósł krew z poziomu kostek do poziomu kolan). Jest z pewnością prawdą, że wielu ludzi w Jerozolimie zostało zabitych po tym, jak krzyżowcy zdobyli miasto. Ale musi to być rozumiane w kontekście historycznym. Przyjętym moralnym standardem we wszystkich przednowoczesnych cywilizacjach Europy i Azji było to, że miasto, które opierało się zajęciu i zostało zdobyte siłą, należało do zwycięskich sił. Dotyczyło to nie tylko budynków i wszelkich dóbr ludzi. To dlatego każde miasto albo forteca musiały dobrze rozważyć, czy są w stanie bronić się przed oblegającymi. Jeśli nie, warto było negocjować warunki poddania się. Obrońcy Jerozolimy dawali odpór aż do samego końca. Liczyli na to, że potężne mury miasta powstrzymają krzyżowców, aż przybędzie odsiecz z Egiptu. Mylili się. Kiedy miasto upadło, zostało poddane grabieży. Było wielu zabitych, jednak wielu innych zostało wykupionych albo pozwolono im odejść. Według współczesnych kryteriów może się to wydawać brutalne. Jednak średniowieczny rycerz równie dobrze mógłby powiedzieć, że o wiele więcej niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci ginie w wyniku bombardowań, niż zginęłoby od miecza w ciągu jednego lub dwóch dni. Warto zauważyć, że w tych miastach muzułmańskich, które poddały się krzyżowcom, ludzie zostali pozostawieni w spokoju, zachowali swoją własność i pozwolono im na swobodne wyznawanie wiary islamskiej. Jeśli chodzi o potoki krwi na ulicach, to żaden historyk nie traktuje ich inaczej niż jako fikcję literacką. Jerozolima jest dużym miastem. Ilość krwi koniecznej do wypełnienia ulic

ciągłym i głębokim na trzy cale strumieniem wymagałaby o wiele więcej ludzi, niż mieszkało ich w całym rejonie, nie mówiąc o samym mieście.

Krucjaty były po prostu średniowiecznym kolonializmem ubranym w strój religii

Trzeba pamiętać, że w średniowieczu Zachód nie był kulturą potężną, dominującą. To muzułmański Wschód był potężny, bogaty i zamożny. Europa była Trzecim Światem. Państwa krzyżowców utworzone wraz z pierwszą krucjatą nie były nowymi plantacjami katolików w świecie muzułmańskim podobnymi do brytyjskich kolonii w Ameryce. Liczba katolików w państwach krzyżowców była zawsze niewielka, dużo mniejsza niż dziesięć procent ludności. Przeważającą większość mieszkańców w państwach krzyżowych stanowili muzułmanie. Nie były one wobec tego koloniami - plantacjami albo nawet fabrykami, tak jak to było na przykład w Indiach. Były to placówki. Ostatecznym celem państw krzyżowych była obrona miejsc świętych w Palestynie, szczególnie w Jerozolimie, i zapewnienie bezpieczeństwa chrześcijańskim pielgrzymom odwiedzającym te miejsca. Nie istniał macierzysty kraj, z którym państwa krzyżowe utrzymywałyby stosunki ekonomiczne, ani Europa nie miała z kontaktów z nimi korzyści ekonomicznych. Wprost przeciwnie, koszt wypraw krzyżowych mających zachować łaciński Wschód pochłaniał ogromne środki z Europy. Jako placówki, państwa krzyżowe zachowywały cel militarny. Gdy muzułmanie toczyli wojny przeciwko sobie nawzajem, państwa krzyżowe były bezpieczne, ale kiedy muzułmanie już się zjednoczyli, byli zdolni zlikwidować bastiony, zdobyć miasta iw 1291 roku wyprzeć chrześcijan całkowicie.

Krucjaty były prowadzone także przeciwko Żydom

Żaden papież nigdy nie wzywał do krucjaty przeciwko Żydom. W czasie pierwszej krucjaty duża grupa ludzi marginesu, nie powiązana z główną armią, zwaliła się na Nadrenię, aby rabować i zabijać Żydów, których tam napotkała. Po części był to wynik czystej chciwości. Po części efekt błędnej wiary, że Żydzi jako ci, którzy ukrzyżowali Chrystusa, są uzasadnionym celem ataku. Papież Urban II i kolejni papieże ostro potępili wystąpienia przeciwko Żydom. Lokalni biskupi i inni duchowni oraz świeccy próbowali bronić Żydów, choć z umiarkowanym powodzeniem. Podobnie w trakcie początkowej fazy drugiej krucjaty grupa renegatów zabiła wielu Żydów w Niemczech, zanim św. Bernard z Clairvaux zdołał położyć temu kres. Te niewypały ówczesnego ruchu były nieszczęśliwym efektem ubocznym krucjatowego entuzjazmu. Ale nie były celem wypraw krzyżowych. Aby użyć współczesnej analogii, w czasie II wojny światowej niektórzy żołnierze amerykańscy popełniali przestępstwa za oceanem. Byli za te przestępstwa aresztowani i karani. Ale celem aliantów podczas II wojny światowej nie było popełnianie przestępstw.

Krucjaty były tak zdeprawowane i haniebne, że istniała nawet krucjata dzieci

Ta tak zwana „krucjata dziecięca" z 1212 roku nie była ani krucjatą, ani armią dzieci. Był to szczególnie duży wybuch powszechnego zapału religijnego w Niemczech, który doprowadził do tego, że niektórzy młodzi ludzie,

w większości nastolatkowie, ogłosili się krzyżowcami i ruszyli w kierunku morza. Po drodze napotkali powszechne poparcie. Przyplątało się do nich jednak nie tak mało zbójów, złodziei i żebraków. Ruch ten rozpadł się i ostatecznie skończył we Włoszech, kiedy Morze Śródziemne nie wyschło, aby zrobić młodym zapaleńcom przejście. Papież Innocenty III nie nazwał tego „krucjatą". W istocie wciąż zachęcał nie biorących udziału w walce do pozostania w domu i wspomagania wysiłków wojennych przez post, modlitwy i jałmużnę. Pochwalił gorliwość młodych ludzi, którzy doszli tak daleko, a potem powiedział im, aby wracali do domu.

Papież Jan Paweł II przeprosił za krucjaty

Jest to dziwny mit, zwłaszcza że papież był na okrągło krytykowany za to, że nie przeprosił za krucjaty wprost, gdy prosił o przebaczenie tych, których chrześcijanie niesprawiedliwie skrzywdzili. To prawda, że ostatnio Jan Paweł II przeprosił Greków za splądrowanie Konstantynopola w 1204 roku w czasie czwartej krucjaty. Ale podobny żal wyraził w tamtym czasie Innocenty III. Grabież Konstantynopola była tragicznym niezaplanowanym wydarzeniem, a Innocenty III zrobi! wszystko, co mógł, aby mu zapobiec.

Muzułmanie, którzy żywo pamiętają krucjaty, mają dobry powód, aby nienawidzić Zachodu

Tak naprawdę świat muzułmański pamięta krucjaty niemal tak dobrze jak Zachód - innymi słowy: błędnie. Nie powinno to dziwić. Muzułmanie czerpią

wiadomości na temat krucjat z tych samych kiepskich książek historycznych, na których polega Zachód. Świat muzułmański zwykł świętować krucjaty jako swoje wielkie zwycięstwo. W końcu to oni wygrali. Ale zachodni autorzy, przejęci schedą po współczesnym imperializmie, przerobili krucjaty na wojny agresywne, a muzułmanów na łagodnych cierpiętników. Czyniąc tak, unieważnili wieki muzułmańskich triumfów.

THOMAS F. MADDEN

TŁUMACZYŁ: JAN J. FRANCZAK

„Catholic Dossier", styczeń-luty 2002

Inkwizycja nie była zjawiskiem przypadkowym, lecz logiczną konsekwencją średniowiecznego światopoglądu i logiczną częścią składową średniowiecznego świata.

INKWIZYCJA

- *mity i prawda* -

ROBERT ŻUREK

Wiele wieków dzieli nas od czasów, kiedy zapalano stosy pod heretykami, ale mimo to o inkwizycji nie przestaje się mówić. Dla ludzi niechętnych katolicyzmowi stanowi ona jeden ze standardowych argumentów na potwier-

dzenie ich antykościelnych tez, dla wahających się co do przyjęcia autorytetu Kościoła poważną barierę, a dla samych wierzących niemały problem. Trudno się zresztą temu dziwić, wszak jest prawdopodobnie najciemniejszą kartą w historii Kościoła. Stąd bezradność wielu katolików, a nawet gotowość przytaknięcia głosom bezwzględnie potępiającym ową średniowieczną instytucję.

Bezradność ta wynika jednak nie tyle ze słuszności zarzutów kierowanych pod adresem inkwizycji, ile z faktu, że nasza wiedza o niej jest bardzo fragmentaryczna i powierzchowna. Słabo znamy fakty związane z inkwizycją oraz tło, na którym zaistniały, co z kolei poważnie utrudnia nam analizę i ocenę argumentów wysuwanych przez potępiających ją ludzi. Tymczasem głębsze zapoznanie się z tematem musi prowadzić do wniosku, że wiele twierdzeń i sądów o inkwizycji opiera się nie na prawdzie, lecz na mitach. To właśnie mity, które bierzemy za prawdę, kształtują w nas obraz inkwizycji, uniemożliwiają nam właściwą jej ocenę i są tym samym główną przyczyną naszej bezradności.

Skąd wzięły się te mity? Otóż przeciwnicy Kościoła już w XVI wieku wpadli na pomysł, że inkwizycję można wspaniale wykorzystać w walce z nim. I tak, przez całe wieki pokolenia Europejczyków kształtowały swoje sądy o inkwizycji na podstawie protestanckich broszurek propagandowych, których celem było zohydzenie ludziom katolicyzmu. Nawet uczeni brali za dobrą monetę mrożące krew w żyłach świadectwa rzekomych ofiar inkwizycji i na ich podstawie pisali naukowe dzieła.

Niestety, w minionych dziesięcioleciach również część naukowców powielała w swych artykułach, książkach, a co gorsza w podręcznikach do historii, mity o inkwizycji. Nic w tym dziwnego, wszak dopuszczone do głosu elity naukowe Wschodu z zasady musiały być antykościelne, a środowiska uniwersyteckie Zachodu były i są w dużej mierze lewicujące, niechętne katolicyzmowi i dlatego nie zainteresowane zobiektywizowaniem obrazu inkwizycji.

Trudno na tym tle dziwić się ludziom sztuki, którzy w licznych dziełach nakreślali i nakreślają wyjątkowo niepochlebny wizerunek inkwizycji. Czytając książki *(Bracia Karamazow, Imię róży),* słuchając oper *(Don Carlos),* oglądając filmy *(1492)* i sztuki teatralne *(Życie Galileusza),* jesteśmy w sposób mało obiektywny, ale za to bardzo sugestywny informowani o inkwizycji i zarażani niechęcią do niej. Zwłaszcza obrazy filmowe zapadają w pamięć i często, nieraz podświadomie, w zdecydowany sposób wpływają na postrzeganie tej instytucji przez szerokie rzesze ludzi.

Celem niniejszego tekstu nie jest kompleksowa prezentacja inkwizycji, dlatego też nie zawiera on systematycznego opisu historii ani całościowej oceny działalności tej instytucji. Chodzi w nim natomiast o przedstawienie najważniejszych, moim zdaniem, mitów związanych z inkwizycją i skonfrontowanie ich z prawdą historyczną. O wskazanie i zanalizowanie przykładów jednostronnego i fałszywego ukazywania inkwizycji, wyolbrzymiania winy średniowiecznego Kościoła i malowania go wyłącznie w ciemnych barwach.

Pragnę przy tym gwoli jasności podkreślić, że nie jestem bynajmniej zwolennikiem inkwizycji. Bardzo ubolewam nad tragicznym faktem, że wyznawcy Boga Miłości w imię tegoż Boga zabijali swoich bliźnich. Działalność inkwizycji to bez wątpienia najciemniejsza karta w historii Kościoła. Daleki jestem od tego, by tę kartę wybielać i negować popełnione przez inkwizycję zło. Pragnę jedynie wskazać na pokutujące w naszej świadomości mity, które czynią tę instytucję znacznie potworniejszą, niż była w rzeczywistości.

Morze krwi

Większości ludzi XXI wieku wydaje się, że inkwizycja utopiła Europę we krwi. Ze każdego dnia średniowiecza każdy skrawek kontynentu naznaczony był stosami, a ludzie wieków średnich żyli w wiecznym lęku przed zataczającym olbrzymie kręgi wirem religijnych prześladowań.

Mit o masowym zasięgu i olbrzymiej ilości ofiar inkwizycji jest szczególnie brzemienny w skutki, gdyż czyni z niej w naszej świadomości instytucję masowej zagłady, prekursorkę SS czy NKWD, organizacji, które w imię zbrodniczych ideałów wymordowały miliony ludzi. Tymczasem liczba zabitych z wyroku inkwizycji prawdopodobnie nie przekroczyła w całej Europie i w całym średniowieczu kilku tysięcy. Wobec licznych wojen (tylko pod Grunwaldem zginęło kilkanaście tysięcy ludzi) czy zaraz (epidemia dżumy w połowie XIV wieku zabiła 30 procent ludności Europy) była to ilość znikoma. I nic w tym dziwnego, mianowanych przez papieża inkwizytorów było bowiem, wbrew pozorom, zbyt mało, aby mogli ogarnąć działalnością inkwizycji większą liczbę ludzi. Na przykład w drugiej połowie XIV stulecia w całych Niemczech działało zaledwie kilku inkwizytorów. Nietrudno się domyślić, że ogromna większość ówczesnych Niemców nigdy w życiu żadnego z nich nie spotkała, nie mówiąc już o byciu sądzonym.

Morze krwi polało się dopiero we wczesnej nowożytności, kiedy to Europę ogarnęło szaleństwo polowania na czarownice. Zabito wtedy dziesiątki, a może i setki tysięcy ludzi, ale to nie inkwizycja rozpętała ów szał, lecz ogarnięta fobią ludność, i to nie inkwizycja wiodła prym w wydawaniu wyroków śmierci, ale instancje świeckie. Inkwizycja Rzymska zaczęła karać czary śmiercią dopiero w latach dwudziestych XVII wieku, kiedy główna fala polowania na czarownice dawno już przetoczyła się przez Europę. Po części właśnie dlatego liczba ofiar w krajach protestanckich była znacznie większa niż w katolickich.

Na okres wczesnej nowożytności przypadło też apogeum działalności cieszącej się wyjątkowo złą sławą inkwizycji hiszpańskiej. Wbrew ponurym wyobrażeniom ta uważana za wyjątkowo krwawą lokalna inkwizycja wydała jednak w ciągu swej kilkuwiekowej działalności jedynie parę tysięcy wyroków śmierci.

Nie należy zatem wyolbrzymiać zasięgu działania inkwizycji. W sumie, na tle innych wydarzeń i prądów średniowiecza oraz wczesnej nowożytności była ona zjawiskiem stosunkowo marginalnym. Stałe podejmowanie jej tematu w filmach i powieściach historycznych nie powinno nas w tym względzie mylić.

MIT 2

Wyłączna wina Kościoła

Na stosach płonęli ludzie oskarżeni o odstępstwo od wiary Kościoła, dlatego też wydaje nam się, że to właśnie Kościół musiał być w pełni odpowiedzialny za ich prześladowanie. Jest to jednak tylko część prawdy.

Religia była w średniowieczu ściśle połączona z polityką, gdyż wspólna wiara scalała społeczeństwa i zapewniała państwom stabilność. Ruchy heretyckie bazowały natomiast na ideach, które były dla organizmów państwowych ogromnym zagrożeniem. Potępianie pracy zarobkowej, nakaz skrajnego ubóstwa dla wszystkich, odrzucenie władzy państwowej, negacja pożycia

małżeńskiego, a co za tym idzie prokreacji - to jedynie niektóre postulaty średniowiecznych ruchów heretyckich. Nietrudno się domyślić, że ich realizacja na szerszą skalę miałaby olbrzymie konsekwencje nie tylko w sferze religijnej, ale przede wszystkim w politycznej, społecznej i gospodarczej. Analiza dokumentów historycznych potwierdza, że władcy świeccy byli zainteresowani utrzymaniem przez Kościół monopolu religijnego nawet bardziej niż on sam.

To nie papież, lecz król Robert Pobożny wystąpił w roku 1022 jako pierwszy przeciwko heretykom na południu Francji. To nie biskup Mediolanu, lecz władze miejskie kazały sześć lat później podpalić stosy pod heretyckimi mieszkańcami miasta. To cesarz Fryderyk II zaczął torturować i palić odstępców we Włoszech, podczas gdy Kościół jeszcze się przed tym wzdragał. To królowie Hiszpanii, a nie papież, zorganizowali, finansowali i koordynowali działalność inkwizycji w swym kraju.

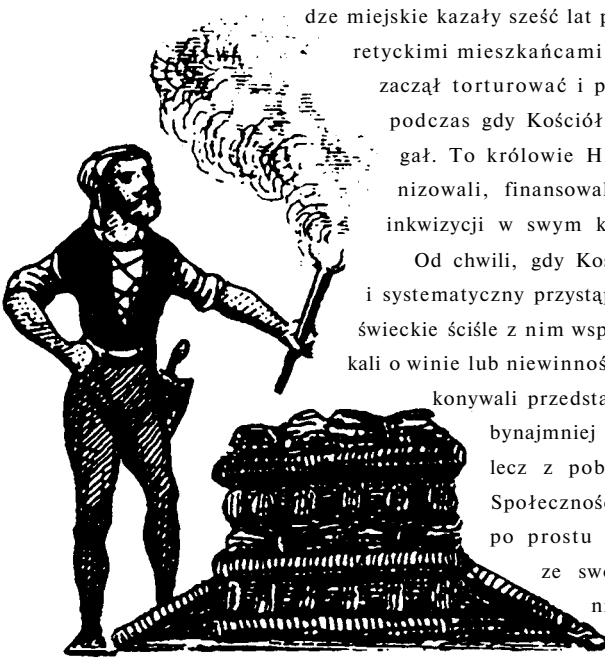

Od chwili, gdy Kościół w sposób zorganizowany i systematyczny przystąpił do walki z herezją, władze świeckie ściśle z nim współpracowały. Duchowni orzekali o winie lub niewinności oskarżonych, wyroki zaś wykonywali przedstawiciele panujących. Czynili to bynajmniej nie z miłości do katolicyzmu, lecz z pobudek czysto pragmatycznych. Społeczności państwowe czy miejskie były po prostu zainteresowane wyplenieniem ze swoich szeregów ludzi dezorganizujących ich życie. Znamienny jest fakt, że cesarz Fryderyk Barbarossa obłożył banicją heretyków, a jego wnuk Fryderyk II zacięcie ich zwalczał, szermując hasłem obrony wiary, chociaż obaj dążyli do podporządkowania sobie papieża i weszli z nim w poważny konflikt. Nieraz też dochodziło do sytuacji, w których władza świecka czy miejscowa ludność, utyskując na zbytnią łagodność duchownych, sama brała się za sądzenie i palenie heretyków (np. w Soissons w 1115 roku, w Kolonii w 1144 roku, czy w Montsegur w 1244 roku).

Nieludzcy prześladowcy

Każdy, kto widział oparty na książce Umberto Eco film *Imię róży,* jest chyba pod wrażeniem ukazanej tam postaci inkwizytora, Bernarda Gui, człowieka o szatańskiej przebiegłości i nieludzkim okrucieństwie. Duchowny ten istniał naprawdę i był jednym z czołowych inkwizytorów pierwszej połowy XIV wieku. Z jego pism nie wynika jednak, by był żądnym krwi i ludzkiego cierpienia sadystą. Zdaje się on raczej być ostrożnym, sprawiedliwym sędzią, pragnącym rzetelnie wypełniać swe obowiązki. W całej długoletniej karierze wydał tylko 42 wyroki śmierci. Piszę „tylko", bo sugerując się *Imieniem róży,* można by sądzić, iż było to jego tygodniowe, a nie życiowe pensum.

Gui nie był wyjątkiem. Ze szczątkowych tekstów źródłowych można wywnioskować, że inkwizytorzy wcale nie tak chętnie skazywali ludzi na śmierć. O jednym z nich, działającym u schyłku XIII wieku w okolicach Padwy, wiemy na przykład, że w ciągu 12 lat swojej działalności wydał jedynie pięć wyroków śmierci. Na terenie diecezji turyńskiej skazano na śmierć w całym XIV wieku tylko 22 osoby. W stolicy i epicentrum europejskich ruchów heretyckich, Carcassonne, zginęło z wyroku inkwizycji w latach 1245-1257 zaledwie 21 osób, a inkwizytor Bernard de Caux w ciągu swej dwuletniej działalności w tym mieście nie wydał żadnego wyroku śmierci.

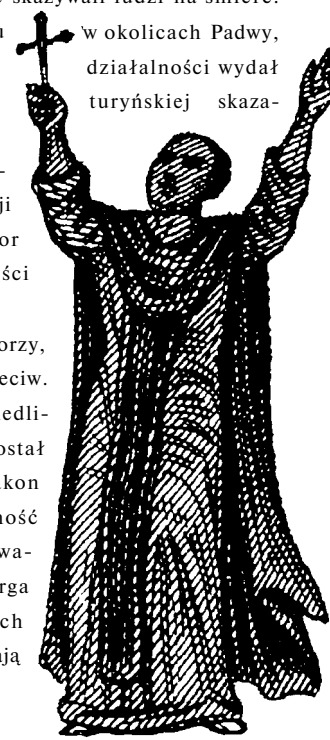

Oczywiście zdarzali się też krwawi inkwizytorzy, ale wcale nie byli oni normą i szybko budzili sprzeciw. Na przykład cieszący się ponurą sławą niesprawiedliwego okrutnika dominikanin Robert le Petitle został pozbawiony funkcji przez papieża, a przez swój zakon zamknięty w lochu. Zresztą często sama ludność czuwała, by poszczególni inkwizytorzy nie posuwali się zbyt daleko. Zabójstwa Konrada z Marburga w Niemczech (1233), Piotra z Werony we Włoszech (1252) czy Pedra Arbuesa w Hiszpanii (1486) obalają mit o wszechwładnych, bezkarnych inkwizytorach.

Wspaniali prześladowani

Piętnując zbrodniczość średniowiecznej inkwizycji, wskazuje się z reguiy między innymi na fakt, że zabijano ludzi wybitnych, światłych reformatorów, szlachetnych przywódców, znakomitych naukowców, pionierów nowoczesności, których Kościół miażdżył, bo zagrażali jego hegemonii. Jako przykład wymienia się Jana Husa, Joannę d'Arc czy Giordana Bruna.

Zauważyć trzeba (abstrahując od faktu, że stylizowanie Bruna, postaci dość dwuznacznej, na kryształowego człowieka i genialnego myśliciela, jest chyba lekką przesadą), że oskarżając inkwizycję, wskazuje się wciąż na kilka zaledwie niewinnie skazanych, wybitnych osób, stwarzając przez to wrażenie, że takie właśnie były owe tysiące zabitych przez Kościół heretyków.

Tymczasem to kolejny mit. Owszem, zdarzało się, że na stosach płonęli wybitni naukowcy, przywódcy i reformatorzy, ludzie godni podziwu i naśladowania, ale stanowili oni nieliczne wyjątki. Śmiało można stwierdzić, iż średniowieczni heretycy byli w olbrzymiej większości anarchistami dezorganizującymi w imię absurdalnych idei życie polityczne, społeczne i gospodarcze Europy i zakłucającymi rozwój cywilizacji. Warto sobie uświadomić, że gdyby zdołali pociągnąć za sobą większą liczbę naśladowców, rozwijające się państwa przestałyby funkcjonować, a kontynent pogrążyłby się w chaosie.

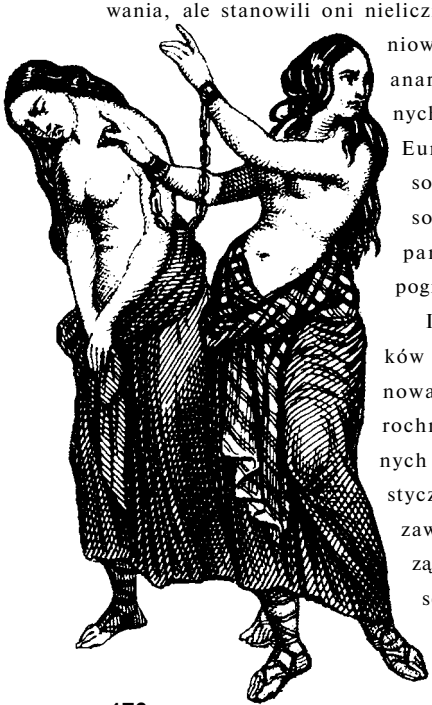

Idee katarów, waldensów czy innych heretyków wbrew pozorom wcale nie były postępowe, nowatorskie i szczytne. Opierały się one na starochrześcijańskich herezjach, nieco zmodyfikowanych i uzupełnionych, znacznie bardziej rygorystycznych niż nauka Kościoła. Wiązały się prawie zawsze z niezwykle surową, wyniszczającą ascezą, absolutnym ubóstwem, demonizowaniem seksualności, ciała, materii i świata w ogóle. Wśród katarów, którzy wierzyli, że świat został stworzony przez złego demiurga, silne

byiy tendencje samobójcze, powodowane pragnieniem, aby jak najprędzej ów świat opuścić. Patrobruzjanie wędrowali z miejsca na miejsce, wywołując zamieszki, plądrując kościoły i linczując duchownych, podobnie jak zwolennicy Henryka z Lausanne. Przykłady nietolerancji, dewiacji i przestępstw owych „wspaniałych", „postępowych" heretyków można by mnożyć. Wyobrażenie, jakoby byli oni radosnymi, promieniującymi miłością i pokojem idealistami, średniowiecznymi hippisami, żyjącymi w oparciu o piękne, szlachetne pryncypia i stanowiącymi przyjemny kontrast dla surowego, bezdusznego i ciemnego Kościoła, jest mitem.

Nawet dziś niektórzy przywódcy sekt, tacy jak np. Charles Manson w USA czy Soko Asahara w Japonii, są skazywani na długoletnie więzienie lub nawet na karę śmierci dlatego, że stanowią realne zagrożenie dla społeczeństwa, a nie dla Kościoła. W resortach spraw wewnętrznych wielu państw istnieją wyspecjalizowane służby zajmujące się przeciwdziałaniem wpływom tzw. toksycznych sekt. Rządy zdają sobie bowiem sprawę, że gdyby doszło do realizacji haseł głoszonych przez np. Najwyższą Prawdę w Japonii czy Wielkie Białe Bractwo na Ukrainie, całe społeczności pogrążyłyby się w bezprawiu i anarchii.

Nieuzasadnione represje

Jakim prawem inkwizycja prześladowała heretyków? Trudno nam odpowiedzieć na to pytanie i dlatego skłonni jesteśmy uznać potworną winę Kościoła, który nie mając do tego najmniejszego prawa, dosłownie po trupach walczył o zachowanie swego monopolu na rynku religii. Tymczasem jest to kolejny mit. Średniowieczny Kościół poczuwał się nie tyle do prawa, ile do obowiązku zwalczania herezji wszystkimi dostępnymi środkami. W tej walce nie chodziło jednak o interesy kleru, zachowanie monopolu czy inne doczesne korzyści, lecz o dobro ogółu, któremu zdawali się poważnie zagrażać heretycy, w oczach ludzi średniowiecza

uznani za bardzo groźnych przestępców. Ich zbrodnia miała, w przekonaniu współczesnych, trzy podstawowe wymiary.

Pierwszy dotyczył płaszczyzny czysto religijnej. Heretycy występowali z Kościoła, więc byli odstępcami, a Stary Testament przewidywał dla odstępców karę śmierci. Z historii i Pisma świętego wiemy, że kara ta w Izraelu nierzadko bywała wykonywana. Musi nieco dziwić, iż mało kto oburza się na tę praktykę naszych starszych braci w wierze, podczas gdy nie milkną głosy potępienia pod adresem średniowiecznych katolików, którzy uśmiercając odstępców, kierowali się przecież tą samą gorliwością o Boga, tą samą świętą księgą (przykazanie miłości bliźniego oraz piąte przykazanie Dekalogu pochodzą ze Starego Testamentu) i tą samą logiką.

Drugi wymiar dotyczył płaszczyzny religijno-społecznej. W tamtych czasach niezwykle silne było przeświadczenie, że kto występuje z Kościoła, pozbawia się szansy zbawienia. Ludzie, którzy nie tylko sami opuścili Kościół, ale na dodatek kusili do tego bliźnich (heretycy prowadzili ożywioną działalność misyjną), musieli zostać uznani za bardzo groźnych przestępców, pragnących odciągnąć ludzi od wiecznego szczęścia, za owe „wilki w owczej

skórze", przed których zgubną działalnością ostrzegał apostołów Chrystus, za sługi szatana, które przybyły, by spustoszyć owczarnię. Heretycy musieli uchodzić za przestępców gorszych niż złodzieje, bo ci sięgają tylko po dobytek bliźnich, gorszych nawet niż mordercy, bo ci odbierają jedynie życie doczesne. Oni zaś próbowali odebrać bliźnim życie wieczne. Czy można wyobrazić sobie gorszą zbrodnię?

I wreszcie wspomniany już wymiar społeczno-polityczny. Funkcjonowanie społeczeństw odbywało się na fundamencie nauki Kościoła. Gdy ktoś podważał tę naukę, podważał jednocześnie zasady i podstawy życia społecznego i politycznego.

Oczywiście dla nas, ludzi XXI wieku, przedstawione powyżej argumenty i zarzuty nie brzmią zbyt przekonywająco, niemniej dla ludzi średniowiecza ich słuszność nie budziła najmniejszych wątpliwości, heretycy zaś byli uważani za niezwykle groźnych przestępców religijnych, społecznych i politycznych. Na tym tle łatwiej zrozumieć nam, dlaczego karano ich w tak drastyczny sposób. Ale były ku temu i inne powody.

Nieludzkie kary

Palenie ludzi na stosach wydaje się nam wyszukanym, nieludzkim okrucieństwem, a duchowni, skazujący bliźnich na taką ^ śmierć, godni są w naszych oczach najwyższego potępienia. O tym, że karę śmierci na stosie stosowano bardzo rzadko, już pisałem. O tym, że przewinienia heretyków w oczach współczesnych były ciężkim przestępstwem, również. Pora zatem wyjaśnić kilka innych spraw.

Po pierwsze, śmierć miała w średniowieczu wymiar znacznie mniej tragiczny niż dziś. Liczne wojny, choroby, pożary, niski poziom medycyny, bardzo wysoka śmiertelność dzieci, niska średnia życia - wszystko to sprawiało, że śmierć gościła w każdej europejskiej rodzinie stosunkowo często, że ludzie byli z nią „oswojeni" i poniekąd pogodzeni. Tym bardziej że życie obfitowało w mozoły i cierpienia, było znacznie mniej przyjemne, a przez to mniej atrakcyjne niż dzisiaj. Ludzie średniowiecza byli za to znacznie silniej niż my zorientowani na życie wieczne, wobec którego marną egzystencję na tym łez padole miano prawie za nic.

Po drugie, inny wymiar miało również cierpienie. Jak ze śmiercią, tak i z bólem fizycznym i duchowym byli ludzie średniowiecza znacznie bardziej obyci

niż my. W ich świecie nie było chloroformu, szczepionki na ospę i morfiny, a ciężko chorych nie izolowano od społeczeństwa na specjalistycznych oddziałach szpitali. Cierpienia było pełno, bo zarazy, wojny i nędza zaglądały do każdego zakątka Europy. Ale jednocześnie istniał znacznie silniejszy niż dziś etos cierpienia, które przyjmowane wzorem Chrystusa miało dużą wartość.

Po trzecie, średniowieczny kodeks karny był nieporównanie surowszy niż nasz. Śmierć na stosie oceniamy z perspektywy XXI wieku jako nieludzkie okrucieństwo, ale na tle innych kar stosowanych w średniowieczu nie była ona niczym nadzwyczajnym. Ta surowość kar nie wynikała z zamiłowania ówczesnych ludzi do okrucieństwa, lecz z faktu, że prawa jednostki podporządkowywano jednoznacznie

dobru społeczności. Dziś, gdy tak bardzo akcentuje się prawa człowieka, trudno nam to zrozumieć, ale w czasach, gdy państwa dopiero krzepły, gdy zagrożone były przez przeciwników zewnętrznych i wewnętrznych, owo silne akcentowanie dobra ogółu kosztem dobra jednostki było w pełni uzasadnione. Prowadziło ono jednak do tego, że nawet za stosunkowo błahe przestępstwa dezorganizujące funkcjonowanie społeczeństwa karano w drakoński sposób. I tak za obrazę majestatu cesarza, a więc na przykład za dowcip na jego temat, groziła kara śmierci. Za drobne kradzieże obcinano złodziejom ręce, za mniej drobne bezwzględnie ich wieszano, poważniejszych przestępców w wymyślny sposób katowano (łamanie kołem itd.).

Po czwarte wreszcie, śmierć na stosie wybrano nie ze względu na jej okrucieństwo, lecz ze względu na symbolikę ognia. Heretycy uważani byli za nieczystych, ogień mial ich oczyścić z win, jak oczyszcza szlachetny metal i skażone zarazą przedmioty.

Jakkolwiek brzmi to dla nas absurdalnie, palono heretyków na stosie również dla ich własnego dobra. Rozumowano, że uśmiercając delikwenta, uniemożliwia mu się dalszą grzeszną działalność, a fundując cierpienie w płomieniach, umożliwia częściowe odpokutowanie win, oczyszczenie, a co za tym idzie, zmniejszenie kary, na którą zasłużył po śmierci.

Widać zatem, że śmierć na stosie, z naszej perspektywy nieludzka, dla ludzi średniowiecza jawiła się jako znacznie mniej okrutna, a posądzanie inkwizycji o wyjątkowy sadyzm jest całkowicie chybione, chyba że na równi z inkwizytorami osądzimy całe średniowiecze, a raczej całą ludzkość do Oświecenia, gdyż dopiero wtedy wymierzane kary stały się bardziej ludzkie.

MIT 7

Metody i cele inkwizycji

Prześladuje nas obraz inkwizytora, który tropi prawdziwych, ale i rzekomych heretyków, wiedziony chorobliwą żądzą unicestwienia jak największej ich liczby. By tego dokonać, ucieka się do podstępnych pytań i brutalnych metod śledztwa. Drugorzędna jest przy tym kwestia, czy oskarżony jest naprawdę heretykiem, czy też nie. Ważne, by ostatecznie przysmażyć go na stosie. To oczywiście kolejny, bardzo krzywdzący inkwizycję mit.

Właściwym zadaniem inkwizytora nie było zabijanie heretyków, lecz nakłanianie ich do powrotu do właściwej wiary. Dopiero gdy ci kategorycznie

się wzbraniali, inkwizytor sięgać miał po inne środki, do wyroków śmierci włącznie. Inkwizytorzy nie postępowali samowolnie, lecz byli zobowiązani do przestrzegania rozporządzeń i przepisów Świętego Oficjum. Procedura postępowania z heretykami była dokładnie ustalona.

Inkwizytor przybywał w dane miejsce i wygłaszał mowy, w których wykładał właściwą naukę Kościoła. W ciągu następnych dni mogli zgłaszać się do niego pragnący się nawrócić heretycy, którym zadawał on typowe dla średniowiecza uczynki pokutne. I na tym właściwie historia się kończyła, chyba że doniesiono mu o innych jeszcze odstępcach przebywających w okolicy, którzy nie skorzystali z oferty. Ale i oni, jeśli tylko uznani zostali za niewinnych lub wyrazili skruchę, musieli jedynie podjąć się spełnienia uczynków pokutnych. Tylko ci, których winę udowodniono i którzy nie byli gotowi odrzucić herezji, oddawani byli władzy świeckiej, która wykonywała wyrok śmierci.

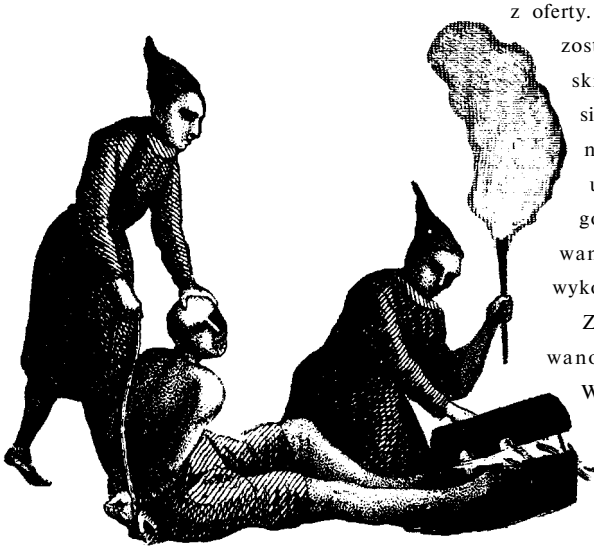

Znacznie częściej jednak skazywano heretyków na kary więzienia. Warto przy tym wspomnieć, że w więzieniach inkwizycji panowały lepsze warunki niż w świeckich. Na przykład w Hiszpanii dochodziło do tego, że przestępcy woleli być sądzeni za przestępstwa religijne niż kryminalne czy polityczne, by trafić do więzień inkwizycji, a nie do świeckich.

Wszyscy poważniejsi historycy przyznają, że inkwizytorzy zachowywali się wobec podejrzanych z reguły poprawnie. Problemy rodziły się raczej z faktu, że wielu katolików wtedy (podobnie jak dzisiaj) niespecjalnie potrafiło odróżnić naukę Kościoła od herezji. Na tym tle dochodziło nieraz do tragicznych pomyłek.

Oczywiście dochodziło też do nadużyć, które umożliwiała między innymi regulacja prawna wprowadzona przez papieża Grzegorza IX (anonimowość

oskarżycieli i świadków, brak obrońców). Trzeba jednak zauważyć, że na tle średniowiecznego systemu prawnego inkwizycja były niebywałym postępem. Podczas gdy świeckie sądy ferowały wyroki, każąc pojedynkować się zwaśnionym stronom, a o niewinności orzekały na podstawie prób ognia i wody, Kościół na początku XIII wieku zakazał duchownym uczestniczenia w tego rodzaju praktykach i wprowadził rzeczowe, oparte na logice postępowania sądowe.

Owszem, prowadząc śledztwo, inkwizytorzy stosowali od połowy XIII wieku tortury, ale byli przy tym znacznie bardziej powściągliwi i bez porównania mniej okrutni niż ich świeccy koledzy po fachu. Podczas gdy sądy i katownie świeckie prześcigały się w wymyślaniu i stosowaniu wyrafinowanych metod śledztwa, inkwizycja związana były przepisem zabraniającym rozlewu krwi w czasie tortur i zezwalającym na jednokrotne tylko torturowanie oskarżonego w czasie dochodzenia.

MIT 8

Potworna zbrodnia

Żyjemy w czasach wolności sumienia, pluralizmu światopoglądowego i niezależności organizmów państwowych i religii. Patrząc przez pryzmat tychże czasów i pryncypiów, potępiamy prześladowanie innowierców przez średniowieczny Kościół. Jesteśmy przekonani, że nie miał do tego prawa, bo przecież każdemu wolno wyznawać taką wiarę, jaką on sam uzna za stosowną. Rozumowaniu temu nie możemy odmówić słuszności. Ale ludzie średniowiecza mogli. I na tym polega problem.

Podejmując się oceny moralnej inkwizycji, popełniamy podstawowy błąd: postrzegamy jej epokę przez pryzmat naszej. Tymczasem kryteria XXI wieku są tylko częściowo adekwatne do oceny czynów ludzi, żyjących blisko tysiąc lat temu. Nakreśliłem kilka specyficznych dla mentalności średniowiecza schematów myślowych, powinny one uświadomić nam, że ówcześni ludzie na wielu płaszczyznach rozumowali inaczej niż my. To, co nam wydaje się oczywiste, przez nich nieraz zostałoby uznane za absurd. I odwrotnie. Myśl ludzka, a wraz z nią właściwa interpretacja kwestii wolności sumienia, rozwinęła się przez kilkaset lat dzielących nas od średniowiecza i sprawiły, że na przykład kwestia koegzystencji różnych wyznań nie przedstawia dziś większych problemów. W średniowieczu była problemem zasadniczym. Uszczęśliwienie kogoś na siłę poprzez spalenie go na stosie nam wydaje się chorym, zwyrodniałym pomysłem, im zaś

jawiło się jako dobry uczynek. Gdy chcemy oceniać łudzi średniowiecza, musimy spróbować wejść w ich mentalność. Odrzucić pychę, z jaką absolutyzujemy nasz sposób myślenia i postrzegania rzeczywistości, uznać, że i nasza filozofia życia, postępowania i wartościowania za kilkaset lat będzie być może piętnowana i krytykowana przez ludzi bogatszych o kilka stuleci rozwoju, a przez to myślących inaczej.

Jesteśmy zapatrzeni w człowieka, wtedy ludzie byli zapatrzeni w Najwyższego. Gdy uznawano, że ktoś Boga obraża, występowano zdecydowanie w Jego obronie, jak to nakazywał kodeks honorowy. Jesteśmy zapatrzonym w samych siebie społeczeństwem indywidualistów. Świat i wiara średniowiecza były znacznie bardziej kolektywne, nastawione na „my", z czego wynikało prawo do ingerencji w wierzenia sąsiadów i współobywateli. Jesteśmy zapatrzeni w wolność człowieka, a przez to tolerancyjni jak chyba żadne inne pokolenie. Średniowieczni nie znali tolerancji ani w sferze polityki, ani w sferze seksualności, ani w sferze religii.

Dlatego też instytucja inkwizycji nie budziła ich sprzeciwu. Znane są protesty przeciwko nadużyciom inkwizycji, ale nigdy i nigdzie w średniowieczu i wczesnej nowożytności nie pojawiły się głosy przeciwko tej instytucji jako takiej. Najtęższe umysły epoki, z Bernardem z Clairvaux i Tomaszem z Akwinu na czele, apelowały wprawdzie o wyrozumiałość, ale były zgodne, że opornych, którzy odmawiają powrotu na łono Kościoła i szerzą błędne nauki, należy zabijać. Mało tego, Luter i Melanchton, którzy tak ostro krytykowali nieprawidłowości istniejące w Kościele, nie tylko nie potępili inkwizycji, ale sami zachęcali współwyznawców do zabijania anabaptystów i członków innych sekt, Kalwin zaś własnoręcznie podpalał stosy. Czy wszyscy ci ludzie byli chorzy, źli i zaślepieni? Nie, po prostu posługiwali się inną logiką. Z pewnością była to logika po części błędna, ale w jej piętnowaniu powinniśmy zachować daleko idącą powściągliwość, gdyż jak słusznie zauważył niemiecki historyk Walter Brandmuller: „Nasze stulecie, które wydało Auschwitz i archipelag Gułag i które każdego roku zabija daleko więcej nienarodzonych niż inkwizycja wydala wyroków w ciągu wieków, przegrało prawo oburzania się na nią".

***

Na tym tle, wygrywanie karty inkwizycji w celu pogrążenia Kościoła musi budzić poważne zastrzeżenia, nie opiera się ono bowiem na głębszej refleksji historycznej, tylko na szermowaniu mitami, pochodzącymi z powierzchownego,

fragmentarycznego zapoznania się z tematem i często nie mającymi pokrycia w faktach historycznych. Nie zawiera ono też rzetelnej próby zgłębienia i zrozumienia ducha i mentalności średniowiecza oraz wczesnej nowożytności, lecz prymitywne, jednostronne osądy, które nie uwzględniają fundamentalnych różnic pomiędzy naszą i tamtą epoką. Inkwizycja nie była bowiem zjawiskiem przypadkowym, lecz logiczną konsekwencją średniowiecznego światopoglądu i logiczną częścią składową średniowiecznego świata. Jako taka przeniesiona została w epokę wczesnej nowożytności, powstałą na spuściźnie średniowiecza. Jeśli chcemy jednoznacznie potępić inkwizycję, musimy potępić całe średniowiecze.

Inkwizycja była z pewnością zjawiskiem negatywnym, za które Kościół musi się wstydzić. Twierdzenie, iż nic się nie stało, zakrawałoby w tym wypadku na absurd. Ale takim samym absurdem jest demonizowanie inkwizycji i oskarżanie jej o ludobójstwo, notabene nierzadko przy jednoczesnym gloryfikowaniu zdobyczy rewolucji francuskiej, która w ciągu kilku lat rozlała daleko więcej krwi niż inkwizycja w ciągu kilku wieków.

ROBERT ŻUREK

Mircea Eliade pisał, że klasztor jest miejscem, w którym CZAS jest zatrzymany; jest to zanurzenie się w inną czasoprzestrzeń, inny wymiar istnienia.

ŚLADAMI PATRONA EUROPY I LUDZI KSIĘGI

PAWEŁ ZAWADZKI

Grób św. Benedykta, Patrona Europy, znajduje się na Monte Cassino. Czerwone maki na stokach tej góry zaświadczają o serdecznych więzach łączących Patrona Europy i Polaków.

Dokładnie 1500 lat temu młodzieniec liczący wtedy 23 lata zakładał pierwsze klasztory benedyktyńskie. W ich skryptoriach dokonała, się synteza kultury starożytnej Grecji i młodego, chrześcijańskiego Rzymu; kopiści ocalili dzieła filozofów i dramaturgów. Święty Benedykt jest przedstawiany jako postać z księgą w ręku - można więc uznać go za patrona wszystkich ludzi Księgi i ksiąg, patrona Galaktyki Gutenberga, cywilizacji i kultury europejskiej. Bez przesady można bowiem stwierdzić, że obecność klasztorów benedyktyńskich wyznacza granice kultury europejskiej - szkoda, że ten prosty i oczywisty fakt jakby umyka uwadze polityków i biurokratów brukselskich...

Umberto Eco przypomniał, że gościna jest wpisana w Regułę św. Benedykta. Przy każdym klasztorze są pokoje gościnne, a koszty pobytu można odpracować w klasztornym ogrodzie lub opłacić (na ogół jest to opłata symboliczna), wizytę trzeba wcześniej ustalić z prefektem gości listownie lub telefonicznie.

Pobyt w klasztorze, włączenie się w życie wspólnoty zakonnej, jest niezwykłym przeżyciem. Mircea Eliade pisał, że klasztor jest miejscem, w którym CZAS jest zatrzymany; jest to zanurzenie się w inną czasoprzestrzeń, inny wymiar istnienia - to pierwsze, bardzo silne wrażenie. Mury kaplicy

klasztornej, nasycane przez setki lat codzienną modlitwą, zdają się jak „żywe kamienie". Na zakończenie ostatniej modlitwy, zwanej kompletą, jeden z zakonników ze starego zeszytu wyczytuje imiona i nazwiska braci i ojców, którzy zmarli w tym klasztorze, a właśnie przypada rocznica ich śmierci. To, że zmarli 700, 500 czy 300 lat temu, nie ma najmniejszego znaczenia... czas się zatrzymał... Jadąc do klasztoru, warto zabrać *Barbarzyńcę* w *ogrodzie* Herberta, by zajrzeć przez ramię cieniom mnichów.

Rytm pracy i modlitwy, codziennego życia jest tak doskonały, że łatwo zrozumieć, czemu ułożona 1500 lat temu przez św. Benedykta Reguła z taką łatwością przetrwała do dziś i czemu wzorowały się na niej reguły cystersów i kamedułów - młodszych gałęzi rodziny benedyktyńskiej.

Klasztorów nie budowano w przypadkowych miejscach - były to miejsca poświadczone znakami i cudami. Miejsca magiczne (jak byśmy to dziś określili) - jak słynny wawelski czakram. Łatwo to odczuje każdy nawet po krótkim pobycie.

Wielu moich znajomych namawiałem na wizytę w klasztorze. Wszyscy wracali radośni, odnowieni, pokrzepieni na duchu, jakby wrócili z podróży do źródeł czasu. Zanurzeni w źródle, opowiadali z zachwytem o pracy w ogrodzie klasztornym, po raz pierwszy od dawna dostrzegali wieczorem wygwieżdżone niebo, zauważali istnienie świata starszego niż człowiek. Kto miał depresję - wracał wyleczony. A każdy zyskiwał trochę świętego spokoju w sercu i dystansu do zgiełku świata.

Klasztor benedyktynów w Lubiniu koło Kościana jest mniejszy, bardziej „rodzinny" niż słynny Tyniec. Herb Lubinia zawiera symbole trzech wielkich religii - Półksiężyc, Gwiazdę sześcioramienną i Krzyż równoramienny, co według Henryka Wańka może być „śladem" (jednym z wielu) po słynnych templariuszach, których legendarnego skarbu do dziś nie znaleziono, a hipotezy wskazują na Wyspy Brytyjskie lub zachodnią granicę Polski...

Może warto odwiedzić klasztor w Lubiniu? Telefon 0-65 517 72 22 lub 0-65 511 83 52, prefektem gości jest Brat Izaak. Pobyt w klasztorze należy zawsze poprzedzić telefonicznym lub listownym uzgodnieniem (Klasztor Benedyktynów, 64-007 Lubiń k. Kościana).

Warto też odwiedzić najciekawsze, najstarsze klasztory benedyktyńskie w Europie. Oto kilka (spośród ok. 480) propozycji, według subiektywnego wyboru autora.

Święta Hildegarda z Bingen

Mistyczka, natchniona wizjonerka, poetka, autorka pieśni i kompozycji muzycznych dziś na nowo odkrywanych. Przeorysza, której świętość i autorytet pozwalały na korespondencję z Cesarzem, królami, książętami i możnymi tego świata. Czyniła cuda, wygłaszała kazania, pisała traktaty teologiczne i przyrodnicze. Legenda głosi, że zakonnice powierzone jej opiece, idąc na codzienną modlitwę, wpinały sobie żywe kwiaty do habitów. Urodzona w 1098, zmarła w 1179 roku, jest postacią niezwykłą, budzącą do dziś żywe zainteresowanie teologów i uczonych.

Tradycje św. Hildegardy kontynuują dziś benedyktynki w klasztorze malowniczo położonym wśród wzgórz i winnic, w środkowym biegu Renu, nieopodal słynnej skały Lorelei. Około 60 zakonnic utrzymuje się z rękodzieła artystycznego, konserwacji starych ksiąg, pracy w winnicy (klasztor słynie z doskonałego wina). W liście otrzymanym z klasztoru wzmianka: „Mamy grupę drogich nam przyjaciół z Polski, którzy co roku nas odwiedzają...". Zakonnice na fotografii promieniują pogodą ducha i radością, sprawiają wrażenie szczęśliwych.

Klasztor znajduje się około godziny drogi od lotniska we Frankfurcie, w połowie drogi między Wiesbaden a Koblencją.

Adres: Abtei St. Hildegard, Postfach 1320, D-65378 Riidesheim am Rhein, Niemcy, faks: 0049 6722 49917, e-mail: abtei-st.hildegard@t-online.de.

Święty Patryk na Wyspie Świętego Honorata

Południe Francji, słynne Cannes. Dwa kroki od pałacu festiwalowego znajduje się przystań, z której co godzina odpływa motorówka. Po 20 minutach dobija do Wyspy Świętego Honorata. Wyspa jak z baśni z tysiąca i jednej nocy - ma około 1,5 km długości, 500 metrów szerokości, powierzchnię około 40 ha, a jej sercem jest klasztor, otoczony pięknymi, warownymi murami, które miały go strzec od „najazdów piratów saraceńskich". Do klasztoru należy też wspaniała wieża na brzegu, o którą rozbijają się morskie fale... Na fotografiach mnisi przy pracy w stolarni, introligatorni, pasiece, winnicy, przy destylacji lawendy; grupa mnichów na kamienistej plaży prowadzi dysputę filozoficzną. Lazur nieba zlewa się z lazurem morza - czyżby Śródziemie Tolkiena znajdowało się tutaj?

W kraju, gdzie cytryna dojrzewa? Bajeczna roślinność śródziemnomorska, wnętrza klasztorne nieco surowe - jak przystało na cystersów, którzy tu dziś gospodarzą.

Między rokiem 400 a 410 Jan Kasjan, mnich, który znał wielkie klasztory syryjskie i egipskie, razem z pochodzącym ze szlacheckiej rodziny Honoratem, założyli na tej wyspie wspólnotę zakonną, która w VII wieku przyjęła Regułę benedyktyńską. To z tej wyspy św. Patryk wyruszył, by ewangelizować Irlandię, z opactwa, którego wpływy sięgały Wysp Brytyjskich. Czyżby język angielski* który dziś często słychać we Francji, poszukiwał swych korzeni na Wyspie Świętego Honorata?

Adres: Abbaye N.D. De Lerins, Ile Saint Honorat, B.R 157, F-06406 Cannes Cedex, Francja tel.: 04 92 99 54 00, faks: 04 92 99 54 01, e-mail: info@abbayedelerins.com, strona internetowa: www.abbayedelerins.com (w przewodniku znajduje się wzmianka, iż w klasztornym sklepie można kupić pyszny likier sporządzony według prastarej recepty - specjalność klasztorną).

Skąd wzięło się w Polsce Świętych Pięciu Braci Męczenników?

Sprowadzeni zostali przez Bolesława Chrobrego, za radą Cesarza Ottona III. Zginęli na polskiej ziemi w 1003 roku - co Zbigniew Mikołejko w książce *Żywoty Świętych poprawione* (Warszawa 2000) określa jako „drugi mord założycielski". Byli benedyktynami, a pochodzili z kręgu św. Romualda. Człek to był z barwnym życiorysem, w 1012 roku, przy „dobrym źródle", w małej miejscowości Camaldoli (co się przekłada: dom hrabiego Maldoli, który podarował ziemię mnichom) założył pierwszy klasztor kamedułów, czyli zakonników żyjących wedle Reguły św. Benedykta przystosowanej do surowych warunków pustelniczych. Na całym świecie jest 75 mnichów kamedulskich, z czego 33 w Polsce - na podkrakowskich Bielanach i w Bieniszewie koło Konina. Dla pustelników, którzy odznaczają się sprawdzoną cnotą - wielką pokorą i wypróbowaną ludzką równowagą, istnieje możliwość rekluzji, czyli życia w całkowitym odosobnieniu, bez kontaktu nie tylko ze

światem zewnętrznym, ale nawet z innymi członkami wspólnoty zakonnej. Kameduli, nastawieni na zjednoczenie z Bogiem, nie unikają pracy fizycznej, która wykonywana w milczeniu w klasztornym ogrodzie, służy nie tylko zdobywaniu środków do życia, ale także utrzymaniu równowagi duchowej. Warto dodać, że przestrzegają diety wegetariańskiej.

Założony przez św. Romualda klasztor w Camaldoli już w 1113 roku został wybrany na macierzysty dom wszystkich fundacji kamedulskich na świecie. W XV wieku klasztor był siedzibą fundacji humanistycznej o żywym życiu religijnym. Być może ta tradycja sprawia, że klasztor Camaldoli jest dziś najsłynniejszy i najczęściej odwiedzany we Włoszech. Odbywają się w nim rekolekcje, dni skupienia, konferencje z udziałem intelektualistów z całego świata na tematy biblijne. Część gościnna klasztoru to prawdziwa instytucja, integralnie związana z klasztorem - który w swych początkach udzielał schronienia pielgrzymom będącym przejazdem w górach. Dziś gościnę może tu uzyskać blisko 200 osób, przybywających w celach duchowych i medytacyjnych.

Aktualnie w klasztorze rezyduje 23 mnichów, a kilka kilometrów nad klasztorem, w pustelniach - 12 kolejnych. Jednym ze źródeł utrzymania klasztoru są produkty żywnościowe i ziołowe: miód, czekolada, leki ziołowe, likiery, balsamy, nalewki, które można nabyć w przyklasztornej „aptece" (Antica Farmacia di Camaldoli, 52010 Camaldoli/Arezzo/, tel.: +39 0575 556143).

Gdyby ktoś z RT. Czytelników zapragnął spłacić honorowy dług zaciągnięty przez Bolesława Chrobrego i zostać pierwszym w historii Polakiem w klasztorze Camaldoli - niech zwróci się do mistrza nowicjatu, Brata Giuseppe (tel.: +39 0575 556012, e-mail: monastero@camaldoli.it) lub do mistrza postulantów, Brata Alberta (Pustelnia, tel.: +39 0575 556021, e-mail: eremo@camaldoli.it).

Adres: Archicenobio di Camaldoli, Poppi (AR) Sacro Eremo di Camaldoli, Poppi (AR), Włochy; strona internetowa: www.camaldoli.it.

Chorał gregoriański pięknie śpiewany

Kartka, jaką otrzymałem z Opactwa Świętego Piotra, była zwięzła, krótko i po męsku odsyłała mnie do strony www.solesmes.com. Opactwo św. Piotra jest sercem najważniejszej dziś we Francji kongregacji solesmeńskiej. Przez wieki było zwykłym prowincjonalnym przeoratem. Urodzony w Sabie Dom Gueranger doprowadził do wskrzeszenia go, podniesienia z ruin i przywiódł je w ciągu 50 lat do świetności. Po 1901 roku mnisi z Solesmes przebywali na wygnaniu w Anglii, powrócili do Francji dopiero w 1992 roku. Dziś opactwo zamieszkuje wspólnota około 80 mnichów, którzy wyróżniają się ogromnym przywiązaniem do liturgii, życia duchowego i modlitwy. Wysoki poziom wykonywanego codziennie chorału gregoriańskiego sprawia, że do Solesmes licznie pielgrzymują muzykolodzy z całego świata. Częste są koncerty pieśni gregoriańskiej - w przyklasztornym sklepie można kupić kasety i płyty CD z nagraniami. Pokoje gościnne są przeznaczone wyłącznie dla mężczyzn pragnących dzielić doświadczenia życia zakonnego (konieczna jest wcześniejsza rezerwacja). Kobiety przyjmowane są w pobliskim opactwie św. Cecylii. Dla innych gości przeznaczony jest dom poza klasztorną klauzurą.
Adres: Abbaye de Saint—Pierre, 72300 Solesmes, Sable-sur-Sarthe, Francja, tel.: 02 43 95 03 08.

Opactwo Trójcy Przenajświętszej

W odległości 49 km od Neapolu, na uboczu, na końcu zalesionej doliny, u stóp góry znajduje się ogromny klasztor, otoczony lasami. Piękne budynki, muzeum, bogata biblioteka - oglądając fotografie, mam wrażenie obcowania z kolejnym podręcznikiem historii sztuki.

Opactwo to, założone w 1020 roku nazywane bywa „Cluny Italia" - z uwagi na rolę, jaką odegrało w reformie XI i XII wieku. Należy do kongregacji benedyktynów kasyneńskich, dziś wspólnota liczy 13 mnichów, z których najmłodszy ma 23 lata. W spisie zakonników nie znalazłem ani jednego nazwiska o polskim brzmieniu - ciekawe, kiedy w tym opactwie znajdzie się pierwszy w dziejach nowicjusz z Polski...

Podstawowym źródłem utrzymania mnichów jest gimnazjum i kolegium. Opactwo wydaje własne pismo pt. „Ascolta".

Oglądam fotografie zabytkowych wnętrz - ciekawe musi być tutejsze życie codzienne, które przypomina nieustannie, że możliwa jest synteza Dobra i Piękna. Że Piękno może być kategorią życia codziennego, o czym w Polsce jakby zapomniano...

Z mapy wynika, że klasztor znajduje się blisko morza, około 9 km od Salerno.

Adres: Abbazia SS. Trinita, Via Morcaldi 6, 84010 Badia di Cava (Salerno), Włochy, tel: +89 463922, faks: +89 345255.

Nieopodal Sieny, po drodze do Rzymu...

Ceglana wyspa w morzu zieleni. Założony w 1319 roku klasztor benedyktynów w Monteoliveto liczy dziś 35 mnichów utrzymujących się z gospodarstwa rolnego, gorzelni produkującej likiery według starożytnych receptur oraz słynnej pracowni konserwacji starych druków. Okres rozkwitu i świetności klasztoru przypada na czasy Odrodzenia, a powstałe wówczas dzieła sztuki, architektura, wnętrza i malowidła czynią ten klasztor arcydziełem, jednym z najwspanialszych dzieł sztuki monastycznej na świecie.

Opactwo jest macierzystą siedzibą Kongregacji Oliyetańskiej i rezydencją Opata Generała, udziela też gościny nowicjatowi i pełne jest niezwykle uczynnych i uprzejmych młodych ludzi. Klasztor jest jednym z częściej odwiedzanych we Włoszech i jednym z pierwszych włoskich opactw dostosowanych do przyjmowania dużej liczby gości. Dochody z turystyki są podstawowym źródłem utrzymania wspólnoty. Kogo droga wiedzie do Rzymu - temu po drodze opactwo w Monteoliveto.

Adres: Abbazia Monte Ołiveto Maggiore, 53020-Chiusure (Siena), Włochy, tel: 0577 707611, faks: 0577 707670.

Szczyt list przebojów, czyli platynowa płyta z Silos

Między Madrytem a Burgos, w sercu małego miasteczka, w spokojnej dolinie otoczonej górami znajduje się opactwo benedyktyńskie, w którym przebywa aktualnie 32 mnichów. Wiele podobnych opactw słynie ze śpiewu chorału gregoriańskiego - ale to właśnie album z chorałem gregoriańskim śpiewanym przez mnichów z Silos nieoczekiwanie znalazł się na szczycie światowych notowań,

zdobywając nawet platynową płytę! Mnisi jednak w pewnym momencie dość stanowczo przypomnieli światu, że ich powołaniem jest modlitwa i praca wedle Reguły św. Benedykta, a nie zabiegi wokół rynku płytowego... Tak więc ów nieoczekiwany sukces nie zmienił rytmu życia jednego z ważniejszych w Hiszpanii klasztorów benedyktyńskich.

Klasztor w Silos powstał w X wieku, a rozwój zawdzięcza opatowi Domingo (1041-1073), natchnionemu, silnemu Mężowi Bożemu. Skryptorium w Silos było jednym z najsłynniejszych w Europie, znanym z miniatur. W jednej z najstarszych polskich bibliotek znajduje się Biblia, która powstała w skryptorium w Silos. A zakonników z Polski w Silos dotychczas nie było...

Do odrodzenia życia zakonnego w Silos przyczynili się mnisi z Solesmes, Opactwo Santo Domingo w Silos należy bowiem do kongregacji solesmeńskiej. Jak Solesmes, tak i Silos jest celem pielgrzymek muzykologów z całego świata. W klasztorze znajdują się 22 jednoosobowe pokoje gościnne, tylko dla mężczyzn, na ściśle określony czas pobytu - konieczna jest wcześniejsza rezerwacja. Ale w miasteczku są trzy hotele, w których można znaleźć nocleg po umiarkowanych cenach. Kartka, jaką otrzymałem z Silos, odsyła do strony: www.silos.arrakis.es.

Adres: Abadia de Santo Domingo, 09610 Santo Domingo de Silos, Lerna (Burgos), Hiszpania, teł.: 947 38 07 86, 947 39 00 68.

Prowansja,
czyli gdzie ukryto przed piratami relikwie św. Honorata

Nieco na północ od Wyspy Świętego Honorata, w Prowansji, nad doliną, znajduje się wspaniale usytuowane opactwo, otoczone lasem. Do 1992 roku było ono tylko cichym i na pół opuszczonym przeoratem. Założone w 950 roku, zniszczone przez Saracenów, przyłączone po odbudowie do rodziny Cluny, przeżywało na przemian okresy upadku i świetności. W 1391 roku mnisi z Wyspy Świętego Honorata ukryli w nim relikwie założyciela ich wspólnoty, św. Honorata, aby ocalić je przed „grasującymi piratami". Był to najwspanialszy okres opactwa. Po wojnie stuletniej opactwo znów opustoszało, a potem próbowało się podnieść - aż w 1992 roku w Ganagobie zamieszkali mnisi solesmeńscy, dając w ten sposób początek nowemu okresowi w życiu opactwa, które jak wszystkie fundacje solesmeńskie prowadzi życie poświęcone studiowaniu Pisma i doskonaleniu śpiewu gregoriańskiego. Źródłem utrzymania jest dobrze prosperujące gospodarstwo rolne. Mnisi podjęli też oryginalną i ciekawą inicjatywę - organizują tygodnie nauki i odnowy duchowej tylko dla menedżerów firm!

Aktualnie w klasztorze przebywa 19 mnichów. Innych, ciekawych informacji nie mogłem, niestety, odcyfrować z listu napisanego odręcznie, mało czytelnym charakterem pisma. Ale fotografie z załączonej broszury są bajeczne. Kto odwiedzi w Prowansji to opactwo - niech napisze!

Przewodnik doradza zakup w przyklasztornym sklepie konfitur z truskawek i czarnych porzeczek.

Adres: Abbaye de Notre Dame, 04310 Ganagobie (Prowansja), Francja, tel.: 04 92 68 00 04, faks: 04 92 68 11 49.

Ora et labora

W 1999 roku Wydawnictwo Twój Styl wydało przewodnik Cesare Romano pt. *Opactwa i klasztory Europy. Ilustrowany przewodnik po 480 zgromadzeniach benedyktyńskich,* które autor, jak zapewnia na okładce, sam zwiedził i w których choćby na krótko się zatrzymał. To cenne źródło informacji, z którego i ja korzystałem. Chociaż każdy klasztor benedyktyński w swojej bibliotece posiada informator zawierający spis adresowy wszystkich klasztorów benedyktyńskich na świecie.

Lektura przewodnika Cesare Romano pozwala na wiele ciekawych odkryć. Oto w anglikańskiej Wielkiej Brytanii żyje blisko 600 benedyktynów, w katolickiej zaś Polsce zaledwie około 60. We włoskich klasztorach znajduje się aż 11 pracowni konserwacji starej książki (w Polsce ich brak), natomiast w innych krajach Europy już takie pracownie spotyka się o wiele rzadziej. Mnisi prowadzą gospodarstwa rolne, uprawiają zioła lecznicze, mają pasieki, zajmują się rzemiosłem artystycznym. Uprawiają winorośl i wiele klasztorów słynie z win, nalewek, likierów (słynna benedyktynka). Wiele prowadzi ciekawą i żywą działalność duszpasterską - szkoda, że słynna wspólnota z Taize jakby przyćmiła aktywność o wiele starszych i bardziej zasłużonych klasztorów w Europie.

Pobyt w klasztorze pozwala dotknąć niejako od środka duchowości danego kraju - jego serca, pozwala zrozumieć odmienność i specyfikę, czasem wyrażającą się choćby tym, że Włosi doceniają raczej stare księgi, a Hiszpanie sztukę pięknego śpiewu chorału gregoriańskiego. Myślę, że lekturę *Europy* Normana Daviesa warto uzupełnić lekturą przewodnika Cesare Romano - porównywać daty ważnych wydarzeń historycznych, daty założenia (i rujnacji niestety też - wielka rewolucja francuska ma w tym względzie szczególne zasługi) klasztorów, które w myśl hasła: „módl się i pracuj, a nie bądź smutny" - promieniowały kulturą najszerzej i najpiękniej pojętą od 1500 lat.

Cisza i święty spokój, z dala od zgiełku, z ogromnym dystansem do spraw doczesnych. Tryb życia benedyktynów z pewnością zachwyci każdego ekologa - jako możliwy do realizacji model harmonijnego współistnienia z Naturą, Przyrodą, przyjaznych relacji ze środowiskiem. Szok tlenowy, jedno z pierwszych przeżyć w klasztorze, dobitnie o tym przypomina. Może tkwi w tym jakaś nadzieja dla nas, wskazówka - jak uniknąć ekologicznej katastrofy...

Jeśli komuś znudzi się pustelnia w betonowym bloku, w kamiennej pustyni wielkiego miasta - niech odwiedzi klasztor benedyktyński...

Benedykt z Lubinia, o. Karol Meissner, tak formułował swe zaproszenie do klasztoru - podaję z pamięci, w wolnym przekładzie (oryginał był oczywiście po łacinie): „Całym sercem witam Cię, Bracie najmilszy, i zapraszam do zastanowienia się w swym sercu nad źródłami naszej kultury duchowej, o których winniśmy pamiętać, by zachować pokój w sercu".

Cóż mogę dodać - warto do klasztoru zabrać ciepły sweter, ubranie do pracy w ogrodzie, *Barbarzyńcę w ogrodzie* Herberta lub książki profesora teologii Josefa Imbacha na temat kuchni klasztornej. Nazwisko tego franciszkańskiego zakonnika Piotr Bikont i Robert Makłowicz wymawiają z nabożnym skupieniem i czcią - a czytelnicy wpadają w zachwyt nad pieczołowicie pozbieranymi anegdotami.

To Umberto Eco przypomniał o istnieniu pokoi gościnnych w klasztorach benedyktyńskich. Właśnie jemu zawdzięczają one w ostatnich latach licznych gości. Zdumionych i zaskoczonych odkryciem innego wymiaru istnienia, niewzruszonego, odwiecznego.

Do Baalama dobrotliwy Pan Bóg przemówił poprzez oślicę - jeśli więc te rady i wskazówki zaprowadzą kogoś z Czytelników do klasztoru - niech przyśle pocztówkę na adres Redakcji...

Bezrobotnym mówi Pismo: „pracy wiele, robotników mało". Może praca w klasztornej winnicy jest dobrym pomysłem?

Postscriptum

Na zakończenie chciałbym wrócić do Monte Cassino. Sześćdziesiąt lat temu, 15 lutego 1944 roku ponad 200 samolotów amerykańskich zbombardowało tamtejszy klasztor. Bitwa o górę zwieńczoną klasztorem założonym przez samego św. Benedykta (groby świętego i jego siostry, św. Scholastyki, znajdują się na Monte Cassino) pochłonęła około 250 tys. istnień ludzkich. Jak piszą dziś historycy, głupota strategów kontrastowała w tej bitwie z niewiarygodną odwagą zwykłych żołnierzy. A „zbombardowanie klasztoru było największym aktem bluźnierstwa podczas II wojny światowej" (zobacz: Christiana Kohl, „Suddeutsche Zeitung", 14.02.2004). Spory historyków, kogo obarczyć za to winą, trwają do dziś.

Patrząc na Unię Europejską, warto przypomnieć, że św. Benedykt, patron Europy, który 1500 lat temu zakładał pierwsze klasztory, był Włochem, a nie Niemcem czy Francuzem... A początków amerykańskiej dominacji w Europie należy być może upatrywać - symbolicznie - właśnie w akcie zbombardowania klasztoru na Monte Cassino?

W odbudowanym już całkowicie po 60 latach klasztorze znajduje się dziś... 11 zakonników; wśród nich nie ma ani jednego Polaka.

PAWEŁ ZAWADZKI

PS Zapis numerów telefonów za stronami internetowymi klasztorów.

Utkwiło mi w pamięci jedno z kameralnych spotkań z młodzieżą, na które został zaproszony Andrzej Wajda. Zadałem mu pytanie: „Jaki film wywarł na Panu największe wrażenie?". Odpowiedź była równie prosta, co zaskakująca: „Wie Pan, w zasadzie nie wiem, który z moich filmów podoba mi się najbardziej".

Adrzej Wajda

reżyser wszystkich Polaków

KRZYSZTOF NOWORYTA

Kto ucieka przed samym sobą? Ucieka się przed ludźmi. Gdy nie trzeba uciekać i nie trzeba się bronić, jest się bezpiecznym. To *wszystko*[1].

Jerzy Andrzejewski

W gruncie rzeczy Wajda jest poetą - a poeta miewa rację ponad polityką i ponad historią. Nie musi być w środku wydarzeń, żeby trafiać w sedno. Nie musi nawet mieć racji -jeśli to, co pokazuje, jest piękne[2].

Tadeusz Sobolewski

Ja nie rzeźbię -ja usuwam to, co zbędne.

Leonardo da Vinci

Często się widywaliśmy ostatnimi czasy. Czy to na planie filmowym, czy w teatralnym foyer, czy przy europejskich pogadankach, czy wreszcie na najświeższych premierach. Zawsze twarzą w twarz poprzez doskonale dostrojony telewizor. Podziwiałem jego elegancję w ujmowaniu sobą ludzi. Zarażała mnie jego umiejętność oczarowywania słuchaczy zarówno ze szklanego ekranu, jak i na masowych spotkaniach czy podczas kameralnych pogawędek. Zawsze niezrównany. Andrzej Wajda, spadkobierca i kontynuator tradycji polskiego romantyzmu, jak głosiły zwięźle panie prezenterki. Mistrz polskiego kina. Zawsze się zastanawiam: tyle o nim wiadomo - lecz kim on jest? Z czego jest ulepiony, że jest unikalnym diamentem, idealnym, z którejkolwiek strony by się spojrzało. Kim on jest?

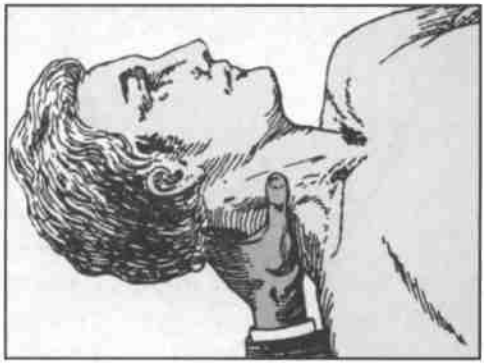

Narodziny diamentu

Najszybszą odpowiedź można zawsze znaleźć w Sieci. Na ekranie komputera zamigotały literki www.wajda.pl. Zamieszczona na stronie bibliografia oferuje zbiór międzynarodowych pozycji książkowych dotyczących Andrzeja Wajdy oraz po kilka recenzji z każdego filmu. Dopiero przypadkowo odkryty link do „bibliografii o Wajdzie" kieruje do licznych tekstów podzielonych na dwie kategorie: „Artykuły o twórczości

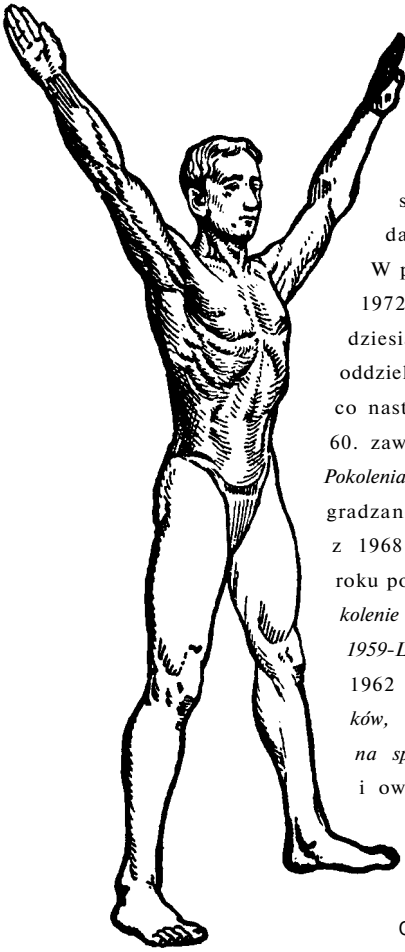

Andrzeja Wajdy (wybór)" oraz „Wywiady i teksty własne Andrzeja Wajdy". Zaskakujące, że najstarszy tekst z „wywiadów i tekstów własnych" jest datowany na rok 1968 (Wajda miał wtedy 42 lata). W pierwszej grupie najstarszy tekst pochodzi z roku 1972 - artyście brakowało wtedy czterech lat do pięćdziesiątki). Skąd ten dziwnie późny limit publikacji oddzielający to, co nastąpiło przed rokiem 1968, i to, co nastąpiło po nim. Filmografia reżysera do końca lat 60. zawiera aż 13 pozycji. Począwszy od debiutanckiego *Pokolenia* z 1954 roku, poprzez głośno dyskutowane i nagradzane *Kanał, Popiół i diament oraz Lotną,* na *Przekładańcu* z 1968 roku skończywszy. Od 1954 niemal w każdym roku pojawiał się nowy film w reżyserii Wajdy: 1954 - *Pokolenie* i *Idę do słońca,* 1957 - *Kanał,* 1958 - *Popiół i diament, 1959-Lotna,* 1960 - *Niewinni czarodzieje,* 1961 - *Samson,* 1962 - *Powiatowa Lady Makbet* oraz *Miłość dwudziestolatków,* 1965 - *Popioły,* 1967 - *Bramy raju,* 1968 - *Wszystko na sprzedaż* i *Przekładaniec.* Niesamowicie pracowity i owocny czas. Kim więc jest ten tak niesamowicie aktywny twórca?

Urodziłem się w Suwałkach 6.06.1926. Ojciec był oficerem WP w stopniu kapitana, zaginął w czasie wojny w roku 1939. Do roku 1939 ukończyłem szkołę powszechną. W okresie okupacji ukończyłem siódmy oddział szkoły powszechnej, w jeden rok gimnazjum na tajnych kompletach. Przez rok byłem uczniem szkoły rys. i malarstwa w Radomiu. Od 1942 pracowałem jako robotnik magazynowy w Centrali Rolnej w Radomiu. W roku 1944 pracowałem jako pomocnik ślusarza w prywatnym warsztacie ślusarskim. Po wyzwoleniu kraju zapisałem się do gimnazjum dla dorosłych, które ukończyłem w 1946[3].

Jest to pierwsze *curiculum vitae* z datą 20 sierpnia 1949 roku, które Wajda złożył przy egzaminach do łódzkiej filmówki. Z początkiem wojny rodzina Wajdów

przenosi się z Suwałk do Radomia. Ojciec - Jakub Wajda, kapitan i adiutant dowódcy 72. Pułku Piechoty w Radomiu, zostaje zamordowany w Charkowie, o czym dziś reżyser często wspomina, snując plany filmu o tamtej tragedii. W Radomiu Andrzej dorasta pod opieką matki oraz księdza Olgierda Kokocińskiego. Tutaj rodzą się pierwsze fascynacje artystyczne (uczy się w prywatnej szkole malarstwa prowadzonej przez Wacława Dobrowolskiego) i tu zapada decyzja o karierze malarskiej. To w Radomiu młody Andrzej ma kontakt z Armią Krajową. Pierwszą wzmiankę o tym znajdujemy w jego ankiecie personalnej z 1950 roku. Kolejne życiorysy umieszczane w coraz nowszych pozycjach książkowych i dokumentach także zawierają wątek AK-owski:

> Potem okupacja. Miałem trzynaście lat, kiedy wybuchła wojna, nie mogłem więc brać czynnego udziału w kampanii 1939. Także w czasie okupacji miałem niewielkie możliwości czynnego udziału w walce. Byłem oczywiście w AK, ale wykonywałem tylko bardzo skromne zadania i represje niemieckie nigdy mnie nie dotknęły. Dlatego wydaje mi się, że moje trzy pierwsze filmy, nawet cztery, bo zaliczam do nich *Lotną,* były dla mnie rodzajem rekompensaty za to, że inni mieli takie wspaniałe, ciekawe i pełne zdarzeń życie, mnie te trudne i surowe doświadczenia ominęły (Londyn 3.03.1967, rozmowa z Bolesławem Sulikiem)[4].

Najpełniej chyba rozwija artysta ten temat w swej autobiografii, przytaczając pełną detali opowieść o spotkaniu z żołnierzami AK:

> Gdzieś w połowie 1942 roku, o szarej godzinie na pustym placu targowym spotkałem oficera 72. Pułku Piechoty Stanisława Poredę. Wiedziałem, że uniknął niewoli i ukrywa się w okolicy Radomia. Miałem już wtedy 16 lat, co w tamtych latach oznaczało wiek poborowy. Nie zdziwiło mnie więc, kiedy zakomunikował mi, że mam zgłosić się w wyznaczonym miejscu, aby złożyć przysięgę i otrzymać odpowiednie zlecenia jako łącznik jednego z dowódców okręgu. [...] Przysięga brzmiała tak: „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii, Królowej Korony Polskiej...". Po jej złożeniu dowódca wygłaszał następującą formułę: „Przyjmuję cię w szeregi żołnierzy wolności,

obowiązkiem twoim będzie walczyć z bronią w ręku o odzyskanie Ojczyzny, zwycięstwo będzie twoją nagrodą, zdrada będzie ukarana śmiercią"[5].

Opis tego rozdziału życia „młodego łącznika" przechodzi pełną ewolucję. Od zrozumiałej dyskrecji w roku 1948 po niemal mityczną pieśń w roku 2000: „To śmieszne, ale ten konspiracyjny zwyczaj pozostał mi na długie lata i jeszcze dziś uważam, że najlepiej orientować się w adresach na oko - a nuż mnie złapią i zaczną wypytywać"[6].

Niewinny hunwejbin

W 1946 roku Wajda dołącza do grona studentów ASP Tak w każdym razie wynika z jego wypowiedzi. Dopiero wzmianka w autobiografii nieco prostuje fakty, choć też nie do końca. Studentem ASP początkujący malarz został w 1948 - wcześniej, przez dwa lata uczęszcza na zajęcia jako wolny słuchacz. W tych latach artysta jest najpierw członkiem Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej (do 22 czerwca 1948 roku), a potem (od października 1948 roku) członkiem Związku Akademickiej Młodzieży Polskiej. Z wszelkich ówczesnych i późniejszych aktywności członkowskich w autobiografii pojawia się tylko zapis o ZNMS. Okoliczności przyjęcia Wajdy jako studenta pozostają w ścisłym związku z opublikowanym w magazynie literacko-kulturalnym „Wieś" z datą 24.10.1948 tekstem-manifestem członków Koła Samokształceniowego przy ASP pt. *Głos młodych plastyków.* Manifest ten autorstwa Konrada Nałęckiego i Andrzeja Wajdy był w ówczesnej sytuacji politycznej i kulturalnej bardzo istotny i poruszający. „Postulat sztuki społecznie zaangażowanej («czytelnej, tematowej 1 obliczonej na szeroki krąg społeczny»). Studia z zakresu marksizmu i leninizmu. Ostra krytyka systemu studiów" - tak działalność młodych artystów, a zarazem główne tezy rewolucyjnego testu streszcza w *Kulturze polskiej po Jałcie* Marta Fik. Zaledwie tydzień później w „Kuźnicy" Stefan Żółkiewski publikuje artykuł, w którym

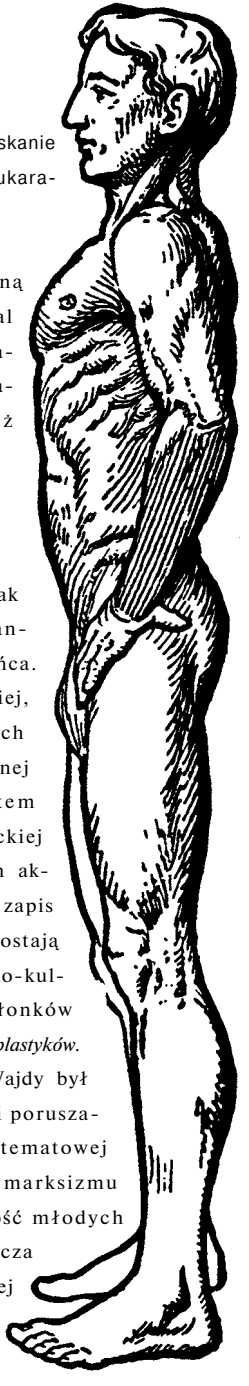

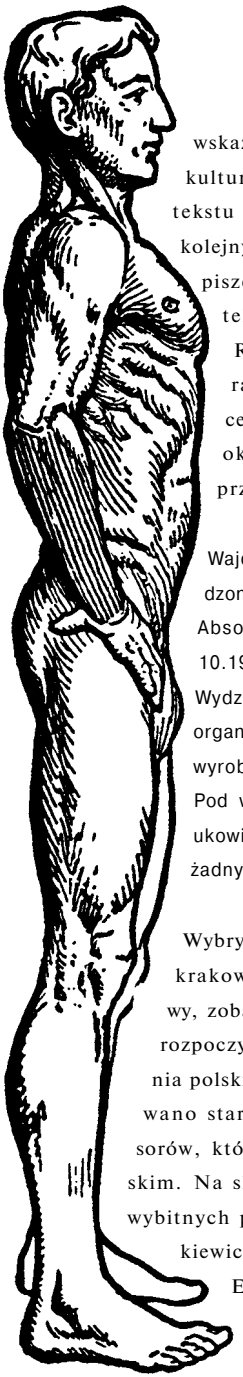

wskazuje na niedostateczne wykorzystanie doświadczeń polityki kulturalnej i dorobku ZSRS. Artykuł doskonale współgra z tonem tekstu młodych plastyków. Pięć dni później „Kuźnica" publikuje kolejny tekst będący kontynuacją wątku ze „Wsi". Leon Gomolicki pisze mianowicie o *Problemach realizmu socjalistycznego.* Efektem tekstu Nałęckiego i Wajdy jest poza tym wszystkim uchwała Rady Profesorskiej ASP z 7 grudnia 1948 roku, zgodnie z którą ten drugi zostaje przyjęty do grona studentów ASP Wkrótce posypią się nagrody i stypendia. Najczytelniej i najzwięźlej okres w akademii streszcza urzędnicza notatka sporządzona przez Kierownika Wydziału Kadr Zygmunta Szydłowskiego:

> Wajda Andrzej syn Jakóba [pisownia oryg. - przyp. red.], urodzony 6.03.1926 w Suwałkach. Soc-pochodzenie inteligenckie. Absolwent A.S.P. w Krakowie. Aktywny członek ZAMP od 10.1948 poprzednio ZNMS. W ZAMP pełnił funkcję Kierownika Wydziału Kadr Zarządu Uczelnianego ZAMP przy ASP W pracy organizacyjnej nie wykazywał się samodzielnością. Posiada duże wyrobienie ideologiczne oraz wykazuje zdecydowaną postawę. Pod względem politycznym pewny. Członek PZPR. Dobry naukowiec. Zasługuje na zaufanie. Nie ma w stosunku do niego żadnych zastrzeżeń natury politycznej czy też moralnej[7].

Wybryk młodych plastyków nie był, jak się okazuje, lokalnym, krakowskim epizodem. Jeśli spojrzymy na to z szerszej perspektywy, zobaczymy, że niewinny artykuł we „Wsi" był ważnym sygnałem rozpoczynającej się akcji intelektualnego i duchowego pacyfikowania polskiej inteligencji i narzucania jej idei socrealistycznych. Atakowano starą kadrę akademicką, zwłaszcza tych przedwojennych profesorów, którzy nie chcieli się podporządkować dogmatom marksistowskim. Na skutek czystek na wyższych uczelniach posadę straciło wielu wybitnych profesorów, m.in. Władysław Tatarkiewicz, Kazimierz Ajdukiewicz, Henryk Elzenberg, Stanisław Ossowski, Konrad Górski, Edward Lipiński, Edward Taylor, Adam Krzyżanowski i Jan Czekanowski. Regularnie atakowani byli też profesoro-

wie Roman Ingarden, Juliusz Kleiner, Stanisław Pigoń, Zenon Klemensiewicz czy Kazimierz Nitsch. Na siedem lat więzienia za działalność antypaństwową został skazany profesor Tadeusz Kudelski, wybitny teatrolog.

Ataki na profesorów często dokonywane były rękoma studentów, którzy zarzucali mistrzom reakcyjność i anachronizm. Najczęściej drukowali oni teksty, w których demaskowali swoich wykładowców jako ludzi nienadających się do kształtowania oblicza ideowego nowego pokolenia. W środowisku plastycznym sygnałem do rozprawy ze starą kadrą był właśnie tekst Nałęckiego i Wajdy.

W 1949 roku 23-letni wówczas student Andrzej Wajda zmienia uczelnię i zdaje do Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Nasuwa się pytanie, jak to się stało, że syn przedwojennego oficera bez problemu dostał się do nowo utworzonej, elitarnej szkoły, która miała być kamieniem węgielnym nowej polskiej kultury? Czemu to zawdzięczał? Czy notatka Szydłowskiego jest wystarczającą odpowiedzią?

Pusty basen

> W Szkole Filmowej trzymał się z boku i nie brał jej [na serio] od początku. Przyszedł po paru latach krakowskiej ASP, przez co przeskoczył kilka roczników. Więc był już artystą i tak też się obnosił. Fasowałem w akademiku pokoik po nim, w którym zostawił swój obraz. Był to pusty basen kąpielowy, z porzuconym ręcznikiem na planie pierwszym. Bez ludzi. Czysty socrealizm[8].

Tak wspomina ten czas młodszy przyjaciel Wajdy z owego okresu, Kazimierz Kutz. W filmówce Wajda trafia pod skrzydła Aleksandra Forda i to dzięki jego wsparciu jako wielkiej osobistości polskiej kinematografii realizuje swój poważny debiut oparty na powieści Bohdana Czeszki *Pokolenie*. O filmie tym tak pisała „Trybuna Ludu":

> *Pokolenie* przepełnione jest romantyzmem ludzkiej godności bronionej przez komunistów. *Pokolenie* to nie tylko film o młodości, ale film o młodych. Począwszy od reżysera filmu Andrzeja Wajdy, poprzez Czeszkę, Markowskiego i aktorów Tadeusza Łomnickiego, Tadeusza Janczara, Urszulę Modrzyńską, mamy do czynienia z ludźmi młodymi, często debiutującymi w tej robocie[9].

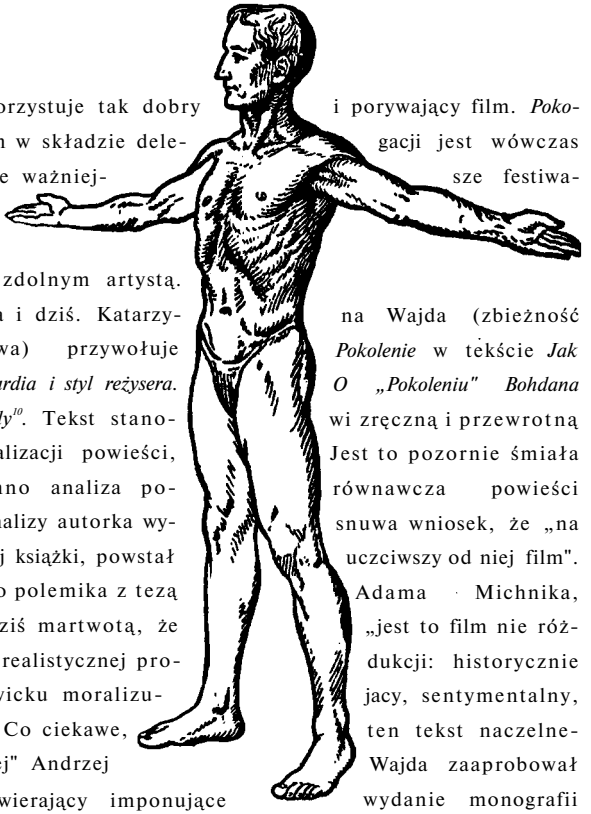

Władza chętnie wykorzystuje tak dobry i porywający film. *Pokolenie* wraz z reżyserem w składzie delegacji jest wówczas wysyłane na wszystkie ważniejsze festiwale. Wajda ma 29 lat. Jest młodym, dobrze rokującym i bardzo zdolnym artystą. Temat *Pokolenia* wraca i dziś. Katarzyna Wajda (zbieżność nazwisk przypadkowa) przywołuje *Pokolenie* w tekście *Jak hartowała się młoda gwardia i styl reżysera. O „Pokoleniu" Bohdana Czeszki i Andrzeja Wajdy*[10]. Tekst stanowi zręczną i przewrotną obronę filmowej realizacji powieści, Jest to pozornie śmiała i dokonana na zimno analiza porównawcza powieści i filmu, z której to analizy autorka wysnuwa wniosek, że „na podstawie tendencyjnej książki, powstał uczciwszy od niej film". Przewrotność tekstu to polemika z tezą Adama Michnika, że z *Pokolenia* wieje dziś martwotą, że „jest to film nie różniący się od reszty socrealistycznej produkcji: historycznie prokłamliwy, po bolszewicku moralizujący, sentymentalny, artystyczny śmieć"[11]. Co ciekawe, ten tekst naczelnego „Gazety Wyborczej" Andrzej Wajda zaaprobował i umieścił jako otwierający imponujące wydanie monografii swojej twórczości.

Artykuł Katarzyny Wajdy, mimo całego sprytu, ma podstawową słabość. Chodzi o wyjęcie filmu z realiów historycznych lat 50. i kompletne oderwanie go od opinii na jego temat prasy i samych twórców. Oparcie się na kruchym porównaniu nowatorskiej jak na owe czasy powieści Czeszki z marnymi tekstami w rodzaju *Na traktorach zdobędziemy wiosnę* - to za mało i zbyt naiwnie.

Czysty kanał

Zaledwie rok po *Pokoleniu* Wajda ma zielone światło na realizację kolejnego obrazu - *Kanału* według opowiadania Jerzego S. Stawińskiego. Premiera filmu odbywa się w Warszawie 20 kwietnia 1957 roku. W *Kinie i reszcie świata* Wajda z uczuciem wspomina ten przełomowy dla siebie i dla polskiego kina film.

Omawia krótko, ale barwnie ogromne przeszkody, jakie trzeba było pokonać, aby film w ogóle powstał. Wielkie zasługi położył tu Tadeusz Konwicki. W *Kinie i reszcie świata* znajduje się fragment stenogramu z posiedzenia komisji opiniującej film. Obok pragmatycznej postawy politycznego „betonu" widzącego w *Kanale* jedynie zysk lub stratę, jaką może ponieść budowany właśnie socjalizm, pojawia się romantyczna, pełna godności alternatywna wypowiedź Konwickiego:

> Przeczytawszy scenariusz, doszedłem do wniosku, że autor z tej całej sprawy wybrnął niesłychanie szlachetnie. Jestem przekonany, że gdyby ten scenariusz przeczytali ludzie, którzy stracili swoje rodziny w trakcie powstania, to nie odczuliby żadnego sprzeciwu moralnego i odczytaliby w tym swój gorzki dramat. Ja jestem jednym z tych, którzy nie mogą się wyrzec swej przeszłości, bo mam do niej wielki sentyment i jednocześnie jej nienawidzę.

Tak samo... tylko inaczej wygląda to, gdy zajrzymy do pełnej wersji owego stenogramu i posłuchamy wypowiedzi Konwickiego, której w książce Wajdy próżno byłoby szukać:

> Film niewątpliwie, jeżeli chodzi o stronę ideową, jest napisany z naszych pozycji, bo w przeciwnym wypadku nasze rozmowy byłyby zupełnie inne. [...] Przecież musimy się zgodzić z tym, że ten film nie godzi w podstawy Polski Ludowej, że on przecież w żadnym wypadku nie wzywa do obalenia ustroju, on jest napisany z pozycji komunistycznych. Jestem przekonany, że ten film, jak pójdzie na zachód, to przyniesie nam szalony profit z punktu widzenia ideowo-moralnego[12].

Sam Wajda pisze w autobiografii: „Myślę, że wiedziałem to samo, co przeciwnicy filmu z Komisji Ocen, którzy prawidłowo oceniali reakcję widowni. Bali się jej pamięci - ja na tę pamięć stawiałem".

Diagnoza zawarta w książce inaczej jednak brzmiała w roku 1957, kiedy „Trybuna Ludu" cytowała wypowiedź Wajdy ze spotkania z widzami. Młody reżyser skwitował: „Nie chodziło mi o Powstanie, tylko o oddanie procesu umierania ludzi skazanych na śmierć"[13].

O co więc naprawdę tu chodzi? Faktem jest, że *Kanał* to do dziś doskonały dokument tragedii tamtego pokolenia. Ale dlaczego, wobec powyższych wypowiedzi, trzeba do tego dochodzić okrężną drogą?

Wajda z *Kanałem* objeżdża pół Europy. Na festiwalu w Cannes w 1957 film zdobywa Nagrodę Specjalną. Zachwyceni filmowcy amerykańscy nie mogą wyjść z podziwu, jak genialny i widowiskowy to jest pomysł, aby umieścić akcję filmu w zaszlamionych kanałach miejskich. Nie wiedzą, że tego wcale nie trzeba było wymyślać.

Samo życie

Dochodzimy do roku 1958 i przełomowej chwili w życiu artystycznym 32-letniego wówczas reżysera.

15 listopad 1957, Kazimierz Dolny

Szanowny Panie,

zgodnie z umową przesyłam Panu zarys adaptacji ***Popiołu i diamentu.*** Oprócz skaletki dołączam jeszcze krótkie omówienie zmian dramaturgicznych, o których rozmawialiśmy w czasie naszego spotkania w Warszawie. Poza tym wypisałem dla łatwiejszej orientacji osoby przyszłego filmu.

Nie wiem, jak wyda się Panu taki pomysł adaptacji, ale ja mogę Pana zapewnić, że osiągniemy tym sposobem film. Inna rzecz, ile ten film uratuje z piękna książki?

Andrzej Wajda[14]

Żeby w pełni zrozumieć sens listu „topowego" w tamtym czasie reżysera do poważanego wówczas pisarza, Jerzego Andrzejewskiego, musimy się nieco cofnąć w czasie. W swojej książce *Diament odnaleziony w popiele* Krzysztof Kąkolewski dokonał rekonstrukcji faktów, które kanoniczną do dziś książkę Andrzejewskiego *Popiół i diament* ukazują w nieznanym dotąd świetle.

Ostrowiec Świętokrzyski, styczeń 1945 roku. Zwykła rutynowa akcja: „Lećcie na Bałtowską, bo ktoś tam mieszkanie obrabia". Pobiegli we trzech. Szybka akcja, trzy strzały, trochę krzyku i nerwówki. Dwóch rabusiów uciekło. Trzeci - zdaje się herszt - postrzelony trzykrotnie zmarł chwilę później na stole operacyjnym.

Dla 19-letniego żołnierza rozwiązanej Armii Krajowej, który oddał wtedy trzy strzały, lawinowe tempo nadchodzących wydarzeń było szokiem. Robi się nadzwyczaj gorąco jak na zwykłą akcję przeciwko rabusiom. Sytuacja powoli się wyjaśnia. Młody żołnierz zastrzelił Jana Foremniaka - zasłużonego działacza PPR, wysłannika Moskwy szefującego polskiemu wywiadowi przy AL, notabla z górnej półki powoli krzepnącego Systemu, człowieka mianowanego wojewodą Kielc, które nie przypadkiem były wówczas główną siedzibą tworzących się służb bezpieczeństwa. Młody żołnierz to Stanisław Kosicki, szeregowy członek Armii Krajowej. Niespełna dwa miesiące po tym zajściu Kosicki trafia do więzienia (najpierw Ostrowiec, potem Kielce) pod ścisły dozór UB i legendarnego kata Jana Kwaska. Kosicki jest przesłuchiwany. Władze nie wierzą w przypadkową śmierć Foremniaka. Chcą usłyszeć, że był to początek zakrojonej na szeroką skalę akcji antykomunistycznej. Dnia 29 czerwca 1945 roku Kosicki zostaje skazany na śmierć przez powieszenie. Dnia 2 sierpnia władza proklamuje amnestię z okazji pierwszej rocznicy uchwalenia PKWN. Dwa dni później legendarny partyzant „Szary" (Antoni Cheda) przeprowadza brawurową akcję opanowania Kielc i wyprowadza jeńców z więzienia. Stanisław Kosicki jest wolny. Zaczyna życie jako Jan Szymański.

14 grudnia 1946 roku. Jerzy Andrzejewski notuje w swoim *Dzienniku:*

> Wróciłem wczoraj do tych trzech stroniczek ***Zaraz po wojnie*** [pierwszy tytuł ***Popiołu i diamentu*** - przyp. K.N.], które napisałem jeszcze z początkiem lata. Inaczej jednak tym razem zacząłem, nie od narracji relacjonującej życie Kosseckiego, lecz od sytuacji, która ma być przygotowaniem do całej sprawy sędziego Kosseckiego. Niespodziewany Szczuka.

Kilka miesięcy wcześniej szef Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, Jakub Berman, główny rozgrywający na szachownicy ówczesnej kultury, spotyka się z Andrze-

jewskim i mówi: „Temu krajowi grozi wojna domowa. Tylko pisarz tej miary, tego talentu tak wielkiego jak Pan może..."[15].

10 czerwca 1947 roku. Jerzy Andrzejewski notuje w *Dzienniku:* „Skończyłem *Popiół i diament.* Piekielnie głupie i żenujące uczucie. Nie bardzo wiem, co ze sobą zrobić. Marysia mówi, żebyśmy się wieczorem przeszli. Chyba tak".

W tym samym roku Szymański zdaje maturę. Podejmuje studia biologiczne. Dzięki kolejnej amnestii wraca do prawdziwego nazwiska: Kosicki. Pracuje na uczelni jako asystent profesora Dembowskiego, ówczesnego marszałka sejmu. W 1954 roku spotyka się po raz kolejny z funkcjonariuszami UB na krótką i jednoznaczną wymianę zdań: „Pan powinien być w więzieniu. Najpierw się morduje a potem nosi brodę? [...] wyrok ciąży na was, a wy się ukrywacie". Z oczywistych przyczyn, mimo podejmowanych wiele razy prób, nie będzie mógł otworzyć swojego przewodu doktorskiego. Wyznaje Krzysztofowi Kąkolewskiemu: „Zaczynałem wszystko siedem razy".

Drobny incydent, który zdarzył się w mieszkaniu przy Bałtowskiej w 1945 roku jest bez wątpienia szkieletem dla powieści Jerzego Andrzejewskiego *Popiół i diament.* Przy całej realności strzelaniny między „nielegalnymi żołnierzami" i „anonimowymi rabusiami" historia opowiedziana przez Andrzejewskiego nabiera zupełnie innego znaczenia. Staje się narzędziem sprytnej propagandy. Odstraszyć? Umocnić? Interesujące jest następujące pytanie: skoro Andrzejewski miał pełny dostęp do teczek ze sprawą Kosickiego i na ich podstawie skonstruował powieść - to co wiedział Wajda? Może nic i tylko robił swoje - robił kolejny film?

Popiół i diament do dziś funkcjonuje nie tyle jako obraz czasu, ile opis modelu postawy. Nawet obecnie na zajęciach z historii filmu studenci wyczuwają dramat idealisty Szczuki. Trudno żeby było inaczej, gdy się film ogląda. Maciek budzi dziś sympatię, ale pozostaje naiwnym postrzeleńcem. Wystarczająco naiwnym, aby być nieobliczalnym i niedojrzałym.

„To wszystko trąci mi pornografią i gangami politycznymi" - nadzwyczaj jasno wyraził się kiedyś o dziele Andrzejewskiego Herbert, mówiąc o *Popiele i diamencie* „wydawanym bez przerwy i zatruwającym umysły młodzieży". Fałszerstwo jest dla Herberta jasne:

> Ile razy się mówi o tych rzeczach, to stare konie są nadąsane - ci, którzy pisali te brutalne, głupie i haniebne szmiry. [...] A jeśli mówię o zbrodni, to mówię o zbrodni dokonanej na młodych ludziach, na pokoleniu, które po nich przyszło i ma teraz dwadzieścia, trzydzieści lat. Oni się wychowują w dalszym ciągu na tej literaturze. I to jest zbrodnia przeciw Duchowi Świętemu. Grzech przeciwko Duchowi jest niewybaczalny. Ja jestem rzymski katolik, ale bardziej rzymski niż katolik. I tutaj nie ma usprawiedliwienia'[6].

Popiół i diament przebił pod względem popularności o rok starszy *Kanał.* Film doczekał się wielu apologii, budził powszechny zachwyt. Oglądali go widzowie w Tokio i w dalekiej Kanadzie. Nie można odmówić filmowi oryginalności technicznej w sposobie prowadzenia kamery, w rozplanowaniu przestrzeni i w ekspresyjnym modelowaniu światłem. Charakterystyczne zbliżenia z dalszym planem to elementy wyróżniające ten film na tle polskiej twórczości. Co do interpretacji, sam reżyser w tekście programu rozdawanego podczas premiery filmu 3 października 1958 roku pisał tak:

> Maciek Chełmicki szuka odpowiedzi na pytanie, jak żyć dalej - jak zrzucić dławiący bagaż przeszłości, rozwiązując odwieczny dylemat żołnierza. Słuchać czy myśleć. A jednak Maciek zabije... Woli zabić człowieka, nawet wbrew sobie, niż oddać broń; postąpi jak przedstawiciel tego pokolenia, które liczy tylko na siebie i na pistolet dobrze ukryty, pewny i nie chybiący. Kocham tych nieustępliwych chłopców, rozumiem ich. Chcę moim skromnym filmem odkryć przed widzem kinowym ten skomplikowany i trudny świat pokolenia, do którego i ja sam należę.

W „Glosie Robotniczym" z 23 października 1958 roku pisano jeszcze klarowniej:

> O ***Popiele i diamencie*** można pisać i mówić wiele, o tragicznych losach pokolenia, o fatalizmie historii, o odwiecznym dylemacie żołnierza - słuchać czy myśleć? Dla mnie jest to film o Maćku Chełmickim, mło-

dym człowieku, który zmarnował życie przez apatię i bierność, przez lenistwo myślowe, egoizm i samolubstwo.

Wszystko skrupulatnie zwieńczono w „Polityce" (nr 47/1958), gdzie wydrukowano podsumowanie ankiety *Sto głosów o filmie* przeprowadzonej przez Kazimierza Koźniewskiego.

Summa summarum:

1. ***Popiół i diament*** podobał się 80% odpowiadających.
2. trzy czwarte widzów odczytało go jako krytykę postawy nazwanej w tamtych latach postawą akowską. Dwie trzecie widzów aprobowało tę krytykę.
3. sympatię widzów jednał sobie nie tylko Maciek i Krystyna, ale również - w bardzo wysokim stopniu - i Szczuka.

Co nam to mówi o realizatorze filmu? Jeśli zrobił taki film, to mógł mieć dwa powody. Po pierwsze mógł zostać oszukany i paść ofiarą manipulacji, i tak naprawdę to chciał pokazać w filmie zupełnie inne sprawy, niż się przyjęło uważać. Po drugie mogła to być świadoma i podjęta z pełną odpowiedzialnością decyzja. Andrzejewski twierdził, że ekranizacja powieści była dla niego satysfakcjonująca: „Film Wajdy nie przeczy duchowi książki"[17]. W jakim kierunku zmierzał wtedy Wajda?

Jeszcze w 1958 roku na spotkaniu z uczestnikami Ogólnopolskiego Seminarium Klubów Dyskusyjnych reżyser *Popiołu i diamentu* tak mówił o Maćku Chełmickim:

> Główną przyczyną jego tragedii jest to, że należy do określonego pokolenia, wychowanego w myśleniu niehistorycznym. Motywami jego postępowania są wpojone mu zobowiązania względem przysięgi, towarzyszy broni, wreszcie przeczucie zła. Bo Maciek przeczuwa, że jego postępowanie jest złe, nie umie tego jednak sprecyzować, a przede wszystkim nie chce zaakceptować tej rzeczywistości, w której znalazł się i on, i Andrzej Kossecki, i całe to pokolenie w momencie zakończenia wojny. [...]
>
> Maciek i Andrzej stwarzają legendę, widzimy tu ją w stanie rodzenia się. Śmierć Szczuki zadaje kłam legendzie, zostaje jej przeciwstawiona

> okrutna rzeczywistość. Śmierć zostaje zadana w imię fałszywej legendy, dlatego śmierć Maćka nie może być łagodna. W związku z tym nasuwa się problem rozwiązania inscenizacyjnego końcowej sceny. Śmierć jest biologicznie złożoną funkcją. Pokazanie tego procesu z całą brutalnością jest humanistycznym zadaniem teatru i filmu, tym bardziej w tragedii typu Maćka. Maciek nie mógł zostać zamordowany przez ludzi z otoczenia Szczuki, gdyż byłaby to tylko zemsta z ich strony. Jego śmierć musiała rozegrać się w absolutnej samotni, w całej złożoności. [...]
>
> Nie oznacza to jednak, że w sztuce nie można stworzyć bogatego obrazu komunisty, świadczy o tym chociażby przeszłość filmu radzieckiego[18].

Głos na temat *Popiołu i diamentu zabrał* również, choć dopiero po wielu latach, Sławomir Mrożek. Nie dawała mu spokoju jedna scena, jaką oglądał ciągle wokół siebie (szczególnie po 13 grudnia 1981 roku): jeden ucieka - drugi go goni, strzela, zabija. Wreszcie znajduje w pamięci - ostatnia scena *Popiołu i diamentu* okazuje się nadzwyczaj aktualna. W roku 1983 Mrożek publikuje w „Kulturze" tekst *Popiół? Diament?,* w którym stawia tezę, że książka Andrzejewskiego jest kłamliwa, po czym uzasadniają następująco:

> Więc co się działo w tej Polsce po wojnie? Czy naprawdę następna wojna, domowa, którą zaczęli polscy faszyści, napadając na polskich komunistów? Czy też rozpaczliwa, beznadziejna, konwulsyjna samoobrona narodu przed nową okupacją i dalszą utratą niepodległości, tym razem na rzecz wschodniego, nie zachodniego mocarstwa? Kto zaczął, kto kogo gonił i kto przed kim uciekał i dlaczego? Czy naprawdę każdy, kto się ukrywał i uciekał przed władzą ludową, miał na sumieniu komunistę, którego napadł i zastrzelił, czy tylko Niemca, któremu nie pozwolił się zabić? Ilu było ściganych tylko za to, że przez pięć lat walczyli z Niemcami nie jako komuniści, ale jako Polacy bez żadnych ideologicznych motywacji? Ilu zaszczuto, uwięziono, zamordowano - tylko dlatego, że byli objęci szerokim planem likwidacji wszystkiego, co było i mogło być Polską niezależną? Ilu było takich, którzy musieli uciekać, bo już z góry byli za to i dlatego właśnie skazani? Którzy, gdyby ich wtedy zapytano - w rzeczywistości, a nie w książce - ***Człowieku, po coś uciekał?*** - odczuliby to pytanie jako cynizm, obelgę i szyderstwo.

Jeśli więc Mrożek trafia w sedno - bo w gruncie *rzeczy* opowiada o tym, co sam widział i co zna - jaśniejszy się staje fakt silnego splotu sztuki i władzy, w jakim pozostawali czołowy pisarz, zdolny reżyser i opiekuńczy system.

Andrzejewski pytany po latach o *Popiół i diament* odpowiedział Jackowi Trznadlowi wymijająco: „Ja nie wracam, bo się boję"[19].

Na pytanie, dlaczego tak łatwo było o pokusę fałszowania rzeczywistości, odpowiada Trznadlowi w innym miejscu Zbigniew Herbert. Według niego artyści

> [...] uczuli nagle, że ster historii jest także w ich rękach, i że opłaca się nawet w jakimś sensie okłamywać ten zbełkotany naród, na który patrzyli z pogardą. [...] Obchodził ich porządek nie „sein", lecz „soli", jak powiedziałby Kant. Nie to, co jest, ale to, co powinno być[20].

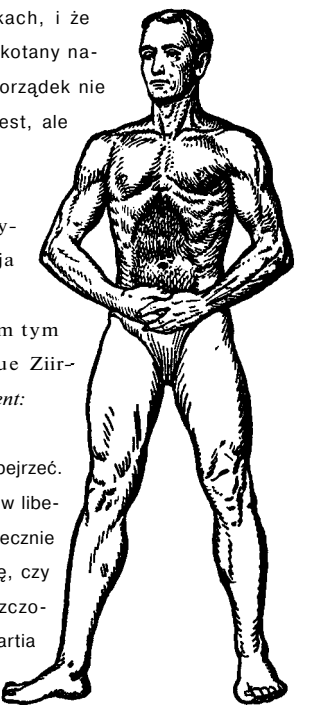

Andrzejewski w 1983 roku sam się do tego pokątnie przyznaje: „Kiedyś Stefan Kisielewski miał rację mówiąc, że ja w jakiś sposób tutaj fałszuję historię".

Jakie było wobec tego miejsce młodego Wajdy w całym tym labiryncie? Czy trafił w sedno szwajcarski dziennik „Neue Ziircher Zeitung" (1.12.1959)[21], tak recenzując *Popiół i diament:*

> Dobrze jest, że od czasu do czasu można u nas taki film obejrzeć. Pozwala to przejrzeć na oczy tym, którzy uparcie wierzą w liberalizację. Tacy artyści jak Andrzej Wajda - a jest to bezsprzecznie zdolny artysta - bez względu na to, czy zdają sobie sprawę, czy nie, są emisariuszami zręcznie działającego systemu Chruszczowa, wysyłanymi na Zachód jako pułapka dla głupców. Partia prowadzi ich na smyczy, nawet wtedy, gdy im się użycza trochę wariackiego urlopu; gdy go jednak nadużywają, gwizdem przywołuje się ich w odpowiednim momencie do porządku. Młodzi ludzie, którzy stoją do dyspozycji elastyczniejszego obecnie systemu propagandy Związku Radzieckiego, są - właśnie dzięki ich giętkości i pozornej artystycznej wolności - bardziej niebezpieczni niż nudni co ciężcy bardowie Zdanowa. Wystarczy obejrzeć film Wajdy, aby się o tym przekonać. Aby się móc im przeciwstawić, należy ich poznać. Dla dobra Zachodu.

Co więc to oznacza? Czy 33-letni człowiek może tego nie rozumieć, czytając gazety? A jeśli rozumie i bez tego?

Banalny romans

Przy okazji *Popiołu i diament* odbyła się na łamach prasy intrygująca przepychanka z dość zaskakującym finałem, jakim był list Wajdy do redaktora naczelnego „Filmu":

Wrocław, dnia 16 kwietnia 1958 roku

Szanowny panie profesorze!

Ogromnie ucieszyła mnie wiadomość o Pańskiej decyzji przejęcia tygodnika „Film". Wierzę, że zrobi Pan z tego pisma to, czym powinno ono być.

Niestety, od razu na wstępie Pańskiej redaktorskiej pracy muszę się zwrócić do Pana z prośbą. Chodzi o reportaż p. Ołeksiewicz z realizacji ***Popiołu i diamentu.*** Przeglądał Pan zapewne ostami numer „Ekranu" gdzie znajduje się również reportaż na ten temat. Jak Pan się mógł łatwo zorientować, rzecz jest zrobiona w największym stopniu nieodpowiedzialnie. [...] Drżę, że podobne głupstwa może napisać p. Ołeksiewicz. Błagam na wszystko, o ile to możliwe, zatrzymać ten reportaż w ogóle, a jeżeli to już niemożliwe, to chociaż sprowadzić go do minimum, jeżeli chodzi o tekst. Żadnych wyznań wiary, żadnych wypowiedzi twórców, nic, co mogłoby zwrócić uwagę na to, że robiąc ten film nie myślałem o czymkolwiek poza tym, żeby poszczególne ujęcia się montowały ze sobą. Boję się bardzo o film i jego szanse u czynników oficjalnych. Jak się Pan orientuje, opinia o filmie jest zawsze u nas zrobiona przez to, co się o nim i wkoło niego mówi, jeszcze zanim ktokolwiek film ten oglądał. Dlatego taki reportaż jak w „Ekranie" może mnie w rezultacie zupełnie zniszczyć. Gdyby tu chodziło o sprawy artystyczne, to w końcu nie jest takie ważne, ale tu idzie o pieniądze, i zatrzymanie filmu nawet na krótki czas może nas doprowadzić do ruiny.

Błagam, proszę wziąć to wszystko pod uwagę i przysięgam film jest zupełnie niewinny, zwykły, banalny romans z dwoma trupami, żadnych problemów, żadnych pretensji do sztuki.

Serdecznie pozdrawiam i życzę powodzenia.

A.W.[22]

Gdyby to był incydent... ale podobna kwestia powraca u Wajdy 40 lat później w wywiadzie dla włoskiej gazety „La Stampa" (03.09.1998): „Za czasów cenzury publiczność doszukiwała się w naszych filmach tego nawet, czego w nich nie było". W autobiografii zaś reżyser mówi coś zgoła innego:

> [...] także i cenzura współtworzyła sukces naszych filmów. Widz wiedział o jej srogich regułach i tym uważniej śledził sens tego, co działo się na ekranie. Świadomość, że filmy są pilnie kontrolowane, kazała mu je wnikliwie analizować, aby móc odpowiedzieć sobie, dlaczego pojawia się w nich ten czy inny rekwizyt[23].

Aż trudno się połapać w tej grze: co było gestem zmylenia władz, co mrugnięciem do widza, co flirtem z systemem, a co manipulowaniem publiką...

5 lipca 1959 roku. Osiem tysięcy osób odpowiedziało na plebiscyt „Życia Warszawy" na najlepszą książkę i najlepszy film 15-lecia PRL. W kategorii książek zwyciężyły kolejno: *Popiół i diament* Andrzejewskiego, *Bolesław Chrobry* Gołubiewa i *Ziele na kraterze* Wańkowicza, wśród filmów zaś: *Kanał oraz Popiół i diament* Wajdy i *Eroica* Munka[24].

W sporządzonym przez „Kwartalnik Filmowy" rankingu najlepszych filmów polskich *Popiół i diament* zajmuje pierwsze miejsce. W pierwszej szóstce znajdują się także późniejsze filmy artysty: *Ziemia obiecana* i *Człowiek z marmuru.* Kolejne trzy filmy: *Wesele, Kanał* i *Panny z Wilka* nie schodzą poniżej 23. pozycji na liście. Miejsce 26. to *Brzezina.* Na liście najwybitniejszych twórców światowego kina Wajda plasuje się na pozycji 13.

Spopielony

Bardzo zwięzłą syntezę swojej twórczości zawarł Wajda w przemówieniu wygłoszonym w Waszyngtonie 19 października 1981 roku z okazji nadania mu tytułu doktora *honoris causa* American University. Zacytujmy kluczowe fragmenty:

> Przez 26 lat mojej pracy w filmie bez przerwy „wkręcałem się" w tryby historii mego kraju. Tworząc moje proste opowiadania o zwykłych ludziach i ich dramatach - czy tego chciałem, czy nie - potwierdzałem lub kwestionowałem pewną wizję historii, dawałem świadectwo

czasom. Mówię to z całą skromnością, może nawet nie zawsze tego chciałem, może nie zawsze zdawałem sobie sprawę. Ale odkąd moje filmy wchodziły w publiczny obieg, odkąd „odrywały się" ode mnie i stawały się własnością publiczną - następowało owo „spotkanie z historią". [...]

Pracę reżyserską rozpocząłem w ponurych latach 50., które słusznie nazywają się „mrokami stalinizmu". Ale wiedzieliśmy, że tak dalej trwać nie może. Na fali pierwszych nadziei w roku 1956 realizowałem film *Kanał*. W wieku 30 lat chwyciłem się tej nadziei krótkiej i rozpaczliwej, którą przyniósł Październik i Gomułka. Wtedy powstał *Popiół i diament*. A zaraz potem długie i nudne, gniotące lata 60. Jesienią 1968 nie wierzyłem już nikomu. Nie byłem studentem, byłem poza ich walką i rozpaczą, wokół widziałem podstęp i zdradę[25].

Każdy akapit można odbić w krzywym zwierciadle innych wypowiedzi Wajdy. W 1958 roku mówił tak:

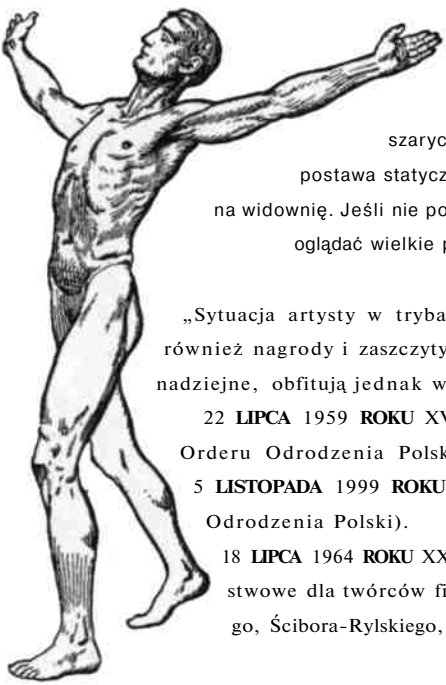

„Nie warto robić filmów o zwykłych, szarych ludziach; byłaby to postawa statyczna, a my musimy oddziaływać na widownię. Jeśli nie potrafimy jej wychować, dajmy jej chociaż oglądać wielkie przeżycia ludzi niezwykłych"[26].

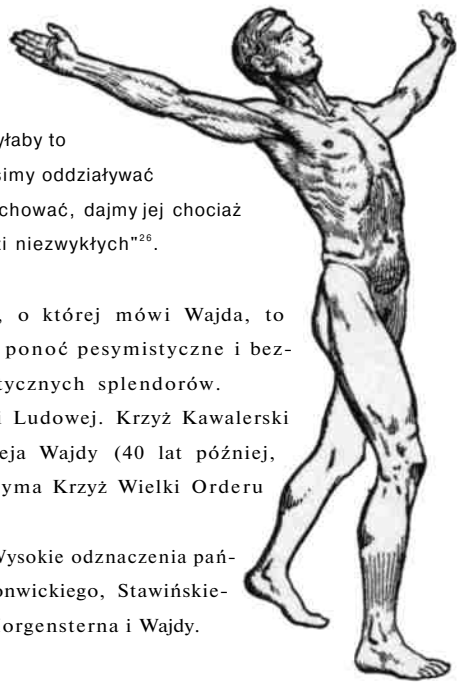

„Sytuacja artysty w trybach historii", o której mówi Wajda, to również nagrody i zaszczyty. Czasy, tak ponoć pesymistyczne i beznadziejne, obfitują jednak w wiele artystycznych splendorów.

22 **LIPCA** 1959 **ROKU** XV-lecie Polski Ludowej. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski dla Andrzeja Wajdy (40 lat później, 5 **LISTOPADA** 1999 **ROKU** artysta otrzyma Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski).

18 **LIPCA** 1964 **ROKU** XX-lecie PRL. Wysokie odznaczenia państwowe dla twórców filmowych: Konwickiego, Stawińskiego, Ścibora-Rylskiego, Batorego, Morgensterna i Wajdy.

22 **LIPCA** 1971 **ROKU** Wajda jako jedyny otrzymuje nagrodę ministra kultury i sztuki pierwszego stopnia.

22 **LIPCA** 1974 **ROKU** Wajda ponownie otrzymuje nagrodę ministra kultury i sztuki pierwszego stopnia.

W jednym z wywiadów z 1965 roku reżyser mówił:

> Ogromnie lubię podróżować, nie po to, aby rozmawiać z ludźmi czy zgłębiać zagadnienia obcego kraju; po to, żeby oglądać. Nie ma takiego słynnego muzeum w Europie, którego nie zwiedziłbym salka po salce, pobieżnie, ale wszystko, chociaż nieraz ciągną się one kilometrami[27].

Dziwnie to brzmi w porównaniu dramatycznym tonem waszyngtońskiego przemówienia.

Pozycja reżysera wychowanego u boku wszechpotężnego wówczas w środowisku filmowym Aleksandra Forda rosła bardzo szybko. Dnia 10 stycznia 1959 roku odbywa się narada Pracowników Twórczych Kinematografii. W sumie jest 14 osób, w tym wiceminister kultury, sześciu pisarzy i siedmiu reżyserów - wśród nich Wajda, który ma wtedy 32 lata. W roku 1963 Wajda zasiada w Komisji Głównej polskiego środowiska filmowego. Są tam jeszcze: Jerzy Bossak, Aleksander Ford, Ludwik Hager, Wanda Jakubowska, Bogusław Lambach, Jan Rybkowski, Antoni Wojtowicz. Wajda jest w tym gronie najmłodszy - ma zaledwie 37 lat.

Wobec tego trudny do zrozumienia jest następujący fragment z autobiografii: „Znając tylko pomniejsze postacie partyjnej nomenklatury, nie domyślałem się nawet, jak naprawdę zachowywali się ludzie rządzący naszym krajem"[28].

Jaka więc była rola tego artysty w trybach historii? Czy to jest gra osamotnionego sprawiedliwego? Czy może spokojna symbioza zależnych od siebie organizmów?

Owo „spotkanie z historią, jej kwestionowanie i o niej świadczenie" wystarczająco kontrują wspomniane perypetie *Popiołu i diamentu.* Nieco wyraźniej odwrócenie sytuacji, a może raczej odpowiednie jej naświetlanie zgodnie z zasadą „tak samo, ale inaczej", można dostrzec w innych wypowiedziach. Dnia 12 stycznia 1974 roku po premierze *Nocy listopadowej* w reżyserii Andrzeja Wajdy w Teatrze Starym J. Keler zanotował: „Wszyscy bohaterowie tego

dramatu ponoszą klęskę wyjąwszy jednego: tym jest ślepiec w kajdanach"[29]. Konrad Strzelewicz na łamach „Życia literackiego" opublikował artykuł *Dalszy ciąg szyderstw* (13.01.1974), w którym pisał o odradzającej się „prosperity szyderców", systematycznie uderzających swymi dziełami w newralgiczne punkty polskiej historii. Tekst jest atakiem personalnym skierowanym m.in. przeciwko Wajdzie. Coś w tym jest, wystarczy przywołać choćby niektóre głosy z ostrej dyskusji, jaka rozgorzała wokół *Popiołów:* „Ani subtelności, ani zrozumienia człowieka, ani złożoności postaw, ani ciepła w ukazaniu kraju i ludzi, i tej osobliwej nuty w oskarżeniach, która daje ból własnego serca"[30].

Sami twórcy mówili w ten sposób:

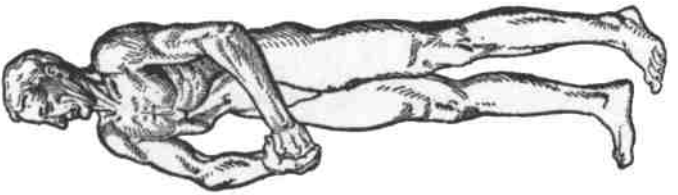

> Roboczo nazwaliśmy *Popioły* filmem o poszukiwaniu Polski przez Polaków. Zainteresowało nas w powieści Żeromskiego to, co jest wspólnym dramatem polskich losów na przestrzeni 150 lat. Wszystkie te pokolenia, którym przypadło żyć z poczuciem braku wolności narodowej i społecznej, szukały jakichś rozwiązań, ale poszukiwania te kończyły się zawsze klęską i goryczą. Nadzieję na odzyskanie niepodległości pokładano w kolejnych, nieraz naprawdę egzotycznych sojuszach, które okazywały się pomyłką dziejową[31].

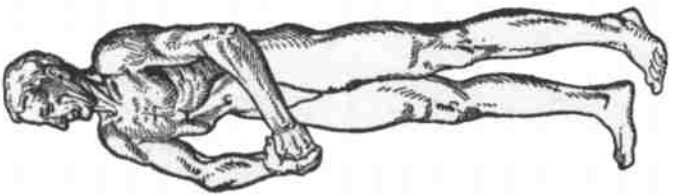

W tę logikę wpisuje się również poprzedzający *Popioły - Samson,* zrealizowany w 1961 roku i opowiadający okupacyjną historię tytułowego bohatera. Wajda uznał go za swój pierwszy dojrzały film. Również wokół tego obrazu rozgo-

rżała gorąca dyskusja. Głos zabierali m.in. Krzysztof Teodor Toeplitz w „Na świecie", Ernest Bryll w „Nowej Kulturze" czy Jerzy Płażewski w „Przeglądzie Kulturalnym". Najciekawszym jednak głosem był tekst *Anty-Wajda* przyszłego współpracownika Wajdy - Andrzeja Kijowskiego, który tak pisał w „Przeglądzie Kulturalnym": „Nie wiem, kto opowiedział Wajdzie bajkę o okupacji. Jeśli jest rzeczywiście mistrzem szkoły, niech piekło pochłonie tę szkołę, gdyż uczy kokieterii, zadufania w sobie, nieodpowiedzialności"[32].

Rzecz naprawdę dziwna, zważywszy, że trzy lata wcześniej powstał opisujący tę samą rzeczywistość wojenną *Kanał.* Co jednak istotniejsze - Wajdowscy bohaterowie rzeczywiście rodzą się i umierają pod znakiem klęski. Wystarczy pobieżnie skatalogować losy bohaterów kolejnych filmów: dzieje chłopców w *Pokoleniu,* koniec powstańców w *Kanale,* losy Maćka Chełmickiego w *Popiełe i diamencie,* bezsens walki naiwnych Polaków w *Popiołach,* beznadzieję we *Wszystkim na sprzedaż.* Spod znaku klęski jest również *Wesele.* Marta Fik w następujący sposób określiła to dzieło w interpretacji Wajdy: „Klęską pokolenia Wyspiańskiego (tak jak to ukazał) był bowiem fakt, iż zgubiło ono złoty róg, poprzestając na sznurze. Klęską pokolenia Kijowskiego i Wajdy (tak jak to ukazują) jest, iż sznur ogłosiło złotym rogiem"[33]. Obrzydzenie wywołuje *Krajobraz po bitwie,* oparty na opowiadaniu *Grunwald* Tadeusza Borowskiego. Pytany o oskarżenia o antypolskość, Wajda operuje ciągle jednym argumentem: „Po wojnie czuliśmy się zawiedzeni, spuścizna przedwojenna okazała się krucha i niewystarczająca". Rodzi się pytanie, jak długo można być zawiedzionym? Do czterdziestki? Do pięćdziesiątki (tyle lat ma Wajda, kiedy reżyseruje *Krajobraz po bitwie)?* Szymon Gajowiec z *Przedwiośnia* pyta Barykę: „Skąd tyle goryczy? Czy wszystko można usprawiedliwić nieudaną miłością?". Co odpowiada Andrzej Wajda? Co by odpowiedział, gdyby jego plany realizacji *Przedwiośnia* w latach 70. doszły do skutku?

Dopiero *Pan Tadeusz* i *Zemsta* przynoszą, zdaje się, nieco bardziej optymistyczną perspektywę. Ale to już zupełnie inne czasy, inne warunki i inny wiek samego reżysera.

Bunt kontrolowany

W całej filmografii artysty ważne, wręcz legendarne miejsce zajmuje *Człowiek z marmuru* - film będący symbolem wydarzeń we współczesnej Polsce oraz jej przemian.

[...] to, co Pana może zafascynować, mianowicie historia klęski, nas może zaniepokoić. Dla nas dwie kwestie są kluczowe. Po pierwsze: byt w naszej historii okres wielkiej nadziei, inicjatyw, ruchów, okres pomyłek i klęsk [...]. Po drugie: na pomyłki patrzymy jak na dramat, a nie symbol czynu. Za najistotniejsze uważam zakończenie filmu. Bohater nie pieści swoich klęsk i krzywd, znajduje miejsce w życiu, staje się dojrzalszy[34].

Tak pisał do Wajdy w czasie „walki o powstanie filmu" minister kultury Józef Tejchma. Czy nie taki jest również wydźwięk filmu? O ile przesłaniem *Człowieka z marmuru* jest słuszność buntu, o tyle druga część *Człowiek z żelaza* wyraźnie ukazuje bezsilność i brak szans. Dziwna konfiguracja. Czy dlatego właśnie reżyser mógł stwierdzić rzecz następującą: „Zrobiłem wiele politycznych filmów i zawsze miałem mnóstwo kłopotów z produkcją i rozpowszechnianiem. Ale z najostrzejszym z tych filmów - z *Człowiekiem z żelaza* - nie miałem żadnych kłopotów"[35]?

Obydwa filmy powstały szybko. W lutym 1976 roku minister Tejchma przekazuje reżyserowi pozytywną decyzję odnośnie do *Człowieka z marmuru,* a już 2 listopada notuje w swoim *Dzienniku* pierwsze wrażania po obejrzanym właśnie filmie. Pierwsze klapsy do *Człowieka z żelaza* miały miejsce w styczniu roku 1981, w maju film był gotowy, a premiera odbyła się tuż przed stanem wojennym.

Interesujący jest komentarz samego reżysera zahaczający o te dwa filmy:

- Komu, czemu, jakiej sprawie chciałby pan służyć?

- Oczywiście naszemu potężnemu Niezależnemu i Samorządnemu Związkowi Zawodowemu „Solidarność". Poza tym nie powodują mną żadne ambicje. Nie. Chcę tylko być pomocny, bo głęboko wierzę w tę ideę. [...] W ostatnich latach pracowałem dużo. Może ponad miarę. Ale to byłby jedyny sposób, żeby nie zauważyć tej beznadziei i tej fałszywej rzeczywistości, jaka nas w tych latach zewsząd otaczała.

- Podział na twórców partyjnych i innych wydaje się głęboko przestarzały. [...] ale w sumie jest Pan dobrej myśli, prawda? Co napawa Pana otuchą?

- Oczywiście Zjazd Partii. Wierzę głęboko, że jeżeli ruch „Solidarność" wydał tylu zdrowo i dobrze myślących przywódców i działaczy, nie ma żadnego powodu, ażeby nie spodziewać się podobnego rezul-

> tatu po organizacji tak licznej, jaką jest PZPR. Z prawdziwą niecierpliwością oczekuję chwili, kiedy naprzeciw nowo wybranych władz NSZZ „Solidarność" zasiądą tacy sami jak oni robotnicy, członkowie partii. Myślę, że wówczas to, co najważniejsze, zdecydują bez ekspertów i doradców tak z jednej, jak i z drugiej strony[36].

Wróćmy jednak jeszcze do *Człowieka z marmuru.* W dniu 27 marca 1977 roku ma miejsce w redakcji warszawskiej „Kultury" dyskusja na temat tego filmu z udziałem Bratnego, Toeplitza i Zalewskiego. Roman Bratny mówi: „Mnie film Wajdy wzruszył, jak to się mówi, do łez. Nie ma lepszego spoiwa, lepszego cementu tej [społecznej - M.F.] jedności niż wspólne wzruszenie losem narodowym, jakie może dać sztuka"[37].

Komu więc tak naprawdę potrzebny był ten film? Czy Józef Tejchma rzeczywiście odegrał rolę męża opatrznościowego, czyniąc wszelkie wysiłki, aby *Człowiek z marmuru* wszedł na ekrany? Czy może po prostu wypełniał polecenia? Czy wywołanie w społeczeństwie kontrolowanego fermentu za pomocą „rewolucyjnego obrazu" nie było ze strony aparatu władzy precyzyjnym ruchem doświadczonego szachisty? Czy właśnie film Wajdy nie katalizował niespełnionych nadziei niespokojnych mas? Czyżby w porę uruchomiony wentyl bezpieczeństwa?

Byłem szczęśliwy

W zasadzie sporo już wiemy o Andrzeju Wajdzie. Młody, zdolny reżyser, który konsekwentnie wykorzystuje nadarzające się w życiu okazje, aby spełnić się artystycznie. Łapie chwilę, na co niewielu było stać. Oto jeszcze jeden biogram Wajdy, jakże różny od pozostałych.

> Andrzej Wajda to talent rzadki - nie umie istnieć bez cudzej inspiracji: może to być obraz, cudze dokonanie, wyczytana myśl lub konkretna opinia przypadkowego człowieka. Jeśli cokolwiek mu się udaje, to przez wysiłek innych. Umiał świetnie dobierać współpracowników. Był pierwszym z wychowanków Szkoły, który wypłynął na europejskie wody, przez to przyciągał młodych: pracując dla niego, łatwiej dochodzili do własnych karier. Ma niezrównane wyczucie koniunktury,

zwłaszcza politycznej, i mody. Jest zawsze tam, gdzie być powinien - na europejskich zgiełkach i reprezentacyjnych targowiskach. Ma świadomość współczesnego wieszcza, Mickiewicza czy Krasińskiego, słowem, geniusza, przez co uważa, że wszyscy i wszystko powinno mu służyć, i nigdy nie przychodzi mu do głowy myśl, że coś może być niedopuszczalne lub niemoralne. Plagiat, cytat, nielojalność czy niedochowanie umowy - nie istnieją u niego. Jest to u niego tak autentyczne, że aż moralne. Wajda to geniusz od wysysania cudzych miodów - i tyle. Ale - jakby powiedział Kisiel - talent ogromny[38].

Autor tych słów, Kazimierz Kutz, przy całej swej złośliwości jest świadom tego, co pisze. W końcu studiował w tej samej szkole co Wajda i asystował przy jego pierwszych filmach *(Pokolenie, Kanał)*.

Autobiografia Wajdy, chociaż jest zręcznym autoplagiatem, wyklejanym retuszowanymi, wygładzonymi tekstami z różnych wcześniejszych publikacji i wywiadów, zawiera dużo pisanych zupełnie na świeżo przez 74-letniego człowieka akapitów. Zostaje gorycz i żal:

Może w pewnej chwili człowiek powinien odejść od działania, które pcha nas w stronę sukcesu? Może sukces kryje się gdzie indziej, może decydują o nim nie ci, którzy na nas patrzą, tylko my sami? Dziś nie mogę jednoznacznie odpowiedzieć, czy zrobiłem dobrze, czy byłem tam, gdzie trzeba, i pomogłem temu, komu trzeba. Tak, byłem szczęśliwy, bo moim żywiołem był ruch, akcja, ale może należało powiedzieć sobie w odpowiedniej chwili NIE? Nie potrafiłem się na to zdobyć - czy słusznie? Z tym niepokojem nie rozstanę się już nigdy[39].

Świadomość nieuregulowanych spraw pozostaje i pulsuje silnie pod zgrzebnym kokonem spełnionego artysty:

Często zastanawiam się nad moją reżyserską karierą i myślę, że decydującym czynnikiem był tu fakt lekceważenia domu. Regularne domowe obiady zacząłem jadać dopiero koło pięćdziesiątki. Miałem więc wcześniej dość czasu, aby poświęcić go sztuce[40].

Życie osobiste Andrzeja Wajdy jest nie tyle zagadką, ile pogmatwaną układanką. Mamy fotografie z różnymi kobietami z różnych okresów oraz wymiennie podawane informacje w różnych biogramach. W rzeczywistości ma on za sobą cztery oficjalne związki małżeńskie, zawarte w Urzędzie Stanu Cywilnego: z malarką i śpiewaczką Gabrielą Ireną Obrębą, z kostiumologiem Zofią Żukrowską, z aktorką Beatą Tyszkiewicz i ze scenografem i architektem Krystyną Zachwatowicz[41].

Do dziś pozostał Wajdzie nawyk korygowania i przycinania wszelkich wywiadów i wypowiedzi. Świadomie kreuje w nich swój wizerunek mądrego wieszcza. Co ciekawe jednak, artysta nie zniszczył i nie ukrył teczki z przeróżnymi dokumentami, w tym z tekstami na swój temat, które nie są sprytnie wyselekcjonowane, ale układają się w logiczną i spójną całość. Wajda zdeponował te materiały w archiwum łódzkiej filmówki. Z dokumentacji tej zrobił użytek Piotr Włodarski, publikując zawartość teczki i niestety zbyt nachalnie ją komentując w książce *Pan Andrzej.* Pozostawiając do wglądu teczkę z tyloma dokumentami, ukazującymi go w niezbyt korzystnym świetle, Wajda dał zielone światło do badania nie tylko jego twórczości, ale i postawy. Zrobił to więc świadomie.

Podczas pewnego kameralnego wywiadu przy szklaneczce whisky zapytano Kazimierza Dejmka: „Jest pan jednym z niewielu, którzy nie mistyfikują swojego życiorysu. Dlaczego?". Dejmek, zdziwiony jak dziecko, wyjął z ust papierosa i wolno wysączył: „A po co... proszę pana?". A zdaje się, że on miałby co wycinać. Ciekawe swoją drogą, jak Andrzej Wajda odnalazłby się w sytuacji z *Popiołu i diamentu,* którą przywołuje Mrożek? Co odpowiedziałby żołnierzowi na pytanie: „Człowieku, po coś uciekał?".

Po roku 1989 gwiazda Wajdy nieco przygasła. Papierowa w zasadzie kadencja senatorska, dwa niezbyt udane filmy, skierowane wyraźnie do młodzieży i ludzi dorastających *Panna nikt* i *Pierścionek z orłem w koronie.* Ten drugi obraz odbierany był jako próba rehabilitacji za *Popiół i diament.* Popłynęło wtedy wiele gorzkich, profetycznych, diagnozujących współczesną kulturę polską myśli:

Przez ostatnie lata zrobiono w Polsce wszystko, co tylko możliwe, aby pod pozorem wolności obalić wszystkie kryteria, które określają konieczne ograniczenia, cóż więc dziwnego, że pojawiło się wszędzie tyle agresji i chamstwa. To prawda, wszyscy skorzystaliśmy z tej wolności, ale najwyższy czas, żeby ktoś wziął na siebie tę niewdzięczną rolę i powiedział głośno, że wolność musi mieć swoje granice, próbując przy tym określić, gdzie te granice przebiegają. Może wtedy zostanie spełniony ten wychowawczy obowiązek, o którym pan mówi. Jestem przekonany, że jeszcze w pierwszej ćwierci przyszłego wieku zostanie przywrócona kara chłosty[42].

Te słowa padły w 1997 roku. Reżyser jakby nie za bardzo wie, co wybrać. Czy być z narodem, czy go kłuć i pobudzać? A może jedno i drugie? W roku 1999 Wajda triumfalnie powraca, realizując *Pana Tadeusza*. Późniejsze realizacje w teatrze telewizji - *Wyrok na Franciszka Kłosa* i *Bigda idzie* - pokazują owo niezrównane wyczucie koniunktury, o którym wspominał Kutz. Wtedy też, jak się wydaje, Wajda odkrył miejsce dla siebie w polskiej krainie: „Istnieją pewne obowiązki, które spadają bardziej na mnie niż na innych reżyserów"[43].

Utkwiło mi w pamięci jedno z kameralnych spotkań z młodzieżą, na które został zaproszony Andrzej Wajda. Zadałem mu pytanie: „Jaki film wywarł na Panu największe wrażenie?". Odpowiedź była równie prosta, co zaskakująca: „Wie Pan, w zasadzie nie wiem, który z moich filmów podoba mi się najbardziej". Dziś Wajda jest jednym z *emortałais* (nieśmiertelny), jak określa się członków Akademii Francuskiej. Ma nagrodę potężnego przemysłu filmowego - Oscara. Paradoksalnie jednak z wielu wypowiedziach Wajdy silnie przebija dziwny rodzaj niespełnienia.

American Dream

„Zawsze chciałem zrobić taki «amerykański» film"[44].

Ten trop przewija się już przy realizacji *Ziemi obieca-*

nej: „Przeczytałem też na nowo *Ziemię obiecaną* Reymonta i bardzo zapaliłem się do projektu filmu według tej powieści, uważam bowiem, że w polskiej literaturze jest to najbardziej „amerykańska", a więc i najbardziej filmowa powieść"[45]. Rzeczywiście powstał film równie sprawny i zrealizowany z podobnym rozmachem, co wiele hollywoodzkich superprodukcji.

Wajda czuje jednak niedosyt. Marzy mu się „wielki, monumentalny superfilm o Polsce. Zaczynałby się w 1939, a kończył w 1945: „[...] bo to wszystko tam f Na Ziemiach Zachodnich - przyp. K.N.] będzie się kończyć - wielką rzeką jadących wozów z osadnikami, jak w amerykańskim westernie. Jadą zaludnić nowe ziemie".

Kolejne zdania wyjaśniają, dla kogo ten „amerykański western" ma być realizowany:

> 1939 rok, wkroczenie Niemców, Warszawa w czasie okupacji, jakiś zamach, może nawet na Kutscherę, zbliżanie się naszych i radzieckich wojsk. Pokażę też historyczne postacie, ale widziane oczami bohaterów. Jeden z nich jest żołnierzem albo oficerem, idzie z I Armią ze wschodu. I tu mam taką wspaniałą scenę [...]: nasze wojska dochodzą do Wisły i okopują się tutaj, w jakiejś jamie, bo wiadomo, że na drugim brzegu siedzą Niemcy i tylko czekają, żeby się pokazali. I nagle mój bohater widzi przez lornetkę, jak do Wisły podjeżdża samochód, wysiada z niego gen. Swierczewski, zaczyna się najspokojniej w świecie rozbierać, wchodzi do rzeki i pływa. Bo przecież przez całe życie marzył, by się wykąpać w Wiśle.

Niezrealizowany projekt nie powoduje, że artysta przestaje snuć swoje amerykańskie marzenie:

> Nikt z reżyserów nie wierzy już, że można zrobić film dla wszystkich. Tymczasem ja całe życie chciałem być takim właśnie reżyserem. Dorośli coraz rzadziej chodzą do kina. Czy mam robić filmy dla dzieci? Nie bawiłem się nigdy tymi zabawkami, jakimi one się dziś bawią, a Spielberg tak! Dlatego mógł zostać reżyserem tych filmów[46].

W roku 2002 zmiana jest już radykalna:

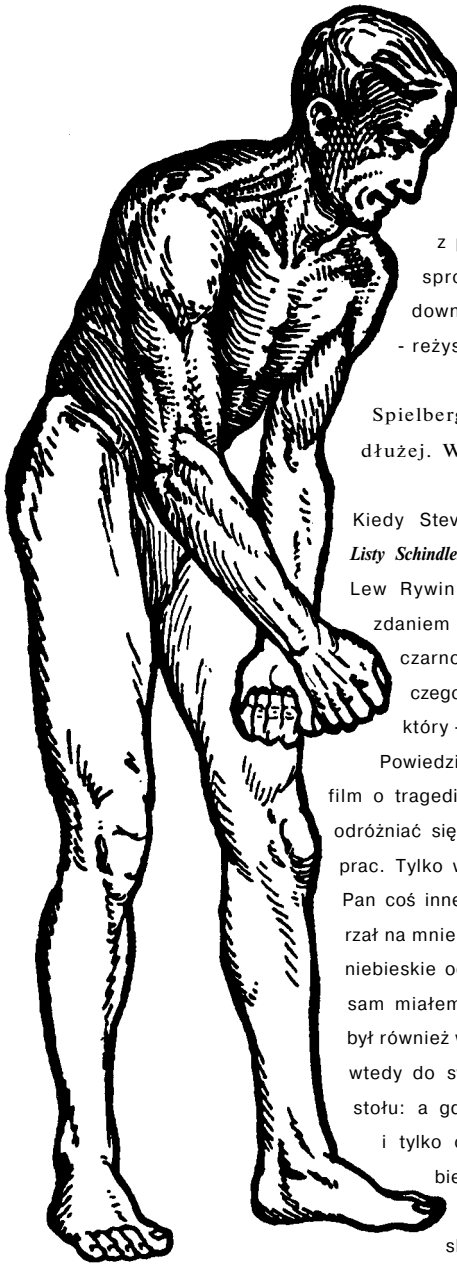

Nie ma dziś filmu dla wszystkich. Film dla wybranych wydaje mi się czymś nie do przyjęcia, klęską i całkowitą przegraną. Nie zgadzam się z poglądem, wedle którego sztuka kina sprowadza się do tajemnicy twórcy, a widownia jest zbędnym dodatkiem do artysty - reżysera[47].

Spielberg pojawia się w *Autobiografii* Wajdy na dłużej. Warto przytoczyć następujący fragment:

Kiedy Steven Spielberg przygotowywał się do ***Listy Schindlera,*** spotkałem się z nim w Krakowie. Lew Rywin powiedział mu wcześniej, że moim zdaniem ***Lista Schindlera*** powinna być filmem czarno-białym. Spielberg zapytał mnie, dlaczego tak uważam. Użyłem argumentu, który - jak sądzę - przekonał go natychmiast. Powiedziałem: jeśli zdecydował się Pan zrobić film o tragedii Żydów w Europie, to film ten musi odróżniać się od wszystkich poprzednich Pańskich prac. Tylko wtedy widzowie zrozumieją, że ma im Pan coś innego do powiedzenia. Przekonany spojrzał na mnie i zapytał: a wie Pan, że Schindler miał niebieskie oczy? Tak - odpowiedziałem - wiem, bo sam miałem robić ***Listę Schindlera*** i ten scenariusz był również w moich rękach... Spielberg zwrócił się wtedy do swojego producenta po drugiej stronie stołu: a gdybyśmy zrobili cały film czarno-biały i tylko oczy Schindlera wykolorowali na niebiesko? Wykolorowanie tysięcy metrów taśmy, tak, aby Schindler miał niebieskie oczy, a cała reszta pozostała czarno-

biała, kosztuje tyle, ile wynosi kilkuroczny budżet polskiej kinematografii. Producent jednak nie oponował, a Spielberg zainteresował się też czerwonymi naszywkami na kołnierzach mundurów SS-manów, chociaż były one z całą pewnością czarne. Po chwili jednak o wszystkim zapomniał i rozmawialiśmy o tym, w jakiej scenerii umieścić w Krakowie poszczególne partie filmu.

Przede mną siedział człowiek wszechmocny, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych. To prawda, każdy reżyser jest do pewnego stopnia - oczywiście w zależności od budżetu - Panem Bogiem. Jednak wtedy w Krakowie zobaczyłem prawdziwego filmowego Pana Boga, który zna tylko słowo: Stań się![48].

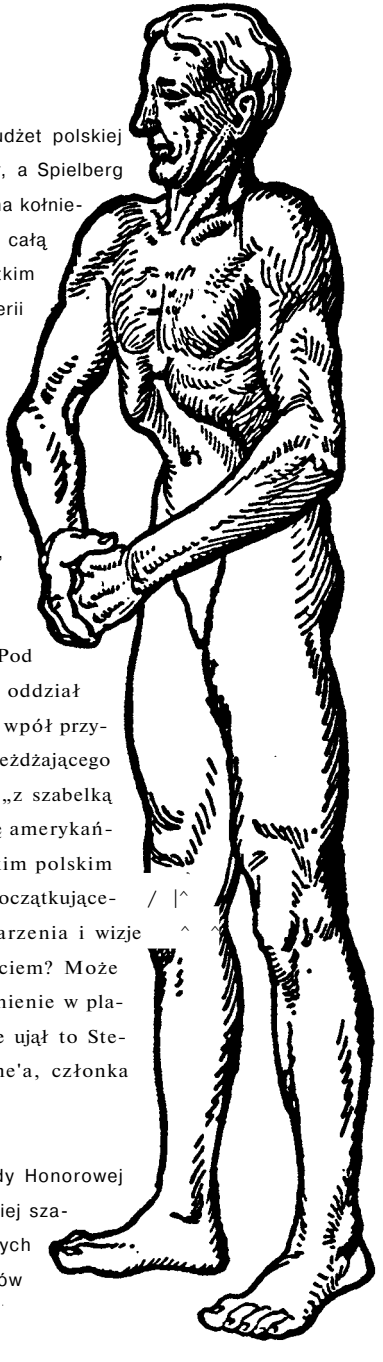

Wydaje się, że fascynacja działa też w drugą stronę. Pod koniec *Szeregowca Ryana* Spielberga, kiedy bohaterski oddział broni się w ruinach miasteczka, ranny Tom Hanks na wpół przytomny wyszarpuje z kabury pistolet i strzela do nadjeżdżającego niemieckiego tygrysa. Czyżby propagandowy chwyt „z szabelką na czołgi" z *Lotnej* Wajdy tak silnie zaraził wyobraźnię amerykańskiego maga filmu? Może właśnie chęć zostania, takim polskim magiem była naczelną ambicją młodego reżysera i początkującego malarza, który zrobił wiele, aby rodzące się marzenia i wizje zatrzymać na celuloidzie? Czy wizja ta wygrała z życiem? Może właśnie najszczęśliwszą chwilą dla Wajdy było zaistnienie w plastycznym, gładkim amerykańskim śnie, jak zgrabnie ujął to Steven Spielberg w liście polecającym do Roberta Rahme'a, członka Amerykańskiej Akademii Filmowej:

> List ten jest poparciem dla specjalnej Nagrody Honorowej dla Andrzeja Wajdy z Polski. To jeden z najbardziej szanowanych i uznanych twórców filmowych naszych czasów, symbol odwagi i nadziei dla milionów ludzi w powojennej Europie i na świecie [...].

Biografia samego Wajdy splata się z historią tej niespokojnej epoki. Za przykładem swego ojca oficera kawalerii, który zginął w masakrze 1940 w Katyniu, Wajda w wieku 16 lat walczył w ruchu oporu. Po zakończeniu wojny studiował w PWSF w Łodzi, którą ukończył w 1954. Po raz pierwszy pokazał się na światowych ekranach z pamiętną trylogią filmów o II wojnie światowej: ***Pokolenie - Kanał - Popiół i diament.***

Starając się ukazać zarówno wzniosłe wyżyny jak i najciemniejsze głębie europejskiej duszy, inspirował nas wszystkich do spojrzenia raz jeszcze na potęgę naszego zwykłego człowieczeństwa. Wajda należy do Polski, ale jego filmy są częścią kulturalnej skarbnicy ludzkości.

Przykład Wajdy przypomina nam wszystkim, filmowcom, że od czasu do czasu historia może gwałtownie i niespodziewanie żądać od nas dowodów odwagi, że nasi widzowie mogą spodziewać się od nas duchowego wsparcia, że może będzie się od nas wymagać narażenia swojej kariery, by bronić życia obywateli naszych narodów[49].

Wajda jest kobietą

Na pierwszej stronie *Autobiografii* czytamy: „Należę do pokolenia, które nauczono, że nie wolno kłamać, gorzej - nie wolno również zmyślać"[50]. Czy z tym kluczem można poruszać się po świecie Andrzeja Wajdy? Może lepszy byłby inny, który podsuwa reżyser kilka stron dalej: „Zostałem konformistą: piszę do dziś prawą, bo tak trzeba, ale rysuję lewą, bo tak muszę, sprzeczność, z którą zmagałem się przez całe moje dalsze życie. Dziwne, ale nigdy nie uważałem, by ten przymus odebrał mi choćby cząstkę mojej indywidualności"[51].

Tu właściwie można by zakończyć. Ale niesamowita żywotność Wajdy każe jeszcze dopisać kilka zdań. Reżyser wyrusza bowiem na podbój nowych terenów, kierowany nowymi intuicjami, pewnie równie celnymi:

> Filmowemu reżyserowi nie przystoi prorokować, ale nie mogę powstrzymać się od refleksji, że w Polsce kobieta odgrywa ogromnie ważną rolę we wszystkich patriotyczno-bezinteresownych działaniach i że dziś, jutro, w najbliższym czasie właśnie kobiety staną się inicjatorami działań w kulturze. Wszystko na to wskazuje. Są lepiej wykształcone, mają serca i nieprzebrany entuzjazm do działania dla in-

nych. Nie będzie dziwne, że zajmą w naszym kraju miejsce mężczyzn, rozgoryczonych wieloma klęskami i zmęczonych niepowodzeniami spadkobierców polskiego romantyzmu[52].

Zatem kim jest?

KRZYSZTOF NOWORYTA

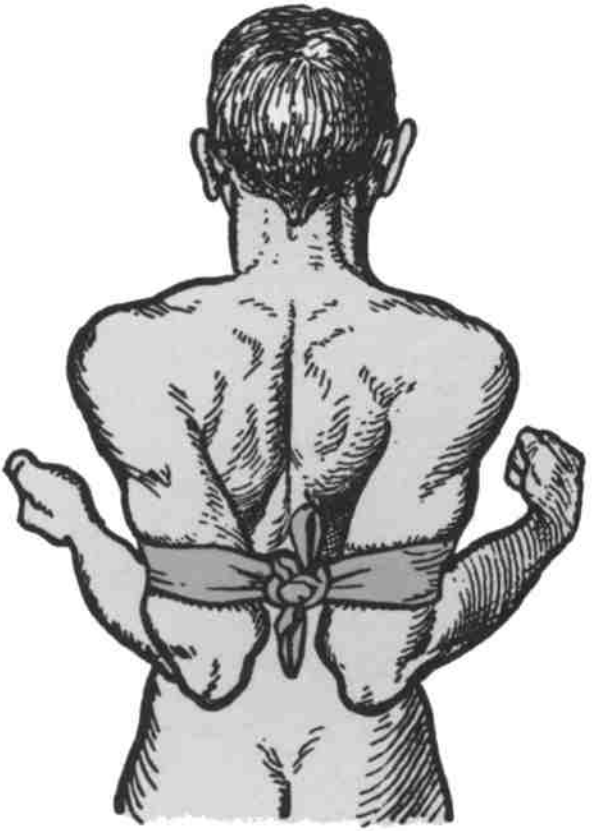

PRZYPISY

1 J. Andrzejewski, *Popiół i diament,* Warszawa 1982, s. 140.

2 T. Sobolewski, *Wajda i my,* „Gazeta Wyborcza" 1996, nr 56.

3 R Włodarski, *Pan Andrzej,* Łódź 2001, s. 21.

4 Tamże, s. 105.

[5] A. Wajda, *Kino i reszta świata. Autobiografia,* Kraków 2000, s. 27.
[6] Tamże, s. 27.
[7] P Włodarski, *Pan Andrzej,* s. 22.
[8] K. Kutz, *Klapsy i ścinki. Mój alfabet filmowy i nie tylko,* Kraków 1999, s. 325.
[9] „Trybuna Ludu" 5.02.1956.
[10] „Undergrunt" nr 7/2002, s. 124.
[11] A. Michnik, przedmowa do *Wajda Films,* Warszawa 1996, s. 9.
[12] P Włodarski, *Pan Andrzej, s.* 41.
[13] Tamże, s. 46.
[14] *Wajda mówi o sobie,* Kraków 2000, s. 24.
[15] J. Trznadel, *Hańba domowa,* Warszawa 1987, s. 139.
[16] Tamże, s. 138.
[17] Tamże, s. 57.
[18] P. Włodarski, *Pan Andrzej, s.* 13.
[19] J. Trznadel, *Hańba,* s. 58.
[20] Tamże, s. 139.
[21] R Włodarski, *Pan Andrzej,* s. 69.
[22] Tamże, s. 53.
[23] A. Wajda, Kino i *reszta świata, s.* 145.
[24] M. Fik, *Kultura polska po Jakie. Kromka lat 1944 -1981,* Londyn 1989, s. 317.
[25] *Wajda mówi o sobie,* s. 177.
[26] „Film i Teatr" nr 4/1958.
[27] *Andrzej Wajda. Opowieść reżysera (plus zwierzenia),* „Przekrój" nr 1043, 4.04.1965.
[28] A. Wajda, *Kino i reszta świata,* s. 139.
[29] J. Keler, „Odra" nr 4/1974.
[30] M. Załuski, „Ekran", nr 42/1965.
[31] A. Ścibor-Rylski, „Film" nr 50-51/1963.
[32] A. Kijowski, *Anty-Wajda,* „Przegląd Kulturalny" nr 38/1961.
[33] M. Fik, „Twórczość" nr 5/1973.
[34] A. Wajda, *Kino i reszta świata,* s. 167.
[35] „Tygodnik Powszechny" nr. 2, 8.01.1989, za: „Moskiewskije Nowosti" nr 47/1988.
[36] P. Włodarski, *Pan Andrzej,* s. 129.
[37] M. Fik, *Kultura polska po Jakie,* s. 592.
[38] K. Kutz, *Klapsy i ścinki, s.* 326.
[39] A. Wajda, *Kino i reszta świata,* s. 8.
[40] Tamże, s. 47.
[41] Z. Kraszewska, *Kocha aktora swego,* „Ludzie" nr 4/2000 (cotygodniowy dodatek do dziennika „Życie").
[42] „Tygodnik Powszechny" nr 16, 20.04.1997.
[43] „Polityka" nr 42/2000.
[44] A.Wajda Kino t *reszta świata,* s. 162.
[45] *Wajda mówi o sobie,* s. 148.
[46] „Przegląd Katolicki" nr 5/1987.
[47] „Tygiel kultury" nr 7-9/2002.
[48] A. Wajda, *Kino i reszta świata, s.* 254.
[49] Materiały promocyjne do limu Wajdy *Krajobraz po bitwie.*

[50] A. Wajda, *Kino i reszta świata, s.* 5.

[51] Tamże, s. 12.

[52] Wystąpienie z dnia 24 maja 2002 roku na uroczystości nadania tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Łódzkiego, „Tygiel kultury" nr 7-9/2002.

Przypadek - powie agnostyk. Karma - stwierdzi niuej dżowiec. Przeznaczenie - dorzuci oldejdżowiec.

Kretyn i łajdak

SONIA SZOSTAKIEWICZ

O *Farciarzu* - debiucie powieściowym Andrzeja Horubały - krytycy pisali, że jest to portret przedstawiciela środowiska, które do kronik III RP weszło pod nazwą „pampersów". Ile razy myślę jednak o tytułowym bohaterze tej powieści, tyle razy przed oczyma stają mi nieodmiennie postacie sarmackie. Takie jak ów Radziwiłł, który napadnięty na trakcie przez zbójców ślubował, że jeśli wyjdzie cało z onej przygody, ufunduje w tym miejscu kaplicę - który rzeczywiście wzniósł małą świątynię, w niej zaś rozkazał umieścić napis: „Pan Panu życie uratował, Pan Panu kaplicę wystawił". Albo ów Sapieha, który przepełniony maryjną pobożnością ukradł z rzymskich apartamentów papieża obraz Matki Bożej, uciekł z nim do Polski i, mimo ciążącej na nim ekskomuniki, dzieła Stolicy Apostolskiej nie zwrócił. Albo imć Pan Jan Chryzostom Pasek, który po bitwie pod Połonkami uraczył się okowitą, wymościł sobie legowisko na trupie poległego Moskala i legł był spać, nie zapominając jednak zmówić godzinek.

Zmieniły się właściwie tylko rekwizyty: zamiast kontusza z pasem słuckim - garnitur od Ermenegilda Zegny, zamiast wysadzanej złotem rękojeści

karabeli - złoty zegarek Longinesa, zamiast konia krwi arabskiej - alfa romeo z ośmioma cylindrami. A jednak w środku telepie się ta sama sarmacka dusza. Jest to ten sam sarmacki typ, który pije na umór, łajdaczy się, bawi do upadłego, a później potrafi całą noc przeleżeć krzyżem przed tabernakulum albo odbywać na kolanach wielodniowe pielgrzymki pokutne. I nie ma w tym żadnej hipokryzji czy świętoszkowatości. Jak grzeszy - to na serio. Jak żałuje - to na serio.

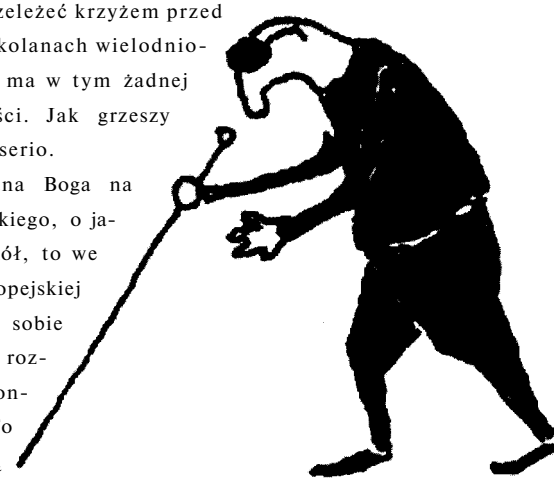

Bohater, który traktuje Pana Boga na serio, na dodatek Pana Boga takiego, o jakim naucza Święta Matka Kościół, to we współczesnej literaturze europejskiej jakiś unikat. Trudno wyobrazić sobie dziś zachodniego pisarza, który roztrząsałby dylematy wiary w kontekście katolickiej ortodoksji. To dziedzina, którą Niemcy zaliczają do sfery *Vergangenheitbewaltigung,* czyli do przeszłości przezwyciężonej. Najbardziej „topowy" dziś pisarz europejski, Michel Houellebecą, mówi wprost: „Gdy byłem na Synaju - tam gdzie Mojżesz otrzymał dziesięcioro przykazań - przeżyłem coś w rodzaju negatywnego olśnienia: trzeba być kretynem, by wierzyć w Boga. To jedyne odpowiednie słowo". Houellebecą nie jest zresztą oryginalny - już Sartre głosił, że każdy, kto twierdzi, że istnieje jakiś Bóg, który jest zainteresowany jego istnieniem, słowem: każdy, kto uważa, że jego własne istnienie ma wymiar metafizyczny, zasługuje wyłącznie na miano łajdaka.

Horubała jest więc kretynem i łajdakiem. Jego bohater nieustannie spiera się i wadzi z Bogiem. Spór ten odnajduje swe przedłużenie choćby w jego wyimaginowanych dyskusjach z Karolem Wojtyłą na temat etyki seksualnej. Wierzy w istnienie aniołów stróżów, których ingerencję dostrzega w kluczowych momentach swego życia. Jest pewny, że dzięki modlitwie wstawienniczej ludzi z Odnowy w Duchu Świętym urodził mu się zdrowy syn, mimo iż lekarze diagnozowali wodogłowie.

Jak to u sarmaty - jego wiara nie jest dokładnie przemyślana i usystematyzowana, jak u francuskich personalistów. Raczej wyssana z mlekiem matki,

wymodlona przez pokolenia babć różańcowych. Chętnie by się przeciwko niej zbuntował w imię zaspokojenia apetytów „ego", zwłaszcza zaś drzemiących w lędźwiach żądz. A jednak nie robi tego, bo... bo zawsze na przeszkodzie staje coś. Przypadek - powie agnostyk. Karma - stwierdzi niuejdżowiec. Przeznaczenie - dorzuci oldejdżowiec.

Bohater Horubały wie jednak, że to nic z tego. To siła sakramentu małżeństwa, wsparta modlitwami jego żony, przyzywającymi na odsiecz hufce anielskie. Analizując zresztą już potem na chłodno świat wokół siebie, zauważa, że życie wszystkich jego przyjaciół i znajomych, którzy wybrali inną drogę niż chrześcijański ślub i wierność, zakończyło się klęską. Rozbite małżeństwa, nieszczęśliwe rodziny, zmarnowane życia. Na tym tle główny bohater, wierny (mimo wszystko) małżonek, ojciec pięciorga dzieci, regularnie (choć opornie) praktykujący katolik, jawi się jako człowiek spełniony. Parafrazując Churchilla, który powiedział, że demokracja jest co prawda niedoskonała, ale nic doskonalszego człek nie wymyślił - w powieści Horubały chrześcijaństwo z całym swoim bagażem, w tym z katolicką etyką seksualną, jawi się być może jako wysoce niedoskonałe, ale najdoskonalsze ze wszystkich możliwych rozwiązań.

Dlatego jeśli chodzi o dwie ważne postacie, jakie przewijają się przez karty powieści - redaktora Szuwara i eseisty Sławka (za którymi kryją się pierwowzory Roberta Tekielego i Cezarego Michalskiego) - sympatia narratora wyraźnie sytuuje się po stronie tego pierwszego. Jest on przedstawiony nieco karykaturalnie jako nawiedzony neofita, ale to, co proponuje, jawi się mimo wszystko jako poważna propozycja duchowa i intelektualna. Różnica między nimi polega na tym, że dla Sławka wiara jest światopoglądem, dla Szuwara zaś osobową relacją z Bogiem. Podobnie przeżywa to główny bohater powieści, który w każdym wydarzeniu stara się dopatrzyć drugiego - nadprzyrodzonego dna, tym samym więc próbuje na nowo określić swoją relację z Bogiem.

W tym sensie różni się on od innych inteligenckich bohaterów naszej kultury, od *Przedwiośnia* po *Dzień świra*. Nie jest to bowiem inteligent, który swe korzenie wywodzi z XIX-wiecznej formacji intelektualnej, znaczonej pozytywizmem i etosem kaganka niesionego w ciemnościach. Z własnych obserwacji wie, że ci, którzy niosą kaganek, często kończą na nakładaniu kagańca. To bohater rodem z baroku. Owszem, pomyślnie odrobił lekcję z „hermeneutyki podejrzeń" i potrafi teraz jej ostrze skierować przeciwko „mistrzom podejrzeń" - jego umysłowość pozostaje jednak sarmacka. W sumie to niezwykłe

świadectwo tego, jak żywotna do dziś jest ta unikalna w skali europejskiej tradycja i jak mocne piętno potrafi wywierać nawet po stuleciach.

Apogeum sarmatyzmu stanowi! wiek XVII - stulecie Potopu i Ślubów Jasnogórskich, Karola Chodkiewicza i Andrzeja Boboli. Po nim przyszedł wiek XVIII - smutny okres panowania Sasów. Kolejna po *Farciarzu* powieść Horubały - *Umoczeni* - opowiada o recydywie czasów saskich w III RR To już jednak temat na inną recenzję.

SONIA SZOSTAKIEWICZ

Andrzej Horubała. *Farciarz.* Wydawnictwo WAB. Warszawa 2003

Citta Sereny program eksterminacji Żydów absurdalnie nazywa „starym polskim planem", przejętym przez Niemców od Piłsudskiego („jedną trzecią zabić, jedną trzecią gdzieś wysiedlić, a jednej trzeciej umożliwić asymilację").

Tkacz gehenny

MAREK ORAMUS

Pół literatury wysila się nad postawieniem swych bohaterów w sytuacjach ekstremalnych, podczas gdy od dawna dysponujemy świadectwami dokumentalnymi na temat rzeczywistych przeżyć tego typu. Mowa oczywiście

O epoce pieców, w której ludzie ginęli jak muchy: masowo i przypadkowo, wsysani przez zaplanowany z zimną krwią mechanizm eksterminacji. Dziś, po upływie ponad pół wieku, sprawy te budzą mniej emocji, bo prawie wszystko wydaje się wyjaśnione, a jednak wciąż tkwi w nich tajemnica: jakiego opancerzenia wewnętrznego, jakiego stężenia fanatyzmu wymagało masowe wysyłanie ludzi na śmierć.

Książka Gitty Sereny *W stronę ciemności* ukazuje się u nas po trzech dekadach od pierwszego wydania, a więc późno. Jej centralnym zagadnieniem jest próba dotarcia do prawdy o komendancie Treblinki, Franzu Stanglu: jak to się stało, że ten zwyczajny i bynajmniej nie prymitywny osobnik wziął udział w eksterminacji Żydów, jak do tego zajęcia trafił i za jaką cenę realizował naznaczone mu zadania. Sereny odwiedziła Stangla w więzieniu, gdzie odsiadywał dożywotni wyrok i gdzie zmarł; rozmowy z nim stanowią oś książki, uzupełnionej o wypowiedzi świadków i inne informacje na ten temat. Mimo iż materiał uzyskany od Stangla stanowi gros objętości książki, trebliński komendant nie zasłużył na to, aby jego skompromitowane nazwisko znalazło się na okładce.

Odniosłem także wrażenie, że *W stronę ciemności* (traktowanej jako synonim zbrodni) jest książką ze z góry założoną tezą. Sereny uznaje za obozy zagłady wyłącznie te, w których mordowano Żydów (Chełmno, Bełżec, Sobibór 1 Treblinkę; dwóm ostatnim szefował Stangl), podczas gdy i te uznane przez nią za obozy koncentracyjne czy obozy pracy nie były żadnymi sanatoriami. Nie przypadkiem symbolem nazistowskich praktyk tego typu było i pozostanie Auschwitz. Program eksterminacji Żydów Sereny absurdalnie nazywa „starym polskim planem", przejętym przez Niemców od Piłsudskiego („jedną trzecią zabić, jedną trzecią gdzieś wysiedlić, a jednej trzeciej umożliwić asymilację"). Wprawdzie opinię tę wypowiada jeden z przepytywanych świadków, ale dalej Sereny podaje ją już od siebie. Żydzi mieli jechać na Madagaskar, a w tym dziele aktywnie mieli wspomagać Polaków Francuzi. Książka oprócz części dokumentalnej zawiera spory wsad publicystyki, będącej efektem własnych dociekań autorki. Na przykład badając okoliczności emigracji Stangla po wojnie do Brazylii, Sereny wpada na sensacyjny trop watykańskiej siatki pomocy dla byłych esesmanów, aczkolwiek nie potwierdza istnienia Odessy, tajnej organizacji, która wyposażała ich w środki i dokumenty. Widocznie Odessa była zbyt głęboko ukryta w Watykanie, by można się do niej dobrać.

Choć są to dodatki istotne, informujące, jakich zbrodniarze mieli rzekomo popleczników, sedno relacji stanowią Stangl i Treblinka. Udało się autorce pokazać proces wsiąkania zwykłego, dość poczciwego Austriaka w mokrą robotę: od zawodu tkacza przez służbę w policji Stangl przeszedł do pracy w Progra-

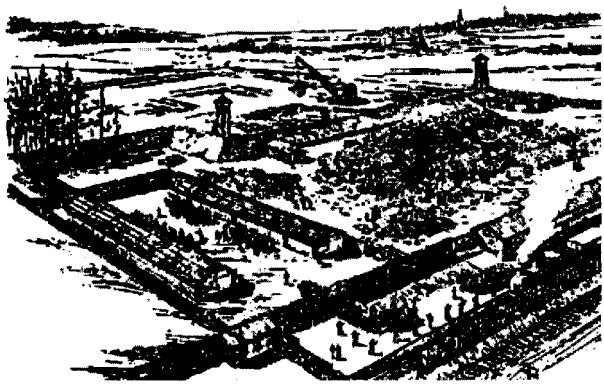

mie Eutanazji, uznanym przez Sereny za wstęp czy próbę przed „ostatecznym rozwiązywaniem kwestii żydowskiej". Oczywiście czytelnik znajdzie też dokładne opisy funkcjonowania obozów w Sobiborze i Treblince, które maszynowo ekspediowały Żydów na tamten świat (samą Treblinkę szacuje na 900 tys. ofiar). „Ludzie ci - powiada świadek o transporcie Żydów bułgarskich - wyglądali imponująco: piękne kobiety, śliczne dzieci, mężczyźni przystojni i postawni, wspaniałe typy ludzkie. Trzeba było trzech dni, żeby ich wszystkich zabić". Dowiadujemy się przeraźliwych szczegółów życia obozowego, z handlem i erotyką włącznie, przygotowań do powstania, które wybuchło za wcześnie, a w wyniku obławy na uciekinierów złapano ich więcej niż zdołało zbiec (sic!). Prosiło się jednak o fachowy komentarz historyczny; po tylu latach pewne sprawy są ustalone, a opinie pewniejsze. Nie można przecież, jak czyni Sereny, zarzucając papieżowi Piusowi XII obojętność na los Żydów, uzasadniać tego jego antysemityzmem (dalej Sereny cytuje pisma protestacyjne papieża w tej sprawie) i pomijać milczeniem pasywności wielkich mocarstw, które o wszystkim wiedziały od polskiego wywiadu podziemnego. Niczego też nie przeczytamy o obojętności amerykańskich środowisk żydowskich na los ich europejskich braci. Sereny podaje fakty i argumenty wybiórczo, tak jak jej dyktuje serce, nie zaś uczciwość badacza i komentatora.

Bez wątpienia Stangl był wysokim funkcjonariuszem nazistowskiej machiny zagłady i jego motywacje stanowią interesujący przedmiot badań. Zbyt często jednak książka zamienia się w sąd nad światem, który zezwolił na holokaust (Polakom też się dostaje), oraz w tropienie globalnej zmowy przeciw Żydom. Poruszona została nawet kwestia odpowiedzialności Boga. Co do Stangla: on sam twierdził, że działał pod przymusem i nikomu z własnej inicjatywy nie wyrządził krzywdy. Zapewne zadziałała tu zmiana optyki i chęć wybielenia się wobec potomnych, czyli typowe psychologiczne zabiegi zbrodniarzy nazistowskich. Po lekturze oprócz wstrząsu wywołanego poznaniem ukazanego bez ogródek funkcjonowania Treblinki i innych obozów pozostają niepokojące pytania: czy pod ciśnieniem okoliczności każdy z nas mógłby - jak Stangl - zostać zbrodniarzem? I czy gdyby to Niemcy wygrały wojnę, skrucha Stangla byłaby równie wylewna?

MAREK ORAMUS

Citta Sereny. *W stronę ciemności. Rozmowy z komendantem Treblinki,*
tłum. Jan K. Milencki,
Cyklady, Warszawa 2003

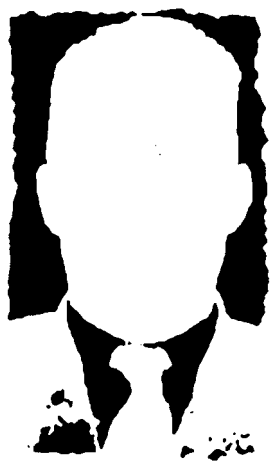

Odkupili grzechy ojczyzny swym obłędem. Byli krwawymi męczennikami. Wierzyli w zbrodnię, przeto zostali zabici.

DAKOWIE, ZALMOKSIS I LEGION MICHAŁA ARCHANIOŁA

Rumuńskie dziedzictwo Mircei Eliadego

PRZEMYSŁAW DULĘBA

„Jako Rumun jestem tym, kim jestem, i znajduję się tu, gdzie się znajduję, nie tylko dlatego, że Trajan podbił Dację, a ludy zachodu nie doszły między sobą do zgody, jak zwycięsko stawić opór Bajezydowi, ale także dlatego, że żyli kiedyś Czyngis-chan, Stalin i Hitler". Fragment ten zapisał w swoim dzienniku Mircea Eliade 28 stycznia 1960 roku. Wówczas od prawie już dwudziestu lat żył na emigracji, a jego działalność naukowa powoli, lecz systematycznie wy-

nosiła go do miana czołowego religioznawcy XX wieku. Autor takich klasycznych pozycji jak *Traktat o historii religii, Szamanizm i archaiczne techniki ekstazy* czy *Joga* kojarzy się szerokiemu ogółowi czytelników przede wszystkim jako zręczny komparatysta, umiejętnie poruszający się między różnorodnymi kulturami i mitologiami, aby naświetlać wybrane fenomeny religijne. Sam jednak często przyznawał, że pragnie poświęcić jedną książkę symboliczno-religijnej tradycji ojczystej ziemi, która była przedmiotem jego pierwszych fascynacji i z którą zawsze żył w zgodzie. *Od Zalmoksisa do Czyngis-chana* to zupełnie wyjątkowa pozycja w dorobku Eliadego i jednocześnie najbardziej „rumuńska". Eseje zamieszczone w tym zbiorze ogniskują się wokół prahistorii i religii Daków, od których Rumuni wywodzą swoją tradycję państwową, oraz wokół folkloru, który tak silnie zaciążył na współczesnej kulturze rumuńskiej.

Autor przekładu, Krzysztof Kocjan, w przedmowie zasugerował, że powstanie tej książki, oryginalnej w naukowym dorobku Eliadego, było pewnego rodzaju rekompensatą wobec własnej ojczyzny za „grzechy młodości" - sympatyzowanie z rumuńskim ruchem narodowym, którego duszą był założony przez Corneliu Zelea Codreanu - Legion Michała Archanioła, szerzej znany później pod nazwą Żelaznej Gwardii. Trudno się zgodzić z taką tezą. Faktem jest, że Eliade zarówno w swoim dzienniku, jak i w innych pismach z okresu emigracyjnego rzadko wspomina o działalności w ojczystej Rumunii, a był to czas znaczący w jego życiu. Zaraz po powrocie z młodzieńczej wyprawy do Indii, opromieniony sławą zdolnego i ambitnego naukowca oraz błyskotiiwego prozaika, włączył się aktywnie w życie polityczno-społeczne. Kluczową rolę w ideowych sympatiach Eliadego odegrał jego naukowy promotor - profesor Nae Ionescu, który wywierał zresztą wówczas znaczący wpływ na młodą generację rumuńskiej inteligencji. Eliade w latach 1934-1938 opublikował w legionowych periodykach „Cuvantul" i „Vremea" około sześćdziesięciu artykułów o tematyce społeczno-ideowej, gdzie przedstawiał swoją wizję rozwoju kultury narodowej i ochrony jej dziedzictwa, co, nawiasem mówiąc, stało się powodem jego internowania w momencie największych prześladowań Legionu. Działalnością uniwersytecką również potwierdzał swoje ideowe zaangażowanie. W Bukareszcie stworzył pierwszą katedrę historii religii oraz pierwsze czasopismo religioznawcze - „Zalmoksis" (ukazały się tylko trzy numery), którego nazwa wywodzi się od imienia tajemniczego boga Daków.

Po wielu latach w wywiadzie-rzece, zatytułowanym *Próba labiryntu,* Eliade przytoczył znamienną refleksję: „Bardzo jestem dumny, mogąc powiedzieć,

że w mojej rodzinie stanowię trzecie pokolenie noszące buty". Taka deklaracja trafniej niż wszystkie inne informacje przedstawia środowisko, z którego wywodził się ten znakomity religioznawca, a warto zaznaczyć, że chłopskim pochodzeniem mogła się poszczycić przeważająca część ówczesnej rumuńskiej inteligencji. Aby zrozumieć sytuację kulturową przedwojennej Rumunii, należy wziąć pod uwagę specyfikę archaicznej struktury społecznej, funkcjonującej w dynamicznie rozwijającym się państwie. Pierwszorzędną rolę w kształtowaniu się wysokiej kultury odegrała przebogata kultura ludowa, której niekwestionowanymi „dziećmi" byli artyści tej miary, co Constantin Brancusi, który nawet w Paryżu prowadził tryb życia „karpackiego wieśniaka". W jego rzeźbach ewidentne są motywy ludowego prymitywizmu oraz symboliczno-formalne komponenty sięgające jeszcze tradycji kultury plemion dackich, a nawet odległego neolitu. W duchowości Rumunów zachowało się dość dużo elementów kultów przedchrześcijańskich, które nadały pobożności ludowej specyficzny charakter tzw. „chrześcijaństwa kosmicznego" z bardzo silnym zarazem chrystocentryzmem. Ten duchowy model ukształtował ludową mistykę śmierci oraz silne przeświadczenie o hierofanii Boga w przyrodzie, zwłaszcza w jej cyklu rodzenia się i zamierania, cyklu, który w Kotlinie Karpackiej został mocno związany z symboliką śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. Eliade w pełni utożsamiał się z sakralnym obrazem świata tkwiącym w chrystianizmie rumuńskiego chłopa, a szkice zamieszczone w książce *Od Zalmoksisa do Czyngis-chana* pokazują, jak silnie zakorzeniony był w rodzimym folklorze i jak doskonale wyczuwał wszystkie subtelności hermeneutyki ludowych podań i legend. W swoim powojennym dzienniku, opisując reakcję na poglądy ojca Teilharda de Chardin, przytoczył świadectwo swojego przywiązania do tradycyjnej ludowej duchowości: „Jakaż to radość odkrywać u zachodniego teologa, «człowieka nauki», optymizm rumuńskich chłopów, także chrześcijan, ale należących do owego «chrześcijaństwa kosmicznego», które już dawno zanikło na Zachodzie. Chłop wierzy, że «świat jest dobry», że stał się taki na powrót po wcieleniu, śmierci i zmartwychwstaniu Zbawiciela" (17 maja 1963).

Legion Michała Archanioła był ruchem bez precedensu, nawet na stale rozszerzającej się arenie nacjonalizmów lat dwudziestych i trzydziestych minionego wieku. Twórca Legionu - Codreanu jawił się jako przepojony egzaltowanym mistycyzmem, rzutki ideowiec, który pragnął stworzyć „nowego człowieka",

odważnie podejmującego walkę z wrogami narodu. Wszystkie działania ruchu legionowego przyjmowały znamiona ludowej krucjaty. Legioniści, którzy w przeważającej większości rekrutowali się ze studentów pochodzenia chłopskiego, a dominowali wśród nich synowie niższych duchownych prawosławnych, za przykładem swojego Kapitana (jak nazywali Codreanu) nosili stroje narodowe - sukmany, mieszkali we wspólnotach zwanych gniazdami *(cuiburi),* pomagali chłopom w pracach polowych, wędrowali z ikoną Michała Archanioła od wsi do wsi, głosząc rychłe zwycięstwo nad szatanem. Kapitan nauczał swych legionistów, że zło trzeba zwalczać przede wszystkim czynem, uczył ich także postawy wytrwałości i gotowości na cierpienie, co stało się przyczyną witalności ruchu w momencie jego delegalizacji i zejścia do podziemia. Metody walki politycznej stopniowo zaostrzały się i to głównie - co należy podkreślić - ze strony rządowej, Morderstwa polityczne i akty terroru stawały się powszechne w państwie nieudolnie rządzonym przez króla i jego oligarchiczny rząd.

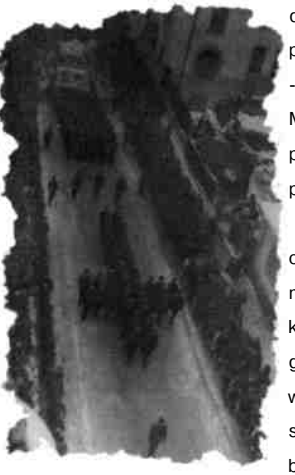

W tamtym burzliwym okresie Legion Michała Archanioła zdołał zgromadzić po swojej stronie barykady elitę młodego pokolenia Rumunów. Wybitnym przedstawicielem tej generacji, który doczekał się międzynarodowej sławy, był Emil Cioran. Ten autor bluźnierczych, pesymistycznych książek, filozof-egzystencjalista i błyskotliwy eseista był w młodości członkiem bukareszteńskiego gniazda „Axa", skupiającego intelektualistów Legionu. Przebywając na emigracji, odciął się od swojej przeszłości, prowadził z nią jednak ambiwalentną grę. W eseju *Mój kraj* tak oto opisał fenomen Legionu: „W tamtym czasie powstał pewien ruch - który chciał wszystko reformować, nawet przeszłość. Ale ruch ten był jedyną oznaką tego, że nasz kraj mógł być czymś innym niż fikcją. I był to ruch okrutny, mieszanka prehistorii i profecji, mistycyzmu, modlitwy i rewolweru, prześladowany przez władze i zabiegający o prześladowania. Albowiem popełnił niewybaczalny błąd wymyślenia przeszłości dla tego, co jej nie miało".

Przez te gorzkie słowa przebija jednak fascynacja ruchem, który również zaważył na życiu i karierze Ciorana, bo to właśnie jako aktywny zwolennik

Legionu otrzymał on prestiżowe francuskie stypendium, a było to możliwe dopiero w momencie przejęcia władzy przez Żelazną Gwardię. Ciorana fascynowała mroczna strona chrześcijaństwa, szczególnie związana z męczeństwem, śmiercią i obojętnym przyjmowaniem cierpienia, które rozumiał jako

dominujący składnik ludzkiej egzystencji. To wszystko znalazł w szeregach Legionu (który to ruch po latach określi mianem „obłąkańczej sekty"), gdzie wpajano ideały posłuszeństwa i poświęcenia. Jako uznany liberalny intelektualista nie mógł sobie pozwolić na takie sympatie, ale i wtedy potrafił docenić poświęcenie swojego pokolenia, pisząc mu swoiste epitafium: „Odkupili grzechy ojczyzny swym obłędem. Byli krwawymi męczennikami. Wierzyli w zbrodnię, przeto zostali zabici. Zabrali w swą śmierć przyszłość, którą wymyślili wbrew rozsądkowi, wbrew oczywistości i «historii»".

Zagraniczni korespondenci, przebywający w Rumunii w latach trzydziestych ubiegłego wieku, byli zdumieni postawą zarówno władz państwowych, jak i nacjonalistów. Metody, jakimi posługiwał się rząd, aby unieszkodliwić opozycję, przypominały te, którymi posługiwał się Vlad Tepes, znany bardziej jako Drakula. Takie porównania padały bardzo często w prasie zachodniej, głównie francuskiej. Nie należy się dziwić postawie ludzi Zachodu, którzy wi-

dzieli w tym jedynie egzotykę, skoro postaci tego pokroju co Julius Evola były zaskoczone zachowaniem ówczesnych Rumunów. Przytoczona w dzienniku Eliadego rozmowa Codreanu i Evoli dobrze oddaje mentalne różnice, przejawiające się w refleksjach, ambicjach i działaniach: „Na pytanie Evoli o planowaną przez Codreanu taktykę polityczną i o szanse Legionu w najbliższych wyborach, ten ostatni zaczął mu mówić o wpływie więzienia na jednostkę, o rozbudzeniu się w niej skłonności ascetycznych i kontemplacyjnych, którym sprzyja samotność, milczenie i ciemność, będące wręcz środkami samoprzejawiania się jednostki. Jeszcze później Evola był tym wszystkim oszołomiony" (lipiec 1974).

W takiej atmosferze kształtowały się poglądy młodego Eliadego, który popierał dążenia Legionu do uczynienia Rumunii - jak to określił Cioran - „czymś innym niż fikcją". Tylko Legion proponował nową wizję kultury 1 precyzował społeczną misję, jaką winien realizować rumuński intelektualista, a była to wizja społeczeństwa tak konserwatywnego, że żaden zachodnioeuropejski komentator twórczości tego wybitnego religioznawcy nie był w stanie uznać jej za realną. Eliade formalnie nigdy nie był członkiem ani Legionu, ani Żelaznej Gwardii, jednak w swoich publikacjach otwarcie popierał Codreanu i jego zwolenników i zgadzał się z wieloma wysuwanymi przez nich postulatami zmiany kulturowo-społecznego oblicza Rumunii. Latem 1938 roku był to dla królewskiego rządu wystarczający powód, aby internować go w obozie Miercurea-Ciucului. To, co tam zobaczył, na trwałe wyryło się w jego pamięci i przekonało go, że przeznaczeniem tej generacji jest nie polityka, lecz „duchowa rewolucja": „Wieczorna modlitwa kończyła się potężnym «Bóg jest z nami», odśpiewanym przez trzysta głosów. Na ostatnim piętrze znajdowało się pomieszczenie na «nieustającą modlitwę». Dniem i nocą któryś z więźniów przez godzinę modlił się tam lub czytał Biblię, przerywając tylko wówczas, gdy ktoś inny przychodził go zluzować. Ponieważ najtrudniej, rzecz jasna, było czuwać między trzecią a piątą nad ranem, wielu kolegów prosiło o wpisanie na listę właśnie na te godziny".

W swoich wspomnieniach z tamtych trudnych miesięcy Eliade przytoczył również smutne refleksje dotyczące sytuacji, w jakiej znalazł się ruch legionowy: „Msze, nabożeństwa żałobne, srogie posty, modlitwy miały pokaźny udział w «działalności legionowej*. Toteż owej wiosny 1938 pełną patosu i ironii wymowę miał fakt, że zniszczenie jedynego rumuńskiego ru-

chu politycznego, który na serio brał chrześcijaństwo i Kościół, rozpoczęło się pod osłoną autorytetu patriarchy Mirona". Cerkiew rumuńska, w dużej mierze zależna od króla, oficjalnie potępiła legionistów, jednak zdecydowana większość niższego duchowieństwa czynnie wspierała Codreanu, organizując uroczystości religijne i opiekując się gniazdami. Nie bez znaczenia był fakt, że najbardziej ofiarni bojownicy Legionu, tacy jak łon Mota czy Vasile Marin, byli synami duchownych prawosławnych.

W decydującym dla swojego pokolenia momencie Eliade solidaryzował się z ruchem legionowym, nie wyparł się swoich przekonań i nie poddał się absurdalnym oskarżeniom zarzucanym przez władze rządowe, mając jednocześnie świadomość politycznej klęski Codreanu. Wódz Legionu wierzył, że jego śmierć oraz męczeństwo wielu legionistów doprowadzą w ostateczności do zwycięstwa ruchu. Owo „powołanie sekty mistycznej" zwyciężyło na płaszczyźnie moralnej, ale i paradoksalnie doprowadziło do klęski, kiedy bowiem zabrakło Codreanu i elity Legionu, młodsi wychowankowie Kapitana przełożyli całą jego naukę na „dialektykę rewolweru". To przypieczętowało tragedię pokolenia Eliadego i Ciorana.

Mircea Eliade wielokrotnie podkreślał, jak dużą wagę przywiązuje do swego kulturowego dziedzictwa rumuńskiego oraz jak wielkim nieporozumieniem jest lansowanie modelu społeczeństwa ateistycznego, wypranego z rudymentarnych form *sacrum.* Tłumacz „rumuńskich esejów" Eliadego, Krzysztof Kocjan, próbuje włożyć dorobek wybitnego religioznawcy w sztywne ramy liberalnego światopoglądu, które są ewidentnie zbyt ciasne, aby pomieścić w nich obraz nie tylko naukowca i pisarza, lecz również konserwatysty, dla którego takie słowa jak „naród" i „ojczyzna" są czymś więcej niż „wstydliwymi obciążeniami faszystowskiej przeszłości".

Od Zalmoksisa do Czyngis-chana jest swoistym hołdem Eliadego złożonym ojczyźnie, a także własnemu pokoleniu - tej generacji idealistów zafascynowanych przeszłością oraz ideą „mocnego dobra". Książka nie powstała jako wyrzut sumienia, lecz jako dług spłacony swemu ojczystemu obszarowi kulturowemu, z którym Eliade jak najbardziej się utożsamiał i któremu pragnął służyć talentem oraz wiedzą. Miał wystarczająco czyste sumienie, by być zwolnionym z pokuty za rzekome ideowe „grzechy", i na pewno nie musiał się z nich spowiadać przed lewicowo-liberalnymi intelektualistami z zachodnich uniwersytetów. Jedyną nicią porozumienia między nimi a tym

niezwykłym Rumunem była sfera zainteresowań wspólną tradycją religijno-kulturową. Taki jego obraz wydaje się znacznie bliższy prawdy, przynajmniej w oczach jego rodaków, którzy nadal uważają go za rumuńskiego patriotę.

PRZEMYSŁAW DULĘBA

Mircea Eliade, Od *Zalmoksisa do Czyngis-chana,*
Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2002

Okres rządów Karola II w latach 1938-1940 historiografowie marksistowscy określali mianem monarchofaszyzmu. Faktycznie król podejmował jedynie żałosne i rozpaczliwe próby ratowania pozycji Rumunii (a także własnej twarzy) na arenie międzynarodowej wobec pogarszającej się sytuacji gospodarczej oraz nacisków ze strony Niemiec zainteresowanych podporządkowaniem sobie tego kraju i uczynieniem z niego zaplecza przemysłowo-surowcowego.

JEDNA RUMUNIA

trzy „faszyzmy"

MICHAŁ DYLEWSKI

Wokół Rumunii lat międzywojennych narosło wiele mitów i nieporozumień. Gdy czytamy o Rumuni tego czasu, to napotykamy - a jest to głównie zasługa historiografii marksistowskiej i współczesnej politycznie poprawnej myśli - opinie, w których faszyzmem nazywana jest zarówno działalność założo-

nego w 1927 roku Legionu Michała Archanioła (w tym Żelaznej Gwardii), dyktatura króla Karola II, jak i autorytarne rządy generała łona Antonescu. Wszystko, co działo się między tymi politycznymi podmiotami, traktuje się niemal jak spory w rodzinie.

Być może nigdy nie usłyszelibyśmy o Corneliu Zelea Codreanu (1899-1938), założycielu Legionu Michała Archanioła, gdyby nie niedowład instytucjonalny rumuńskiej demokracji. W latach międzywojennych powszechne były w Rumunii malwersacje, korupcja, nepotyzm i fałszowanie wyborów. Z jednej strony panowała tolerancja dla zwyrodniałych i sadystycznych urzędników państwowych (na przykład oficerów żandarmerii), z drugiej typowe było radykalne i dosłowne pojmowanie niezawisłości rumuńskiego wymiaru sprawiedliwości, który przejawiał pełną dowolność w ferowaniu wyroków. Sądy potrafiły wydawać bardzo surowe wyroki za błahostki, a jednocześnie traktowały z wyjątkowym pobłażaniem ludzi dokonujących krwawych samosądów na przedstawicielach władz lokalnych, uzasadniając swoje werdykty tym, że oskarżeni „działali w uniesieniu patriotycznym". Podobnie było z Codreanu. Gdy w 1924 roku zabił prefekta policji - człowieka, który, co prawda, wielokrotnie poddawał grupy studentów-nacjonalistów temu, co lubił najbardziej, czyli represjom w postaci aresztowań, tortur i brutalnych pobić - to wkrótce wyszedł z sądu uniewinniony, na dodatek w glorii bohatera sprawy narodowej.

Od rozczarowania do sukcesu

Po przejściu przez kilka różnych organizacji nacjonalistycznych Codreanu, rozczarowany kłótniami między partiami prawicy, brakiem dyscypliny i oportunizmem w ich szeregach, postanowił założyć własną organizację, która ukształtowałaby Nowego Rumuna i odrodziła ducha rumuńskiego. Kiedy powstawał Legion Michała Archanioła, Codreanu miał już bogatą studencką przeszłość - był znany z brawury i poświęcenia podczas licznych strajków i blokad.

Przepełniony heroicznymi ideałami i młodzieńczym zapałem Codreanu starał się zawsze zaszczepić innym własne cechy: zdecydowanie, żarliwość, odwagę, potrzebę głoszenia niepopularnych poglądów, gotowość do największych poświęceń - z ofiarą z własnego życia włącznie. Zaczynał od małej elitarnej grupy studentów, której narzucił klasztorno-koszarową dyscyplinę. Był wtedy bardziej prorokiem nowej wiary, religijnym mistykiem niż przywódcą

politycznym. Pragnął rewolucji serc. Wraz z rozrostem organizacji Codreanu zmienił jej charakter na bardziej polityczny, ale rozbudował równocześnie system praktyk ascetycznych. Jego narodowo-prawosławny ruch miał wychować odpowiedzialnego Rumuna, walczącego z zagrożeniem komunistycznym, masońskim, żydowskim, z korupcją władzy i oportunizmem cerkwi.

Mistycyzm religijny, kult poświęcenia i śmierci (wyrażony powołaniem Oddziałów Ochotników Śmierci vel Komand Śmierci), ascetyzm, częste stosowanie samosądu wobec prześladowców (także dokonywanie zabójstw politycznych), a wreszcie propaganda poprzez ochotniczą i dobrowolną pracę przyniosły Legionowi rozgłos w całym kraju. Legion, używając haseł nacjonalistycznych i antysemickich, antykapitalistycznych, antykomunistycznych i antyparlamentarnych, obiecując chłopom równość, młodzieży nowy świat, a mieszczaństwu porządek, wypowiadał wojnę prawie wszystkim siłom politycznym w Rumunii. Maksymalizm celów i fanatyzm zagrażały odtąd wielu środowiskom i partiom, bo każdy, kto przejmował władzę, mógł się stać w legionowej propagandzie „zdrajcą ojczyzny" lub „politykiem zaprzedanym sługom szatana".

Legionista nie wdaje się z nikim w polemiki

Roponośny zaścianek

Dzięki traktatowi wersalskiemu Rumunia podwoiła po I wojnie światowej swoją powierzchnię i zaludnienie. Urzeczywistniło się hasło Wielkiej Rumunii, która z liczbą 15,5 min mieszkańców i powierzchnią prawie 300 tys. km^2 znalazła się w gronie największych państw Europy Wschodniej. W takiej sytuacji nietrudno było o konflikt z sąsiadami - Rosją, Węgrami i Bułgarią. Mimo iż ówczesna Rumunia stanowiła europejski zaścianek, była jednak od innych zaścianków ważniejsza, a to za sprawą złóż ropy naftowej, o czym nigdy nie należy zapominać, analizując geopolityczne położenie ojczyzny Codreanu.

W dziejach Rumunii okresu międzywojennego można wyróżnić cztery etapy: lata 1918-1928 to rządy liberałów, od roku 1928 do 1930 trwają rządy

Partii Narodowo-Chłopskiej, na lata 1930-1937 przypadają rządy króla Karola II i podporządkowanych mu partii, wreszcie w latach 1938-1940 dochodzi do dyktatury króla. Dla Legionu - jak dla wielu innych znanych z historii radykalnych ugrupowań, głoszących maksymalistyczne programy - zmiany gabinetów nie miały większego znaczenia.

W pierwszym numerze legionowego pisma „Pamantul Stramosec" (Ziemia Ojców-Przodków) z 1927 roku Codreanu napisał epitafium dla króla Ferdynanda, zjednoczyciela kraju i w opinii wielu obrońcy przed „czerwoną zarazą", który w 1924 roku zdelegalizował partię komunistyczną. W 1933 roku w *Carticica Sefului de Cuib* (Podręcznik dowódcy Gniazda) Codreanu pisał tak: „Legion stoi niezłomnie na straży wokół Tronu, na którym zasiadali Książęta i Królowie poświęcający się w obronie chwały i dla dobra Narodu". Jednak pięć lat później to właśnie człowiek zasiadający na tronie bezpowrotnie wysłał Codreanu wprost w objęcia patrona Legionu.

Karolu, łapy precz od Rumunii!

Król Ferdynand odsunął od dziedziczenia swojego syna Karola, ponieważ uważał, że egoizm i upór nie uczynią z niego dobrego władcy. Młody Karol musiał się wynieść nad Sekwanę. Po śmierci ojca zaczął jednak myśleć o powrocie do ojczyzny. Wreszcie przyjechał, zapewniając rodaków o swoich rozlicznych kontaktach na Zachodzie. Liberałów oraz narodowych chłopów zasypał obietnicami potężnych kredytów i sprowadzenia do kraju poważnych inwestorów. W Rumunii ogarniętej przez gospodarczy chaos Karol pojawił się niczym mąż opatrznościowy. Gdy parlament wyraził wreszcie zgodę na objęcie przez Karola II tronu, ten szybko zrzucił maskę i przy wsparciu ze strony konkubiny Heleny Lupescu vel Wolf zaczął konsekwentnie dążyć do skupienia w swych rękach pełnej władzy. Udało mu się to już po kilku latach. Wymyślił nawet własną metodę walki z korupcją - sam „brał" i kradł, żeby nie mogli tego robić inni.

Legionista pogardza światem politykierów i nie dyskutuje z nimi

Początkowo rumuńskie elity traktowały Legion Michała Archanioła jako nieszkodliwą zbieraninę marzycieli i fantastów. Jednak wraz ze zradykalizowaniem się Legionu, poszerzaniem jego wpływów i dynamicznym rozwojem zaczął on być zwalczany przez partie władzy oraz przez dwór królewski. Po 1930 roku organizacja Codreanu była już poważną siłą polityczną, z siedzibą przeniesioną z Jass na prowincji do stolicy. Uroczysty pogrzeb legionistów poległych w wojnie domowej w Hiszpanii po stronie generała Franco uświadomił wszystkim dobitnie rozległość oddziaływania Legionu.

Legionista rozsiewa dobre ziarno w czystych duszach ludu

Gdy w 1927 roku Legion zaczynał działalność, liczył zaledwie kilkunastu członków-studentów, 10 lat później posiadał blisko 34 tys. gniazd (najmniejszych jednostek organizacyjnych) skupiających prawie 350 tys. legionistów i dwa razy tylu ludzi w różnych przybudówkach i organizacjach afiliowanych.

Karol II tolerował Legion, kiedy ten zwracał się przeciw jego wrogom politycznym (na przykład w rozgrywkach z prawicą), gdy zaś zaczynał zagrażać jemu samemu, wtedy królewska toleranga się kończyła. W1935 roku władze postanowiły dokonać rozłamu w Legionie, posługując się jednym z jego wysoko postawionych członków, Mihailem Stelescu. Było to możliwe, ponieważ Stelescu nie zachowywał politycznego izolacjonizmu zalecanego przez Codreanu i przez to łatwo było do niego trafić z sowicie opłaconą propozycją. Wbrew nakazom władz legionowych Stelescu nawiązał liczne kontakty z przedstawicielami partii władzy i kół biznesu, a ponadto przejawiał wygórowane ambicje polityczne, będąc przy tym człowiekiem - jak się wkrótce okazało - naiwnym i mało przewidującym.

Zdradę po pewnym czasie wykryto i odszczepieniec Stelescu został wydalony z Legionu. Rozpoczął wtedy kampanię oszczerstw przeciw organizacji i samemu Codreanu, którego nazywał komediantem i pyszałkiem. Przebrał miarkę, co skończyło się dla niego fatalnie. Członkowie Żelaznej Gwardii, zbrojnego ramienia Legionu, weszli do szpitala, gdzie Stelescu czekał na nieskomplikowaną operację, i rozstrzelali go, a ciało... porąbali siekierami.

Czas konfrontacji

Do *Żelazne]* Gwardii przylgnęła, nie bez powodu, „czarna legenda". Wśród jej najbardziej krwawych akcji znalazło się zabójstwo premiera Duci - odpowiedzialnego ze falę represji w roku 1933 (w tym unieważnienie list wyborczych i delegalizację Legionu), wspomniana już egzekucja legionowego zdrajcy Stelescu w 1936 roku oraz zabójstwo premiera (wcześniej ministra spraw wewnętrznych) Armanda Calinescu w roku 1939. Ten ostatni odpowiadał za faktyczną likwidację Legionu, najcięższą falę represji jeszcze za życia Codreanu i wreszcie za zabicie przywódcy Legionu zgodnie z wolą króla.

Legionista rozpoczyna każde dzieło z myślą zwróconą ku Bogu i składa Mu dzięki, kiedy osiągnie zamierzony cel

Jednak to same władze często usiłowały sprowokować Legion i Żelazną Gwardię do gwałtownych reakcji. Wśród najczęściej stosowanych represji dominowały masowe aresztowania, rewizje, konfiskaty mienia, zastraszanie wyborców, niszczenie urn wyborczych i kart do głosowania, zakazy organizowania wystąpień publicznych, unieważnianie list wyborczych, delegalizacje Legionu (do 1937 roku za każdym razem cofane przez sądy). Zdarzały się również pobicia i morderstwa, które najczęściej dokonywane były przez „nieznanych sprawców". Szacuje się, że do 1939 roku włącznie zamordowano z rozkazu władz około 5 tys. legionistów (dzień po zamachu na premiera Calinescu król wydał dekret sankcjonujący rozstrzeliwanie pojmanych legionistów bez sądu), kilkadziesiąt zaś tysięcy trafiło do więzień.

Wszystkie te represje i procesy wszczynano na podstawie oskarżeń o szykowanie zamachu stanu, próbę obalenia porządku konstytucyjnego, zdradę ojczyzny, gromadzenie broni, przygotowywanie ataków terrorystycznych i mordów politycznych, dążenie do obalenia ustroju demokratyczno-parlamentarnego. Oskarżeń tych było znacznie więcej.

Z kim i w co zagrać?

Król Karol II usiłował jak najdłużej utrzymać Rumunię z dala od wpływów niemieckich. To tłumaczy zaciekłą walkę dworu z Legionem, traktowanym jako

niemiecka agentura. Gdy Karol II nie mial już złudzeń, że Hitler jest gotów uczynić wiele, aby na czele rządu Rumunii postawić Codreanu, podjął w 1938 roku decyzję o ostatecznej rozprawie ze znienawidzonymi żelaznogwardzistami. Codreanu został zamordowany. Według oficjalnej wersji zastrzelono go razem z trzynastoma innymi legionistami podczas próby ucieczki. W rzeczywistości wyglądało to nieco inaczej: legionistów wraz Codreanu wywieziono do lasu, uduszono, ciała przestrzelono, wrzucono do głębokiego dołu, oblano kwasem, zasypano palonym wapnem i zalano kilkoma tonami cementu. Chodziło o to, aby nikt nie znalazł grobu „wysłannika Michała Archanioła", aby nie zaczęto czcić w nim męczennika. Represje wobec Legionu przypominające polowanie na zwierzynę zamieniły się po zabójstwie premiera Calinescu w istną rzeź.

Legionista jest zdyscyplinowany mocą własnej woli i świadomości

O proniemieckiej orientacji Legionu przed rokiem 1940 należy mówić z pewną ostrożnością. Codreanu nie chciał niczego kopiować, miał wizję własnej parareligijnej, sanacyjnej organizacji i choć z pewnością imponowały mu niektóre rozwiązania włoskie i niemieckie, sam jednak pisał o różnicach: „Dla faszyzmu najistotniejszy jest ubiór [forma organizacji państwowej -przyp. M.D.]; narodowy socjalizm na pierwszym miejscu stawia ciało [problem rasy - przyp. M.D.], tymczasem Ruch Legionowy zajmuje się duszą".

Wedle historiografii marksistowskiej kadry Żelaznej Gwardii wywodziły się z marginesu społecznego, który rozrósł się bezpośrednio po wielkim kryzysie, lub spośród ludzi, którzy nie znaleźli sobie miejsca w innych partiach. A przecież członkami gniazd byli od połowy lat 30. przeważnie studenci, urzędnicy, robotnicy, a także wojskowi - wszyscy oni mieli oczywiście chłopski rodowód. W orbicie oddziaływania Legionu pozostawali również intelektualiści tej miary co profesor Nae Ionescu oraz ludzie, o których świat usłyszał dopiero później, a wśród nich Mircea Eliade czy Emil Cioran. Legion Michała Archanioła i Żelazną Gwardię odróżniała od faszystowskich partii europejskich także niska średnia wieku - w ich szeregach znajdowało się dużo młodzieży, a mało kombatantów.

Wszystkiemu winna arogancja Wtochów

Po I wojnie światowej Rumunia związała się z mocarstwami zachodnimi, szczególnie z Francją. Geopolitycznej sytuacji nie potrafił wykorzystać Mussolini, który wykazywał się w tej kwestii wyjątkową arogancją. Uważał, że za uznanie w 1926 roku praw do Besarabii Rumunia jest automatycznie zobowiązana do rewanżowania się Włochom w sferze politycznej (lojalność), gospodarczej (dostawy ropy naftowej i zboża) i kulturowej (wprowadzenie nauki języka włoskiego do szkól). Ponadto władze Włoch dystansowały się od tych nacjonalistycznych i faszyzujących partii rumuńskich, które używały retoryki antysemickiej. Radykalny stosunek do Żydów nie przysparzał zatem Legionowi popularności wśród włoskich polityków. Mimo wskazówek ze strony włoskiej dyplomacji, która nawoływała do nawiązania kontaktów dyplomatycznych i współpracy z człowiekiem, który być może już wkrótce będzie rządził Rumunią, do roku 1933 ograniczano się w Rzymie jedynie do obserwacji działań Codreanu. Komunikaty ambasady w Bukareszcie czy raporty od tajnych agentów nie na wiele się jednak zdały. W opinii Rzymu Codreanu i jego ludzie byli zarażeni hitleryzmem, a więc nieobliczalni i niebezpieczni. Włosi w dużym stopniu sami pchali radykalnych nacjonalistów rumuńskich w ręce Niemców. Polityka lekceważenia partnera uniemożliwiała łączność Włoch z Rumunią i utrudniała również pożądaną ekspansję ekonomiczną. Gdyby Włosi nie zaniechali infiltracji polityków rumuńskich, może mniejsze byłyby w przyszłości wpływy niemieckie nad Dunajem.

Królewski OZON

Okres rządów Karola II w latach 1938-1940 historiografowie marksistowscy określali mianem monarchofaszyzmu. Faktycznie król podejmował jedynie żałosne i rozpaczliwe próby ratowania pozycji Rumunii (a także własnej twarzy) na arenie międzynarodowej wobec pogarszającej się sytuacji gospodarczej oraz nacisków ze strony Niemiec zainteresowanych podporządkowaniem sobie tego kraju i uczynieniem z niego zaplecza przemysłowo-surowcowego.

Tak zwana faszyzacja w wydaniu królewskim sprowadzała się do kilku inicjatyw Karola II. Było wśród nich między innymi powołanie w 1937 roku obowiązkowej organizacji paramilitarnej dla młodzieży w wieku lat 7-18 pod

nazwą *Straja Tzarji* (Straż Ojczyzny), która naśladowała w stylistyce przybudówkę młodzieżową Legionu i miała odciągnąć od niego młodzież.

Po zamachu stanu oraz po rozwiązaniu parlamentu i partii politycznych król stworzył w 1939 roku monopartię Front Odrodzenia Narodu, przemianowaną rok później na Partię Narodową, która miała zapewnić mu zaplecze polityczne i wzbudzić entuzjazm wśród mas. Nowa-stara władza wprowadziła wkrótce pierwsze ustawy antysemickie. Widać tu pewne analogie do wydarzeń w Polsce, a konkretnie do polityki władz sanacyjnych po śmierci marszałka Piłsudskiego. Utworzenie Związku Młodej Polski oraz nieudanej monopartii w postaci Obozu Zjednoczenia Narodowego w 1937 roku należy uznać po pierwsze za próbę zdyskontowania przez piłsudczyków wpływów endecji, po drugie za usiłowanie przejęcia jej programu łącznie z elementami polityki antyżydowskiej i wreszcie po trzecie za staranie idące w kierunku zbudowania podwalin pod quasi-wojskową dyktaturę z mocarstwowym programem politycznym.

Legionista boi się wyłącznie Boga, grzechu i chwili, w której siła materialna lub duchowa wyrwie go z walki

Wróćmy jednak do Rumunii. W 1939 roku król ogłosił amnestię dla tych legionistów, którzy wstąpią do Frontu Odrodzenia Narodu. Część amnestionowanych legionistów zdołała „reanimować" Legion w szczątkowej formie, pojawił się jednak problem braku przywódcy. Następcą Codreanu został w końcu Horia Sima, który już po kilku tygodniach dokonał niemożliwego - postawił zdziesiątkowany Legion na nogi.

Wobec słabości zachodnich aliantów, osaczony przez Hitlera i jego sojuszników, Karol II zaczął szukać porozumienia z Simą. Próbując ratować własną skórę, powołał proniemiecki rząd, w którym wskutek nacisków Niemiec Sima objął stanowisko ministra oświaty i nauki.

Na smyczy III Rzeszy

Pod dyktatem Hitlera Rumunia wystąpiła z Ligi Narodów, zerwała sojusz z zachodnimi aliantami, a po tak zwanym drugim arbitrażu wiedeńskim

została zmuszona do oddania Węgrom północnego Siedmiogrodu, a Bułgarii południowej Dobrudży. Mimo „życzliwości" wobec nowego przywódcy ruchu legionowego III Rzesza najwyraźniej nie zrezygnowała z poparcia dla roszczeń terytorialnych Węgier i Bułgarii.

Karol II, który starał się utrzymać Rumunię z dala od wpływów niemieckich jak najdłużej, był teraz dyktatorem państwa pogrążonego w chaosie i kryzysie, okrojonego z jednej trzeciej terytorium i ze stacjonującą armią niemiecką pilnującą interesów politycznych i gospodarczych III Rzeszy.

Naziści skwapliwie korzystali ze wspomnianych wcześniej włoskich zaniedbań w Rumunii i prowadzili ożywioną politykę poprzez agentów wpływu - rumuńskich Niemców - oraz kontrolowali Partię Narodowosocjalistyczną Tatarescu. W oparciu o posiadane kontakty i rozbudowaną siatkę wywiadowczą mogli realizować swoje imperialne plany. Finansowali również część skrajnie prawicowej prasy rumuńskiej.

Gdy owoc dojrzeje...

Część rumuńskich oficerów skupionych wokół generała łona Antonescu, człowieka o nastwieniu nacjonalistycznym i antyfrancuskim, weszła w tym czasie w taktyczny sojusz z Simą. Celem było zorganizowanie przewrotu wojskowego, obalenie Karola II i uratowanie z dawnej Rumunii tego, co jeszcze można było - ich zdaniem - uratować. Osaczony król powierzył Antonescu funkcję premiera, ten jednak postawił warunek - monarcha musi abdykować. Tak też się stało. Władzę objął Legion oraz armia, a Rumunię proklamowano Narodowym Państwem Legionowym z generałem Antonescu jako wodzem nowego państwa. Horia Sima został wicepremierem i ministrem spraw zagranicznych, w ręce zaś legionistów trafiły ważne stanowiska w aparacie państwowym.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że w podobnej sytuacji znajdował się po wojnie domowej w Hiszpanii generał Francisco Behamonde Franco, „skazany" na współpracę z Jose Antoniem Primo de Riverą i jego Hiszpańską Falangą Tradycjonalistyczną i Juntami Ofensywy Narodowo-Syndykalistycznej *(Falangę Espanola Tradicionalista y de las Juntas de Ofensiva National-Sindicalista),* którą po zlikwidowaniu systemu wielopartyjnego wcielił do własnego ruchu społecznego. Wspólnie zdobywali władzę, wspólnie przelewali krew, ale Franco reprezentował prawicę

autorytarną i zamożniejsze warstwy społeczne, niechętne rewolucji, podczas gdy Jose Antonio uosabiał - mimo swego szlachetnego pochodzenia - faszyzujący, syndykalistyczny, narodowo-radykalny program średnich i niższych warstw społecznych. Takie sojusze w żadnym europejskim państwie nie trwały długo, i zawsze prędzej czy później dochodziło do konfliktu programu zachowawczego i rewolucyjnego społecznie, w którego tle toczyła się walka o władzę. Historia pokazuje, że zazwyczaj w takiej sytuacji wygrywał, czy to w starciu zbrojnym, czy w jakiejkolwiek innej próbie sił, ten, kto miał po swojej stronie przemysłowców, bankierów, ziemian itd. Nie inaczej było w Rumunii, w której dotychczasowi sojusznicy skoczyli sobie do gardeł, nie inaczej też stało się w Hiszpanii, gdzie liderzy Falangi początkowo „doceniani" za zasługi w walce z republiką i lewicą zostali z biegiem lat pozbawieni wpływów we władzach państwa. Porzućmy jednak wycieczkę w lata powojenne i wróćmy do Rumunii połowy lat 40.

Legionista kocha śmierć, gdyż jego krew służyć będzie jako cement przy wznoszeniu gmachu Legionowej Rumunii

Antonescu podjął się misji rumuńskiego „męża opatrznościowego" ze świadomością ceny, którą będzie musiał zapłacić. Mógł bowiem działać tylko w takim zakresie, na jaki pozwalali Niemcy w końcu lat 30.

Gdy po przystąpieniu do Osi rumuńska delegacja złożona z generała Antonescu i legionistów odwiedziła Rzym, jeden z faszystowskich hierarchów zadał pytanie: „Ile są warci tacy sojusznicy? Czy Antonescu nie jest więźniem «zielonych koszul» [legionistów - przyp. M.D.], które mu towarzyszą?". W grudniu 1940 roku doszło do pierwszych napięć miedzy Simą i Antonescu. Simie marzyła się realizacja radykalnych społecznie postulatów Codreanu: pragnął sprawiedliwego podziału dóbr w społeczeństwie oraz ziemi dla chłopów. „Nowy" Legion ufny w poparcie hitlerowców (miał poparcie NSDAP, SS i Gestapo, podczas gdy za Antonescu stały Wehrmacht i Abwehra) spuścił swoje bojówki ze smyczy, a wtedy te zaczęły szaleć i uprawiać zwykły bandytyzm, mszcząc się między innymi na winnych śmierci Codreanu.

Radykałowie versus konserwatyści

Legionowi niechętne było zaplecze generała: oficerowie, spośród których niektórzy mieli udział w prześladowaniach Legionu, a także bankierzy, fabrykanci oraz wielcy posiadacze ziemscy. Własne obawy wyrażała również rumuńska prawica. Gdy generał Antonescu zaczął usuwać legionistów ze stanowisk w ministerstwie spraw wewnętrznych i policji, doszło do pojedynczych starć Legionu z armią. W styczniu 1941 roku Antonescu po wysondowaniu stanowiska Niemiec, które szykowały się do wojny z ZSRR i potrzebowały sojuszniczej armii rumuńskiej, podjął decyzję o rozprawie z Simą. Miał pewność, że stacjonujące w Rumunii wojska niemieckie, które liczyły wtedy już 500 tys. żołnierzy, nie będą interweniowały po stronie Legionu. Usunął Simę i pozostałych legionistów z rządu, administracji państwowej i policji. Ten w odpowiedzi zorganizował serię ulicznych demonstracji i podjął próbę przeprowadzenia puczu. W całej Rumunii zaczęły się mnożyć starcia zwaśnionych stron. Na ulicach Bukaresztu między 21 a 23 stycznia 1941 roku doszło nawet zbrojnej konfrontacji z armią, która użyła artylerii i czołgów. W walkach zginęło około 2,5 tys. legionistów, a szala zwycięstwa przechyliła się na stronę autorytarnej prawicy. Na wezwanie Simy legioniści poddali się, on sam zaś uciekł do Niemiec błagać o łaskę dla Legionu. W tym czasie 60 tys. legionistów trafiło do więzień, inni udali się do „zaprzyjaźnionych" Włoch i Niemiec, gdzie czekało ich jednak internowanie, a potem obóz koncentracyjny. Do obozu trafił także Horia Sima. Niemcy „poświęciły" Legion na ołtarzu wojny na Wschodzie, a zbiegłym legionistom udzieliły „schronienia", aby mieć ich na wszelki wypadek jako straszak na zbyt ambitnego generała-dyktatora.

Ostatnia próba reanimacji Legionu

Po 1941 roku wojskowo-policyjny reżim generała łona Antonescu zaczął tracić popularność. Sojusz z III Rzeszą i wojna z ZSRS u boku Niemiec nie wzbudziły w rumuńskim społeczeństwie entuzjazmu. Nadszedł rok 1944 i Tysiącletnia Rzesza zaczynała powoli trząść się w posadach. Trwała rosyjska kontrofensywa - Armia Czerwona wraz z sojusznikami wkroczyła już między innymi na Bałkany i zbliżała się do granic Rumunii, w której w międzyczasie doszło do zamachu stanu. Generał Antonescu został wyeliminowany z gry,

Pokonanie interesu osobistego jest fundamentalna cnota Legionisty. Jest to postawa pozostajaca w całkowitej opozycji wobec postawy polityków, dla ktorych jedynym motywem działania i walki jest wyłącznie interes osobisty, wraz ze wszystkimi towarzyszacymi mu zdegenerowanymi zjawiskami: zadzą zysku, luksusem, arogancją, korupcja.

Oto dlaczego, drodzy towarzysze, tak długo, jak długo trwac bedzie życie Legionu, powinniscie byc swiadomi, ze jesli kiedykolwiek poczujecie, czy to w duszy któregoś z bojownikow, czy też we własnej duszy, pomruk osobistego interesu, Legion przestanie istniec. Wowczas Legionista umrze, a swoje kły ukaże „polityk".

Spogladajcie nowo wstepujacym Legionistom uważnie w oczy i jesli odkryjecie w nich błysk chociażby najmniejszego osobistego interesu (czy to materialnego, czy też ambicji, pasji, dumy), wiedzcie, że człowiek ten nie może stac sie Legionista.

Aby stac sie Legionista, nie wystarczy nosic zielona koszule i używac legionowego pozdrowienia, ani nawet znac zasady legionowe, trzeba prowadzic życie zgodne z normami życia legionowego. Normy te sa bowiem dla Legionu nie tylko systemem logicznym, łancuchem argumentow; jest to „żywa wiara". Tak samo, jak nie jest chrzescijaninem ten, kto zna i rozumie Ewangelie, lecz tylko ten, kto żyje zgodnie z normami życia wyłożonymi w Ewangelii, ten kto „żyje Ewangelia".

a Rumunia z nowym królem Michałem przeszła do obozu alianckiego.

W tym momencie Niemcy postanowili uwolnić z obozów przetrzymywanych legionistów, a Horii Simie zaproponowali utworzenie rządu rumuńskiego na okupowanych jeszcze przez siebie terytoriach (był to manewr podobny do inicjatywy znanej jako Włoska Republika Społeczna) i sformowanie jednostek wojskowych w ramach armii niemieckiej. Sytuacja na froncie zmieniała się bardzo szybko, Sima przybył więc do Wiednia (dokąd jeszcze nie zdążyła się zbliżyć Armia Czerwona) i stworzył tam Rumuński Rząd Narodowy. Z legionistów przebywających na emigracji i tych, którzy uciekli z Rumunii wraz z armią niemiecką, utworzył samodzielną dywizję, która wkrótce stanęła do walki nad Odrą i w obronie Berlina.

Po upadku generała Antonescu i abdykacji króla Michała w 1947 roku władze komunistyczne wznowiły krwawe prześladowania legionistów - kontynuując testament polityczny Karola II i generała Antonescu, choć z innych pobudek, rzecz jasna. Legion trwał jednak w konspiracji, a luźne grupy legionistów nadal prowadziły swoją działalność, dokonując aktów dywersji oraz egzekucji na działaczach komunistycznych i urzędnikach służb bezpieczeństwa. Ostatnie oddziały legionistów zostały zlikwidowane dopiero w 1952 roku. Wedle innej wersji do 1964 roku walczyły one w Karpatach, wykorzystywane przez służby wywiadowcze państw zachodnich.

Codreanu chyba nie przewidział, że jego Legion stoczy się w czasie wojny

do poziomu niemieckiej agentury, a potem będzie współdziałał z Zachodem. W jednej za to kwestii Legion był wierny wytycznym Codreanu - w walce z komunizmem.

W końcu lat 80., wraz z rozpadem sowieckiego Imperium i krachem komunizmu w Europie Środkowo-Wschodniej, doszło do ożywienia ugrupowań nawiązujących do przedwojennej tradycji nacjonalistycznej i faszyzującej. Tak samo było w Rumunii, w której reanimowano Narodowy Ruch Legionowy. Nie działa on, co prawda, z takim rozmachem jak przed wojną, ale ma pewne struktury, przede wszystkim zaś wydaje własne pismo „Gazeta de Vest" i uczestniczy w International Third Position - faszyzującej międzynarodówce radykalnych nacjonalistów optujących za tak zwaną trzecią drogą. W polskiej prasie nie ma na ten temat żadnych prawie wzmianek - widać uznano, że nie ma o czym pisać...

MICHAŁ DYLEWSKI

WARSZAWA, 30 LISTOPADA 2003

Zainteresowanych tematyką odsytam do następujących publikacji:

1. D. Bieńkowska, *Gwardia Archanioła,* Warszawa 1962.
2. J.W. Borejsza, *Faszyzm podbija wschód,* „Literatura" nr 5/1981.
3. J.W. Borejsza, *Rzym a wspólnota faszystowska,* Warszawa 1981.
4. G. Ciano, *Pamiętniki 1939-1943,* Warszawa 1991.
5. C.Z. Codreanu, Legion *Archanioła Michała* (fragm. tłum. *Podręcznika dowódcy Gniazda),* „Fronda" nr 6/1996.
6. A. Demel, *Historia Rumunii,* Wroclaw-Warszawa 1986.
7. T. Dubicki, K. Dach, *Żelazny Legion Michała Archanioła,* Warszawa 1996.
8. B. Kozieł, *Rycerz Archanioła Michała,* „Fronda" nr 6/1996.
9. B. Kozieł, *Wysłannik Archanioła. Corneliu Zelea Codreanu, cz. I-III,* „Szczerbiec" nr 10-11/1995, nr 12/1995-1/1996, nr 2-3/1996.
10. R. Wyborski, *Lepiej, żeby zginął jeden,* „Fronda" nr 6/1996.
11. *Zakon polityczny. Cornelieu Zelea Codreanu - rozmowa* [Alfreda Łaszowskiego] z *wodzem Rumunii podziemnej, walczącej, bohaterskiej,* „Falanga" nr 11, 1-5.03.1938.

Jeśli tak lubicie kontrowersyjne reklamy, to proponuję Hitlera ze sloganem: Ostateczne rozwiązanie dla każdego obywatela.

LENIN jest wielo znaczny

MARCIN RACZKOWSKI

W pierwszej klasie podstawówki - a był to początek lat 80. - pani czytała nam *Opowieści o Leninie*. Dziś, gdy przekroczyłem już trzydziestkę, okazuje się, że wielu moich rówieśników, o starszych nie wspominając, jest pod urokiem tych idyllicznych opowieści o Wodzu Rewolucji.

Już dawno przestało mnie dziwić, że nikomu nie przeszkadza reklama z Che Guevarą czy modne puby z socre-

alistycznym wystrojem. Oczywiście podobnej mody na symbolikę nazistowską nie sposób sobie wyobrazić, mimo że nikt przy zdrowych zmysłach nie zakwestionuje prawdziwości sądu Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, iż te dwa totalitaryzmy to bliźnięta jednojajowe.

Kiedy wszedłem na jeden z polskich portali internetowych - a mam tam darmowe konto pocztowe - zauważyłem reklamę firmy internetowej opatrzonej wizerunkiem Lenina. Rewolucja dla każdego klienta - brzmiał slogan reklamowy. Pod wpływem impulsu napisałem do firmy maila. Wyraziłem swoje oburzenie, nie licząc na odpowiedź. Odpowiedź jednak przyszła. Tą drogą uzyskałem bezcenny zapis stanu świadomości speców od reklamy i marketingu (mam nadzieję, że nie jest on reprezentatywny dla całego środowiska).

Ja: Czy naprawdę musicie się reklamować za pomocą Lenina? Jeśli tak lubicie kontrowersyjne reklamy, to proponuję Hitlera ze sloganem: Ostateczne rozwiązanie dla każdego obywatela.

Szef Marketingu: Nie mamy na celu propagowania jakichkolwiek pozytywnych czy negatywnych aspektów politycznych ani historycznych związanych z prezentowanymi postaciami. Myślę, że kampanię należy potraktować z nieco większym dystansem i uznać ją za

zabieg czysto komercyjny. Co do pomysiu z Hitlerem, muszę przyznać, że jest bardzo ciekawy i oryginalny, aczkolwiek chyba zbyt bezpośredni jak na polskie warunki. Uważam, że Lenin jest jednak nieco bardziej wieloznaczny (choć oczywiście to kwestia indywidualnego odbioru).

Ja: Jesteście żałośni.

Szef Marketingu: Dziękuję za wyrażenie opinii na temat naszej kampanii, i - mimo wszystko - zapraszam do korzystania z usług serwisu. Pozdrawiam.

Ja: Będę wdzięczny za wyjaśnienie mi jak ma się wieloznaczność Lenina do domniemanej jednowymiarowości Hitlera w Polsce. Będę bardzo wdzięczny za wskazanie różnic. Sam fakt, że w naszym kraju komunizm nie jest tak ostro postrzegany jak nazizm, to jeszcze, moim zdaniem, nie jest dostateczny powód, aby bawić się w oryginała i szokować jego (Lenina) wizerunkiem.

Szef Marketingu: Właściwie sam Pan odpowiedział na pytanie. Chodziło mi o mniej ostre postrzeganie komunizmu w porównaniu z nazizmem. Poza tym bardziej adekwatne byłoby zestawienie Hitlera ze Stalinem - oczywiście moim skromnym zdaniem. „Zabawa w oryginała" oraz szokowanie wizerunkiem leży jak najbardziej w gestii przekazu reklamowego i jest doskonałym narzędziem. Najlepszym dowodem są efekty kampanii reklamowej. Kończąc wątek, kwestia odbioru reklamy, zwłaszcza w kontekście poglądów politycznych, ustrojowych etc. jest kwestią na tyle indywidualną, iż polemiki można ciągnąć bez końca. Jeszcze raz dziękuję za opinię i zapraszam do korzystania z usług serwisu.

Ja: Obawiam się, że Pana wiedza historyczna jest odwrotnie proporcjonalna do wiedzy z zakresu marketingu. Widocznie edukowano Pana na podstawie propagandowej kliszy: dobry Lenin - zły Stalin.

Szef Marketingu: Jest to zupełnie prawdopodobne.

Ja: Cóż... mój przyjaciel mawia, że każdy ma osobiste prawo do autokompromitacji.

Szef Marketingu: Zgadzam się z Panem w stu procentach :-) Życzę udanego weekendu i serdecznie pozdrawiam.

MARCIN RACZKOWSKI

Ogromna liczba ludzi wciąż wyobraża sobie, że upadek byt w zasadzie równoznaczny z odkryciem seksu. Ta naiwna wersja całej historii, rodem z *Miasteczka Pieasantvilte,* głosi, że Ewa odkryła swoją seksualność, uwiodła Adama i że Bóg (zawsze pruderyjny) wściekł się na taki pokaz zwierzęcej namiętności i ich wyrzucił. Szybkie sprawdzenie zgodności tego z prawdą ukazuje jednak głupotę takiej interpretacji. Bóg jest bowiem tym bohaterem w historii stworzenia, którego pierwszym przykazaniem jest entuzjastyczne: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się".

FELIETONY METAFIZYCZNE

KUSZENIE CHRYSTUSA

MARK P. SHEA

Jeśli jesteśmy poważnymi katolikami, to musimy pamiętać, że nasza wiara wzywa nas do uznania bardzo nielubianej i dyskutowanej doktryny: upadku. Nauczanie to według słów św. Pawła jest następujące: „Dlatego też jak przez jednego człowieka grzech wszedł na świat, a przez grzech śmierć, i w ten sposób śmierć przeszła na wszystkich ludzi, ponieważ wszyscy zgrzeszyli..." (Rz 5, 12).

Doktryna o grzechu pierworodnym mówi, że zło w rasie ludzkiej jest jak defekt od urodzenia. Nasz upadek to nie jest coś, co Adam i Ewa nam dali, ale coś, czego nam nie dali: związek jedności z Bogiem, który powinien istnieć, ale nie istnieje. Skutek jest taki, że rodzimy się z dziurą w duszy, w której powinien być Bóg i w której Go nie ma.

Sposób, w jaki nasza rasa się w to wpakowała, jest opowiedziany w tragicznej historii z Księgi Rodzaju (Rdz 3). Ogromna liczba ludzi wciąż wyobraża

sobie, że upadek był w zasadzie równoznaczny z odkryciem seksu. Ta naiwna wersja całej historii, rodem z *Miasteczka Pleasantville,* głosi, że Ewa odkryła swoją seksualność, uwiodła Adama i że Bóg (zawsze pruderyjny) wściekł się na taki pokaz zwierzęcej namiętności i ich wyrzucił. Szybkie sprawdzenie zgodności tego z prawdą ukazuje jednak głupotę takiej interpretacji. Bóg jest bowiem tym bohaterem w historii stworzenia, którego pierwszym przykazaniem jest entuzjastyczne: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się". Jeśli Bóg jest tak zły z powodu seksu, to ma zabawny sposób okazywania tego.

Nic z tego. Problemem w Księdze Rodzaju nie jest seks, jest nim pycha. Adam i Ewa padają ofiarą głównego kłamstwa węża: „Jedzcie to, uczyni to was bogami!", a oni, będąc dobrymi konsumentami, kupują słowa węża w całości. Łykają kłamstwo i odkrywają „mądrość", że są tylko prochem.

Diabeł, będąc kłamcą, próbuje dokładnie przeciwnej taktyki wobec Boga wcielonego w Ewangelii według św. Mateusza (Mt 4). Tak jak próbował skłonić naszych pierwszych rodziców do zaprzeczenia swojej stworzoności i do bycia bogami, tak próbuje skłonić Boga do zaprzeczenia swojej boskości i do zgody na bycie stworzeniem. Trzy razy mówi Jezusowi: „Jeśli jesteś Synem Bożym..."

Podobnie jak Ewę szatan kusi Jezusa najpierw nie seksem, ale poprzez żołądek. Próbuje Go skłonić do zamiany kamieni w chleb. (Swoją drogą, jest wielce znamienne, że to właśnie jedzenie, a nie seks, jest postrzegane w Piśmie świętym jako element o głównym znaczeniu w historii upadku [jabłko], w kuszeniu [kamienie zamieniane w chleb] i w odkupieniu [Eucharystia]. Ale to właśnie jedzenie, a nie przyjemność seksualna, jest fundamentalnym znakiem naszego zniewolenia. Bez niego umieramy. To zatrute jabłko powoduje, że stajemy się chorzy. To Chleb Życia powoduje, że żyjemy).

Po niepowodzeniu pierwszego kuszenia Stary Wyjadacz podkręca temperaturę. Jeśli pełen brzuch nie jest kuszącą perspektywą, to może sława i gościnny występ pod tytułem: „Zdumiewający Człowiek-Mesjasz i Jego pokonujący śmierć skok"? Tym razem diabeł odwołuje się nawet do Pisma, zapewniając Jezusa, że to naprawdę nie ma nic wspólnego z samochwalstwem. Nieee, Paaanie, to jest szlachetne i pobożne, czyż nie wiesz o tym?

Wciąż bez rezultatu.

Wtedy szatan puszcza hamulce. Stoi przed nim Syn Adama. Wobec tego mistrz grzechu ucieka się do skutecznego i wypróbowanego sposobu i bez owijania w bawełnę odwołuje się do korzeni upadku Adama: pychy. Proponuje,

że uczyni Jezusa królem świata wraz z całym złotem, bronią i dziewczętami, o jakie tylko Jezus zechce poprosić. Jest to klasyczny targ Fausta: dusza Jezusa w zamian za wszystko, czego mogłaby zapragnąć egoistyczna dusza. „Pomyśl 0 dobru, jakiego mógłbyś dokonać, mając taką władzę" - szepce kusiciel. „Co osiągniesz w tak beznadziejny sposób?". Biedny, głodny, nieznany, mieszkający miliony kilometrów od jasnego centrum Imperium, stając twarzą w twarz z wizją ciężkiej i samotnej przyszłości uwieńczonej niewiarygodnie bolesną zdradą 1 śmiercią, Jezus jednak odmawia.

Czyniąc tak, sygnalizuje pierwszą odmianę w monotonii historii ludzkiej od upadku. Oto w końcu Człowiek i Bóg są w jedności. Pojawia się ktoś, kto rzeczywiście żyje przykazaniem z Księgi Powtórzonego Prawa: „Będziesz się bał Pana, Boga swego, będziesz Mu służył i na Jego imię będziesz przy-

sięgał" (Pwt 6, 13). W przeciwieństwie do Adama, który dążył do tego, aby być Bogiem, i odkrył, że stał się prochem, Syn Człowieczy dąży do tego, aby stać się prochem dla nas, i zostaje objawiony jako Bóg, bo „jak przez nieposłuszeństwo jednego człowieka wszyscy stali się grzesznikami, tak przez posłuszeństwo Jednego wszyscy staną się sprawiedliwymi" (Rz 5, 19).

Czym jest zbawienie

My, katolicy, często używamy terminologii z założeniem, że sami, oczywiście, rozumiemy, co ona znaczy, i zgadzamy się na to znaczenie. Dopiero wtedy, gdy ktoś (chociażby nasze dziecko) zapyta: „Co przez to rozumiesz?", odkrywamy, że nie wiemy, co tak naprawdę mamy na myśli, wypowiadając dane słowo.

Jednym z takich powszechnie używanych, ale słabo rozumianych terminów jest „zbawienie". Co rozumiemy przez „zbawienie"?

Sam fakt, że mało kto z nas nie zająknie się, usiłując odpowiedzieć na pytanie o to, czym jest zbawienie, dowodzi, że nie jest ono pojęciem prostym. My, katolicy często czujemy się w takiej sytuacji zażenowani. Staliśmy się ulegli w stosunku do tych, którzy lubią nas atakować za (rzekome) „komplikowanie prostego przesłania Jezusa dogmatami, doktrynami i teologią". Ale życie jest skomplikowane i objawienie, które pomaga nam nawigować pośród ogromu złożoności ludzkiej egzystencji, nie jest tu wyjątkiem. Protestować przeciwko temu to tak jak domagać się „uproszczenia" na przykład nauki kardiologii pod zarzutem, że lekarze kardiolodzy przedstawiają serce ludzkie jako organ o takiej złożoności po to tylko, aby mamić publikę tajemną kapłańską wiedzą.

Czym zatem jest zbawienie? Jest ono całkowitą jednością z życiem Trójcy Świętej. Zaczyna się od wiary w Jezusa Chrystusa i od chrztu, ale na tym się nie kończy.

Takie rozumienie zbawienia odróżnia katolickie jego postrzeganie od teologii (choć nie praktyki) naszych sióstr i braci protestantów. Katolicka i protestancka teologia są zgodne w jednym: zostajemy zbawieni dzięki łasce. Nie ma zbawienia, nie ma żadnego aktu miłości wobec Boga albo bliźniego, które nie byłyby inspirowane i całkowicie wspierane przez samego Boga. Ale protestantyzm odchodzi od katolickiego rozumienia, kiedy stwierdza, że zbawienia dostępujemy także dzięki samej wierze. Według katolików sama wiara nas nie zbawia, bo nie może zbawić niewcielona wiara.

To nie jest tak, że my leżymy pod narkozą na stole operacyjnym, a Boski chirurg operuje. Jesteśmy raczej wezwani do tego, by zaangażować się w nasze zbawienie - poprzez łaskę. To dlatego św. Paweł jasno daje do zrozumienia, że sama wiara - wiara niewcielona, nieaktywna, nieprzemieniająca - nie wystarczy. Pisze on tak: „Gdybym też miał [...] wszelką [możliwą] wiarę, tak iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym" (1 Kor 13, 2). Zarówno św. Paweł, jak i św. Jakub upierają się, że wiara, tak jak nasz Pan, jest z natury „wcieleniowa". Musi się wcielić, tak jak Słowo stało się ciałem. Musi działać, tak jak Bóg działa, albo jest „martwa", mówi św. Jakub.

Kiedy byłem ewangelikiem, często słyszałem, że my wierzymy w zbawienie, które dokonuje się poprzez samą łaskę, podczas gdy katolicy wierzą w zbawienie poprzez łaskę i uczynki. To tak jakby katolicy uważali Jezusa za niekompetentnego, tak jakby myśleli, że muszą wspierać Jego wysiłki własnymi dobrymi uczynkami, bo potrzebuje On ich pomocy. Tym, co częściowo

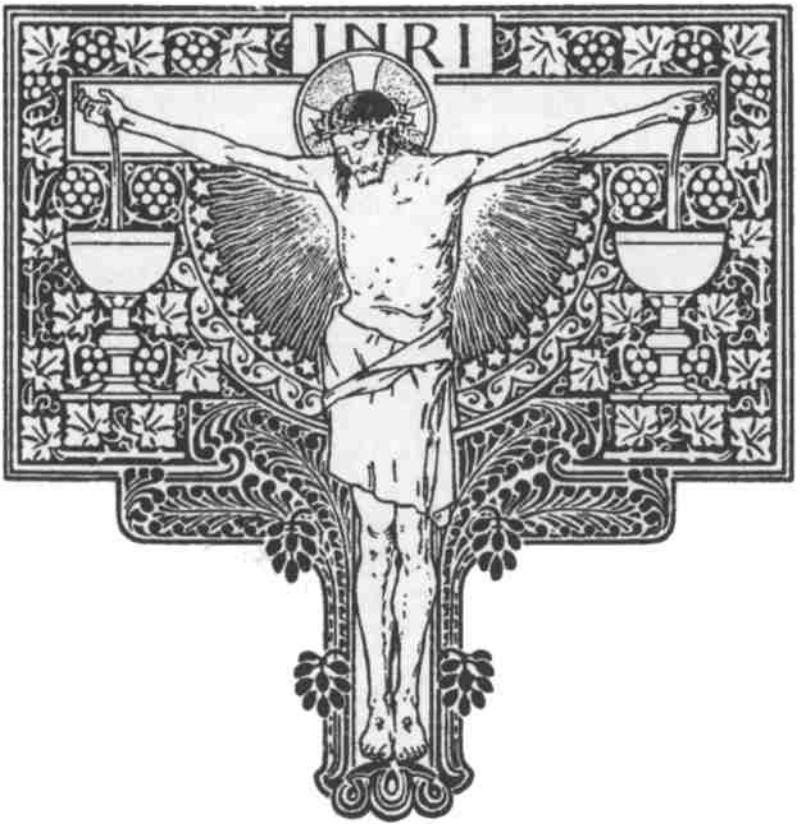

skłoniło mnie do zostania katolikiem, było odkrycie, że w rzeczywistości teologia katolicka lepiej tłumaczy także nasze - ewangelików - zachowania niż czyniła to teologia ewangelicka, bo przecież ewangelicy działają jak katolicy. Oni także wierzą, że jeśli zasieje się w Duchu, to z Ducha się zbierze (jak naucza św. Paweł w Liście do Galatów 6, 8). Oni także wierzą, że „wzrastają w Chrystusie" poprzez posłuszeństwo Jemu. Oni także mówią, że „wiara jest mięśniem" i że trzeba ją ćwiczyć, w przeciwnym razie ulegnie atrofii. Powoli zaczynałem rozumieć, że uczynki i wiara są tak samo niepodzielne jak ludzka i boska natura Chrystusa. Zaczynałem sobie uświadamiać, że zarówno katolicy, jak i ewangelicy żyją czynną wiarą, która jest prawdziwą, głęboką relacją, a nie jakimś teologicznym wykresem. Powoli docierało do mnie, że jedyna różnica polega na tym, iż wiara katolicka lepiej tłumaczy nie tylko dane biblijne, ale także doświadczenie wszystkich chrześcijan (nie tylko katolików).

Zbawienie jest żywą relacją z Bogiem. Jest stworzone i podtrzymywane przez łaskę, narodzone w wierze, wzrasta w miłości i wydaje owoce w chwale. Nie tylko nam wybacza, ale także zmienia nas dzięki naszej współpracy z łaską. Sprawia, że - według słów św. Piotra - stajemy się „uczestnikami Boskiej natury", a nie tylko grzesznikami, którym wybaczono. To nie byle co, ale nikt przecież nigdy nie powiedział, że Bóg jest byle jaki.

Wszystko w rodzinie

„Dobra wiadomość na temat Kościoła katolickiego jest taka, że jest on jak duża rodzina" - powiedział mój przyjaciel Mike. „Zła wiadomość na temat Kościoła katolickiego jest taka, że jest on jak duża rodzina". Nikt nigdy nie wypowiedział prawdziwszych słów. Wyjaśniają one bardzo dobrze, dlaczego Kościół często wydaje się tak odmienny wewnątrz i na zewnątrz.

Ojciec mojej żony, Janet, był wojskowym. Kiedy Janet była dzieckiem, ich rodzina często przenosiła się z miejsca na miejsce. Mówiono o nich, że są „jak obcy i przybysze na tej ziemi". Jako „nowi" Janet i jej rodzeństwo stawali się celem ataków miejscowej dzieciarni, która wszczynała z nimi bitwy. W rezultacie rodzeństwo Janet nauczyło się dbać o siebie i chronić się przed atakami sąsiadów. Kto zaczepił jedno z nich, miał do czynienia z całym rodzeństwem.

Ale oczywiście nie oznaczało to, że siostry i bracia Janet nie potrafili doprowadzić się nawzajem do szału. Kochali się ogromnie i trzymali się razem

(szczególnie gdy zbierali cięgi od okolicznych dzieciaków), ale musieli się również nauczyć żyć ze sobą jak wszyscy inni. Jednakże dzieciaki sąsiadów nie wiedziały nic o wewnętrznych sprzeczkach pomiędzy siostrami i braćmi Janet. One widziały tylko Zjednoczony Front Rodzinny nadciągający przeciwko nim, kiedy strzeliło im do łba przetrzepać skórę któremuś z młodszych członków Frontu.

Czasami odnoszę wrażenie, że podobnie ma się rzecz z postrzeganiem Kościoła katolickiego przez ludzi znajdujących się poza nim. Wyobrażają oni sobie Kościół jako pozbawiony wyrazu monolit, w którym tkwią katolicy ściągający instrukcje z Watykańskiej Orbitalnej Stacji Laserowej Kontroli Umysłu na Orbicie Geostacjonarnej nad Ameryką Północną. To wrażenie jest do pewnego stopnia uzasadnione. Skoro bowiem katolicy są stale napadani przez szeroko pojmowaną „kulturę", nic dziwnego, że nie są skłonni do dyskusji. To chyba jasne, że nikt nie lubi się podkładać („Proszę bardzo! Widzicie? Katolicy nie potrafią się nawet zdecydować, co myślą o karze śmierci. To tyle, jeśli chodzi o nieomylność Kościoła!"). W takich sytuacjach dostatecznie dużo wysiłku kosztuje udowodnienie, że jest się chrześcijaninem. Nie ma czasu ani miejsca na dyskusje o wewnętrznych różnicach. Dlatego ludzie spoza wspólnoty katolickiej są przekonani, że katolicy maszerują równym krokiem.

Czasami jednak, z różnych powodów, ludzie spoza Kościoła zaglądają do jego wnętrza. Wtedy odkrywają to, co mógłby odkryć każdy gość w domu mojej żony i co trudno byłoby mu nazwać absolutnie zgodną rodziną. Kłócimy się. Godzimy. Znów się kłócimy i znów godzimy. Często trudno nam dojść do porozumienia. Jednym słowem jesteśmy ludźmi. Nie jest to nic nowego. Nie jest to również jakiś szczególny znak końca czasów. Jest tak, odkąd Kościół wdał się w wielki spór (Dz 15) dotyczący tego, czy chrześcijanie pochodzący z pogan powinni zostać obrzezani, czy nie. Jedną z rzeczy, którą John Henry Newman postrzegał jako znak na potwierdzenie prawdziwości wiary katolickiej, jest fakt, że już w czasach Nowego Testamentu w Kościele panował bałagan. Bałagan ten utrzymywał się w okresie patrystycznym, w średniowieczu i w renesansie, w czasach reformacji, kontrreformacji i oświecenia. I po dziś dzień nic się w tej sprawie nie zmieniło. To, według Newmana, pokazuje, że wciąż jest to ten sam Kościół.

To trafny argument. Myślę, że katolicy powinni się nim posługiwać choćby po to, aby złagodzić cios, jakim dla człowieka spoza Kościoła może być

odkrycie, że Kościół jest najpierw wspólnotą grzeszników, a dopiero potem wspólnotą świętych. Świadomość tego podnosi na duchu. Nie musisz być doskonały, żeby być katolikiem, wystarczy, że będziesz ludzki.

MARK P. SHEA
TŁUMACZYŁ: JAN J. FRANCZAK

Copyright © Mark P Shea **2001**

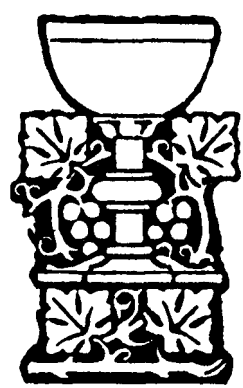

Podobnie jak konserwatysta, homoseksualista wyraża się poprzez „swój styl". Tym zaś, co ostatecznie spaja oba nurty, jest tragiczny finał.

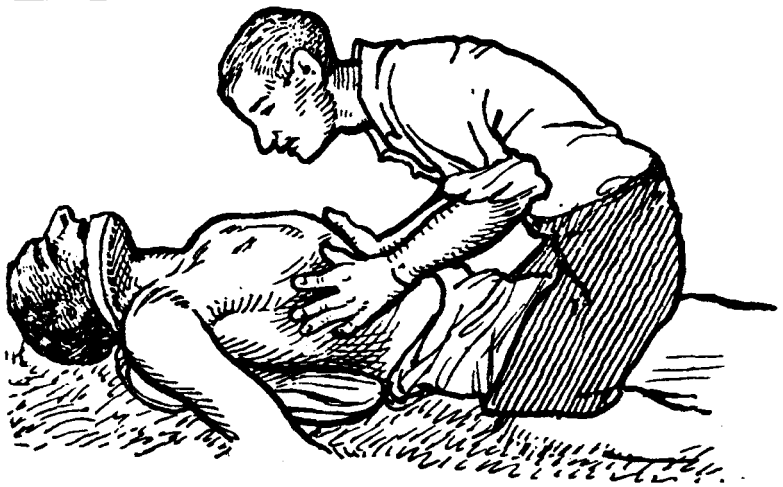

KONSERWATYZM *jako* HOMOSEKSUALIZM

MIECZYSŁAW SAMBORSKI

Od dawna zdawałem sobie sprawę, że nie jestem konserwatystą, tak jak nie jestem komunistą, socjalistą, rewolucjonistą, tradycjonalistą, ani żadnym innym „istą". Po prostu ramy politycznej tożsamości w żaden sposób nie określają mojej tożsamości jako człowieka. Niektórzy lubią określać się mianem różnych „istów". Przez całe życie poszukują swojego „izmu", który określiłby ich indywidualną tożsamość. Oddają się w ten sposób pod władzę polityki. To żałosne, dobrowolnie pozwolić na to, żeby polityka tworzyła człowieka. Jest w tym coś z ohydnej humanistycznej profanacji ludzkiego istnienia. W świecie bez Boga ludzie oddają się pod władzę polityki. Ten sam błąd popełnili

starożytni. Opuszczeni przez swoich kapryśnych bogów, wynieśli życie publiczne polis na piedestał.

Znam wiele odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie jestem konserwatystą, ale dopiero po lekturze wspaniałego eseju *Konserwatyzm jako klęska* („Fronda" nr 32) mogę powiedzieć: Nie jestem konserwatystą, bo nie jestem homoseksualistą! Ten francuski i arystokratyczny z ducha pean zdradza nam męską nowofalową istotę konserwatyzmu.

Weźmy sam ton tekstu. Ileż jest w nim płaczliwego roztkliwienia. Jest to właściwie łzawa lamentacja nad samym sobą, w której nie ma nic oczyszczającego, jest za to rozdęty do granic możliwości egotyzm. Gerard van der Aardweg, psychiatra badający zachowania homoseksualistów, uważa, że taka postawa jest typowa dla mentalności gejowskiej. Geje, podobnie jak prezentowani w tekście konserwatyści, pozostają w stanie nieustannego użalania się nad sobą.

Łączy się to z poczuciem bycia zdradzonym przez świat, odrzuconym przez społeczeństwo, doświadczonym przez Boga. Pederaści podobnie odbierają rzeczywistość, odtrąceni przez rodzinę, społeczeństwo, czują, że są naznaczeni przez naturę i skazani na wieczną egzystencję na marginesie społeczeństwa. Bycie odrzuconym staje się dla tych panów drugą naturą. Osłaniają się przed każdym promykiem nadziei, aby nic nie mogło zburzyć ich wygnania. Homoseksualista odrzuca terapię, tak jak konserwatysta neguje możliwość restauracji starego ładu.

Poczucie beznadziei wynika wprost z centralnego dla pederastii doświadczenia bycia zdradzonym przez ojca. Profesor van den Aardweg uważa, że brak ojca bądź ułomność ojcostwa jest właściwym źródłem homoseksualizmu. Nieobecność ojca (fizyczna lub tylko emocjonalna) sprawia, że młody chłopak zaczyna szukać męskich wzorów, nawiązując kontakt z innymi mężczyznami. Te poszukiwania męskości nie kończą się nigdy, bo nikt nie może zastąpić utraconego ojca.

Zaskakująco podobny kompleks rozwinął konserwatyzm. Miejsce ojca zajmuje tu postać króla, który nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań. Konserwatyści obdarzają króla męskimi cechami ojca narodu, który niestety zawodzi w momencie prawdziwej próby. „Chylę czoło przed ludzką, chrześcijańską pokorą Ludwika XVI i godnością, z jaką idzie na gilotynę - jednak gardzę nim jako monarchą, gdyż jako potomek Hugona Capeta powinien zwyciężać, nie zaś umierać z godnością... Ludwik XVI, ścinający niedoszłych *regicides,* miałby zapewne nieco mniej świętości, lecz byłby prawdziwym królem". To samo mogliby powiedzieć pederaści o swoich ojcach: „Rozumiemy powody, dla których nas

opuściliście, ale nigdy wam tego nie wybaczymy". Warto tu dodać, że odejście ojca jest przeżyciem formującym dla całego konserwatyzmu - dzieli się czas na epokę królewską i epokę bez króla, tak samo jak życiorys homoseksualisty dzieli się na czas z ojcem i czas bez niego. Bez rewolucji nie byłoby konserwatyzmu, tak jak bez ojcowskiej zdrady nie byłoby homoseksualizmu.

Kolejną wspólną cechą tych dwóch nurtów męskiej mentalności jest całkowita niewiara w możliwość zwycięstwa. W pismach konserwatystów znajdziemy peany na cześć przegranych i sztuki przegrywania. Ich bohaterami są wielcy przegrani, np. Jakub II Stuart lub Napoleon Bonaparte. Konserwatysta żyje w poczuciu niemożności przezwyciężenia własnej sytuacji w świecie. Działanie „jest złudzeniem jakże pięknym, bo pozostawia iluzję, że można jeszcze coś uczynić". Tak naprawdę konserwatysta cieszy się z tego, że nie można nic uczynić i wciąż szuka dowodów, że „realna jest jedynie rzeczywistość klęski".

Kompleks klęski tak samo trapi homoseksualistów. Nie chcą przezwyciężyć własnej ułomności i szukają wciąż potwierdzenia tezy, że ułomność ta jest niemożliwa do pokonania. Nauczyciele pederastii zgłębiają literaturę historyczną i zoologiczną, szukając argumentów na rzecz teorii wrodzonego charakteru homoseksualizmu. Zwalania to pederastę od wszelkiej odpowiedzialności za siebie, tak jak zwycięstwo rewolucji zwalnia konserwatystów od działania.

Oba męskie środowiska z pasją zwalczają wszystkich, którzy próbują wydobyć ich z bagna beznadziejności. Profesor van den Aardweg i podobni mu terapeuci są nieustannie atakowani przez lobby gejowskie. W identyczny sposób konserwatyści odtrącają rękę wyciągniętą przez pochylających się nad ich trudnym stanem ludzi, którzy próbują wlać w ich serca odrobinę nadziei.

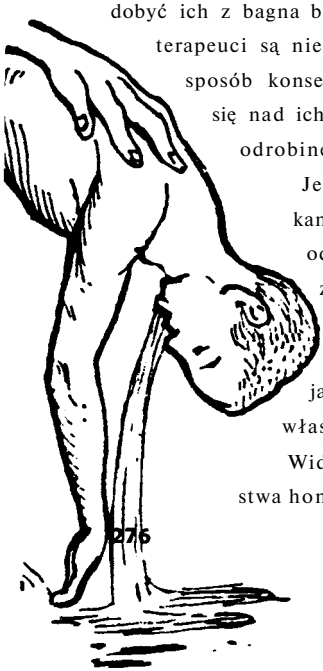

Jednocześnie intelektualiści obu kręgów krytykują postawy kamuflujące rozpacz. W wypadku konserwatystów jest to odrzucenie konserwatywnego nihilizmu jako postawy wyzwalającej radość z nieuchronnego upadku nowego porewolucyjnego świata. Natomiast doświadczeni przez życie homoseksualiści negują młodzieńczą filozofię gejowatości jako postawy radosnego i wesołkowatego napawania się własną kondycją.

Widać również wyraźnie pewne strukturalne podobieństwa homoseksualizmu i konserwatyzmu. Różnica między nurtem

integralnym i ewolucyjnym jest różnicą między walką i kompromisem - i znajduje ona swoje odzwierciedlenie w dychotomii pederastycznego podziału gejów na odgrywających role pasywne i aktywne. Konserwatyzm integralny odnajduje się w tej strukturze walki o dominację lub poddanie po stronie aktywnej. Wzywa do walki, oskarżając ewolucjonistów o postawę pasywną. Integrystów mierzi w nurcie ewolucyjnym przyzwolenie na ideową penetrację konserwatyzmu przez nowoczesny świat. Podobnie geje pełniący w związku funkcje dominujące z pogardą odnoszą się do poddających się im partnerów.

Bardzo ciekawą i ważną kwestią jest sprawa stylu, do której konserwatyści przywiązują wielką wagę jako do ostatniej deski ratunku. Nie możemy wygrać, ale możemy „pięknie przegrać". Nie liczy się zwycięstwo lub porażka, nie liczy się sama walka - tym, co ważne, jest styl. W gruncie rzeczy styl jest jedyną rzeczą, która pozostaje z konserwatyzmu. Kwintesencją stylu jest samotna walka arystokratycznego indywidualisty, którego piękna i delikatna twarz kontrastuje z pokraczną fizjonomią zwycięskiego motłochu.

Kultura homoseksualna od czasów Platona kładzie wielki nacisk na kwestię smaku. To, co odróżnia homoseksualistów od normalnych mężczyzn, to przywiązanie do spraw mody i gustów. Geje noszą modne stroje, mają pięknie urządzone mieszkania, designerskie meble, eleganckie samochody. Wielu z nich spełnia się z powodzeniem w roli projektantów, fotografów, artystów, bo pederastyczne wyczulenie na kwestie gustów wychodzi znacznie ponad wrażliwość przeciętnego mężczyzny. Podobnie jak konserwatysta, homoseksualista wyraża się poprzez „swój styl".

Tym, co ostatecznie spaja oba nurty, jest tragiczny finał. Zarówno homoseksualizm, jak i konserwatyzm jest „drogą klęski". Niech będzie to przestrogą dla wszystkich, którzy chcieliby odkryć siebie w którymś z „izmów", w globalizmie, w onanizmie, w wegetarianizmie, w szamanizmie...

MIECZYSŁAW SAMBORSKI

PS W następnym numerze: *Liberalizm jako pedofilia.*

Co takiego jest na przykład w postkomunizmie czy postmodernizmie, co warto zakonserwować? Co może konserwować konserwatysta, jeżeli więzi międzyludzkie, a wraz z nimi całe obszary życia społecznego, nabierają cech patologicznych?

Konserwatyzm jako ślepy zaułek

ESTERA LOBKOWICZ

Postawa zaprezentowana w tekście *Konserwatyzm jako klęska* („Fronda" nr 32) wydaje mi się nie do pogodzenia z chrześcijaństwem. Chrześcijanin bowiem jest człowiekiem, który łącząc swoje życie z Chrystusem, nie może ponieść klęski. Owszem, można się zgodzić, że w planie doczesnym chrześcijan, podobnie jak konserwatystów, czeka klęska. Podobnie, na płaszczyźnie historycznej życie Jezusa także zakończyło się klęską - śmiercią na krzyżu. Na płaszczyźnie duchowej był to triumf - zwycięstwo nad śmiercią i szatanem. Przy czym świat duchowy rozumiem tu nie jako metaforę, ale jako realnie istniejącą rzeczywistość, gdzie toczy się najzupełniej realna walka duchowa. Autor zdaje się to rozumieć, ale traktuje chrześcijaństwo jako pewną protezę, plaster, środek mający uśmierzyć ból druzgocącej porażki. Rozpacz, jaką podszyty jest wspomniany tekst, wskazuje, jakby zwycięstwo w sferze doczesnej („nad krwią i ciałem") było mu bliższe niż w sferze ducha („nad pierwiastkami zła na wyżynach niebieskich").

W związku z tym myślę, że konserwatyzm, a przynajmniej jego wersja zaprezentowana w tekście, nie da się nijak pogodzić z tożsamością chrześcijanina. Sam bowiem konserwatyzm ze swej definicji ma charakter relatywny. Dla chrześcijanina centralnym punktem samookreślenia jest stosunek do Boga, dla konserwatysty tymczasem stosunek do rzeczywistości społecznej. Sama zaś rzeczywistość społeczna, w odróżnieniu od niezmienngo Boga, podlega nieustannym zmianom.

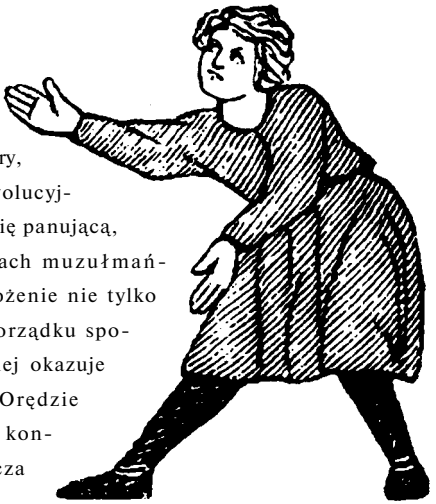

Nic więc dziwnego, że chrześcijaństwo w jednych epokach, np. na początku naszej ery, uważane było za ruch wywrotowy, niemal rewolucyjny, w innych zaś, np. w średniowieczu, za religię panującą, legitymizującą istniejący ład publiczny. W krajach muzułmańskich nawet dziś jest prześladowane jako zagrożenie nie tylko dla wiary islamskiej, lecz również dla całego porządku społecznego, a w krajach o tradycji chrześcijańskiej okazuje się tego porządku najgłębszym fundamentem. Orędzie Chrystusa, w jednych warunkach uważane za konserwatywne, w innych za rewolucyjne, przekracza bowiem podziały ideowe i polityczne. Postawa konserwatywna czy rewolucyjna jest wtórna wobec poważniejszych wyborów życiowych i jako zbyt uwikłana w kontekst historyczny nie może stać się dla chrześcijanina światopoglądowym fundamentem.

Etymologia słowa „konserwatyzm" wskazuje, że jego zadaniem jest konserwowanie. Ale co takiego jest np. w postkomunizmie czy postmodernizmie, co warto zakonserwować? Co może konserwować konserwatysta, jeżeli więzi międzyludzkie, a wraz z nimi całe obszary życia społecznego, nabierają cech patologicznych? Co ma zachować w interesujących go sferach, np. obyczajów, w których nie ma już możliwości odwołania się do jakiegokolwiek istniejącego, żywego wzorca zachowania? (Dotyczy to także nas, współczesnych chrześcijan, którzy nie posiadamy dziś zupełnie np. chrześcijańskich obyczajów domowych). Słuchając wielu konserwatystów, można więc często w ich wypowiedziach doszukać się raczej chęci zmieniania niż zachowywania. Nominalnie jest to niby konserwatyzm, a w rzeczywistości konstruktywizm, niekiedy nawet postawa rewolucyjna.

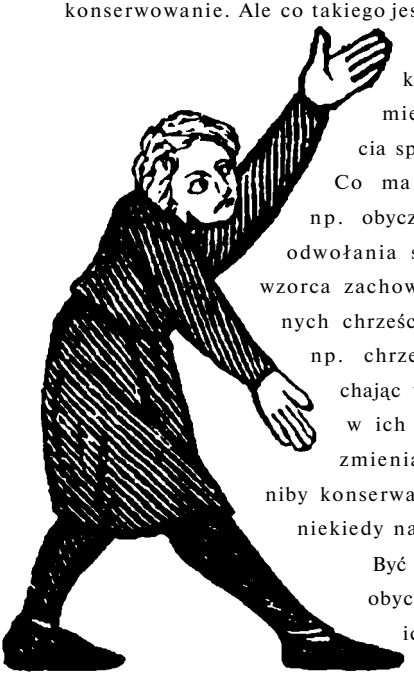

Być może więc żyjemy w czasach, w których obyczaje należy nie tyle kultywować, bo ludzie ich już nie znają, ile raczej wprowadzać. To

zaś wymaga nie zachowawczości, lecz kreatywności. Skąd jednak czerpać wzorce do owej kreatywności? Do jakich źródeł się odwołać, by trafić do ludzkich wnętrz, a zarazem nie popaść w subiektywizm?

Jan Paweł II odpowiada na te pytania w swej książce *Dar i tajemnica.* Niektórzy traktują jego odpowiedź jako unik, ale w rzeczywistości trafia ona w samo sedno *rzeczy.* Otóż papież pisze, że owa antynomia między „tradycjonalizmem" a „progresywizmem", między „wczoraj" a „jutro" może być rozwiązana tylko przez „dziś" Jezusa Chrystusa, ponieważ „Chrystus jest miarą wszystkich czasów".

ESTERA LOBKOWICZ

Kraków, kwiecień 2004

Dar Absolwenta dla swojej szkoły!

Szanowni Państwo,
jeśli sięgamy myślą ku przeszłości, często wspominamy swoich nauczycieli. Zdajemy sobie sprawę, że nasza pozycja zawodowa, uzyskany status społeczny i wykształcenie - to także ich udział. Warto postawić sobie szereg pytań: Jakich mieliśmy nauczycieli? Jaka jest nasza wdzięczność wobec nich? Jak możemy choć w części wynagrodzić ich trud?

Dziś po latach cenimy szczególnie tych, którzy potrafili w nas wyzwolić inicjatywę, wiarę w siebie i umiłowanie pracy. Dzięki temu, że nie szczędzili sił i czasu, uczynili z nas ludzi otwartych na prawdę, dobro i radość życia.

Dzisiejsza szkoła szczególnie potrzebuje dobrych nauczycieli i prawdziwych autorytetów, którzy pociągną młodych ludzi wzwyż, wyzwolą klimat zaufania i przyjaźni.

Taką wizję szkoły wspiera miesięcznik nauczycieli i wychowawców katolickich „Wychowawca".

Jeżeli doceniają Państwo wielkość misji nauczyciela i chcą wyrazić wdzięczność tym, którzy Państwa wychowywali i edukowali, proszę zaprenumerować „Wychowawcę" dla tej szkoły, którą zachowali Państwo w swojej pamięci.

Ten niewielki dar serca ofiarowany dzieciom i młodzieży pomoże odnaleźć nauczyciela - mistrza, który poprowadzi swych uczniów ku pełni człowieczeństwa.

Z wdzięcznością
Teresa Król
Redaktor naczelny miesięcznika „Wychowawca"

Możliwa jest prenumerata kolejnych 12 numerów. Koszt rocznej prenumeraty 1 egz. miesięcznika „Wychowawca" wynosi 45 zł. Prenumeraty „daru" można dokonać tylko za pomocą przekazu pocztowego, a w rubryce miejsce na korespondencję należy czytelnie wpisać: „dar absolwenta z roku: . . . . . imię i nazwisko: . . . . . dla szkoły: . . . . . adres szkoły: . . . . . .".
Przekaz pocztowy należy zaadresować na wydawcę miesięcznika:
Polskie Stowarzyszenie Nauczycieli i Wychowawców,
ul. Mikołajska 17/19, 31-027 Kraków.

ZAMIAST KASZY I ŚRUBOKRĘTU

DUCHOWA ADOPCJA

Duchowa Adopcja polega na codziennej, osobistej, trwającej dziewięć miesięcy modlitwie w intencji narodzin dziecka poczętego, lecz zagrożonego zagładą, którego imię znane jest tylko Bogu. Należy spełnić następujące warunki: świadczyć jakieś postanowione przez siebie dobre uczynki, codziennie modlić się jedną dziesiątką różańca oraz codziennie odmawiać następującą modlitwę:

> Panie Jezu, za wstawiennictwem Twojej Matki, która urodziła Cię z miłością, oraz za wstawiennictwem świętego Józefa, człowieka zawierzenia, który opiekował się Tobą po urodzeniu, proszę Cię w intencji tego nienarodzonego dziecka, które duchowo adoptowałem, a które znajduje się w niebezpieczeństwie zagłady. Proszę Cię, daj rodzicom miłość i odwagę, aby zachowali swoje dziecko przy życiu, które Ty sam mu przeznaczyłeś. Amen.

DAR

Kilka lat temu poproszono nas o przeprowadzenie duchowej adopcji w sanktuarium kalwaryjskim. Wielu ludzi podjęło wówczas to wyzwanie. Z czego bardzo się cieszyliśmy. Minął rok, kiedy ponownie pielgrzymowaliśmy do Kalwarii. Wówczas na Górze Ukrzyżowania podeszła do mnie mama z maleńkim dzieckiem na ręku i zaczęła dzielić się swoim świadectwem: „Proszę pani, to dziecko żyje dzięki duchowej adopcji. W ubiegłym roku, gdy przyjechaliśmy do kalwaryjskiego sanktuarium, ja byłam w stanie błogosławionym. Wówczas nie chcieliśmy przyjąć tego dziecka. Uczestniczyliśmy we Mszy Świętej, podczas której pani właśnie mówiła o dziecku jako wielkim darze od Boga. Oboje z mężem mieliśmy wrażenie, że w intencji naszego dzieciątka już ktoś codziennie się modli. Urodził się chłopczyk. Nie wyobrażam sobie w tej chwili takiej sytuacji, aby moje łono miało być grobem dla mojego synka".

Hanna Chytra, animatorka duchowej adopcji, w rozmowie z Małgorzatą Bochenek.

Modlitwa ratunkiem dla bezbronnych, „Nasz Dziennik" 20-21.03.2004

MODLITWA O NAWRÓCENIE PRZECIWNIKÓW ŻYCIA

> Panie Jezu, który na Krzyżu modliłeś się z miłością za swoich prześladowców, otwórz moje serce, abym potrafił modlić się za nieprzyjaciół

życia, za tych, którzy chcą zabijać bezbronne dzieci w łonach matek, krzywdzić kobiety i zadawać im wielki ból.
Panie, proszę Cię o nawrócenie przeciwników życia!
Proszę Cię także, Panie Jezu, aby ich zle zamiary nie mogły zostać zrealizowane, a każde poczęte dziecko mogło się szczęśliwie urodzić.

0 szczególne wstawiennictwo w tej sprawie proszę:
- św. Giannę Beretta Molla, która poświęciła życie dla swojego poczętego dziecka,
- bl. Mariannę Biernacką, która ofiarowała życie za synową i jej nienarodzone dziecko,
- bl. Matkę Teresę z Kalkuty, która uratowała życie wielu poczętych dzieci,
- św. o. Maksymiliana Kolbego, który ofiarował swoje życie za ojca rodziny,
- sługę Bożego ks. Jerzego Popieluszkę, który oddał życie za Polskę 1 jej dzieci.

ŁASKA

Pani Zofia Bagdzińska była już matką niespełna rocznej Uli, gdy znów zaszła w ciążę. Była wtedy kelnerką w jednym z dużych lokali gastronomicznych. Wyznaczano jej pracę zwykle po południu i wieczorem, co nie sprzyjało wychowywaniu dzieci. Sąsiadki, które znały jej życie i wiedziały, z jakim trudem znosiła pierwszą ciążę - zachęcały ją do zabicia nienarodzonego dziecka. W okresie totalitaryzmu nie było trudno w portowym mieście usunąć ciążę. W Szczecinie dokonywał aborcji pewien wojskowy lekarz ginekolog. Zdesperowana pani Zofia udała się do niego w towarzystwie sąsiadki. Lekarz, który tak łatwo i chętnie dokonywał mordu nienarodzonych, tym razem po zbadaniu ciężarnej powiedział zdecydowanym głosem: „Ja nie usunę tej ciąży!".

Zaskoczona pani Zofia zapytała: „Dlaczego? Czy może już jest za późno?" Ginekolog szybko odrzekł: „Nie. Ale ja nie usunę tej ciąży! Proszę wyjść z mojego gabinetu!".

Kobieta wyszła, zastanawiając się, dlaczego tak się stało. Wracając do domu, rozpłakała się. Nagle pojęła, że udając się na zabieg przerwania ciąży, bardziej posłuchała ludzi niż Boga. Nie mogła pojąć, dlaczego lekarz nie chciał dokonać zabiegu usunięcia ciąży, ale dostrzegła w jego decyzji nadzwyczajną interwencję Boga. [...]

Ta ciąża w przeciwieństwie do poprzedniej, która zakończyła się cesarskim cięciem, przebiegała zupełnie normalnie. Pani Zofia w sposób naturalny urodziła w szpitalu wojskowym zdrowego, dużego synka, któremu nadała imię Maciej. [...]

Maciek wstąpił do Zakonu Braci Mniejszych Konwentualnych [...] gdzie otrzymał przed siedmiu laty święcenia kapłańskie.

Bogdan Nowak, *Zabiłabym syna... dziś jest kapłanem.* „List do Pani"

MODLITWA O POJEDNANIE Z BOGIEM OSÓB Z GRZECHEM ABORCJI

Panie Jezu, za wstawiennictwem Twojej Matki Maryi, która przyjęła dar Twojego życia z wdzięcznością, i za wstawiennictwem nieprzeliczonej rzeszy nienarodzonych niewiniątek, dzieci zabitych podczas aborcji, z których Ty każde znasz po imieniu, proszę Cię w intencji nawrócenia świata, a zwłaszcza pojednania z Bogiem wszystkich matek, które mają na sumieniu grzech aborcji, ich rodzin i personelu medycznego, który bral w tym udział. Proszę Cię, daj im łaskę szczerej skruchy, żalu za grzechy i powrotu do Boga, który jest Ojcem wybaczającym i kochającym wszystkich ludzi. Amen.

Dodatkowo: Anioł Pański jako modlitwa przyjęcia życia.

Nic nie jest tak ważne jak modlitwa; sprawia ona, że to, co niemożliwe, staje się możliwe, to, co trudne, staje się łatwe. Jest niemożliwe, aby grzeszył człowiek, który się modli.

Św. Jan Chryzostom, cyt. za: Katechizm Kościoła Katolickiego (2744), Pallottinum, Poznań 1994

Można modlić się często i gorąco. Nawet na targu czy w czasie samotnej przechadzki, siedząc w swoim sklepiku czy też kupując lub sprzedając, a nawet przy gotowaniu.

Św. Jan Chryzostom, cyt. za: Katechizm Kościoła Katolickiego (2743),

Kto się modli, z pewnością się zbawia; kto się nie modli, z pewnością się potępia.

Św. Alfons Liguori, cyt. za: Katechizm Kościoła Katolickiego (2744),

Modlitwa jest darem łaski oraz zdecydowaną odpowiedzią z naszej strony. Zawsze zakłada ona pewien wysiłek. Wielcy ludzie modlitwy Starego Przymierza

przed Chrystusem, jak również Matka Boża i święci wraz z Chrystusem pouczają nas, że modlitwa jest walką. Przeciw komu? Przeciw nam samym i przeciw podstępom kusiciela, który robi wszystko, by odwrócić człowieka od modlitwy, od zjednoczenia z Bogiem. Modlimy się tak, jak żyjemy, ponieważ tak żyjemy, jak się modlimy.

Katechizm Kościoła Katolickiego (2725).

Najczęstszą i najbardziej ukrytą pokusą jest nasz brak wiary. Objawia się on nie tyle przez wyznane niedowiarstwo, co przez faktyczny wybór. Gdy zaczynamy się modlić, natychmiast tysiące prac i kłopotów, uznanych za bardzo pilne, wchodzą na pierwsze miejsce; i znowu jest to chwila prawdy serca i wyboru miłości. Zwracamy się do Pana jako do naszej ostatniej ucieczki: ale czy naprawdę w to wierzymy? Albo bierzemy Pana za sprzymierzeńca, ale serce ciągle jeszcze pozostaje zarozumiałe. W każdym przypadku nasz brak wiary ukazuje, że nie jesteśmy jeszcze w postawie serca pokornego: „beze Mnie nic nie możecie uczynić" (J 15, 5).

Katechizm Kościoła Katolickiego (2732),

NAWET W PARLAMENCIE EUROPEJSKIM

Obecna przedstawicielka PE [Parlamentu Europejskiego - przyp. red.] pani Dana Rosemary Scallon z Irlandii, osoba bardzo wierząca, natchnęła nas wielkim optymizmem. Została ona wybrana do PE i weszła do komisji, w której nie było zwolenników prawa do życia. W takiej sytuacji postanowiła się modlić, apostołować i przekonywać. Od lat spotyka się w każdą środę z przyjaciółmi na wspólnej modlitwie w Strasburgu, m.in. w intencji życia. W ten sposób przez kilka lat pracy, modlitwy i spokojnej perswazji, a także wytrwałości, przeciągnęła na stronę obrony życia kilka osób, tak że w tej chwili w komisji, w której pracuje, jest zupełnie inna sytuacja. Dana Rosemary Scallon apelowała, aby nawet w najtrudniejszych sytuacjach nigdy się nie zniechęcać i zawsze pamiętać, że modlitwa oraz cierpliwa praca przynoszą efekty. Dla mnie było to najważniejsze wystąpienie, bo ukazało fundamentalną rolę modlitwy w zmaganiach w obronie życia. A takie świadectwo, które daje członkini PE, aktorka, kiedyś zaangażowana w show-biznes, ma szczególną wagę.

Antoni Zięba w rozmowie z Małgorzatą Pabis na temat międzynarodowej konferencji pro-life zorganizoanej w Londynie pt. *W dziele obrony życia,* „Źródło" nr 6/2004.

BŁAGAM O TRZY DNI

Gdy wracam myślą do wydarzenia sprzed paru miesięcy, nie potralę opisać go jednym zdaniem. Mimo naszych napomnień, rozmów i przestróg - syn nie chciał nas słuchać i efekt tego był taki, że dziewczyna jest w drugim miesiącu brzemienna. Rodzice jej zdecydowali o usunięciu dziecka. Dostaję list od przyszłej matki, abym pomogła w tej sytuacji. Idę do jej domu jak w transie i modlę się do Boga o Jego mądrość i prowadzenie rozmowy. Słyszę tylko jedno: „Ona nie może urodzić tego dziecka!!!". Słysząc to od matki, jestem bita w twarz słowami i osłupiała. Nie docierają żadne argumenty i prośby. Wreszcie klękam przed matką i błagam o trzy dni, nim podejmą decyzję. Nie chcą słyszeć więcej i pozostawiają mnie klęczącą i ze łzami w oczach. Dudnią mi w uszach słowa, które wypowiedziałam: „Mordując dziecko, zabije pani również swoją córkę!". Wychodzę od nich z domu jak po biczowaniu i głośno wypowiadam modlitwę: „Ojcze, tylko Ty możesz uratować to dziecko, weź wszystko, co mam, całe moje życie!". Doszłam do domu nie wiem jak i razem z mężem poszliśmy oddać siebie Bogu na Eucharystii - błagając o życie dla dziecka i o to, aby Niewinna Krew nie została przelana na Krzyżu na darmo!!!

W trzecim dniu z umówionego gabinetu, gdzie miało dokonać się morderstwo na nienarodzonym dziecku - ucieka przyszła matka. Ze szczęścia o mało nie straciłam przytomności. Wielbiłam Boga, a łzy radości i szczęścia spokojnie płynęły po twarzy. Wiem, że ta Droga ze szczęśliwie urodzonym wnukiem będzie nas łączyć zawsze duchowo. Doznałam piekła, które matki przygotowują swoim córkom, decydując za nie i namawiając do zabijania. To dla mnie jest nie do ogarnięcia. Tylko Jezus z Mateczką mogli sprawić, że przeszłam Tę Drogę Krzyża. Nie mogę odpowiedzieć na pytanie, dlaczego prosiłam o trzy dni, nim podejmą decyzję. Krzyk syna i ogromna rozpacz, jak dowiedział się o dniu aborcji. Trzymał mnie wpół, osuwając się we łzach i krzyczał: „Boże, zabijają moje dziecko!". Nigdy nie słyszałam takiego płaczu i krzyku. [...]

Maryja pomogła pojednać się matce i córce i kochać nowo narodzone maleństwo. Nie wykorzystałam bólu córki i nie powiedziałam niczego złego o matce, gdy we łzach przyszła do nas. Mówiłam, aby dała czas rodzicom i pozwoliła wyciszyć swój żal, a wszystko Bóg poprowadzi. Stanąć w cieniu, a nie na piedestale i pozwolić iść przodem Jezusowi. Słowa, które słyszałam w sercu: „Choćbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty, Panie, jesteś ze mną" stały się dla mnie żywe i prawdziwe.

Z listu czytelniczki, nadesłanego do redakcji miesięcznika „W drodze" 21.09.2003

najważniejsze wezwanie, najistotniejsze orędzie!

Trzeba się zawsze modlić, a nigdy nie ustawać (por. Łk 18, 1), powiedział Pan Jezus. Módlcie się i kształtujcie poprzez modlitwę swoje życie. „Nie samym chlebem żyje człowiek" (Mt 4, 4) i nie samą doczesnością, i nie tylko poprzez zaspakajanie doczesnych - materialnych potrzeb, ambicji, pożądań, człowiek jest człowiekiem... „Nie samym chlebem żyje człowiek, ale wszelkim słowem, które pochodzi z ust Bożych". Jeśli mamy żyć tym słowem, słowem Bożym, trzeba „nie ustawać w modlitwie!". Może to być nawet modlitwa bez słów.

Niech z tego miejsca do Wszystkich, którzy mnie słuchają tutaj albo gdziekolwiek, przemówi proste i zasadnicze papieskie wezwanie do modlitwy. A jest to wezwanie najważniejsze. Najistotniejsze orędzie!

Ojciec Święty Jan Paweł II, Kalwaria Zebrzydowska, 7 czerwca 1979 roku

REKONKWISTA
TRWA
Pismo
politycznych
nonkonformistów

TEMPLUM NOVUM 1/2004 (stron 211)

M. in. Manuel Ferreras-Tascón "Politycy skrępowali obywateli" Sejm niszczy demokrację
Dariusz Magier "Myśli nowoczesnego Polaka - sto lat później"
"Przestrzeń duchowej swobody" wywiad z Tomaszem Gabisiem, redaktorem naczelnym "Stańczyka"
Marcin Korzeb "Lepszy kryminał". Modelowe więzienie hiszpańskie
Manuel Ferreras-Tascón "Przebudzenie Nowego Świata"
"Dziennik rewolty" - przedruk z Akcji Bezpośredniej
Ryszard Mozgol "O wojnie. Katolicka teologia wojny a zagrożenia współczesności"
Ferdynand Goetel "Piłsudczycy"
"Armagedon - pierwsze starcie". Wywiad dr Markiem J. Chodakiewiczem - laureatem nagrody literackiej im. Józefa Mackiewicza
Jarosław Tomasiewicz "Młodzieżowa opozycja w PRL"
Dawid Madejski "Complexio oppositorum". Dioklecjan inspiratorem władców średniowiecznych

Cena 20 zł plus koszty wysyłki
DYSTRYBUCJA
rekonkwista, skr. poczt. 143, 21-500 Biała Podlaska
tel. 0501-692-106, 083 343-19-43; e-mai:nsr@pf.pl

NOTY O AUTORACH

PRZEMYSŁAW DULĘBA (1980) student archeologii na Uniwersytecie Warszawskim, celtolog, drużynowy 3. Drużyny Skarżyskiej Św. Jana Chrzciciela, były wokalista postpunkowej formacji Manekin. Publikował w „Christianitas" oraz „Lampie i Iskrze Bożej". Mieszka w Warszawie.

MICHAŁ DYLEWSKI (1973) z wykształcenia antropolog współczesności i animator działań lokalnych. Obecnie wicedyrektor jednej z regionalnych instytucji kultury. Publikował m.in. w „Czasie Kultury", „Kwartalniku Konserwatywnym" i „Nowym Państwie". Miłośnik Beskidu Niskiego, golonki z pieca i żuru polskiego. Założyciel i wieloletni przewodniczący Partii Ludzi Uśmiechniętych. Mieszka w Warszawie.

MONIKA EBERT (1962) z wykształcenia architekt krajobrazu, pani domu, matka siedmiorga dzieci, działa społecznie w społeczności lokalnej. Mieszka w Zalesiu Górnym.

RYSZARD FENICSEN (1925) kardiolog, docent doktor medycyny, jeden z pionierów reanimacji w Polsce, jako lekarz pracował w latach 1951-1968 w Polsce, w latach 1968-1971 w Danii, od 1971 do 1990 roku w Holandii. Autor wielu książek z dziedziny medycyny, etyki i filozofii. Mieszka w Cambridge w stanie Massachusetts w USA.

GRZEGORZ GÓRNY (1969) redaktor naczelny „Frondy". Mieszka w Warszawie.

TADEUSZ GRZESIK (1964) działacz podziemia solidarnościowego, poeta. Mieszka pod Warszawą.

MAREK HORODNICZY (1976) członek zespołu redakcyjnego „Frondy", publikował m.in. w „Christianitas", „Nowym Państwie" i „RUaH-u". Mieszka w Warszawie.

KRZYSZTOF KĘDZIOR (1968) magister teologii katolickiej na Ruhr-Universitat w Bochum, w latach 1981-2001 mieszkał w Niemczech, obecnie lektor języka niemieckiego w szkole językowej. Mieszka w Warszawie.

KRZYSZTOF KOEHLER (1963) poeta, historyk literatury, krytyk i eseista. Mieszka w Krakowie.

ALEKSANDER KOPIŃSKI (1974) humanista dyplomowany i praktykujący, redaktor „Frondy", stały współpracownik „Arcanów"; współautor zbioru szkiców Gdy *zaczniemy walczyć miłością... Portrety kapelanów powstania warszawaskiego* (2004); przygotowuje do druku książkę *Ludzie z charakterami. O okupacyjnym sporze Czesława Miłosza i Andrzeja Trzebińskiego* (Biblioteka „Frondy"). Mieszka w Warszawie.

BOHDAN KOROLUK (1965) krytyk literacki. Przeniósł się z UIjanowska do Baku.

ESTERA LOBKOWICZ (1968) fizyk. Mieszka w Krakowie.

THOMAS F. MADDEN profesor historii, mediewista, specjalizujący się w dziejach wypraw krzyżowych, wykładowca na uczelniach amerykańskich, szef katedry historii na Uniwersytecie Saint Louis, autor książek o tematyce średniowiecznej. Mieszka w stanie Missouri w USA.

FILIP MEMCHES (1969) publicysta, tłumacz, początkujący wierszokleta. Patriota Rzeczypospolitej Obojga Narodów, staroświecki naiwniak zagubiony w „globalnej wiosce". Absolwent psychologii warszawskiej ATK (obecnie UKSW). Teraz na utrzymanie swojej rodziny i swoje zarabia w firmie informatycznej, robiąc korekty stron WWW pewnej megakorporacji. Stały współpracownik „Nowego Państwa", ostatnio artykuły zamieszczał też na łamach takich pism jak: „Arcana", „Obywatel", „Stańczyk", „Życie". Mieszkaniec warszawskich Starych Bielan.

KRZYSZTOF NOWORYTA (1980) absolwent na gwarancji Akademii Teatralnej w Warszawie, asystent Namiestnika w Stowarzyszeniu Harcerstwa Katolickiego „Zawisza" FSE, prowadzi Kompanię Teatralną KAKOFONIA, publikował w „Christianitas", „Nowym Państwie". Mieszka w Łodzi.

REMIGIUSZ OKRASKA (1976) z wykształcenia socjolog, z zamiłowania publicysta i społecznik. Opublikował kilkaset tekstów w wielu miejscach, od czasopism radykalnie lewicowych i anarchistycznych po radykalnie prawicowe, od prac naukowych po ziny. Autor książki *W kręgu Odyna i Trygfawa. Neopoganizm w Polsce i na świecie - wczoraj i dziś* (2001). Redaktor naczelny społeczno-politycznego dwumiesięcznika „Magazyn Obywatel". Działacz kilku inicjatyw obywatelskich i ruchu ekologicznego. Obecnie mieszka na Podbeskidziu.

DŻEBEL-AL-NUR (1978) studiuje zaocznie psychologię, dorabia jako pomocnik kucharza. Mieszka tymczasowo w Warszawie.

MAREK ORAMUS (1952) publicysta, dziennikarz, krytyk literacki, pisarz. Jeden z głównych przedstawicieli nurtu science fiction w literaturze polskiej. Przez 14 lat kierownik działu krytyki w „Nowej Fantastyce". Opublikował powieści: *Senni zwycięzcy. Arsenał, Dzień drogi do Meorii. Święto śmiechu;* zbiory opowiadań: *Hieny cmentarne* i *Rewolucja z dostawą na miejsce;* zbiory publicystyczne: *Wyposażenie osobiste* (szkice i krytyki) oraz *Rozmyślania nad tlenem* (felietony). Obecnie przygotowuje powieść: *Trzeci najazd Marsjan* oraz tom felietonów i miniatur literackich *Człowiek idzie z dymem. Podroby z brzucha PRL-u.* Mieszka w Piasecznie.

WITOLD PASEK (1967) ekspert do spraw międzynarodowych. Mieszka pod Warszawą.

MARCIN RACZKOWSKI (1972) dziennikarz czasopisma „Dolnośląska Solidarność" wydawanego przez Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność" Dolny Śląsk. Mieszka we Wrocławiu.

LIONEL I RENATĘ ROOSEMONTOWIE małżeństwo żydowsko-niemieckie. Mieszkają w Kemmel w Belgii.

MIECZYSŁAW SAMBORSKI (1974) absolwent prawa na UMK. Mieszka w Toruniu.

MARK P. SHEA (1959) pisarz, felietonista, publicysta. Wychowany jako pogański agnostyk, został bezwyznaniowym ewangelikiem w 1979 roku, a w 1987 przeszedł na łono Kościoła katolickiego. Autor takich książek, jak

m.in.: *Making Senses Out ofScripture: Reading the Bibie as the First Christians Did, By What Authority? An Evangelical Discovers Catholk Tradition, This is My Body: An Evangelical Discovers the Real Presence.* Mieszka w stanie Waszyngton w USA.

SONIA SZOSTAKIEWICZ (1969) redaktor „Frondy". Mieszka pod Warszawą.

TOMASZ R TERLIKOWSKI (1974) doktor filozofii, dziennikarz. Mieszka w Warszawie.

RAFAŁ TICHY (1969) niedoszły doktor filozofii. Mieszka w Warszawie.

WOJCIECH WENCEL (1972) poeta, eseista, krytyk literacki, redaktor „Frondy" i „Nowego Państwa". Opublikował pięć książek poetyckich: *Wiersze* (1995), *Oda na dzień św. Cecylii* (1997), *Oda chorej duszy* (2000), *Ziemia Święta* (2002) *Wiersze zebrane* (2004) oraz dwa zbiory szkiców *Zamieszkać w katedrze* (1999) i *Przepis na arcydzieło* (2004). Jest laureatem wielu nagród, m.in. Nagrody Fundacji im. Kościelskich, Nagrody im. Kazimiery Iłłakowiczówny i nagrody głównej w pierwszej edycji Konkursu Poetyckiego im. x. Józefa Baki. Mieszka w Gdańsku Matami.

PAWEŁ ZAWADZKI (1942) dziennikarz, publikował m.in. w „Tygodniku Solidarność", „Gościu Niedzielnym", „Twórczości", „Zielonych Brygadach", „Tygodniu Polskim", „Akancie". „Arkuszu". „W drodze", „Niedzieli", „Dzienniku Polskim", „Res Publice". „Głosie", „Naszych Bielanach", „Pracowni". Mieszka na Mariensztacie.

JAN ZIELIŃSKI (1973) gburowaty mruk z trudnym charakterem. Mieszka na Rakowcu.

ROBERT ŻUREK (1970) magister teologii, doktor historii. Mieszka w Berlinie.